Uciekłam z Korei Północnej

Hyeonseo Lee

David John

Dziewczyna o siedmiu imionach

Prószyński i S-ka

Hyeonseo
Lee
David John

Dziewczyna
O SIEDMIU IMIONACH

PRZEŁOŻYŁA
JULIA SZAJKOWSKA

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE GIRL WITH SEVEN NAMES

Originally published in English as The Girl
with Seven Names: A North Korean Defector's Story
© Hyeonseo Lee, 2015
By Agreement with Pontas Literary & Film Agency,
acting on behalf of the Asia Literary Agency
All rights reserved

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
© maodoltee/Shutterstock.com;
Noman Studio; breathoflifestar

Redaktor prowadzący
Anna Czech

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Mirosława Kostrzyńska

Mapy
John Gilkes

Konsultacja
Stanisław Matsumoto

ISBN 978-83-8069-811-6

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

OD AUTORKI

Ze względu na dobro krewnych, którzy zostali w Korei Północnej, zmieniłam tożsamość niektórych osób, o których wspominam w tej książce. Z tych samych względów zachowałam dla siebie pewne szczegóły dotyczące opisywanych wydarzeń i ludzi. Wszystko poza tym przedstawiam tak, jak to zapamiętałam lub w wersji, jaką mi opowiedziano.

Korea Północna
N
Przeprowadzki rodziny autorki w obrębie Korei Północnej
CHINY
Północne Hamgyong
Hyesan
(miasto rodzinne autorki)
Ryanggang
Chagang
Południowe Hamgyong
Północne Pyongan
Hamhung
Anju
Południowe Pyongan
Korea Północna
Pyongyang (Pjongjang, Phenian)
Północne Hwanghae
Południowe Hwanghae
Gangwon
Morze Japońskie
Kaesong
Korea Południowa
Morze Żółte
0 20 40 60 80 km
0 20 40 60 mile

Trasy ucieczek
N
Ułan Bator
MONGOLIA
CHINY
Shenyang
Hyesan
Pekin
KOREA PÓŁNOCNA
Morze Japońskie
Seul
KOREA POŁUDNIOWA
Zhengzhou
Chengdu
Chongqing
Wuhan
Szanghaj
Morze Wschodniochińskie
JAPONIA
BANGLADESZ
Kunming
Guilin
BIRMA
TAJWAN
Luang Namcha
Wientian
TAJLANDIA
LAOS
FILIPINY
WIETNAM
Bangkok
KAMBODŻA
Phnom Penh
Morze Andamańskie
Morze Południowochińskie
MALEZJA
Singapur
Trasa autorki
Trasa rodziny autorki
Inne trasy

WPROWADZENIE

13 lutego 2013
Long Beach, Kalifornia

Nazywam się Hyeonseo Lee.

Nie jest to imię, z którym przyszłam na świat i które nosiłam – z woli różnych osób i w wyniku splotu rozmaitych wypadków w moim życiu. Przyjęłam je sama, gdy wreszcie stałam się wolna. Hyeon oznacza promień słońca, Seo to szczęście. Wybrałam takie imię, by przeżyć resztę życia w cieple i świetle, by nigdy nie wracać do cienia.

Stoję za kulisami wielkiej sceny i słyszę głosy setek ludzi siedzących w audytorium. Jakaś kobieta przypudrowała mi właśnie twarz miękkim pędzlem, ktoś inny przypiął mi mikrofon do sukienki. Boję się, że teraz wszyscy usłyszą, jak głośno bije moje serce. Ja w każdym razie czułam, jak krew pulsuje mi w skroniach. Ktoś pyta, czy jestem gotowa.

– Jestem gotowa – odpowiadam, choć wcale się tak nie czuję.

Następnym, co do mnie dociera, jest zwielokrotniona przez głośniki zapowiedź. Ktoś odczytuje moje imię. To mnie zapowiadają.

Na sali szum wzbiera niczym morska fala. Ludzie klaszczą. Zaczynam wpadać w panikę.

Wychodzę na scenę.

Nagle czuję, jakbym zupełnie nic nie ważyła. Nogi mam jak z galarety. Reflektory oślepiają mnie niczym odległe słońca. Nie widzę twarzy ludzi siedzących na widowni.

Jakoś znajduję w sobie siłę, by przejść na środek. Wciągam powietrze głęboko do płuc, by uspokoić oddech, a potem głośno przełykam ślinę.

Dziś po raz pierwszy będę opowiadać swoją historię po angielsku – w języku, który wciąż jest mi obcy. Pokonałam daleką drogę, by w tej chwili

móc tutaj stać.

Na widowni zapada cisza.

Zaczynam mówić.

Słyszę, jak drży mi głos. Opowiadam o dziewczynie, która dorastała w przekonaniu, że jej naród jest najwspanialszy na świecie, i która mając zaledwie siedem lat, zobaczyła pierwszą publiczną egzekucję. Opowiadam o nocy, gdy dziewczyna ta uciekła z własnego kraju po skutej lodem rzecze, i o tym, jak zrozumiała – zbyt późno – że już nigdy nie będzie mogła wrócić do domu, do rodziny. Przedstawiam konsekwencje tamtej nocy i relacjonuję okropne wydarzenia, które miały miejsce wiele lat później.

Dwa razy czuję, jak w moich oczach wzbierają łzy. Milknę wtedy na chwilę i staram się powstrzymać szloch.

Moja historia nie jest niczym nadzwyczajnym wśród ludzi mi podobnych – uciekinierów z Korei Północnej. Czuję jednak, jakie wrażenie wywiera na słuchaczach. Są zaszokowani. Pewnie zastanawiają się, jak to możliwe, że taki kraj, jak moja ojczyzna, nadal istnieje.

Na pewno też nie zrozumieliby, że nadal kocham mój kraj i bardzo za nim tęsknię. Brakuje mi ośnieżonych szczytów górskich zimą, zapachu nafty i węgla. Brakuje mi czasów dzieciństwa, bezpieczeństwa w ramionach ojca i spania na ogrzewanej podłodze. Powinnam się czuć ukontentowana moim nowym życiem, ale ciągle jestem tą samą dziewczyną z Hyesan, która tęskni za wyjściami do ulubionej restauracji z całą rodziną, gdzie wszyscy zajadaliśmy się makaronem. Brakuje mi rowerów i widoku na rozciągające się na drugim brzegu rzeki Chiny.

Życie w Korei Północnej nie przypomina życia w żadnym innym kraju, tak jakby było to życie w zupełnie innej rzeczywistości. I myślę, że nigdy już nie zdołam uwolnić się od przyciągania mojej pierwszej ojczyzny – nieważne, jak daleko bym pojechała. Zresztą nawet ci, którzy cierpieli w Korei Północnej niewysłowione męki i uciekli z prawdziwego piekła na ziemi, bardzo często nie potrafią odnaleźć się w wolnym świecie i nie wiedzą, jak znaleźć w nim szczęście. Niektórzy – nie ma ich wielu, ale jednak! – wręcz poddają się i decydują na powrót do tego mrocznego kraju. Sama nieraz odczuwałam taką pokusę.

Wiem jednak, że nie mogę tam wrócić. Mogę marzyć o wolności dla Korei Północnej, ale w ciągu siedemdziesięciu lat istnienia tego państwa nie zmieniło się w nim nic – jest tak samo zamknięte na świat i obowiązują

w nim takie same drakońskie prawa, jak w chwili powstania. I nawet jeśli kiedyś nadejdzie taki dzień, że będę mogła bezpiecznie tam wrócić, okaże się pewnie, że jestem już obca we własnej ojczyźnie.

Gdy czytałam tę książkę, uświadomiłam sobie, że opowiedziałam w niej historię swojego przebudzenia, długą i trudną drogę ku dojrzałości. Nauczyłam się rozumieć, że jako uchodźczyni z Korei Północnej będę obca w każdym kraju świata. Będę wygnańcem. Choć bardzo się staram dopasować do standardów społecznych obwiązujących w Korei Południowej, nie sądzę, bym kiedykolwiek została tu zaakceptowana jako pełnoprawna obywatelka. A także, co jest jeszcze ważniejsze, nie sądzę, bym sama poczuła się kiedykolwiek w pełni obywatelką Korei Południowej. Zbyt późno tu dotarłam – miałam wtedy dwadzieścia osiem lat. Najprostszym wyjściem z pułapki tożsamości, w którą wpadłam, jest powiedzieć, że jestem po prostu Koreanką, lecz przecież taka narodowość nie istnieje. Nie istnieje zjednoczona Korea.

Bardzo chciałabym pozbyć się wpojonej głęboko tożsamości północnokoreańskiej, zetrzeć z siebie piętno, jakie odcisnął na mnie ten kraj. Niestety nie mogę. Nie potrafię stwierdzić tego z całą pewnością, lecz podejrzewam, że to przez szczęśliwe dzieciństwo. W dzieciństwie, gdy powoli uczymy się jak wielkim miejscem jest świat, potrzebujemy poczuć się częścią czegoś większego niż rodzina, chcemy mieć tożsamość narodową. Następnym krokiem rozwoju jest zrozumienie przynależności do gatunku ludzkiego, zidentyfikowanie się jako obywatel świata. W moim przypadku jednak ten rozwój utknął w martwym punkcie. Dorastałam, nie wiedząc niemal nic o zewnętrznym świecie, a to, czego się dowiedziałam, przechodziło przez gruby filtr reżimu. Dopiero gdy uciekłam, zaczęłam stopniowo odkrywać, że na całym świecie moja ojczyzna jest synonimem zła. Lecz w czasie kształtowania się mojej świadomości nie miałam o tym pojęcia. Myślałam, że życie w Korei Północnej nie odbiega od normy. Nasze obyczaje i prawa stały się dziwne, dopiero gdy zyskałam pewną perspektywę.

Mimo to muszę wyznać, że Korea Północna jest moja ojczyzną. Kocham ją, ale chciałabym, by stała się dobrym miejscem. Trzon mojej ojczyzny to rodzina i wielu dobrych ludzi, których tam poznałam. Jak więc miałabym nie być patriotką?

Oto moja historia. Mam nadzieję, że pokaże ona choć w nikłym stopniu świat, z którego uciekłam. Mam nadzieję, że doda odwagi innym podobnym

do mnie osobom, które z trudem radzą sobie w realiach, na jakie nie przygotowała ich wyobraźnia. Mam nadzieję, że świat wreszcie usłyszy ich słowa i zacznie działać.

PROLOG

Obudził mnie płacz matki. Min-ho, mój młodszy brat, spał obok mnie na podłodze. Zaledwie chwilę później do pokoju wpadł ojciec, krzycząc „Wstawać!”. Chwycił nas za ręce i poderwał do góry, a potem wypchnął z pokoju. Matka z piskiem biegła tuż za nim. Był późny wieczór i na dworze panowała ciemność. Nieba nad nami nie przesłaniały chmury. Min-ho ciągle jeszcze całkiem nie oprzytomniał. Dopiero na ulicy odwróciliśmy się, a naszym oczom ukazały się czarne kłęby dymu unoszące się z okna naszej kuchni oraz ciemne jęzory ognia pełgające po zewnętrznej ścianie.

Ku mojemu przerażeniu ojciec wbiegł z powrotem do domu.

Wtedy usłyszeliśmy głęboki pomruk i poczuliśmy powietrze zasysane do wnętrza domu. Doleciało nas głuche tąpnięcie. Pokrycie z jednej strony dachu zapadło się do wnętrza budynku i nagle na niebie wykwitła wielka kula ognia przypominająca gigantyczną pomarańczową chryzantemę. Połowa domu stała w płomieniach. Z pozostałych okien bił gęsty, czarny niczym smoła dym.

Gdzie był ojciec?

Wokół nas pojawili się sąsiedzi. Ktoś zaczął lać wodę z wiaderka, jakby mógł w ten sposób ugasić szalejące piekło. Potem usłyszeliśmy jęk i trzask pękających belek – reszta dachu stanęła w płomieniach.

Nie płakałam. Nie byłam w stanie nawet oddychać. Ojca ciągle nie było widać.

Wszystko to nie mogło trwać dłużej niż kilka sekund, lecz ciągnęły się one nieznośnie. Wreszcie ojciec wynurzył się z domu. Biegł do nas, dusząc się gęstym dymem. Cały był okopcony, lecz jego twarz lśniła. W obu rękach ściskał dwa prostokątne przedmioty.

Nie myślał o ratowaniu naszych rzeczy czy oszczędności. Wyniósł z płonącego domu dwa portrety. Miałam wtedy trzynaście lat – wystarczająco dużo, by rozumieć, o co toczyła się gra.

Później matka wyjaśniła mi, co się stało. Grupa żołnierzy dała ojcu łapówkę – duży kanister paliwa lotniczego. Kanister stał w kuchni, nieopodal żeliwnego pieca opalanego *yontan* – prasowanym do postaci okrągłych placków węglem drzewnym, z jakiego korzystano we wszystkich domach Korei Północnej. Matka przelewała właśnie paliwo do innego pojemnika, gdy nagle kanister wyśliznął się jej z dłoni i paliwo wylało się na węgiel. Mieszanka okazała się wybuchowa. Sąsiedzi z pewnością zachodzili w głowę, co też takiego matka gotowała.

Od płomieni biła ściana gorąca. Min-ho zaczął szlochać. Ja trzymałam matkę za rękę. Ojciec z największą ostrożnością postawił oba portrety na ziemi, a potem uściskał naszą trójkę – moi rodzice rzadko okazywali sobie uczucia przy świadkach.

Wtuleni w siebie, przyglądaliśmy się, jak szczątki naszego domu zapadają się w falującej poświacie; sąsiedzi pewnie nam współczuli. Ojciec rozejrzał się wokół – twarz i ubranie miał umazane sadzą. Matka, która zawsze dbała o dom i starała się ubierać szykownie, patrzyła teraz, jak płoną jej najlepsze miski i wszystkie sukienki.

Najbardziej jednak uderzyło mnie to, że ani ojciec, ani matka nie martwili się zbytnio. Jak większość ludzi w Korei Północnej mieszkaliśmy w niskim, dwupokojowym domu, umeblowanym asortymentem z państwowych magazynów. Trudno wyobrazić sobie, by ktokolwiek mógł płakać po takich rzeczach. Mimo to reakcja rodziców zrobiła na mnie wrażenie. Cała nasza czwórka była bezpieczna i tylko to się dla nich liczyło.

Wtedy też zrozumiałam, że można obyć się bez przedmiotów – tak naprawdę niewiele jest faktycznie potrzebne do życia – bez domu czy kraju. Natomiast nikt nie przetrwa bez innych ludzi, nigdy nie przeżyje bez rodziny.

Wszyscy mieszkańcy naszej ulicy widzieli, jak ojciec ratował portrety. Był to akt najwyższej odwagi, który mógł przynieść każdemu obywatelowi oficjalną pochwałę. Jak się jednak okazało, sprawy zaszły za daleko. Wtedy tego nie wiedzieliśmy, lecz ojciec znajdował się już pod obserwacją.

CZĘŚĆ PIERWSZA

NAJWSPANIALSZY NARÓD ŚWIATA

ROZDZIAŁ 1

POCIĄGIEM PRZEZ GÓRY

Rankiem późnego lata 1977 roku na peronie dworca w Hyesan pewna młoda dziewczyna pożegnała się ze swoją siostrą i wsiadła do pociągu jadącego do Pyongyang. Uzyskała oficjalne pozwolenie na wizytę u mieszkającego tam brata. Była tak podekscytowana, że poprzedniej nocy prawie nie spała. Stolica Rewolucji jawiła się jej jako mityczne, futurystyczne miejsce. Taka podróż nie zdarzała się co dzień.

W chłodnym powietrzu unosił się zapach świeżo ciętego drewna, dolatujący z pobliskiego tartaku. Nadal nie było zbyt wilgotno. Młoda dziewczyna miała miejsce przy oknie. Pociąg powoli ruszył ze stacji. Koła toczyły się miarowo wzdłuż biegnącej na południe starej linii hyesanskiej, wiozący pasażerów między stromymi, porośniętymi sosnami, stromymi zboczami gór i przez zacienione wąwozy. Od czasu do czasu gdzieś w oddali migały spienione wody rwącej rzeki. Ale z każdym przejechanym kilometrem przyroda coraz mniej przyciągała uwagę dziewczyny.

W tym samym przedziale jechała grupa młodych oficerów. Wracali do stolicy, humory im dopisywały. Ich zachowanie najpierw ją zirytowało, ale szybko złapała się na tym, że – podobnie jak inni pasażerowie – uśmiecha się, słysząc ich żarty. Oficerowie zaprosili współpasażerów do wspólnej zabawy: gry w słówka, a potem w kości. Gdy dziewczyna przegrała partię, powiedzieli, że w ramach wykupu musi zaśpiewać piosenkę.

W wagonie zapadła cisza. Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę, ale zebrała się na odwagę i wstała, przytrzymując się półki bagażowej. Miała dwadzieścia dwa lata. Na czas podróży spięła lśniące ciemne włosy i włożyła białą bawełnianą sukienkę w drobne czerwone kwiaty. Zaśpiewała piosenkę z tegorocznego przeboju kinowego – północnokoreańskiego filmu *Historia*

generała. Głos miała śliczny, słodki, wysoki. Gdy skończyła, wszyscy w przedziale bili jej brawo.

Dziewczyna usiadła. Przy wejściu do przedziału siedziała starsza kobieta, a między nią a dziewczyną – jej wnuczka. Jeden z oficerów, mężczyzna w szaroniebieskim mundurze, nachylił się nad nimi. Przedstawił się grzecznie babce, po czym uniósł dziecko, zajął miejsce obok dziewczyny, a małą posadził sobie na kolanach.

– Powiedz, jak się nazywasz. – To były pierwsze słowa, jakie do niej wypowiedział.

Tak moja matka poznała mojego ojca.

Brzmiał na bardzo pewnego siebie, a do tego mówił z charakterystycznym pyongyangskim zaśpiewem, który onieśmielał matkę. Miała wrażenie, że jej północny akcent z Hyesan brzmi przy nim szorstko. Oficer jednak wkrótce sprawił, że się rozluźniła. Sam pochodził z Hyesan, przyznał, ale przez tyle lat mieszkał w Pyongyang, że wstydził się przed dziewczyną utraty rodzimego akcentu. Ona przez prawie cały czas miała spuszczony wzrok i tylko kilka razy rzuciła mu szybkie, przelotne spojrzenie. Nie był przystojny w klasycznym rozumieniu tego słowa – miał gęste brwi i wydatne kości policzkowe – lecz jego mundur i pewność siebie oczarowały dziewczynę.

Pochwalił jej sukienkę, a ona uśmiechnęła się nieśmiało. Lubiła ładnie się ubierać, bo uważała się za osobę szarą i nieciekawą, choć była znacznie ładniejsza, niż jej się wydawało. Długa podróż minęła im wyjątkowo szybko. Zauważyła, że przez cały czas oficer przyglądał się jej z zainteresowaniem, jakiego nie doświadczyła nigdy wcześniej ze strony żadnego mężczyzny. Gdy tylko sobie to uświadomiła, na jej twarzy natychmiast wykwitł rumieniec.

Zapytał, ile ma lat. A potem zaproponował z pełną powagą:

– Czy zgodziłaby się pani, abym napisał do niej list?

Przystała na to i podała mu adres.

Moja matka z wizyty u brata nie zapamiętała prawie nic. W myślach przez cały czas miała obraz tamtego oficera z pociągu, plamy światła na ścianach wagonu i promienie słońca, które przebijały się przez sosny rosnące na górskich zboczach.

***

Żaden list nie nadszedł. Matka starała się zapomnieć o przystojnym oficerze. Pomyślała, że w Pyongyang poznał jakąś dziewczynę. Po trzech miesiącach nie czuła już żalu i całkowicie zarzuciła myśli o nieznajomym z pociągu.

Pewnego wieczoru, pół roku później, gdy siedziała w domu w Hyesan wraz z rodziną, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Na dworze było dużo poniżej zera, ale na niebie od wielu tygodni nie pojawiały się chmury – to była piękna jesień, zapowiadająca równie piękną zimę. Kończyli kolację, gdy usłyszeli za drzwiami czyjeś ciężkie kroki, a chwilę później pukanie. Wszyscy spoglądali na siebie zaniepokojeni. Nie spodziewali się nikogo o tak późnej porze. Jedna z ciotek poszła otworzyć drzwi. Po chwili zawołała matkę:

– Ktoś do ciebie.

W mieście była akurat awaria zasilania, więc matka podeszła do drzwi ze świeczką w ręku. W progu stał mój ojciec. Miał na sobie wojskowy szynel, a ramieniem przyciskał do boku oficerską czapkę. Cały się trząsł. Ukłonił się i przeprosił, że nie napisał. Wyjaśnił, że minione miesiące spędził na poligonie, skąd nie wolno było wysyłać listów. Uśmiechał się delikatnie, nieco nerwowo. Za nim nad górami rozciągało się gwiaździste niebo.

Matka zaprosiła go do środka, żeby trochę się rozgrzał. Tamtego wieczoru rozpoczęły się ich zaloty.

Następny rok matka spędziła niczym w cudownym śnie. Nigdy wcześniej nie była zakochana. Ojciec nadal stacjonował w Pyongyang, więc pisali do siebie co tydzień, a gdy tylko mogli, starali się spotykać. Matka odwiedzała ojca w bazie wojskowej, a on przyjeżdżał do Hyesan i spędzał czas z jej rodziną, by wszyscy mogli go poznać. Ona wypełniała sobie czas między spotkaniami najsłodszymi marzeniami na jawie i planowaniem ich wspólnej przyszłości.

Powiedziała mi kiedyś, że w tamtym czasie wszystko wokół wydawało się jej przesiąknięte magią i cudownym blaskiem. Ludzie sprawiali wrażenie pogodnych, spoglądających na życie z optymizmem. I może wcale sobie tego nie wyobrażała. Świat zmagał się z koszmarem zimnej wojny, lecz dla Korei Północnej był to najlepszy okres w dziejach jej istnienia. Przez kilka kolejnych lat zbiory były naprawdę obfite, więc nie brakowało jedzenia. Przemysł należał do nowoczesnych, jak na standardy kraju komunistycznego. W Korei Południowej – kraju, który mieliśmy za naszego największego

wroga – szalał polityczny chaos, a znienawidzeni Jankesi musieli uciekać z Wietnamu, gdzie przegrali długą, krwawą wojnę. Kapitalistyczny świat zdawał się chylić ku upadkowi, a w kraju panowało przekonanie, że historyczna prawda stoi po naszej stronie.

Gdy nadeszła wiosna i zalegający na zboczach gór śnieg zaczął topnieć, ojciec przyjechał do Hyesan prosić o rękę matki. Przyjęła go, płacząc ze wzruszenia. Nie pragnęła niczego więcej do szczęścia, tym bardziej że obie rodziny miały wysoki *songbun*, co zapewniało młodej parze doskonałą pozycję w społeczeństwie.

Songbun to funkcjonujący w Korei Północnej system kastowy. Każda rodzina zostaje zaszeregowana jako lojalna systemowi, o chwiejnych poglądach lub jako wróg. Podstawę wprowadzenia takiego podziału stanowiły działania rodzin ojców w czasie poprzedzającym rok 1948, kiedy powstała Korea Północna – dokładnie w tym roku oraz w pierwszych dniach funkcjonowania nowego państwa. Jeśli twój dziadek pochodził z rodziny o korzeniach chłopsko-robotniczych i walczył po właściwej stronie w wojnie koreańskiej, twoja rodzina automatycznie stawała się lojalna wobec państwa. Jeżeli jednak wśród przodków miałeś ziemiaństwo czy urzędników pracujących w czasie okupacji kolonialnej dla Japończyków albo ktoś z twojej rodziny uciekł w czasie wojny koreańskiej do Korei Południowej, twoja rodzina natychmiast była uznawana za wrogą. Te trzy ogólne kategorie dzieliły się na pięćdziesiąt jeden pomniejszych, obejmujących całe północnokoreańskie społeczeństwo – począwszy od znajdujących się na szczycie członków panującej rodziny Kimów, aż do zepchniętych na sam dół drabiny społecznej więźniów politycznych, którzy nie mogli liczyć na odbicie się od dna. Jak na ironię, komunizm narzucił mojemu społeczeństwu hierarchię bardziej skomplikowaną i znacznie bardziej wielowarstwową niż struktury znane z czasów imperialnych. Ludzie uznani za wrogów systemu, którzy stanowili około czterdziestu procent całego społeczeństwa, nauczyli się nie marzyć. Otrzymywali przydziały wyłącznie do prac fizycznych – w gospodarstwach rolnych i kopalniach. Ludzie z kasty pośredniej mieli szansę zostać urzędnikami niższych szczebli, nauczycielami czy oficerami w jednostkach znajdujących się poza ośrodkami władzy. Tylko wierni systemowi mieli prawo mieszkać w Pyongyang, mogli wstąpić do Partii Pracy i swobodnie decydować o ścieżce kariery, jaką chcieli obrać. Nikt nigdy nie dowiadywał się oficjalnie, do której kasty należy, ale wydaje mi

się, że większość z nas potrafiła określić to intuicyjnie, podobnie jak w stadzie pięćdziesięciu jeden owiec każde zwierzę będzie dokładnie znało swoje miejsce w hierarchii. System ten działał w piękny, acz podstępny sposób – o ile bardzo łatwo można było stracić status społeczny, o tyle awans był w zasadzie niemożliwy, nawet gdyby poślubiło się odpowiednią osobę. Wspięcie się po szczeblach drabiny kastowej zdarzało się wyłącznie wtedy, gdy sam Wielki Przywódca okazał komuś łaskę. Elita, licząca około dziesięciu do piętnastu procent całej populacji, musiała bardzo uważać, by nie popełnić żadnego błędu.

Gdy moi rodzice poznawali się, *songbun* rodziny miał ogromne znaczenie. Od niego zależało życie człowieka i jego dzieci.

Rodzina mojej matki mogła poszczycić się wyjątkowo wysoką pozycją w hierarchii *songbun*. Dziadek został odznaczony za czyny, których dokonał w czasie II wojny światowej. Stał się bohaterem, który zinfiltrował szeregi japońskiej policji imperialnej funkcjonującej w Korei, gdy kraj był jeszcze japońską kolonią. Zdobyte informacje przekazywał działającej w górach komórce komunistycznej partyzantki, a niektórym z jej członków pomógł w ucieczce z celi. Po wojnie otrzymał wiele odznaczeń i cieszył się szacunkiem wśród sąsiadów. Zatrzymał na pamiątkę fotografię przedstawiającą go w mundurze japońskiej policji i spisał swoją historię, ale po jego śmierci babka spaliła rękopis z obawy, że kiedyś może zostać opacznie zrozumiany i sprowadzić zgubę na całą rodzinę.

Moja babka stała się oddaną komunistką jeszcze na studiach. W latach czterdziestych ubiegłego wieku studiowała w Japonii, a potem wróciła do Korei, dołączając tym samym do wąskiego grona intelektualnej elity kraju. Tak dobre wykształcenie i wyrafinowany sposób bycia odróżniały ją od większości krajan w czasach, gdy w Korei mało kto kończył choćby szkołę podstawową. Do Partii wstąpiła mając zaledwie dziewiętnaście lat. Po ślubie dziadek przeprowadził się do Hyesan, skąd pochodziła babka, mimo że zwyczaj nakazywał, by to żona przeniosła się do domu męża – w tym wypadku na prowincję. Dziadek szybko znalazł zatrudnienie na państwowej posadzie urzędniczej. Jesienią 1950 roku, gdy w pierwszym roku trwania wojny koreańskiej do miasta wkroczyły oddziały amerykańskie, dziadek zbiegł w góry, by uniknąć aresztowania. Amerykanie sprawdzali dom po domu, szukając wszędzie członków Partii. Babka, która w tamtym czasie niańczyła maleńkie dziecko – pierwsze z ośmiorga, które urodzi – schowała

ich legitymacje partyjne między cegłami komina.

– Gdyby je znaleźli, rozstrzelaliby nas na miejscu – powiedziała mi kiedyś.

Ten czyn zapewnił jej rodzinie wysoką pozycję w hierarchii *songbun*. Ci, którzy zniszczyli swoje legitymacje partyjne po wkroczeniu Amerykanów, narazili się potem na podejrzenia ze strony władz. Niektórych poddano brutalnym przesłuchaniom i wysłano do obozów pracy. Babka do końca życia nosiła swoją legitymację zawieszoną na sznurku wokół szyi, skrytą bezpiecznie pod warstwami ubrań.

Po roku zalotów moi rodzice powinni byli się pobrać, jednak w ich przypadku sprawy potoczyły się inaczej. Problemem okazała się matka mojej matki. To babka nie zgodziła się na ślub. Nie przypadły jej do gustu możliwości, które stały przed moim ojcem, a jego kariera w siłach powietrznych nie zrobiła na niej wrażenia. Uważała, że matka może znaleźć lepszą partię i że powinna wyjść za kogoś, kto zapewni jej lepsze warunki życia. Babka, wykształcona w Japonii, sercem i duszą postępowa komunistka, należała do pokolenia, które uważało miłość za sprawę drugorzędną, a na pewno zdecydowanie mniej istotną, niż potrzeba znalezienia odpowiedniej partii. Dla niej liczyło się przede wszystkim bezpieczeństwo finansowe. A przecież przy odrobinie szczęścia nowożeńcy mogli z czasem zakochać się w sobie. Babka uważała, że znalezienie matce jak najlepszego kandydata na męża to jej obowiązek, a matka nie mogła postąpić wbrew jej woli. Sprzeciwianie się decyzjom rodziców było nie do pomyślenia.

Trwające rok błogie szczęście matki zaczęło zmieniać się w koszmar.

Znajomości pozwoliły babce umówić się ze wspaniałą kobietą, która robiła karierę aktorską w Pyongyang, gdzie powoli rodził się koreański przemysł filmowy. Jej brat pracował w stołecznym oddziale Państwowej Centrali Handlu. Babka zdołała zaaranżować mojej matce spotkanie z nim. Matka nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Nie była zainteresowana tym człowiekiem, niezależnie od tego, jak bardzo był miły. Kochała mojego ojca, lecz zanim się zorientowała, zaaranżowano jej inne małżeństwo.

Matka przeżyła załamanie nerwowe – jej zaczerwienione oczy dobitnie świadczyły o tygodniach przepłakanych i nieprzespanych nocy. Rozpacz pozbawiła ją zmysłów. Kazano jej zerwać wszelkie kontakty z moim ojcem. Gdy napisała mu o tym w liście, odpowiedział bardzo oszczędnie. Wiedziała, że złamała mu serce.

Pewnego wiosennego dnia 1979 roku matka poślubiła urzędnika z Pyongyang. To był tradycyjny ślub. Ona miała na sobie bogato haftowaną *chima jeogori* z czerwonego jedwabiu – tradycyjny koreański strój składający się z długiej spódnicy z podwyższonym stanem i nakładanej na nią krótkiej kurtki. Pan młody przywdział wytworny garnitur w zachodnim stylu. Po ceremonii nadszedł czas na zdjęcia – jak nakazywał zwyczaj, zrobiono je na wzgórzu Mansu, u stóp wielkiego pomnika z brązu przedstawiającego Kim Il-sunga. W ten sposób młodzi okazywali, że niezależnie od tego, jak gorące uczucie ich łączyło, miłość do Ojca Narodu była większa. Żadne z nich się nie uśmiechało.

Zostałam poczęta w czasie ich miesiąca miodowego, a na świat przyszłam w Hyesan w 1980 roku. Po urodzeniu nazwano mnie Kim Ji-hae.

Wydawało się, że los mojej matki i mój jest przypieczętowany. Jednak czas pokazał, że miłość płynęła swoim torem, za nic mając sobie misterne plany babki.

***

Matka urodziła się i wychowała w Hyesan – stolicy leżącej na północy kraju prowincji Ryanggang. Ryanggang to górzysty region, porośnięty świerkami, modrzewiami i sosnami. Mało w nim ziemi rolnej, a życie bywa ciężkie. We wszystkich podaniach ludowych mówi się, że ludzie z Hyesan są uparci i rzadko rezygnują z obranego celu. Zawsze też wychodzą cało z opresji. Przysłowie mówi, że mieszkaniec Hyesan wyrzucony za burtę pośrodku oceanu zawsze znajdzie ląd. To oczywiście ogromne uproszczenie, ale widzę u swojej matki silnie zarysowane cechy tego rodzaju. Czas pokazał, że i ja, i Min-ho odziedziczyliśmy po niej charakter – szczególnie upór.

Moja matka nie potrafiła żyć z poślubionym urzędnikiem, człowiekiem, który był moim biologicznym ojcem, i odeszła od niego niedługo po moich narodzinach. W Korei mierzymy upływ lat nieco inaczej niż w większości krajów. O dziecku mówi się, że ma rok, na początku pierwszego roku jego życia, a nie pod koniec. Miałam więc wtedy jeden rok.

Wkrótce doszło do rozwodu. Babkę czekały nieprzespane noce. Sam rozwód córki, przynoszący rodzinie hańbę, stanowił niemały kłopot, a przecież było jeszcze dziecko, które sprawiało, że szanse na ponowne

wydanie jej za mąż malały niemal do zera. Babka zaczęła nalegać, by matka oddała mnie do adopcji.

Jeden z braci matki zdołał znaleźć parę młodych, dobrze urodzonych ludzi z Pyongyang, którzy szukali dziecka do adopcji. Para ta przyjechała aż do Hyesan, żeby mnie obejrzeć i zabrać ze sobą. Przywieźli nawet pudło zabawek i doskonałych gatunkowo dziecięcych ubranek.

W domu doszło do straszliwej sceny. Zalana łzami matka odmówiła oddania mnie. Nie pozwoliła babce wyrwać sobie dziecka z rąk. Podobno zaczęłam głośno płakać. Młode małżeństwo z Pyongyang obserwowało zgorszone, jak babka najpierw ciska gromy na matkę, a potem, spanikowana, zaczyna błagać ją o zmianę zdania. Po chwili wpadli w złość, przekonani, że moi krewni próbowali ich oszukać.

Niedługo matka pojechała do bazy, w której stacjonował mój ojciec, oficer sił zbrojnych. Ich spotkanie było ogromnie emocjonalne, a on bez namysłu zgodził się przyjąć ją z powrotem. Nie wahał się też uznać mnie za swoją córkę.

Rodzice kochali się tak bardzo, że babka musiała pogodzić się ze swoją porażką. Od tego czasu zmieniła też zdanie o moim ojcu. Miał w sobie coś, co kazało wszystkim wokół uznawać jego autorytet, choć przecież zawsze był łagodnym i delikatnym człowiekiem. Nigdy nie pił ani nie tracił panowania nad sobą. Ale siła uczucia, jakim darzyli się rodzice, bardzo niepokoiła moją babkę. Ostrzegała ich, że jeśli ludzie kochają się zbyt mocno, to dlatego że uczucie, które powinno wystarczyć na całe życie, kumuluje się w krótszym czasie, bo jedno z nich ma umrzeć młodo.

***

Rodzice w końcu mogli wziąć ślub, ale na ich drodze do szczęścia stanęła kolejna przeszkoda – tym razem byli to rodzice taty. Gdyby dowiedzieli się, że matka miała dziecko z innym człowiekiem, nie zgodziliby się na małżeństwo, więc młodzi zakochani postanowili zachować moje istnienie w tajemnicy. Ale w mieście takim jak Hyesan, gdzie wszyscy się znają, niełatwo utrzymać cokolwiek w tajemnicy. Ktoś się wygadał i na kilka dni przed ślubem rodzice ojca dowiedzieli się o mnie. Ojciec błagał ich ze wszystkich sił, by udzielili zgody na ślub. Nie zniósłby ponownej rozłąki

z matką.

Ostatecznie wyrazili zgodę, choć bardzo niechętnie. Postawili jednak warunek – na znak wejścia do nowej rodziny miałam zmienić imię. W Korei Północnej, jak i w innych krajach, jeśli matka wychodzi ponownie za mąż, zmienia się zazwyczaj nazwisko dziecka, raczej nie praktykuje się zmieniania przy tej okazji również imienia. Matce nie pozostawiono jednak żadnego wyboru. W ten sposób, gdy miałam cztery lata, tuż po ślubie moich rodziców, nadano mi drugie imię. Od tamtej chwili nazywałam się Park Min-young.

Ślub odbył się w Hyesan i tym razem była to kameralna uroczystość – bez wymyślnego *chima jeogori*. Matka miała na sobie garsonkę, ojciec – swój mundur. Jego rodzice nie starali się ukryć przed rodziną matki swojego niezadowolenia.

Byłam wtedy zbyt mała, by zdawać sobie sprawę z panującego wokół napięcia, tak samo jak nie wiedziałam, jak przedstawia się sprawa mojego pochodzenia. To pozostanie dla mnie tajemnicą jeszcze przez wiele lat – prawdę poznam, dopiero gdy pójdę do szkoły podstawowej. Jakaś część mnie nadal żałuje, że w ogóle do tego doszło. Odkrycie to, jak się później okazało, miało dla mnie poważne, bardzo smutne następstwa, a co gorsza, uderzyło też w dobrego i kochającego człowieka, którego dotąd miałam za swojego ojca.

ROZDZIAŁ 2

MIASTO NA KRAŃCU ŚWIATA

Pierwsze cztery lata życia spędziłam otoczona licznymi ciotkami i wujami żyjącymi w prowincji Ryanggang. Mimo że rodzice prowadzili raczej wędrowny tryb życia – ze względu na pracę ojca, która zmuszała go do częstego zmieniania miejsca zamieszkania, przenoszenia się z miasta do miasta i z bazy do bazy na obszarze całego kraju – w tym właśnie okresie nauczyłam się kochać głęboko Hyesan, które już na zawsze pozostanie mi bliskie.

Prowincja Ryanggang jest najwyżej położonym obszarem kraju. Latem górski krajobraz prezentuje się zachwycająco, za to zimy są tu śnieżne i bardzo mroźne. W czasie okupacji kolonialnej (1910–1945) Japończycy wybudowali w Ryanggang sieć torów kolejowych i liczne tartaki. Czasami powietrze było aż ciężkie od zapachu świeżo ściętych sosen. W prowincji znajdują się z jednej strony otoczone czcią miejsca związane z narodzinami rewolucji – to u podnóża Paektu – z drugiej zaś, w regionie Baekam, mieszczą się osławione kolonie karne, gdzie zsyła się rodziny, które straciły względy władz.

W czasach mojej młodości Hyesan było naprawdę ciekawym miastem. Nie z powodu wielu atrakcji, bo bynajmniej nie słynęło ze znanych scen teatralnych, restauracji czy modnych subkultur. Jego urok krył się w bliskości wąskiej rzeki Yalu, od wieków oddzielającej Koreę od Chin. W kraju izolowanym tak mocno jak Korea Północna, Hyesan wydawało się miastem wyrosłym na skraju świata. Dla jego mieszkańców granica była bramą, przez którą do kraju napływały różnej maści cudowne wyroby z innych państw – niektóre legalne, inne mniej, jeszcze inne – łamiące prawo w niewyobrażalny sposób. Dzięki temu Hyesan stało się z jednej strony kwitnącym ośrodkiem

handlu, a z drugiej – centrum przemytu. Mieszkańcy niewątpliwie korzystali na tym, choćby dlatego że mieli okazję nawiązać kontakty handlowe z mieszkającymi na drugim brzegu handlarzami z Chin i zarobić w ten sposób w twardej walucie. Czasami miało się wrażenie, że w Hyesan prawo obowiązywało tylko do pewnego stopnia, a władza nie trzymała ludzi w uścisku tak mocnym, jak w pozostałych częściach kraju. Przyczyna była prosta: każdy – czy to miejscowy przewodniczący komórki partyjnej, czy najniższy rangą spośród straży granicznej – chciał swojego udziału w bogactwach, jakie dawało Hyesan. Ale raz na jakiś czas władze w Pyongyang podejmowały kroki przeciwdziałające tym zjawiskom, bywało, że bardzo brutalnymi metodami.

Wszystko to jednak sprawiło, że ludzie w Pyongyang byli bardziej otwarci na koncepcję handlu i częstokroć lepiej sytuowani niż inni mieszkańcy Korei Północnej. Dorośli ciągle powtarzali, że mamy szczęście, mieszkając właśnie tam. Z wyjątkiem Pyongyang było to najlepsze miasto, w jakim można było żyć w Korei − mówili.

***

Moje pierwsze wspomnienia pochodzą właśnie z Hyesan. Niewiele brakowało, by były to wspomnienia ostatnie.

Pamiętam, jaką miałam na sobie sukienkę. Była naprawdę ładna, jasnoniebieska. Wybrałam się sama na wędrówkę. Szłam po porośniętym trawą nasypie, który ciągnął się za naszym domem, a potem przysiadłam na drewnianym podkładzie kolejowym. Zbierałam leżące między belkami kamienie, miałam już na kolanach całkiem pokaźną kolekcję. Pamiętam, że moje ręce i sukienka szybko się pobrudziły. Nagle usłyszałam, jak powietrze przecina donośny, wzmocniony echem odbijającym się od skalnych zboczy dźwięk. Obróciłam się i zobaczyłam wielki czarny kształt rozmiarów domu wypadający zza zakrętu, spomiędzy rzędów rosnących wzdłuż torów sosen. Nie wiedziałam, co to, ale pędziło prosto na mnie.

Moje wspomnienia z tamtej chwili są mocno pomieszane – pałające światła, zgrzyt metalu, ostry zapach spalenizny. I podniesione głosy. Potem znów ten ostry dźwięk.

Czarna masa była tuż-tuż, górowała nade mną. Skryła mnie pod sobą. Huk

i smród były obezwładniające.

Maszynista powiedział potem mojej matce, że dostrzegł mnie, gdy wyjechał zza zakrętu, jakieś sto metrów przed lokomotywą. Pociąg nie zdoła zatrzymać się na tak krótkim dystansie. Maszynista mówił, że serce zamarło mu w piersi. Wyczołgałam się spod czwartego wagonu. Z jakichś przyczyn śmiałam się przy tym radośnie. Na nasypie stał teraz spory tłum, była tam też moja matka. Chwyciła mnie za ramiona i szarpnięciem postawiła na nogi, a potem zaczęła krzyczeć:

– Ming-young, ile razy ci to powtarzałam? Nigdy – tam – nie – schodź!

Potem przytuliła mnie mocno i zaczęła gwałtownie łkać. Wtedy z tłumu wyszła jakaś kobieta i powiedziała matce, że to dobry znak. Przeżycie tak poważnego wypadku w młodości miało gwarantować, że człowiek będzie cieszył się długim życiem. Matka, choć była kobietą rozsądną, jednocześnie głęboko wierzyła w przesądy. Przez całe lata nieraz przytaczała słowa tamtej kobiety. I dla mnie stały się one rodzajem zbawiennego mitu, do którego wracałam w chwilach niebezpieczeństwa.

***

Moja matka była jedną z ośmiorga rodzeństwa – miała trzy siostry i czterech braci. Cała ich ósemka charakteryzowała się typowym dla mieszkańców Hyesan uporem. Losy każdego z nich potoczyły się zupełnie inaczej. Na przykład Wuj Zamożny był dyrektorem jednej z firm handlowych z Pyongyang, dzięki czemu miał dostęp do luksusowych towarów importowanych z Zachodu. Jego sukces napawał nas dumą. Z kolei *songbun* Wuja Ubogiego znacznie spadł, gdy ten poślubił dziewczynę z kolektywnego gospodarstwa rolnego. Wuj Ubogi był utalentowanym malarzem i mógł bez trudu stać się jednym z nielicznych uprzywilejowanych artystów mających prawo malować portrety Przywódców, ale przez swoją decyzję do końca życia miał malować długie transparenty propagandowe, które czerwieniły się potem w polach, nawołując wyczerpanych chłopów do „uruchomienia etapu transformacji rozwoju ekonomicznego!”. Poza tymi dwoma byli jeszcze Wuj Kinoman, który prowadził miejscowe kino, i Wuj Opium, który handlował narkotykami. Wuj Opium miał w Hyesan ogromne wpływy. Wysoki *songbun* gwarantował, że nikt nie rozpocznie przeciwko niemu śledztwa, a miejscowa

policja chętnie przyjmowała od niego łapówki. Często brał mnie na kolana i opowiadał niesamowite historie o górach, zwierzętach i istotach z legend. Gdy teraz myślę o tym, co mówił, dochodzę do wniosku, że często musiał być pod wpływem narkotyków.

Rodzina była dla mojej matki wszystkim. Nasze życie towarzyskie toczyło się w kręgu najbliższych krewnych i matka z rzadka tylko dopuszczała do tej grupy osoby z zewnątrz. Pod tym względem była bardzo podobna do ojca. Oboje zaliczali się do osób skrytych. Nigdy nie widziałam, by trzymali się za ręce, ani nie przyłapałam ich na tuleniu się do siebie. Zresztą pod tym względem większość ludzi w Korei Północnej zachowuje daleko idącą powściągliwość. A mimo to nigdy nie miałam wątpliwości, jak gorące uczucie ich łączy. Czasami przy kolacji matka mówiła do ojca:

– Tak się cieszę, że cię spotkałam.

On wtedy nachylał się nade mną i mówił szeptem, choć na tyle głośno, by matka wszystko słyszała:

– Nawet gdyby przywieźli mi pod drzwi dziesięć ciężarówek pełnych kobiet i pozwolili wybrać jedną z nich, i tak zostałbym z twoją matką.

Ta namiętność przetrwała całe ich małżeństwo. Matka często śmiała się rozkosznie i mówiła:

– Twój ojciec ma wyjątkowo piękne uszy!

Gdy ojca zajmowały sprawy armii, matka zabierała mnie do babki albo którejś z ciotek. Najstarszą z sióstr była Ciotka Wiekowa, melancholijna, samotna kobieta. Tragiczne losy jej małżeństwa poznałam dopiero po wielu latach. Najmłodsza była Ciotka Wysoka. Za najpiękniejszą i najbardziej utalentowaną uchodziła Ciotka Śliczna. W dzieciństwie chciała zostać łyżwiarką figurową, ale po upadku, w wyniku którego ukruszyła sobie ząb, babka utrąciła jej marzenia. Ciotka Śliczna miała prawdziwy dryg do interesów – podobnie zresztą jak moja matka – i dorobiła się pokaźnego majątku na sprzedaży towarów z Chin w Pyongyang i Hamhung. Poza tym była niezwykle twardą kobietą. Kiedyś przeszła operację wycięcia wyrostka robaczkowego wykonywaną przy świecy i bez znieczulenia – w szpitalu nie było ani prądu, ani środków znieczulających.

– Słyszałam, jak mnie tną – powiedziała.

Byłam przerażona.

– Czy to bolało? – zapytałam.

– Bolało. Ale jakie miałam wyjście?

Matka była urodzonym przedsiębiorcą. Niewiele kobiet z tak wysokim *songbun* zajmowało się tego typu sprawami. W latach osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych handel w oczach północnokoreańskich kobiet uchodził za zajęcie nieprzyzwoite i nieprzystające ich godności. Ale moja matka pochodziła z Hyesan i miała prawdziwą smykałkę do interesów. Przez wszystkie te lata rozwinęła wiele drobnych, lecz przynoszących konkretne zyski przedsięwzięć, które pozwoliły rodzinie przetrwać nawet najgorsze czasy. Gdy dorastałam, słowa „handel" i „targ" nadal uważano za nieprzyzwoite, lecz już kilka lat później, kiedy od handlu zaczęło zależeć życie, nastawienie moich rodaków do tych spraw zmieniło się radykalnie.

Moja matka była surowa, ale wychowała mnie starannie. We wszystkim narzucała bardzo wysokie standardy. Nauczyła mnie, że niegrzecznie jest potrącać starsze osoby, nie należy mówić zbyt głośno, jeść zbyt szybko i nie zamykać ust podczas posiłków. Dowiedziałam się, że siadanie inaczej niż ze złączonymi nogami świadczy o rozwiązłości. Nauczyłam się więc siedzieć po japońsku – z nogami podwiniętymi pod siebie i wyprostowanymi plecami. Od niej też nauczyłam się żegnać rankiem z rodzicami, oddając im pełny, dziewięćdziesięciostopniowy pokłon.

Gdy któregoś razu zobaczyła to jedna z moich koleżanek, która przyszła do mnie z wizytą, zapytała:

– Po co to robisz?

Zaskoczyła mnie tym.

– A ty tak nie robisz?

Koleżanka niemal zgięła się wpół ze śmiechu. Potem wszyscy naśmiewali się ze mnie, składając przede mną mocno przesadzone pokłony, parodiujące formalne powitania.

Matka nie trawiła bałaganu w domu – wręcz obsesyjnie wszystko porządkowała. Publicznie zawsze starała się pokazywać z jak najlepszej strony, nigdy nie miała na sobie starych ubrań i naprawdę znała się na modzie. Jednocześnie rzadko czuła się usatysfakcjonowana swoim wyglądem. Żyła w kraju, w którym ideałem piękna były kobiety o okrągłych twarzach, dużych oczach i ustach w kształcie migdałów, nic więc dziwnego, że zawsze narzekała na swoje wąskie oczy i kanciastą twarz, zazwyczaj strojąc sobie przy okazji żarty z samej siebie:

– Gdy byłam w ciąży, martwiłam się, że będziesz wyglądać jak ja.

To po niej odziedziczyłam zamiłowanie do mody.

***

Sądziłam, że pójdę do przedszkola w Hyesan, ale sprawy potoczyły się innym torem. Pewnego grudniowego wieczoru ojciec wrócił do domu uśmiechnięty szeroko jak nigdy. Na zewnątrz mocno padało, więc jego czapka i mundur były solidnie przyprószone śniegiem. Klasnął w dłonie i poprosił o przygotowanie mu gorącej herbaty, a potem oznajmił, że otrzymał awans. W związku z tym przeniesiono go do innej jednostki. Czekała nas przeprowadzka do Anju, miasta leżącego na zachodnim wybrzeżu Korei Północnej.

ROZDZIAŁ 3

OCZY NA ŚCIANIE

Na początku 1984 roku całą trójką przyjechaliśmy do Anju. Miałam wtedy cztery lata. Matka załamała się, gdy zobaczyła tamten krajobraz. Anju leżało w regionie czysto przemysłowym, związanym głównie z wydobyciem węgla. Chongchon, rzeka przepływająca przez środek miasta i wpadająca do Morza Żółtego, była w związku z tym czarna od mułu i węglowego pyłu. Powiedziano nam, że latem naprawdę potężnie cuchnęła, a w porze deszczowej często wylewała. Anju, podobnie jak większość północnokoreańskich miast, po zakończeniu wojny w Korei wymagało gruntownej odbudowy. To właśnie nowe budynki nadawały mu kształt i charakter. Anju, tak jak inne miasta w kraju, było szare i ponure. Wzdłuż głównych ulic centrum ciągnęły się betonowe bloki mieszkalne. W mieście stało też kilka budowli utrzymanych w stylu socrealizmu, a w centrum znajdował się park z obowiązkowym pomnikiem Kim Il-sunga odlanym w brązie. Resztę terenu zajmowały niskie, szerokie budynki ze spadzistymi dachami. Warto zaznaczyć, że Hyesan nie prezentuje się dużo lepiej, ale dzięki wznoszącym się na horyzoncie górom i barwnemu życiu mojej rodziny tamto miasto było dla nas miejscem magicznym.

Matka bardzo żałowała, że opuściliśmy Hyesan. Miała świadomość, że nie będzie mogła zbyt często odwiedzać swojej matki i rodzeństwa, lecz jednocześnie wiedziała, że żyjemy lepiej niż większość naszych rodaków. Ludzie w Korei Północnej w zasadzie się nie przeprowadzają. Całe życie spędzają w jednym miejscu, bo wyprawa choćby do sąsiedniej prowincji wymaga specjalnego zezwolenia. Ojciec, ze względu na pełnioną służbę, miał dostęp do dóbr, o jakich inni nawet nie marzyli. My jadaliśmy rybę niemal codziennie. Wtedy nie wiedziałam, że w wielu rodzinach mięso czy ryby

były tak rzadkie, że ludzie doskonale pamiętali, w które dni takie dania pojawiały się na ich stołach – zazwyczaj miało to miejsce w urodziny Przywódców, kiedy wszystkim wydawano dodatkowe racje żywieniowe.

Nie podobał się nam nowy dom stojący na terenie bazy wojskowej. Na ścianie jednego z pokojów miał zamontowany głośnik radiowy, którego nie dawało się wyłączyć. Nie było też regulacji dźwięku, więc raz na jakiś czas ogłuszały nas instrukcje i rozkazy wydawane przez *banjang* – nadzorczynię straży sąsiedzkiej. *Banjang* przeważnie była kobietą mocno po pięćdziesiątce. Do jej zadań należało dostarczanie rządowych ostrzeżeń, sprawdzanie, czy nikt nie zostawał w bazie na noc bez pozwolenia, i pilnowanie rodzin mieszkających w bloku pozostającym pod jej opieką. Gdy wprowadziliśmy się do nowego mieszkania, wręczyła nam dwa portrety. Identyczne wisiały w naszym domu w Hyesan i te powiesiliśmy też na ścianie, jeszcze zanim wzięliśmy się za przygotowywanie posiłku.

Całe życie rodzinne – posiłki, spotkania, sen – toczyło się w towarzystwie tych portretów. Dorastałam pod ich czujnym spojrzeniem. Dbanie o nie należało do najważniejszych obowiązków domowników. Przedstawiały inną rodzinę – ludzi mądrzejszych i czulszych nawet od naszych rodziców. Widnieli na nich Wielki Wódz Kim Il-sung, założyciel naszego państwa, i jego ukochany syn Kim Jong-il, Umiłowany Przywódca, który pewnego dnia miał przejąć po ojcu władzę. Ich nieobecne, wymalowane aerografem twarze spoglądały z dumą ze ścian naszego domu – ze ścian wszystkich domów. Wisiały niczym ikony w każdym budynku, do którego wchodziłam.

Od wczesnego dzieciństwa pomagałam matce czyścić te portrety. Używałyśmy do tego specjalnej szmatki dostarczanej przez władze, którą nie wolno było przecierać niczego innego. Nawet jako mały brzdąc zdawałam sobie sprawę, że te portrety w niczym nie przypominają innych przedmiotów w domu. Raz, gdy wskazałam je palcem, matka upomniała mnie głośno:

– Nigdy tego nie rób! – Dowiedziałam się wtedy, że wskazywanie palcem jest szalenie nieuprzejme. Jeśli zachodziła potrzeba wskazania wizerunków przywódców, należało wykonać odpowiedni gest całą dłonią zwróconą wnętrzem ku górze. – W ten sposób – powiedziała matka, pokazując mi, jak powinnam postąpić.

Nic nie mogło wisieć ani stać wyżej od portretów, a te musiały zachowywać idealny poziom w jednej linii. Na „ich” ścianie nie wolno było wieszać żadnych zdjęć ani obrazów. W budynkach publicznych i w domach

wysokich dygnitarzy partyjnych wisiał jeszcze trzeci portret: przedstawiający Kim Jong-suk, zmarłą w młodym wieku bohaterkę antyjapońskiego ruchu oporu. Kim Jong-suk była pierwszą żoną Kim Il-sunga i błogosławioną matką Kim Jong-ila. Wydawała mi się wyjątkowo piękna. Tę świętą trójcę określaliśmy mianem Trójki Generałów z Góry Paektu.

Mniej więcej raz w miesiącu do każdego z mieszkań w bloku przychodzili urzędnicy i w białych rękawiczkach badali stan portretów. Gdyby zgłosili, że w danym domu portrety nie są czyszczone wystarczająco starannie – raz widzieliśmy nawet, że sprawdzali w świetle latarki, czy kurz został należycie starty z szyby, za którą znajdował się portret – ukarana zostałaby cała rodzina.

Gdy ściągaliśmy portrety, żeby je wyczyścić, zachowywaliśmy przy tym najdalej posuniętą ostrożność – zupełnie jakbyśmy mieli do czynienia z bezcennymi skarbami z grobowców w Koryo czy z grudkami wzbogaconego uranu. Władze akceptowały jedynie uszkodzenia powstałe w wyniku wilgoci – na przykład latem papier często marszczył się pod jej wpływem. Natomiast wszelkie inne straty mogły wpędzić człowieka w prawdziwe kłopoty. Co roku do prasy i mediów trafiały opowieści o bohaterskim ratowaniu portretów. Rodzice słyszeli kiedyś relację radiową opisującą losy starszego pana, który brnął przez wezbraną falą powodziową rzekę, trzymając bezcenne portrety nad głową (zdołał je ocalić, choć przypłacił to życiem). Widzieli też w „Rodong Sinmun", państwowym dzienniku, zdjęcie przedstawiające parę ludzi siedzących ryzykownie na dachu chaty zmytej przez błotną lawinę. Ludzie ci przyciskali kurczowo do piersi święte portrety. Gazeta nawoływała czytelników do brania przykładu z ich bohaterskiej postawy. Ingerencja państwa sięgająca tak głęboko w nasze życie nie wydawała mi się ani uciążliwa, ani nienaturalna. Niewyobrażalnym było, by ktokolwiek mógł narzekać na coś, co wiązało się z portretami. W jedno z najważniejszych świąt w północnokoreańskim kalendarzu – urodziny Kim Il-sunga i Kim Jong-ila – nasza trójka ustawiała się przed portretami i oddawała im ceremonialny pokłon.

Tylko w czasie tej niewielkiej uroczystości rodzinnej polityka zyskiwała wstęp do naszego domu. Gdy ojciec wracał z pracy, a na stole pojawił się już obiad – ryż, zupa, kimchi i pikle, które jedliśmy do wszystkich posiłków – matka czekała, aż powiem:

– Dziękujemy ci, Czcigodny Ojcze Przywódco, Kim Il-sungu, za ten

posiłek.

Dopiero wtedy sięgaliśmy po pałeczki.

W czasie obiadu jednak rodzice rozmawiali już tylko o sprawach rodzinnych lub osobistych. Zazwyczaj mieli do omówienia mnóstwo niewinnych tematów związanych z życiem naszej rodziny w Hyesan. Nigdy nie poruszało się poważnych kwestii. Nauczyłam się unikać takich tematów zupełnie podświadomie, tak samo jak nauczyłam się unikać zagrożeń na ulicy. Rodzice wybrali taką drogę, by mnie chronić, i pod tym względem nie różniliśmy się od innych rodzin w Korei Północnej. Ponieważ wszystkie sprawy w życiu człowieka – prywatne czy zawodowe – były obiektem zainteresowania Partii, niemal każdy temat rozmowy mógł okazać się związany z polityką i potencjalnie niebezpieczny. Rodzice nie chcieli ryzykować rzucenia jakiejś uwagi, którą mogłabym powtórzyć potem w dobrej wierze czy zrozumieć opacznie.

Dorastałam, coraz lepiej rozumiejąc to zagrożenie. Wiedziałam, że gdzieś tam się czai, lecz jednocześnie było dla mnie czymś normalnym, jak zanieczyszczenie powietrza czy ryzyko wybuchu pożaru. Rzadko wspominaliśmy przywódców naszego kraju, którzy spoglądali na nas ze ściany. Na przykład za samo wspomnienie nazwiska Kim Il-sunga bez poprzedzenia go jednym z odpowiednich tytułów – Wielki Wódz, Czcigodny Ojciec Przywódca, Towarzysz, Prezydent czy Marszałek – groziły poważne konsekwencje, gdyby ktoś zgłosił władzom takie wykroczenie.

W dzieciństwie bawiłam się i sprzeczałam z rówieśnikami, jak wszystkie dzieci na świecie. Zmartwienia były sprawą rodziców. Matka wykazywała szczególny talent do chronienia mnie przed zagrożeniami. Wynikało to częściowo z pewności siebie, jaką dawała jej pozycja kobiety z wysokim *songbun*, ale cechowało ją też wrodzone wyczucie w kontaktach z ludźmi, co kilka razy uratowało nas od katastrofy. Umiała radzić sobie z *banjang* i często podchodziła do niej specjalnie, by zyskać sobie przychylność w czasie cotygodniowych spotkań mieszkańców. Czasami przynosiła *banjang* niewielkie podarunki. Kobiety te w większości były twardymi, stąpającymi mocno po ziemi osobami, ale matka potrafiła radzić sobie z nimi bez trudu. Zawsze jednak uważała na to, co widać w naszym domu: by nie przyciągać niczyjej uwagi ani nie wywoływać zazdrości. Jeśli nie mogła rozwiązać problemu za pomocą rozsądku i dobrej woli, uciekała się do łapówki.

Tydzień po przyjeździe do Anju w centrum miasta moją matkę zatrzymała pięcioosobowa grupa ochotników z czerwonymi opaskami na ramionach. Członkowie tak zwanej straży obywatelskiej grasowali po ulicach w poszukiwaniu osób łamiących którekolwiek z niezliczonych praw społecznych obowiązujących w Korei Północnej. Do tej kategorii zaliczali się wszyscy, którzy chodzili w jeansach, mężczyźni o zbyt długich włosach, kobiety mające na sobie biżuterię czy używające zagranicznych perfum – wszystko to było dowodem niesocjalistycznej postawy, symbolem upadku moralnego i kapitalistycznej dekadencji. Ochotnicy w swoim zapale potrafili zachowywać się agresywnie i arogancko. Jedną z najpodlejszych sztuczek, do jakich się uciekali, było wyłapywanie w godzinach porannego szczytu ludzi, którzy wyszli z domu bez przypinki z wizerunkiem Wielkiego Wodza – ten mały okrągły znaczek musiał nosić nad sercem każdy dorosły mieszkaniec Korei Północnej. Złapani na takim wykroczeniu znajdowali się w naprawdę trudnej sytuacji. Nikt nie mógł przecież powiedzieć, że „po prostu zapomniał” o Wielkim Wodzu.

Tamtego ranka matka naraziła się tym, że pokazała się publicznie w spodniach, a nie w spódnicy. Spodnie były wyraźnie zakazane, od kiedy przywódcy kraju orzekli, że taki ubiór nie przystoi Koreankom. Ochotnicy otoczyli ją wianuszkiem i zażądali wyjaśnień. Aby uniknąć sceny, matka zapłaciła grzywnę, którą wsparła łapówką, dzięki czemu informacja o wykroczeniu nie została wpisana do jej dokumentów.

Matka nie wahała się przekupywać ludzi. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, o ile nie dała się na tym procederze przyłapać. W Korei Północnej łapówka bardzo często jest jedynym argumentem pozwalającym nadać sprawom bieg, narzędziem uniknięcia surowej kary czy reperkusji wypływających z pozbawionych sensu reguł ideologicznych.

***

Powoli przyzwyczajaliśmy się do życia w bazie wojskowej. Nie różniło się ono, o czym szybko się przekonałam, od rutyny cywilnej. Wszyscy się znali, więc środki bezpieczeństwa prawie nie istniały. Ojciec żartował, że cały nasz kraj jest bazą wojskową. W tamtym okresie nie zawieraliśmy łatwo znajomości.

Matka, podobnie jak ojciec, unikała spotkań towarzyskich, a umiejętność trzymania dystansu wobec ludzi opanowała do perfekcji. Taka postawa mogła jej jedynie wyjść na dobre w kraju, gdzie im więcej o tobie wiedziano, tym bardziej narażony byłeś na krytykę czy donos. Gdy zdarzało mi się przyprowadzić do domu koleżankę, matka zachowywała się poprawnie, ale formalnie. A przecież na co dzień taka nie była. Jedną z tragedii życia w Korei Północnej jest to, że wszyscy noszą maski, a uchylanie ich wiąże się zawsze z ogromnym ryzykiem. Dlatego wszystkim spoza rodziny moja matka wydawała się szorstką, twardo stąpającą po ziemi kobietą o wysokim *songbun*. Pod tą maską skrywała się jednak osoba wesoła, mająca dużo serca dla wszystkich wokół. Dla najbliższych gotowa była zaryzykować wszystkim. Regularnie pomagała tym z rodzeństwa, którym wiodło się gorzej, przede wszystkim Wujowi Ubogiemu i jego rodzinie, którzy żyli w państwowym gospodarstwie rolnym. Wysyłała im jedzenie, ubrania i pieniądze w takich ilościach, że – co wstyd mi dziś przyznać – mnie to raziło. Często jawnie narzekałam na takie postępowanie. Jednocześnie, jak na kogoś tak praktycznie nastawionego do życia, była osobą bardzo uduchowioną. Odczuwała głęboką więź z przodkami i w każdy księżycowy Nowy Rok oraz z okazji *Chuseok*, święta jesiennych żniw, składała na ich grobach ofiarę i zostawiała jedzenie. Zawsze też ostrzegała mnie przy takich okazjach przyciszonym głosem:

– Waż na słowa.

Przodkowie przecież słuchali.

W tym czasie moim najbliższym przyjacielem był piesek – jeden z tych rozkosznych maluchów, które ludzie na całym świecie tak chętnie ubierają w różne kubraczki. Mnie nie pozwolono by na coś takiego, bo ubieranie zwierząt było jawnym dowodem kapitalistycznej dekadencji. Tak powiedziała mi wychowawczyni w przedszkolu. U nich – „tam” – nawet psy chodzą w ubraniach. Bo oni sami są jak psy.

Miałam sześć lat, gdy po raz pierwszy wysłano mnie do przedszkola w Anju. I choć byłam zbyt mała, by to dostrzec, wydarzenie to wywołało subtelną zmianę w moich stosunkach z rodzicami. W pewnym sensie przestałam należeć do nich. Stałam się własnością państwa.

ROZDZIAŁ 4

KOBIETA W CZERNI

Rok szkolny zaczynał się we wrześniu, a wakacje przypadały w zimie. Było to w prostej linii wynikiem problemów z ogrzewaniem szkół w czasie ostrych zim w Korei Północnej. W przedszkolu, do którego chodziłam, na środku sali stał duży, opalany drewnem piec. Na ścianach namalowano kolorowe scenki przedstawiające dzieci w czasie ćwiczeń gimnastycznych, dzieci w mundurkach oraz żołnierza północnokoreańskiego, który nadział na bagnet swojego karabinu żołnierza armii Stanów Zjednoczonych, żołnierza z Japonii i z Korei Południowej. Jednocześnie.

Indoktrynacja ideologiczna zaczynała się już pierwszego dnia. Przedszkolanki czytały nam historie bohaterskich malców walczących z Japończykami, w czasach gdy Korea była kolonią japońską, oraz legendy opisujące dzieciństwo Kim Il-sunga – opowieści o tym, jak nawet w niemowlęctwie cierpiał, by jego lud mógł zaznać szczęścia, jak oddawał jedzenie dzieciom, które były w gorszym niż on położeniu. Zawsze, gdy w historiach padała wzmianka o którymś z Wodzów, przedszkolanka zniżała głos i przemawiała z wyraźną trwogą, jakby przyszło jej wymawiać imiona bóstw żyjących pośród ludzi. Na ścianach wisiały zdjęcia Kim Il-sunga z czasów jego młodości w partyzantce, Kim Il-sunga otoczonego uśmiechniętymi sierotami, Kim Il-sunga w śnieżnobiałym mundurze marszałka, ojca naszego narodu. Zdawał się na nich wysokim, uderzającym mężczyzną, a dzielna Kim Jong-suk – żona, która walczyła u jego boku – sprawiała wrażenie tajemniczej damy z podań ludowych. Łatwo było ich wielbić.

Historia przyjścia na świat ich syna, Umiłowanego Przywódcy Kim Jong-ila, przyprawiła mnie o gęsią skórkę. Pienia niebieskie zapowiedziały to

wspaniałe wydarzenie, nad szczytem Paektu pojawiła się podwójna tęcza, ptaki śpiewały ludzkim głosem, a na niebie zabłysła nowa gwiazda. Słuchaliśmy tego w drżeniu i z zapartym tchem. Czułam, jak włosy jeżą mi się na głowie. To była czysta magia. Wychowawczynie zachęciły nas do namalowania pokrytej śniegiem drewnianej chaty na tle świętej góry i z nową gwiazdą świecącą na niebie. Dzień narodzin Umiłowanego Przywódcy – 16 lutego – został nazwany Dniem Jaśniejącej Gwiazdy. W przedszkolu mieliśmy nawet model tej chaty z dachem pomalowanym na biało, która stała w specjalnej szklanej gablocie.

To był szczęśliwy okres w moim życiu. Wszyscy byliśmy dziećmi Kim Il-sunga, a to sprawiało, że byliśmy dziećmi najwspanialszego narodu świata. Śpiewaliśmy piosenki o Mangyongdae, wsi, w której Wielki Wódz przyszedł na świat, tańczyliśmy do nich i zawsze, gdy w tekście padała nazwa „Mangyongdae", unosiliśmy ręce w górę. Dzień urodzin Wielkiego Wodza – 15 kwietnia – nazywał się Dniem Słońca, a cały kraj nazywaliśmy Krajem Wiecznego Słońca.

W te dni obchodzono święta narodowe i wszystkim dzieciom rozdawano wtedy cukierki i inne słodycze. Od najmłodszych lat kojarzyliśmy Wielkiego Wodza i Umiłowanego Przywódcę z prezentami i podnieceniem, jakie dzieci na Zachodzie czują na myśl o Świętym Mikołaju.

Byłam zbyt mała, by nie wierzyć we wszystko, co mi mówiono. Ani przez chwilę nie wątpiłam więc, że ta bohaterska rodzina ocaliła moją ojczyznę. Kim Il-sung bez wątpienia stworzył w niej wszystko. Przed nim nie istniało nic. Był ojcem naszych ojców i matek. Był niezwyciężonym wojownikiem, który w czasie jednego ludzkiego życia pokonał dwa wielkie imperia – coś takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej w czasie pięciu tysięcy lat naszej historii. W ciągu zaledwie dziesięciu lat stoczył sto tysięcy bitew z Japończykami, a potem przecież pokonał jeszcze Amerykanów. Mógł podróżować całymi dniami, nie potrzebując ani chwili odpoczynku. Potrafił pojawiać się jednocześnie na wschodzie i zachodzie kraju. Sama jego obecność wystarczyła, by kwitły kwiaty i topniały śniegi.

Nawet zabawki, które nam dawano, służyły indoktrynacji. Gdybym zbudowała pociąg z klocków, przedszkolanka zaraz poinformowałaby mnie, że mogłabym pojechać nim do Korei Południowej i uratować tamtejsze dzieci. Moją misją byłoby przywieźć je do domu, by Czcigodny Ojciec Przywódca mógł przygarnąć je do swej piersi.

Wiele z piosenek śpiewanych w przedszkolu mówiło o zjednoczeniu Korei. Bardzo tego pragnęłam, bo ciągle powtarzano nam, że dzieci w Korei Południowej muszą chodzić w łachmanach. Że szukają jedzenia w śmieciach i padają ofiarą przemocy okrutnych amerykańskich żołnierzy, którzy strzelają do nich jak do tarcz, rozjeżdżają swoimi jeepami lub każą czyścić sobie buty. Przedszkolanka pokazywała nam obrazki przedstawiające bose dzieci żebrzące o pomoc w zaspach śniegu. Było mi ich strasznie żal. Naprawdę żałowałam, że nie potrafię ich uratować.

Przedszkolanki były dla nas bardzo miłe – zgodnie z zaleceniami Wielkiego Wodza, który niejednokrotnie podkreślał, że dzieci są przyszłością kraju i dlatego należy traktować je po królewsku. W przedszkolu nie stosowano kar cielesnych. Czuliśmy się bezpiecznie, byliśmy kochani i z każdym dniem coraz bardziej wdzięczni opiekunom.

Rodzice nigdy nie odważyli się krytykować przy mnie programu nauczania, nigdy też nie wypowiadali się źle na ten temat przy Min-ho. To byłoby zbyt niebezpieczne. Ale jednocześnie nigdy nie komentowali w żaden sposób tego, czego nas uczono, ani nie starali się ugruntować w nas tej wiedzy. Prawdę mówiąc, nigdy nie poruszali tematów związanych ze szkołą. Za to matka nauczyła nas chwalić imię Wielkiego Wodza i narodu za całe dobro, które spotykało nas w życiu. Wynikało to z jej wrodzonej ostrożności. Winą za nasze niestosowne zachowanie zostałaby obarczona ona, a nigdy nie było wiadomo, kto doniesie o takim niedopatrzeniu władzom. Bo informatorzy byli wszędzie – w bazie wojskowej, w której mieszkaliśmy, na ulicach, w przedszkolu. Donosili do lokalnego oddziału Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego, *Bowibu*, czyli tajnej policji. Żaden przekład nie odda tego, jaką grozą przejmuje to słowo każdego mieszkańca Korei Północnej. Na sam jego dźwięk, jak ujął to poeta Jang Jin-sung, dziecku płacz zamiera na ustach.

Pracownicy *Bowibu* nie obserwowali nikogo przyczajeni za rogiem ulicy, z zaparkowanych samochodów, nie podsłuchiwali rozmów prowadzonych za ścianą. Nie musieli, bo ludzie robili to za nich. Wiadomo było, że sąsiad donosi na sąsiada, dzieci szpiegują między sobą, pracownicy firm patrzą sobie na ręce, a nadzorczyni straży sąsiedzkiej, *banjang*, prowadzi dobrze zorganizowaną obserwację wszystkich rodzin należących do jej oddziału. Gdyby władze zażądały od niej objęcia dokładniejszą kontrolą którejś z rodzin, natychmiast wciągnęłaby w proceder obserwowania tych ludzi wszystkich ich sąsiadów. Informatorów bardzo często nagradzano

dodatkowymi racjami żywnościowymi za ich pracę. Ludzi z *Bowibu* nie interesowały rzeczywiste przestępstwa utrudniające życie zwykłym obywatelom – kradzieże, do których dochodziło na każdym kroku czy korupcja. Ich zajmowały wyłącznie sprawy braku lojalności politycznej. Wystarczyło najmniejsze podejrzenie – niekoniecznie oparte na prawdziwych przesłankach – by cała rodzina – dziadkowie, rodzice i dzieci – zniknęła nie wiadomo gdzie. Dom takich ludzi otaczano taśmą, a ich samych wsadzano nocą do ciężarówki. Później nikt już ich nie widział.

Wtedy nie zwracałam uwagi na dziwne milczenie rodziców w sprawach, o których uczono mnie w przedszkolu czy szkole. To uderzyło mnie dopiero wiele lat później. Nigdy nie przyszło mi do głowy kwestionować lojalności rodziców wobec władz ani wątpić, że wierzą w bezinteresowność Kim Il-sunga i jego nadprzyrodzone zdolności, które miały ocalić nasz kraj.

W czasie letniej przerwy w nauce matka zabrała mnie w odwiedziny do rodziny w Hyesan. Podróż ta zapadła mi w pamięć, ponieważ usłyszałam wtedy jeszcze jedną opowieść, która ukształtowała mój dziecięcy pogląd na świat. Opowiedział mi ją Wuj Opium, handlarz narkotykami, gdy wszyscy byliśmy w domu mojej babki.

Zdobycie opium w Korei Północnej nie nastręczało większych trudności. Rolnicy uprawiali mak od lat siedemdziesiątych, a laboratoria państwowe przetwarzały go na wysokiej czystości heroinę – był to jeden z nielicznych produkowanych w Korei Północnej towarów, który spełniał światowe standardy jakości. Heroinę sprzedawano potem za granicę, by zasilić państwową kasę twardą walutą. Oczywiście mieszkańcy kraju nie mieli prawa ani jej zażywać, ani nią handlować, ale w systemie tak podatnym na łapówkarstwo duże ilości narkotyku wydostawały się poza ramy układu. Wuj sprzedawał opium w Hyesan i dostarczał je za rzekę, do Chin, gdzie zapotrzebowanie na narkotyki było ogromne. Babka z kolei regularnie zażywała heroinę. Zresztą nie ona jedna, bo niełatwo było zdobyć środki przeciwbólowe i inne leki.

Wuj Opium miał ogromne, błyszczące oczy. Znacznie większe niż oczy któregokolwiek z rodzeństwa mojej matki. Całe lata zajęło mi zrozumienie, skąd w jego wyglądzie ta niecodzienna cecha. Wuj Opium opowiedział mi historię kobiety, która schodziła z nieba zawsze, gdy padał deszcz.

– Ubiera się na czarno – mówił tajemniczo, zaciągając się papierosem i wydmuchując kółka żółtego dymu. – Jeśli chwycisz ją mocno za suknię,

zabierze cię ze sobą na górę.

Po powrocie do Anju całymi dniami wypatrywałam deszczu. Gdy wreszcie usłyszałam grzmot, wybiegłam przed dom i zadarłam głowę. Krople spadały mi na twarz. Wydawało mi się oczywiste, że skoro Czcigodny Ojciec Przywódca Kim Il-sung może pojawiać się jednocześnie na wschodzie i zachodzie kraju, to równie dobrze spomiędzy chmur może spłynąć na ziemię odziana w czerń dama. Zaczęłam wyobrażać sobie jej królestwo, gdzieś tam, między chmurami. Sama myśl o niej napawała mnie przerażeniem, ale ciekawość była zbyt wielka – musiałam spróbować ją znaleźć. Na wszelki wypadek chwyciłam się mocno schodów, gdyby okazało się, że dama w czerni pojawi się tak szybko jak deszcz, i spróbuje mnie pochwycić.

Matka szybko przerwała moje rojenia.

– Co robisz? – krzyknęła na mnie od drzwi. – Wracaj do domu!

– Czekam na panią w czerni.

– Na kogo?

Gdy tylko zadała to pytanie, wyraz jej twarzy zaczął się zmieniać. Najwyraźniej musiała przypomnieć sobie opowieść Wuja Opium i zrozumiała, że uwierzyłam w nią bez zastrzeżeń. Nagle zaczęła śmiać się tak głośno, że chwyciła się za boki i zgięła w pół. Potem przytuliła mnie mocno, a ja czułam, jak cała trzęsie się ze śmiechu. Nawet kilka godzin później, gdy ojciec wrócił z pracy, a ona gotowała ryż, nadal się śmiała i od czasu do czasu ocierała płynące z oczu łzy.

Wszystko to stanowiło dla mnie nie lada zagadkę. Najwyraźniej bowiem istniały magiczne opowieści, w które należało wierzyć z całego serca i nigdy ich nie podważać, z kolei wiara w inne narażała mnie na śmieszność. A ja naprawdę chciałam wierzyć w istnienie kobiety w czerni.

Świat w przedszkolu był bardzo prosty. Wychowawczynie potrafiły udzielić jasnych odpowiedzi na wszystkie pytania, zawsze wiedziały, co jest dobre, a co złe. Świat poza przedszkolem wydawał się bardziej skomplikowany. Wuj Opium pewnie potrafiłby to wytłumaczyć, gdybym tylko zdołała odbyć z nim normalną rozmowę.

Kiedyś zobaczyłam u niego w domu na stole sztabkę złota. Obok leżała grudka smolistej substancji. Zapytałam go, co to takiego, a on wyjaśnił, że opium.

– Wetknij w to koniec ołówka i spróbuj trochę – zaproponował.

– Co mam z tym zrobić?

Zaśmiał się głośno, trochę świszcząco.

– No przecież, że zjeść.

Męczyło mnie wtedy przeziębienie i nie czułam się najlepiej. Kilka minut po skosztowaniu opium objawy ustąpiły.

Samo Anju może wyglądało ponuro i szaro, ale otaczające je wzgórza były piękne. Spędziłam tam trzy cudownie wspaniałe lata, kiedy zbierałam na polach dzikie kwiaty. W niektórych miesiącach w powietrzu dosłownie roiło się od ważek. Ganialiśmy je, brodząc po pas w wysokiej trawie. Wszystkie dzieci tak się bawiły. W soboty i niedziele dołączał do nas ojciec. Niektóre dzieci odgryzały ważkom głowy i zjadały je − podobno smakowały dziwacznie.

Pewnego razu rozłożyliśmy matę w cieniu wysokich sosen. Matka zaczęła uderzać w pnie drzew grubym kijem i ni stąd, ni zowąd, spadł na nas deszcz szyszek. Zaczęłam biegać wokół i zbierać je do torby. Nigdy wcześniej wspólnie nie śmialiśmy się tyle.

Do dziś pamiętam tę scenę – chwile niezmąconej radości tuż przed wydarzeniem, które było dla mnie ogromną tragedią. Gdy wróciliśmy tamtego dnia do domu, dowiedzieliśmy się, że mój piesek nie żyje. Przejechała go jedna z wojskowych ciężarówek. Bardzo z tego powodu płakałam. Ojciec oznajmił, że nie kupimy kolejnego psa. Zbyt ciężko było je zdobyć.

Ale nie to wydarzenie przyćmiło moje wspomnienia z Anju. Najgorsze miało dopiero nadejść.

ROZDZIAŁ 5

MĘŻCZYZNA POD MOSTEM

Pewnego upalnego popołudnia, gdy miałam siedem lat, matka wysłała mnie z jakąś sprawą do miasta. W powietrzu unosiła się nieznośna wilgoć, od rzeki ciągnęło duszącym zapachem zgnilizny. Wszędzie było pełno much. Szłam brzegiem rzeki w kierunku domu, kiedy nagle zobaczyłam przed sobą spory tłum. Ludzie cisnęli się gromadnie na poboczu drogi prowadzącej pod wiaduktem kolejowym. Naszło mnie irracjonalne przekonanie, że dzieje się coś złego, lecz nie zdołałam się powstrzymać – musiałam sprawdzić. Przecisnęłam się między ludźmi, żeby lepiej widzieć. Stojący na przedzie grupy zadzierali głowy. Poszłam za ich przykładem i zobaczyłam mężczyznę zwisającego z mostu.

Na głowę naciągnięto mu brudny parciany worek, a ręce związano za plecami. Miał na sobie niebieski kombinezon pracownika fabryki. Nie poruszał się, ale jego ciało kiwało się lekko na zwisającej ze stalowych wsporników linie. Nieopodal stało kilku żołnierzy – miny mieli nieprzeniknione, zza ich pleców wystawały lufy karabinów. Obserwujący to z dołu tłum stał w milczeniu, bez ruchu, jakby ludzie uczestniczyli w jakiejś ceremonii. Lina trzeszczała. Poczułam odór męskiego potu. Wszystko to bardzo mnie niepokoiło, bo choć tyle osób patrzyło na tę scenę, nikt nie ruszył wiszącemu na pomoc.

W pamięć zapadł mi zupełnie przypadkowy szczegół. Do dziś widzę, jak stojący przede mną mężczyzna zapala papierosa i trzyma go w opuszczonej wzdłuż boku ręce, tak że dym zbiera się między palcami jego dłoni. Nie było wiatru. I nagle miałam wrażenie, że zaczyna mi brakować powietrza.

Musiałam się stamtąd wydostać. Desperacko przedarłam się przez tłum.

Gdy powiedziałam matce, co widziałam, zbladła jak płótno. Natychmiast

odwróciła się ode mnie i znalazła sobie zajęcie. Potem wymruczała tylko:

– Nigdy więcej nie patrz na te rzeczy.

W ciągu kilku kolejnych dni przez miasto przetoczyła się fala egzekucji, co mocno wytrąciło matkę z równowagi. Znała jedną z powieszonych osób – kobietę o nazwisku Baek Kyeong-sul. Oskarżono ją o to, że uwiodła pracownika banku państwowego, by ukraść pieniądze, i skazano w procesie ludowym. Matka była przy tym. Oczywiście nie było żadnego procesu – ofierze odczytywano zarzuty, a potem natychmiast przeprowadzano egzekucję. Jeśli wcześniej oskarżony z przerażenia stracił przytomność, władze miały obowiązek przesunąć egzekucję na następny dzień, żeby ofiara do ostatniej chwili nie wiedziała, co się dzieje.

Zbliżał się początek pory deszczowej, więc nad Anju od rana przewalały się burzowe chmury i grzmiało niemal bez przerwy, co dodatkowo napawało matkę niepokojem. Była wtedy w ciąży, przez co nie do końca nad sobą panowała.

Kobietę, którą wyprowadzono z tyłu policyjnego samochodu, poprowadzono wprost do stojącego na placu stołu, za którym siedziało ośmioro sędziów. Plac otoczony był kordonem policjantów – za nimi kłębił się tłum ludzi. Kobieta miała ręce związane za plecami, a twarz tak napuchniętą i zsiniałą, że matka ledwie ją poznała. Widać było, że nie wie, co się wokół niej dzieje. Wodziła po ludziach spojrzeniem pełnym zwierzęcego przerażenia.

Pośród trzasków i szumów z głośników popłynęły zarzuty.

Kobieta upadła na kolana i zaczęła zawodzić, wołać, że bardzo przeprasza i że wstyd jej za to, co zrobiła. Matka wiedziała, że syn tej kobiety pracuje w policji. Ofiara musiała wierzyć, że znajomości zdołają ją ocalić.

– Zarządza się śmierć przez powieszenie.

Kobieta odrzuciła głowę, jakby z niedowierzaniem. Znowu powiodła wzrokiem po gapiach, szukając ratunku. Za policyjnym samochodem stał wysoki słup, z którego zwisała pętla, ale dbano o to, by kobieta go nie widziała. Policjanci chwycili ją pod ręce i zaciągnęli w stronę szubienicy. Szarpała się, kopała i rzucała, ale wystarczyła chwila, by przeciągnięto jej pętlę przez głowę. Lina naprężyła się i skrzypnęła głośno, gdy ciało kobiety pofrunęło w górę. Ofiara jeszcze przez chwilę rzucała się i wykręcała konwulsyjnie. Potem jej ciało zwiotczało.

Gdy matka wróciła do domu, lało jak z cebra. Jej spojrzenie było dziwnie

puste. Powiedziała, że dotąd nie zdawała sobie sprawy, że człowieka zabija się tak samo łatwo jak zwierzę. Ciało tamtej kobiety rzucono niedbale na pakę ciężarówki. Gdy matka zapytała jednego z sędziów, gdzie pochowają straconą, okazało się, że ciało zostanie wrzucone do dołu ze śmieciami i zasypane popiołem. Ten szczegół bardzo wytrącił matkę z równowagi. Skoro miało nie być grobu, rodzina kobiety nie będzie mogła oddawać jej należnej przodkom czci, a to oznaczało, że duch straconej nigdy nie zazna spokoju. I będzie nawiedzać żyjących.

Tego lata ojciec jeździł służbowo do baz wojskowych na terenie całego kraju. Po egzekucjach matka bardzo odczuła jego nieobecność – bez ukojenia, jakie jej dawał, zaczęła mieć problemy z zasypianiem. Do śniadania siadała z podkrążonymi oczami i mówiła, że całą noc śniły się jej koszmary o duchach ofiar. Nie potrafiła skupić się na najprostszych czynnościach. Była naprawdę przerażona i chciała wyjechać z Anju. Nie wiem, czy był to wynik jej nacisków, czy raczej szczęśliwy zbieg okoliczności, ale odetchnęła z ulgą, gdy ojciec oznajmił, że się przenosimy. Mieliśmy zamieszkać w Hamhung – drugim co do wielkości mieście Korei Północnej.

***

Wyjechaliśmy z Anju, ale nie przenieśliśmy się bezpośrednio do Hamhung. Rodzice chcieli, by ich kolejne dziecko urodziło się w naszym rodzinnym mieście − w Hyesan. W ten sposób zostałoby zarejestrowane właśnie tam, tak samo jak reszta rodziny. Dlatego mój młodszy brat przyszedł na świat w Hyesan. W Korei Północnej panuje zwyczaj nadawania dzieciom imion zaczynających się tą samą sylabą, więc skoro mnie nazwano Min-young, mój brat otrzymał imię Min-ho. Miałam siedem lat i bardzo irytowało mnie całe to gruchanie i zachwyty w związku z jego narodzinami. Równie mocno drażnił mnie niekończący się korowód gości – Ciotka Wiekowa, Ciotka Śliczna, Ciotka Wysoka, Wuj Opium i Wuj Kinoman – przychodzących, by zobaczyć mojego brata, pogratulować rodzicom i przynieść mnóstwo prezentów. Z kolei matka nie posiadała się z radości, że znów jest wśród rodziny i starych sąsiadów.

Ale jednej rzeczy uniknęłaby, gdyby tylko mogła. Rodzice mojego ojca chcieli poznać swojego wnuka. Wtedy nadal jeszcze nie znałam prawdy.

Myślałam, że rodzice mojego ojca są moimi biologicznymi dziadkami i że z niewiadomych przyczyn nie mieliśmy okazji ich spotkać.

Podłogi w ich domu były wyłożone zimnym drewnem. Nie podobało mi się tam. Matce, czułam to wyraźnie, również nie. Dziadek miał nieprzystępne usposobienie, co w żaden sposób nie zachęcało do rozmawiania z nim. W czasie kolacji siedział na podłodze z dala od nas, przy osobnym stole. Babka obsłużyła najpierw jego, a dopiero później pozostałych. Był to objaw szacunku, ale jej zachowanie jakby tylko zwiększyło dzielący nas dystans. Ojciec, zazwyczaj spokojny i pewny siebie, tym razem zachowywał się nerwowo i mówił zbyt wiele, by zagłuszyć ciszę. Wokół nie było słychać gwaru, jaki otaczał nas podczas wizyt mojej babki ze strony matki czy wujków i ciotek.

Gdy tylko przekroczyliśmy próg ich domu, zorientowałam się, że dziadkowie najbardziej polubili Min-ho. Ich twarze łagodniały tylko wtedy, gdy trzymali go w ramionach, gdy zaczął gaworzyć lub gdy zapłakał. Jemu okazywali czułość, natomiast wobec matki i mnie trzymali dystans i zachowywali się bardzo oficjalnie. Szybko znalazłam wyjaśnienie – Min-ho był chłopcem, więc dziadkowie – jako staromodni tradycjonaliści − musieli woleć wnuka od wnuczki. Min-ho był jedynym synem moich rodziców, przez co zajmował szczególnie ważną pozycję w rodzinie. Zawsze, gdy ich odwiedzaliśmy, mojego brata witali prezentami, a dla mnie nie mieli nic. Teraz wiem, że matka musiała zdawać sobie sprawę z tego, że tak będzie to wyglądać. Dlatego zawsze była wobec mnie szczodra i miała dla mnie mnóstwo ciepłych uczuć. Zawsze też dawała mi słodycze i pieniądze na drobne wydatki, gdy tylko o to poprosiłam. I z tego też powodu na dziewiąte urodziny dała mi najwspanialszy prezent, jaki dostałam w Korei Północnej.

ROZDZIAŁ 6

CZERWONE PÓŁBUTY

Byłam szalenie podekscytowana przeprowadzką do położonego na wschodnim wybrzeżu Hamhung. W tamtym okresie Hamhung był ważnym ośrodkiem przemysłowym, słynącym z produkcji winylonu – włókna sztucznego używanego do szycia mundurów, wynalezionego w Korei Północnej[1]. Byliśmy tak dumni z tego osiągnięcia, że śpiewaliśmy o nim pieśni patriotyczne. Tkaniny z winylonu kiepsko się farbowały, łatwo kurczyły, były sztywne, a szyte z nich ubrania niewygodne, ale jednocześnie włókno to wykazywało niebywałą odporność na ogień. Poza fabrykami produkującymi winylon, w Hamhung działało wiele restauracji i olbrzymi nowy teatr – największy w Korei Północnej.

Nie mogłam nadziwić się liczbie jeżdżących po ulicach samochodów – było ich znacznie więcej niż w Anju. To samo dotyczyło rowerów. Ulice były szerokie, po głównych arteriach jeździły trolejbusy, a z rozciągniętych nad ulicami kabli sypały się iskry. Budynki też wyglądały porządniej. Za to powietrze było bardzo zanieczyszczone. Czasami rankiem niebo przyjmowało barwę żółtą niczym siarka, a wokół unosił się smród chemikaliów z Hungnam – ogromnego ośrodka produkcji nawozów amonowych. Wielki Wódz odwiedzał tę fabrykę osobiście kilka razy i udzielał rad dotyczących jej prowadzenia. Jego słowa widziało się wszędzie – na czerwonych plakatach rozwieszanych w całym mieście, wyryte na kamiennych tablicach, a także zapisane wysokimi na dwa metry znakami na zboczu góry Tonghung. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie widniała jego podobizna – na szklanych mozaikach zdobiących ściany budynków, wykuta w marmurze i odlana w brązie, spoglądająca na ludzi z wielometrowych posągów czy wymalowana na ścianach budynków. Obrazy te przedstawiały

go raz jako żołnierza, innym razem jako naukowca; czasem jako poważnego ideologa, a czasami jako jowialnego towarzysza dzieci.

Choć ojciec stał wysoko w hierarchii sił powietrznych, przydzielone nam zakwaterowanie nie oddawało jego pozycji. Znów mieszkaliśmy w bazie wojskowej, tym razem w sześciopiętrowym betonowym bloku bez windy. Przydzielono nam trzypokojowe mieszkanie bez ciepłej wody, ale z bieżącą zimną. Ściany wyklejone były pożółkłą tapetą, którą matka natychmiast wymieniła na zmywalną, lepszego gatunku. Łazienkę wyłożono niebieskimi płytkami. Zimą woda zamarzała w rurach, a latem zewnętrzne ściany budynku pokrywała czarna pleśń.

A przecież miałam mnóstwo szczęścia w życiu, choć wtedy jeszcze tego nie rozumiałam. Pozycja ojca dawała nam dostęp do towarów, o których inni ludzie mogli tylko marzyć, często też otrzymywał prezenty i łapówki w postaci dodatkowych porcji jedzenia czy sprzętów domowych.

Teoretycznie o potrzeby wszystkich obywateli dbało państwo – Publiczny System Dystrybucji miał dostarczać jedzenie, paliwo, przedmioty codziennego użytku i ubrania każdemu, kto tego potrzebował. Jakość otrzymywanych towarów i ich ilość zależała od tego, jak ważną sprawowało się funkcję. Dwa razy w miesiącu zakład pracy wydawał bony towarowe, które można było wymienić na rozmaite produkty. Jeszcze kilka lat wcześniej Partia poważnie rozważała odrzucenie koncepcji pieniądza. Gdy system dystrybucji jakoś działał, pieniądze były potrzebne tylko dzieciom, jako kieszonkowe, czy kobietom na zabiegi w salonie piękności. Jednak zazwyczaj komunistyczna, planowana centralnie gospodarka nie dawała rady sprostać zapotrzebowaniu, więc system regularnie się załamywał, przydziały malały lub znikały, rozkradane przez tych, którzy mieli do nich dostęp. Dlatego też ludzie polegali raczej na łapówkach i transakcjach czarnorynkowych, by zapewnić sobie to, czego potrzebowali do życia. Do tego zaś potrzebowali pieniędzy, bardzo często twardej waluty, a nie koreańskiego wona.

Często zdarzało się nam jadać w restauracjach, gdzie podawano *naengmyeon*, danie, z którego słynął Hamhung. Był to makaron serwowany w lodowatym rosole wołowym. Moja matka mogła jeść *naengmyeon* o każdej porze dnia i nocy. Uwielbiała tę potrawę wprost do przesady.

***

W niedziele bawiłam się z koleżankami na betonowym placu przed naszym blokiem. Skakałyśmy na skakance albo grałyśmy w odmianę gry w klasy zwaną *sabanchigi*. Przez sześć pozostałych dni w tygodniu albo byłam w szkole, albo zajmowałam się sprawami związanymi ze szkołą. Był to sposób na zagospodarowanie czasu nie tylko dzieci. Wszyscy – pracownicy fabryk, administracja, żołnierze, pracownicy doków, chłopi, nauczyciele, niepracujące żony, emeryci i oczywiście moi rodzice – byli stale zajęci, czy to spotkaniami organizacyjnymi, czy jakimiś innymi ogłupiającymi działaniami. Często były to zajęcia ideologicznych „grup samokształcenia" czy „spotkania dyskusyjne", w czasie których uczono się na pamięć wystąpień Wielkiego Wodza i Umiłowanego Przywódcy. Czasami wiązało się to z uczestniczeniem w wielogodzinnych, organizowanych po pracy wykładach, na których omawiano najprzeróżniejsze zagadnienia – od rewolucyjnej historii pierwszych lat istnienia Partii i nowych technik prowadzenia hodowli świń do sposobów działania elektrowni wodnych i poezji Kim Jong-ila. Na tym polegał komunizm – trzeba było upewnić się, że nikt nie będzie miał okazji zboczyć na ścieżkę egoizmu, indywidualizmu czy prywatnego życia – a jednocześnie system taki sprawdzał się jako doskonałe narzędzie nadzoru. Konieczność ciągłego angażowania się w zajęcia społeczne oznaczała, że godziny, w czasie których nikt nas nie obserwował, należały do rzadkości.

***

Do szkoły podstawowej poszłam jeszcze w Anju i przeniesienie do nowej placówki w Hamhung napawało mnie przerażeniem. Pierwszego dnia matka miała poważny kłopot, by zmusić mnie do wejścia do budynku. Dzieci wydawały mi się szorstkie w obyciu, mówiły inaczej, a szkole brakowało tej przyjaznej, „wiejskiej" atmosfery, jaką czuło się w Anju. Rozwieszone na korytarzach transparenty nie pozostawiały wątpliwości co do priorytetów, jakie stawiały sobie władze szkoły: „Uczmy się dla ojczyzny!"; „Zachowaj czujność – marszałek Kim Il-sung tego pragnie!".

Ponieważ jednak byłam osobą towarzyską, ciekawą nowych rówieśników,

szybko się zaprzyjaźniłam z kilkoma dziewczynkami z klasy. Wszystko to za sprawą mojej pewności siebie, która wypływała bezpośrednio ze wsparcia kochającej mnie rodziny.

Właśnie w szkole w Hamhung moim udziałem po raz pierwszy stał się „czas oczyszczania życia", czyli sesje samokrytyki. Od kiedy Kim Jong-il wprowadził je w 1974 roku, stały się one jednym z ważniejszych elementów życia w Korei Północnej. Nie ma chyba człowieka, który nie drżałby z obawy na myśl o nich. Sesje samokrytyki rozpoczynają się w szkole podstawowej i ciągną do końca życia. U nas odbywały się w soboty i brała w nich udział cała klasa – czterdzieści osób. Przewodniczyła im nauczycielka. Wstawaliśmy kolejno i każde z nas oskarżało kogoś o coś i do czegoś się przyznawało. Nie można było wymawiać się wstydem. Nikt nie mógł też pozostać bez winy.

Dla dorosłego człowieka musiało to być naprawdę upokarzające i bolesne doświadczenie – wstawać i krytykować kolegów przed całym zakładem za sprawy związane z pracą czy osobiste porażki. Ale ile wykroczeń mogły popełnić małe dzieci? Atmosfera w klasie podczas tych spotkań zawsze była śmiertelnie poważna. Nauczycielka nie pozwoliłaby nawet na najmniejszy przejaw rozluźnienia, choć oskarżenia, które padały, często były zwyczajnie śmieszne. Nasze wypowiedzi przebiegały według określonego scenariusza – należało zacząć od wybranego przykazania Kim Il-sunga lub Kim Jong-ila, potem wstać i wskazać dziecko, które pogwałciło to zalecenie. Na ironię zakrawał fakt, że mówiliśmy do siebie „towarzyszu", dopiero gdy zaczynaliśmy przerzucać się oskarżeniami i wytykać nawzajem palcami.

Te spotkania nawet u dzieci wywoływały lęk i rodziły rozgoryczenie. Często jednak człowieczeństwo, które przecież jest cechą wspólną dla nas wszystkich, pozwalało dorosłym i dzieciom znaleźć sposób na pozbycie się tych zatruwających duszę emocji. Jeśli nie znajdowałam w sobie siły, by oskarżyć inną osobę, czasem stawiałam zarzuty sobie – było to jak najbardziej dopuszczalne. Niekiedy też umawiałam się z koleżanką, że w czasie jednego spotkania ona skrytykuje moje postępowanie, a w następnym tygodniu ja przedstawię jej jakieś z góry ustalone zarzuty. Na przykład koleżanka wstawała i mówiła:

– Nasz Czcigodny Ojciec Przywódca powiedział, że dzieci powinny zachować czyste umysły i poświęcać się całym sercem nauce. – W tym momencie wskazywała na mnie. – Zauważyłam, że w minionym tygodniu

towarzyszka Park nie uważała na lekcjach.

Wtedy ja zwieszałam głowę i starałam się wyglądać na skruszoną. W następnym tygodniu przychodziła moja kolej. Dzięki temu mogłyśmy pozostać przyjaciółkami. Matka zawierała podobne umowy ze znajomymi w pracy, a i Min-ho brał z nas przykład, gdy już poszedł do szkoły. Sesje te nauczyły mnie, jak przetrwać. Musiałam zachowywać dyskrecję, uważać na to, co mówię i robię, a przede wszystkim pilnować się w towarzystwie innych ludzi. Powoli tkałam swoją maskę, za którą mogłam się skryć – taką samą, jaką z wielką wprawą nosili ludzie dorośli.

Oczywiście uczniowie często czuli, że krytyka spada na nich bez ostrzeżenia. Wtedy zazwyczaj brali odwet. W skrajnych przypadkach kończyło się to tragicznie. Pewnego razu, gdy chodziłam do ostatniej klasy szkoły średniej, jeden z moich kolegów wstał i wskazał na innego chłopca, mówiąc:

– Gdy byłem ostatnio u ciebie w domu, widziałem mnóstwo rzeczy, których wcześniej tam nie było. Skąd wzięliście pieniądze, żeby za to wszystko zapłacić?

Nauczycielka zgłosiła tę sprawę dyrektorowi, a ten doniósł do *Bowibu*. Tajna policja zainteresowała się tym tematem i odkryła, że brat tego chłopca uciekł z kraju i przysyłał rodzinie pieniądze z Korei Południowej. Trzypokoleniowa rodzina została aresztowana pod zarzutem zdrady.

Chociaż sesje samokrytyki, podobnie jak świadomość istnienia informatorów, były dla mnie czymś normalnym, czułam, że nie ma w tym nic dobrego, że takie działania przynoszą wyłącznie szkodę.

***

Przełomowy moment mojej młodości nadszedł, gdy miałam dziewięć lat. Mieszkaliśmy nadal w Hamhung. Jak wszystkie dzieci w tym wieku dołączyłam do oddziałów Młodych Pionierów – północnokoreańskiej organizacji młodzieżowej. W całym kraju jednego dnia odbywały się uroczystości związane z przyjmowaniem nowych członków w szeregi organizacji. Z tej okazji uczniowie, rodzice i nauczyciele zbierali się na placach miejskich. Uważano, że taki dzień zalicza się do najważniejszych w życiu każdego mieszkańca Korei Północnej.

Każde dziecko między dziewiątym a czternastym rokiem życia miało obowiązek dołączyć do organizacji, ale nie wszystkich przyjmowano do niej w jednym terminie. Najpierw trzeba było przejść okropny test pamięciowy – musiałam dowieść, że znam na pamięć wszystkie prawa i obowiązki młodego pioniera. Od tej chwili bez względu na okoliczności miałam żyć zgodnie z nakazami Wielkiego Wodza i Umiłowanego Przywódcy. Miałam myśleć i działać tak, jak głosiła ich nauka. Miałam odrzucać każdego, kto namawiałby mnie do postępowania wbrew ich woli, i natychmiast donosić na takiego człowieka. Umiałam uczyć się na pamięć, więc bez trudu zdałam ten test. A że wszystkie ważniejsze przedmioty szkolne – historia rewolucyjnych losów Kim Il-sunga i Kim Jong-ila – szły mi dobrze, zostałam wyznaczona do udziału w pierwszej ceremonii przyjmowania do Młodych Pionierów w roku. Miało to miejsce 16 lutego 1989 roku, w urodziny Kim Jong-ila.

Kilka dni przed uroczystością, specjalnie na tę okazję, matka kupiła mi nowe buty. Były sprowadzone z zagranicy i kupione w sklepie walutowym, w którym zaopatrywać się mogli tylko ludzie mający dostęp do obcych walut. Byłam tym tak przejęta, że aby mnie uspokoić, matka musiała mi pozwolić zerknąć na nie. Były to oryginalne skórzane półbuty z klamerką, tak zwane Mary Janes, w kolorze głębokiej czerwieni. W niczym nie przypominały tanich butów dostępnych w Publicznym Systemie Dystrybucji, oferowanych wyłącznie w kolorze czarnym. Matka pozwoliła mi wyjąć je z pudełka dopiero na wieczór przed uroczystością.

W czasie ceremonii każde z nas miało otrzymać czerwoną bawełnianą chustę i małą srebrną odznakę pioniera, którą wpinało się w bluzkę czy koszulę. Dla mnie ta chusta była symbolem dorastania, znakiem, że przestaję być dzieckiem, ale podniecenie związane z upragnionym awansem niespodziewanie ustąpiło miejsca oczekiwaniu na możliwość włożenia czerwonych półbutów. Wprost umierałam z niecierpliwości. Noc przed uroczystością przespałam z butami obok łóżka. Kilka razy budziłam się, żeby sprawdzić, czy nadal tam stoją.

Rankiem ekscytacja osiągnęła punkt kulminacyjny. Ceremonia miała się odbyć w szkolnej auli. Specjalnie na tę okazję ściany przystrojono obrazami i kolażami wykonanymi przez dzieci – przedstawiały one tajną bazę partyzantów na górze Paektu, w której urodził się Umiłowany Przywódca, oraz gwiazdę, która zapaliła się na niebie nocą, gdy przyszedł na świat. Dyrektor i nauczyciele przemawiali ze sceny, a głośniki niosły ich

wzmocnione słowa. Na środku sceny stał ogromny bukiet kimjongilii – begonii barwy krwi, którą nazwano tak na cześć Kim Jong-ila. Potem wszyscy zebrani wstali i odśpiewali „Pieśń generała Kim Jong-ila”. Dopiero wtedy pionierzy mogli zacząć podchodzić do sceny, żeby odebrać – z olbrzymim namaszczeniem – chusty i odznaki. Wszyscy zebrani na widowni rodzice bili z zapałem brawo.

Szłam po swoją odznakę i chustę dumna z nowych czerwonych butów. Dzisiaj zaskakuje mnie, że fakt ten nie odbił się w żaden sposób na mojej rodzinie. Przecież wszyscy w szkole musieli je zauważyć. Dopiero wiele lat później zrozumiałam, jak niezwykły był to prezent. Większość z uczestniczących w uroczystościach dzieci – a było ich kilkaset – miała na sobie czarne buty wydawane w Publicznym Systemie Dystrybucji. Matka była bardzo ostrożna, ale − świadomie czy podświadomie − zakorzeniała we mnie potrzebę indywidualizmu.

Tamtego dnia zrobiliśmy mnóstwo zdjęć – grupowych i rodzinnych. Rodzice promienieli dumą. Ojciec miał na sobie mundur. Matka trzymała na rękach dwuletniego Min-ho.

Moi koledzy i koleżanki, których nie przyjęto tego dnia w szeregi pionierów, musieli czekać na swoją okazję aż do 15 kwietnia, kiedy to obchodzono urodziny Kim Il-sunga.

Jedna z moich bliższych przyjaciółek, dziewczynka, która często opuszczała zajęcia, nie została wyznaczona do udziału w lutowych uroczystościach. Z jakiegoś powodu nasza nauczycielka uznała, że razem z kilkoma uczennicami powinnam złożyć tamtej koleżance wizytę i przekonać się, czy wszystko z nią w porządku. Dziewczynka mieszkała w ubogiej i niesympatycznej dzielnicy pełnej chuliganów. Dom, w którym żyła, był mocno zaniedbany. Nasza wizyta zakończyła się zupełnym fiaskiem. W mieszkaniu niemal pozbawionym wyposażenia cuchnęło ściekami. Moja koleżanka wyraźnie starała się ukrywać przed nami nędzę, w jakiej żyła, ale oto przyszłyśmy i tłoczyłyśmy się teraz w dwóch niewielkich pokojach, wpatrując się we własne stopy, podczas gdy nasza nauczycielka, zarumieniona ze wstydu, zasugerowała matce koleżanki, by jej córka pojawiała się w szkole codziennie.

To doświadczenie dało mi do myślenia. Wiedziałam, że niektórzy cieszyli się większymi przywilejami niż inni, ale przecież byliśmy społeczeństwem ludzi równych, żyjącym w najwspanialszym kraju świata. Przecież nasi

Przywódcy poświęcili swoje życie, by dać nam to, co najlepsze. Prawda?

System edukacji w Korei Północnej jest darmowy, choć w rzeczywistości rodziców stale upomina się, by dostarczyli do szkoły takie czy inne materiały, które potem placówka sprzedaje, by móc utrzymać swoje budynki. Moja koleżanka nie przychodziła na lekcje, ponieważ jej rodziców nie było stać na przekazywanie darowizn. Żadne z nas nie spoglądało na życie tak cynicznie, by stwierdzić, że edukacja w Korei Północnej wcale nie była darmowa. Przekazywanie darowizn nazywano patriotycznym obowiązkiem – mogły to być królicze futra na rękawice i czapki dla broniących nas żołnierzy, złom, który przetapiano na broń, miedź, z której produkowano naboje, grzyby i owoce leśne sprzedawane do innych krajów za twardą walutę. Zdarzało się, że nauczyciele ganili dziecko przed całą klasą za to, że jego rodzice nie dostarczyli odpowiedniej ilości towarów.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy miałam dziesięć lat, ojciec oznajmił, że znów się przeprowadzamy – tym razem z powrotem do Hyesan. Matka miała dość zanieczyszczeń i trudów życia w Hamhung; poza tym tęskniła za rodziną i świeżym powietrzem. Uważała, że ośrodek przemysłowy to złe miejsce na wychowywanie Min-ho. Zatem znów czekała nas przeprowadzka. Rodzice bez ustanku mówili o Hyesan i tamtejszych mieszkańcach.

Wracaliśmy do domu.

Min-ho, matka i ja pomachaliśmy z okna wagonu na pożegnanie ojcu i całemu Hamhung. Ojciec miał dołączyć do nas za dzień czy dwa. Podróż do domu nie utkwiłaby mi tak bardzo w pamięci, gdyby nie trauma, jaka stała się naszym udziałem – matka i ja na zawsze zapamiętałyśmy tamten strach.

W drodze na północ czekała nas przesiadka w Kil-ju, mieście na wschodnim wybrzeżu. Na stacjach kolejowych w Korei Północnej przeprowadza się bardzo staranne kontrole dokumentów. Pasażerowie często są sprawdzani i przez policję, i przez kontrolerów biletów. Nikt nie może wsiąść do pociągu, jeśli nie ma pozwolenia na podróż wbitego w przepustkę. Do pozwolenia dołączony jest bilet, który zachowuje ważność przez cztery dni. Ten zestaw dokumentów jest sprawdzany wielokrotnie podczas całej prowadzącej do celu drogi. Kobieta sprawdzająca nasze bilety przejrzała papiery wręczone przez matkę, po czym oznajmiła opryskliwie, że nasz bilet stracił ważność. Zachowywała się przy tym jak typowy urzędnik, z którym ma się do czynienia w Korei Północnej – niczym mniejsza wersja Wielkiego

Wodza w mundurze. Zabrała przepustkę matki i jej bilet, po czym kazała nam czekać.

Matka skryła twarz w dłoniach. Byliśmy w nie lada kłopotach. Żeby kupić nowy bilet, potrzebowała nowego pozwolenia wydanego w Hamhung. To zaś wymagało czasu, a ona miała ze sobą dwójkę dzieci i bagaże. Byliśmy zdani sami na siebie. Min-ho zaczął głośno płakać; matka zdjęła go z nosidełka na plecach, wzięła na ręce i razem ze mną usiadła na ławce w budynku dworca. Złapałam ją za rękę. Musiałyśmy wyglądać naprawdę żałośnie, bo podszedł do nas mężczyzna ubrany w szary mundur pracownika Koreańskich Kolei Państwowych. Uśmiechnął się serdecznie i zapytał, co się stało. Matka opowiedziała mu o całym zajściu, a on poszedł do biura inspektorki. Nie było jej tam, ale przyniósł bilet matki i jej przepustkę i po prostu oddał jej dokumenty.

Szepnął przy tym:

– Gdy pociąg wjedzie na stację, wskakujcie do środka. A gdyby przyszła was szukać, schowajcie się. − Matka była tak wdzięczna, że poprosiła go o adres, by móc przesłać mu coś w podzięce za przysługę. On jednak tylko uniósł dłonie i powiedział: – Nie ma na to czasu.

Pociąg właśnie wtaczał się na stację, ciągnąc za sobą smród latryn i rozgrzanego metalu. Ledwie wyhamował z piskiem, gdy zaczęły otwierać się pierwsze drzwi do wagonów.

Wsiedliśmy. Wagon był zabity ludźmi. Matka szybko wyjaśniła współpasażerom sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, i spytała, czy możemy skryć się między nimi. I rzeczywiście − zaledwie minutę później rozległ się głos inspektorki wypytującej o nas na peronie. Potem usłyszeliśmy, że wsiada do wagonu.

– Widzieliście kobietę z dzieckiem na ręku i małą dziewczynką? – wołała na wszystkie strony. – Czy wsiadła do pociągu?

– Poszła w tamtą stronę – odezwało się jednogłośnie dwoje ludzi.

Kobieta wysiadła, rozglądając się za nami na wszystkie strony. Wstrzymując oddech, nasłuchiwałyśmy, jak wypytuje kolejnych ludzi na peronie. Dlaczego pociąg jeszcze nie ruszył? Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Wreszcie dał się słyszeć przenikliwy dźwięk gwizdka. Pociąg ruszył, podzwaniając przy tym sprzęgami. Matka spojrzała na mnie i odetchnęła z ulgą. Przez cały czas bała się, że Min-ho znów zacznie płakać i zdradzi naszą obecność.

Życzliwość wobec obcych nie jest często spotykana w Korei Północnej − zawsze niesie ze sobą ryzyko. Ironia polega na tym, że państwo, zmuszając nas, byśmy stali się dobrymi obywatelami, wytworzyło społeczeństwo oskarżycieli i donosicieli. To, co się nam przydarzyło w drodze do Hyesan, było tak niezwykłe, że matka wspominała tamte chwile jeszcze wiele razy, zawsze zaznaczając, jak bardzo wdzięczna jest tamtemu mężczyźnie i pozostałym pasażerom. Kilka lat później, gdy kraj przechodził najcięższy okres w swoich dziejach, pamiętaliśmy o nim. Dobrzy ludzie, którzy stawiali dobro innych przed własnym, umierali wtedy jako pierwsi. Przetrwać mogli jedynie ci bezwzględni i samolubni.

1 Winylon został wytworzony przez Ichiro Sakuradę, Ri Sung Gi, Hiroshiego Kawakami na Cesarskim Uniwersytecie w Kioto. Po zakończeniu II wojny światowej i utworzeniu Korei Północnej Ri Sung Gi zbiegł do nowo powstałego państwa, zabierając ze sobą wiedzę dotyczącą technologii wytwarzania tego włókna (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 7

ZŁOTE LATA HYESAN

W Hyesan zamieszkaliśmy w innym domu niż poprzednio, wyznaczonym jak zawsze przez wojsko. Naszymi sąsiadami byli inni oficerowie i ich rodziny. Warunki mieszkaniowe, jak na północnokoreańskie możliwości, były dobre. Mieszkanie miało dwa pokoje i osobną toaletę turecką. Ogrzewanie podłogowe działało z pełną mocą, przez co klej, którym do podłogi przytwierdzona była *reja* – rodzaj linoleum – zaczął wydzielać woń przywodzącą na myśl grzyby. Niestety budynek był słabo ocieplony, więc zimą zdarzało się, że choć w plecy było nam ciepło, nosy mieliśmy lodowate, a gdy chcieliśmy wziąć ciepłą kąpiel, trzeba było gotować wodę.

Do nowego mieszkania matka od razu wprowadziła swoje zwyczajowe porządki – zmieniła tapetę i meble. Bardzo cieszyła się z powrotu do Hyesan i odnowienia kontaktów z rodziną i dawnymi znajomymi. Czuliśmy, że jesteśmy na swoim miejscu.

Podczas naszej nieobecności Hyesan rozkwitło. Nielegalnie sprowadzane z Chin towary płynęły przez granicę strumieniem szerszym niż kiedykolwiek wcześniej. Moja matka uznała, że chce mieć w tym swój udział. Zatrudniła się w miejscowym urzędzie, ale nie zarabiała tam wiele – tak zresztą było na większości posad państwowych. Matka chciała zarabiać konkretne pieniądze, jak Ciotka Śliczna, Wuj Zamożny czy Wuj Opium.

Wydawało się, że w Hyesan można dostać dosłownie wszystko – wysokogatunkowe alkohole, drogie perfumy, ubrania zachodnich marek i japoński sprzęt elektroniczny – było to tylko kwestią ceny. Przemytnicy szmuglowali towary z Changbai, powiatu leżącego po chińskiej stronie, oddzielonego od nas jedynie wąską, płytką rzeką, i przekazywali je swoim koreańskim kontaktom. Czasami też przenosili kontrabandę przez Most

Międzynarodowy Changbai–Hyesan (zwany też Mostem Przyjaźni). Ten ostatni proceder wymagał przekupienia północnokoreańskich celników. Z kolei przenoszenie towarów przez rzekę wiązało się z wręczeniem łapówek straży granicznej. Gdy zimą rzeka zamarzała, przemytnicy przechodzili na drugą stronę po lodzie. W pozostałe pory roku przemykali się brodem nocami, a w skrajnych przypadkach – gdy strażnicy byli przekupieni i mieli swój udział w przemycie – również w biały dzień.

Wszędzie wokół widzieliśmy dobrobyt. Oczywiście nikt spoza Korei Północnej nie byłby w stanie tego zaobserwować, bo Koreańczycy są biedni i nie chcą przyciągać nadmiernej uwagi państwa. Każdy, kto obserwowałby Hyesan z Chin, zobaczyłby miasto pogrążone nocą w ciemnościach, z nielicznymi tylko lampami naftowymi palącymi się w oknach. Za dnia obserwator widziałby tylko szare, ponure miasto, w którym ludzie co rano, bez zapału, jadą na swoich rowerach do pracy. Ale wszędzie wokół widać było znaki. Specjalny hotel dla cudzoziemców, do którego rodzice w nagrodę czasami zabierali mnie i Min-ho (dyrektor był przyjacielem matki), był zawsze pełen chińskich biznesmenów przyjeżdżających do Hyesan w interesach. Rankami schodziliśmy razem z nimi na śniadanie, ale nigdy z nikim nie rozmawialiśmy, z obawy przed podsłuchującymi agentami *Bowibu*. Działający naprzeciwko stacji kolejowej sklep walutowy obsługiwał mnóstwo ludzi chętnych pozbyć się twardej waluty w zamian za towary niedostępne w ramach Publicznego Systemu Dystrybucji. Wizyty w sklepie przypominały wejście do magicznej jaskini. Zawsze zaskakiwało mnie, jak kolorowe są wszystkie te opakowania. Wyprodukowane za granicą ciastka i czekoladki były owinięte w srebrne i fioletowe papierki, przez co nie sposób było się im oprzeć, a soki owocowe – pomarańczowe, jabłkowe i grejpfrutowe – stały w niezliczonych butelkach opisanych zachodnim pismem. Przed sklepem zawsze kręciło się kilku waluciarzy, natrętnych niczym muchy. Matka mijała ich, nie przystając nawet na chwilę. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Mówiła, że oszukują ludzi – podobno zwijali pocięte gazety w rulony i układali na wierzchu kilka prawdziwych banknotów, bo wiedzieli, że nikt, kto kupował nielegalnie pieniądze, nie może się nigdzie poskarżyć. Miejski salon piękności też był pełen klientek, które czekały na zrobienie trwałej (żadna kobieta nie farbowała włosów; to było absolutnie zabronione), a w restauracjach ciężko było znaleźć wolny stolik. Najbardziej charakterystyczne było zaś to, że na wszystkich placach

panował nieprzerwany harmider – ludzie robili interesy.

Pozycja targowisk w północnokoreańskim społeczeństwie nie jest jasna. Rząd kilka razy próbował zabronić ich funkcjonowania lub wyraźnie ograniczyć godziny, w których można było z nich korzystać, szczególnie od czasu, gdy Kim Jong-il, władający faktycznie za swojego ojca, oznajmił, że stanowią one pożywkę dla różnego rodzaju niesocjalistycznych praktyk. (Nie mylił się zresztą). Nie mógł jednak zlikwidować ich całkowicie, dopóki Publiczny System Dystrybucji ciągle się załamywał i nie dostarczał ludziom potrzebnych do życia towarów. Od czasu do czasu zdarzały się niezapowiedziane naloty z rozkazu władz w Pyongyang i wtedy targowiska zamykano bez ostrzeżenia, lecz zaledwie kilka dni później wszystko wracało do normy, a handel znów podnosił się niczym niemożliwy do wytępienia chwast. Zasady działania targów zmieniały się szybciej niż kierunek wiatru. Przez wiele lat handel ryżem był nielegalny, bo ryż stanowił święty dar od Wielkiego Wodza. Ale gdy chodziłam z matką na targ, a zdarzało się to regularnie, ryż można było kupić tak samo łatwo jak mięso, warzywa, garnki, ubrania z Chin, kosmetyki czy – ukryte pod matami, oferowane i kupowane z narażeniem życia – kasety magnetofonowe z zagraniczną muzyką pop. Towary z Japonii uważano za najlepsze jakościowo. Zaraz za nimi plasowały się produkty z Korei Południowej (pieczołowicie usuwano z nich wszystkie etykiety i znaki towarowe, które można by skojarzyć z naszym głównym wrogiem). Na samym końcu znajdowały się towary z Chin.

Matka nie traciła czasu. Szybko nawiązała kontakty z chińskimi handlarzami mieszkającymi po drugiej stronie rzeki, w Changbai. Wkrótce zza rzeki zaczęły napływać towary, które matka sprzedawała dalej, zgarniając z tego tytułu niezły zysk. Jej głównymi partnerami w interesach byli pan Ahn i pan Chang – dwaj Chińczycy koreańskiego pochodzenia mieszkający po drugiej stronie rzeki.

***

Dwa lata po powrocie do Hyesan wybrałyśmy się do wróżbitki.

Wstałyśmy bardzo wcześnie, na dworze wciąż było ciemno. Ojciec i Min-ho jeszcze spali. Panowała wiosna i na pustych, brudnych ulicach zaczęły pojawiać się pierwsze zielone pąki. Szybkim krokiem zmierzałyśmy w stronę

stacji, żeby złapać pierwszy pociąg do Daeoh-cheon, ten sam, którym luzie dojeżdżali do pracy. Daeoh-cheon było wioską, w której mieszkała wróżbitka.

Matka znała kilka takich osób i wydawała u nich ogromne sumy. Nie byłam zadowolona, że zbudzono mnie tak wcześnie, ale matka powiedziała, że z duchami najłatwiej jest się porozumieć tuż przed świtem.

– Dzięki temu będzie dokładniejsza − zaznaczyła.

Poza tym matka chciała uniknąć tłoku. Czasami przyjeżdżała na próżno. Sąsiedzi informowali ją wtedy, że wróżbitka została zabrana gdzieś mercedesem z przyciemnianymi szybami – samochodem, który najwyraźniej należał do któregoś z wysokich dygnitarzy partyjnych. Korea Północna to państwo świeckie. Każdy przyłapany na posiadaniu Biblii ryzykuje natychmiastową egzekucję lub dożywocie w obozie pracy. Wszelkie duchowe potrzeby powinien załatwiać jedyny dozwolony kult – kult Kima. Szamani i wróżbici nie mają prawa praktykować, ale wysoko postawieni członkowie Partii lubią się z nimi konsultować. Krążą nawet pogłoski, że sam Kim Jong-il szukał rady u wróżbitów.

Dom naszej wróżbitki był bardzo stary. Miał tylko jedną kondygnację i gliniane ściany podtrzymywane deskami. Dach był kryty strzechą. Nie miałam pojęcia, że takie domy nadal istnieją. Chatka cuchnęła wilgocią i wyraźnie chyliła się ku ziemi. Wróżbitka okazała się starszą kobietą o gęstych, rozczochranych włosach. Wychowywała samotnie wnuczkę.

– Chciałabym poradzić się w sprawie handlu – powiedziała przyciszonym głosem matka. – Mój chiński wspólnik ma towar. Chcę wiedzieć, kiedy powinnam zgłosić się do niego po odbiór.

Oznaczało to tyle, że chciała poznać najlepszą datę na przeszmuglowanie towaru bez narażania się na niebezpieczeństwo. Czasami, gdy data była już ustalona, matka opłacała odpowiednią ceremonię, by ustrzec się pecha.

Wróżbitka rozsypała garść ryżu na blacie stołu i paznokciem przesuwała pojedyncze ziarenka, dzieląc je na grupy. Przyglądała się intensywnie powstałym w ten sposób kupkom, a potem zaczęła gwałtownie paplać. Nie potrafiłam stwierdzić, czy mówi do nas czy do duchów. Z pewnością jednak mówiła o dniu, w którym najlepiej byłoby odebrać towar.

– Gdy będziesz wychodzić tego dnia z domu, przejdź przez próg lewą nogą. Potem rozsyp wokół trochę soli i pomódl się do górskich duchów o pomyślność.

Matka pokiwała głową. Czuła się usatysfakcjonowana.

– To moja córka – powiedziała później i podała wróżbitce datę i godzinę mojego przyjścia na świat. Wróżbitka spojrzała mi prosto w oczy w sposób, który mocno mnie zaniepokoił. Potem opuściła powieki, jakby stała na scenie.

– Twoja córka jest bardzo mądra – powiedziała. – Jej przyszłość będzie związana z muzyką. Będzie jadła obcy ryż.

Gdy wracałyśmy na stację, słońce dopiero wschodziło. Powietrze było doskonale przejrzyste i rześkie. Granie odcinały się na tle nieba, ale u podnóża gór, między pniami sosen, ciągle snuła się mgła. Matka szła powoli szutrową drogą, trzymając mnie za rękę. Rozmyślała o przepowiedni. Uznała, że „obcy ryż" oznacza, iż będę żyła za granicą. A potem westchnęła głęboko, zrozumiawszy, że prawdopodobnie wyrzuciła pieniądze w błoto. Żaden zwykły obywatel Korei Północnej nie wyjeżdżał za granicę, nie mówiąc o emigracji na stałe. Tak to było z wróżbitami. Mówili ci coś, ale to od ciebie zależało, jak zinterpretujesz ich słowa. Jednak mimo sceptycznego podejścia do metody ustalania daty przemytu skłonna byłam uwierzyć w to, co wróżbitka powiedziała na mój temat. Ja też uważałam, że zwiążę przyszłość z muzyką. Zaczęłam nawet brać lekcje gry na akordeonie i całkiem dobrze mi szło. Akordeon był popularnym instrumentem muzycznym w Korei Północnej. Został nam w spadku po II wojnie światowej i oddziałach Armii Czerwonej stacjonujących na półwyspie, choć Partia nigdy oficjalnie nie uznała istnienia obcych wpływów kulturowych. Myślałam, że z przepowiedni staruszki wynika, że będę grać zawodowo na akordeonie i poślubię kogoś z innej prowincji. Może nawet było mi pisane mieszkać w Pyongyang. To byłoby jak spełnienie marzeń. Tylko najbardziej uprzywilejowani mogli się tam osiedlić. Rozmyślałam o tym całymi tygodniami, aż jedno wydarzenie przekreśliło wszystkie moje marzenia i położyło się cieniem na całym moim dzieciństwie.

ROZDZIAŁ 8

TAJEMNICZA FOTOGRAFIA

Pewnego dnia, kilka miesięcy po wizycie u wróżbitki, w czasie letnich wakacji, matka zabrała gdzieś Min-ho, a mnie zostawiła u babki. Babka była wspaniałą kobietą – fascynującą i inteligentną – która zawsze miała na podorędziu odpowiednią opowieść. Siwe włosy spinała w staromodny kok przebity długą szpilką, na dawną koreańską modłę. Tego dnia też opowiedziała mi historię. Ta opowieść jednak zniszczyła mi życie.

Do dziś nie wiem, dlaczego to zrobiła. Nigdy nie była złośliwa. I nie wydaje mi się, by umysł zaczął płatać jej figle, by kazał zapomnieć o tym, że pewne sprawy powinny na zawsze pozostać tajemnicą. Potrafię to wyjaśnić tylko w jeden sposób – babka musiała uznać, że lepiej będzie, jeśli poznam prawdę, będąc dzieckiem. Być może bała się, że gdybym odkryła to jako dorosła kobieta, trudniej byłoby mi się z tym pogodzić. Jeżeli rzeczywiście tak było, to muszę przyznać, że popełniła straszliwy błąd.

Tamten sobotni ranek był wyjątkowo ciepły. Drzwi i okna otworzyłyśmy szeroko. Sójki latały wokół podwórka, ćwierkając wesoło. Co chwilę lądowały przy misce wypełnionej wodą, by się z niej napić. Siedziałam z babką przy stole, gdy nagle zaczęła mi się intensywnie przyglądać. A potem nagle zapytała miękko:

– Wiesz, że twój ojciec nie jest twoim prawdziwym ojcem? – Wyciągnęła dłoń i mocno ścisnęła moje ramię. – Nazywasz się Kim, a nie Park. – Zapadła długa cisza. Nie wiedziałam, dokąd ma zmierzać ta rozmowa, ale nie wykluczam, że uśmiechnęłam się niepewnie. To mógł być jeden z żartów babki. Podobnie jak moja matka, miała ona bowiem niebywałe poczucie humoru. Widząc, że nie wiem, co o tym myśleć, dodała: – To szczera prawda.

Później wstała i podeszła do przeszklonej szafki, w której trzymała swoje najlepsze miski i talerze. Szafka na samym dole miała niewielką szufladę. Gdy babka schyliła się sztywno, na jej karku mignął fragment sznurka, na którym nosiła legitymację partyjną. Wyjęła z szuflady tekturową kopertę i podała mi ją. Poczułam zapach stęchlizny.

– Otwórz.

Wsadziłam dłoń do środka i wyciągnęłam czarno-białą fotografię. Przedstawiała uczestników wesela. Od razu rozpoznałam matkę. To ona była panną młodą. Miała na sobie piękne *chima jeogori*. Ale całość nie miała sensu. Obok matki, zamiast mojego ojca, stał jakiś obcy mężczyzna. Był wysoki i przystojny, miał gładko zaczesane czarne włosy i garnitur skrojony w zachodnim stylu. Za nimi wznosił się odlany z brązu pomnik Kim Il-sunga, na którym Wódz wyciągał ramię, jakby kierował ruchem drogowym.

Babka wskazała mężczyznę w garniturze i oznajmiła:

– To twój ojciec. A ta pani – puknęła palcem w postać pięknej kobiety stojącej po prawej stronie pana młodego – to jego siostra, twoja ciotka. Jest aktorką w Pyongyang. Bardzo ją przypominasz. – Westchnęła głęboko. – Twój ojciec był naprawdę miłym człowiekiem i bardzo cię kochał.

Miałam wrażenie, że w pokoju pociemniało. Moja więź ze światem została zerwana w jednej chwili. Unosiłam się w poczuciu odrealnienia, zagubiona we własnych emocjach.

Babka wyjaśniła mi, że matka kochała mojego obecnego ojca tak mocno, że nie potrafiła żyć z człowiekiem, którego poślubiła – z moim biologicznym ojcem. Dlatego wzięła z nim rozwód.

Mój ojciec nie jest moim ojcem? pomyślałam i zaczęłam płakać. Jak ona może mówić coś takiego?

Nie odzywałam się. Babka najwyraźniej odgadła, jakie pytanie zrodziło się w mojej głowie. Nie zdążyłam nawet otworzyć ust. Mam zresztą wrażenie, że gdybym spróbowała coś powiedzieć, rozpadałabym się na kawałki.

– Min-ho jest twoim przyrodnim bratem – stwierdziła babka, kiwając głową z przekonaniem. Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem, a ona mówiła dalej: – Kilka lat temu, gdy twoja matka odwiedzała Wuja Zamożnego w Pyongyang, przypadkiem wpadła na ulicy na twojego prawdziwego ojca… – Przeszedł mnie dreszcz. Nie podobało mi się, że babka nazywa tego człowieka moim ojcem. – … miała przy sobie twoje zdjęcie i pokazała mu je. Nic nie powiedział. Przyglądał się mu długo, a potem wsadził je do kieszeni

i odszedł, zanim zdołała go powstrzymać. – Babka spojrzała przez okno gdzieś nad szczytami gór. – Napisałam potem do jego siostry, tej aktorki, żeby dowiedzieć się, co się z nim stało. Powiedziała mi, że niedługo po rozwodzie znów wziął ślub i urodziły mu się bliźniaczki. Jedną z nich nazwał Ji-hae. To po tobie. – Ji-hae. A więc nazywałam się Ji-hae. Cień przemknął przez twarz babki. – Nie powinien był tego robić.

W Korei Północnej panuje przekonanie, że jeśli człowiek weźmie ponownie ślub i dziecku z drugiego małżeństwa nada takie samo imię, jakie miało dziecko z pierwszego małżeństwa, to drugie dziecko umrze. – Kiedy dziewczynka była mała, zachorowała i umarła – dokończyła babka.

Dom babki opuściłam zupełnie ogłuszona. Czułam się pusta w środku, miałam ochotę płakać, a jednocześnie nic nie czułam. Babka nie mówiła nic o utrzymywaniu tajemnicy, ale wiedziałam, że nigdy nie przyznam się ani matce, ani ojcu, ani nikomu innemu do tego, co tam usłyszałam. Byłam zbyt mała, by wiedzieć, że w takich sytuacjach należy mówić. Zamiast tego zagrzebałam tę sprawę głęboko na dnie serca, a ona natychmiast zaczęła mnie podgryzać. Ale nadal byłam mocno skołowana. Rozumiałam tylko tyle, że ta historia wyjaśnia przynajmniej jedno – chłód, z jakim traktowali mnie rodzice ojca i ich wylewność i szczodrość względem Min-ho. W żyłach mojego brata płynęła ich krew. W moich nie.

Gdy wróciłam do domu, Min-ho siedział na podłodze i rysował coś z zapałem. Spojrzałam na kartkę i poczułam się jeszcze bardziej ogłuszona. Znów zebrało mi się na łzy. Byłam też zła. Rysunek, jak to u małego dziecka, był prymitywny, lecz na swój sposób uroczy. Stały na nim cztery patykowate figurki: ja, mój brat, matka i ojciec. Trzymaliśmy się za ręce, a nad nami świeciło słońce. Jego tarcza miała twarz mężczyzny w okularach – Kim Il-sunga.

Min-ho miał wtedy pięć lat. Wyrósł na miłego chłopca. Miał śliczny uśmiech i lubił pomagać naszej matce. Teraz jednak miałam wrażenie, że wyrosła między nami niewidzialna ściana. Był tylko moim przyrodnim bratem.

Od tego dnia łączące nas stosunki uległy zmianie. Stałam się starszą siostrą, która ciągle go zaczepiała. Prowokowałam bójki, których nie mógł wygrać. Teraz strasznie tego żałuję.

– Co z tobą nie tak? – pytała matka. – Dlaczego nie możesz zachowywać się jak Min-ho?

Potrzeba było wielu lat, żebym zdołała przetrawić wiadomość, którą tamtego dnia przekazała mi babka, i znów wyciągnąć rękę do mojego brata.

Tego wieczoru przy kolacji milczałam. Matka opowiadała coś o interesie, który organizowała Ciotka Śliczna. Min-ho został upomniany, żeby nie trzymał pałeczek w powietrzu. Ojciec zachowywał się spokojnie, jak zawsze. W końcu zwrócił się do mnie:

– Co ci jest? Siedzisz cichutko jak myszka.

Wbiłam wzrok w swoją miskę. Nie potrafiłam na niego spojrzeć.

W Korei Północnej rodzina jest wszystkim. Liczy się krew. Liczy się *songbun*. To nie jest mój ojciec...

Zaczęłam zwiększać dystans między nami, odpychałam go i sama się odsuwałam. Wmawiałam sobie, że już go nie kocham. Ból kazał mi tak myśleć.

Zaczęłam unikać człowieka, który zawsze był mi ojcem.

ROZDZIAŁ 9

BYĆ DOBRYM KOMUNISTĄ

Dołączyłam do stojących na ulicy dzieci. Nikt się nigdy nie spóźniał. Poprawiliśmy nasze czerwone chusty i ustawiliśmy się w szeregu. Przewodniczący klasy, który zawsze stawał na czele naszego pochodu, uniósł czerwony sztandar i ruszył przed siebie, a my poszliśmy za nim, wymachując zamaszyście ramionami i śpiewając na całe gardła:

Kto w partyzantce dokonał wielkich czynów?

Kto z patriotyzmu nieskończonego w świecie słynie?

We wrześniu 1992 roku zaczęłam uczęszczać do szkoły średniej w Hyesan i w ten sposób każdego ranka o ósmej maszerowałam na lekcje. Wszyscy znali te pieśni tak dobrze, że chcąc nie chcąc, zaczynaliśmy śpiewać w harmonii.

Tak drogie naszym sercom jest Generała imię,

Wspaniały Kim Il-sung niech po wsze czasy słynie!

Na tym etapie życia niegdyś tak upragniona czerwona chusta już tylko irytowała. Matka nauczyła mnie dbać o swój wygląd, przez co nie miałam ochoty nosić zgrzebnych północnokoreańskich ubrań. Chciałam się wyróżniać. Poza tym po pewnym incydencie, do którego doszło nieco wcześniej wiosną tego roku, stałam się bardziej świadoma swojego ciała.

Tamtego dnia matka przyszła do szkoły, żeby zjeść ze mną obiad. Siedziałyśmy w słońcu przed budynkiem, tuż nad rzeką, i jadłyśmy kulki ryżowe, gdy nagle z okna klasy na drugim piętrze wychylił się jakiś chłopiec i krzyknął tak głośno, że musieli słyszeć go w Chinach:

– Hej, Min-young, ale twoja matka jest brzydka! Nie to co ty!

Słyszałam, jak stojący za nim chłopcy zaczęli się śmiać. Miałam dopiero dwanaście lat, ale twarz poczerwieniała mi ze złości. Nigdy nie uważałam, że

moja matka jest brzydka. Czułam się znacznie bardziej upokorzona niż ona. Ją to zdarzenie właściwie rozbawiło i upomniała mnie tylko, żebym się uspokoiła. Uszczypnęła mnie w policzek i powiedziała:

– Chłopcy zaczynają zwracać na ciebie uwagę.

***

Uczyliśmy się koreańskiego, matematyki, muzyki, plastyki i etyki komunistycznej – przedziwnej mieszanki północnokoreańskiego nacjonalizmu i tradycji konfucjańskich. Nie sądzę, by miało to wiele wspólnego z komunizmem w jego zachodnim rozumieniu. Zaczęłam też uczyć się rosyjskiego, chińskiej kaligrafii, geografii, chemii i fizyki. Ojciec kładł szczególny nacisk na naukę chińskich znaków, utrzymując, że to bardzo ważne. Wiele słów w koreańskim i japońskim wywodzi się ze starożytnego chińskiego i choć języki te znacznie odeszły od pierwowzoru, Chińczycy, Japończycy i Koreańczycy bardzo często potrafią porozumiewać się na piśmie. Wtedy nie widziałam w tym większego sensu, tym bardziej że miałam na głowie ważniejsze sprawy – chłopców i ubrania. Nie wiedziałam jeszcze, że przyjdzie czas, gdy będę dziękować ojcu gorącą modlitwą za to, że kazał mi się uczyć chińskiego. Był to prawdziwy dar losu. Pewnego dnia znajomość tych znaków uratuje mi życie.

Również na tym etapie nauczania najważniejszymi przedmiotami zgłębianymi z największą starannością, były zajęcia koncentrujące się na życiu i przemyśleniach przewodzących nam Wielkiego Wodza i Umiłowanego Przywódcy. Lekcje związane z kultem Kimów zajmowały znaczną część programu nauczania. To, co w szkole podstawowej było zwykłymi „zajęciami” związanymi z Kimami, w szkole średniej stało się traktowanym z najwyższą powagą tematem studiów. Mieliśmy nawet oddzielną „salę badań” poświęconą Kim Il-sungowi, Kim Jong-ilowi i jego matce Kim Jong-suk. Pomieszczenie to było najporządniejszym w całej szkole, wykonanym z najlepszych materiałów, na które musieli się złożyć rodzice uczniów. Drzwi były zawsze szczelnie zamknięte, by kurz nie osiadał na umieszczonych wewnątrz sali fotografiach. Przed wejściem do środka musieliśmy zdejmować buty, a wpuszczano nas tam tylko wtedy, gdy mieliśmy na nogach nowe białe skarpetki.

Historii uczono bardzo powierzchownie. Wiedza o minionych dziejach nie została wyryta w kamieniu i od czasu do czasu spisywano ją na nowo. Moich rodziców uczono w szkole, że admirał Yi Sun-shin, dowódca floty i taktyk, którego działania przyczyniły się do odparcia japońskiej inwazji w XVI wieku, był jednym z największych bohaterów w historii Korei. Za moich czasów jego dokonania znacznie umniejszono. Mówiono nam, że admirał Yi robił co w jego mocy, lecz w tamtych czasach społeczeństwo było mocno uwstecznione i tak naprawdę nikt w historii Korei nie wyróżniał się znacząco. Dopiero Kim Il-sung, największy przywódca wojskowy w dziejach ludzkości, wyróżnił się w sposób naprawdę istotny.

Przedmioty wykładano nam bez cienia wątpliwości. W czasie lekcji tylko nauczycielka miała prawo zadawać pytania, a gdy wywoływała jakiegoś ucznia do odpowiedzi, ten miał obowiązek wstać, stanąć prosto, z ramionami spuszczonymi wzdłuż ciała, i wykrzyczeć odpowiedź niczym kapral w wojsku. Nie oczekiwano od nas, że wyrobimy sobie własną opinię, będziemy dyskutować na poważne tematy czy interpretować przedstawiane nam idee. Praca domowa niemal zawsze polegała na uczeniu się na pamięć, co przychodziło mi wyjątkowo łatwo. Dzięki temu często miałam najlepsze oceny w klasie.

Propaganda wdzierała się we wszystkie dziedziny wiedzy. Podręczniki do geografii zawierały zdjęcia wyjałowionych połaci ziemi wysuszonej tak bardzo, że aż pękała.

– Tak wygląda typowe gospodarstwo rolne w Korei Południowej – mówiła nauczycielka. – Rolnicy nie mogą tam uprawiać ryżu. Dlatego ludzie w tamtym kraju tak bardzo cierpią.

W książkach do matematyki pojawiały się zadania, których treść miała budzić określone emocje. „W czasie jednej bitwy wielkiej wyzwoleńczej wojny domowej trzech dzielnych wujków walczących w Koreańskiej Armii Ludowej powaliło trzydziestu amerykańskich bydlaków. Jaki był stosunek rozkładu sił na polu walki?”.

Wszystko, czego uczono nas o Ameryce, miało negatywny wydźwięk. W bajkach dla dzieci Amerykanie byli przedstawiani jako warczące szakale, na plakatach propagandowych każdy wyglądał tak samo – miał jasne włosy i haczykowaty nos oraz tyczkowatą posturę. Mówiono nam, że Amerykanie cuchną. Mieli zmienić Koreę Południową w „piekło na ziemi” i utrzymywać tam marionetkowy rząd. Nauczyciele nie przepuszczali żadnej okazji, by

przypomnieć nam o przewrotności Amerykanów.

– Jeśli spotkacie kiedyś na ulicy amerykańskiego bydlaka i on zaproponuje wam cukierka, pod żadnym pozorem go nie bierzcie! – ostrzegała nas jedna z nauczycielek, wymachując palcem w powietrzu. – Gdybyście przyjęli słodycze, on zaraz oznajmiłby, że dzieci z Korei Północnej to mali żebracy. A jeśli zadawałby wam jakiekolwiek pytania, musicie mieć się na baczności i uważać na to, co mówicie.

Spojrzeliśmy na siebie. Nikt z nas nigdy nie widział Amerykanina. Do Korei Północnej rzadko przyjeżdżali ludzie z Zachodu, nie mówiąc już o Amerykanach, ale z jakichś przyczyn groźba nieznanego sprawiała, że to ostrzeżenie zdjęło nas jeszcze większym przerażeniem.

Nauczyciele ostrzegali nas też przed Chińczykami – naszymi braćmi w komunizmie, żyjącymi za rzeką. Uprzedzali, że zazdroszczą Koreańczykom i dlatego nie wolno im ufać. W moim odczuciu nie kłóciło się to ze zdrowym rozsądkiem, bo bardzo wiele towarów z Chin, które pojawiały się na targu, było wątpliwej jakości. Dodatkowo krążące po Hyesan miejskie legendy zdawały się potwierdzać słowa nauczycieli. Zgodnie z jedną z nich Chińczycy mieli używać ludzkiej krwi do farbowania tkanin na czerwono. Przez tę historię śniły mi się w nocy koszmary. Zresztą opowieści tego typu trafiały również do świadomości mojej matce. Gdy pewnego razu znalazła jaja owadów w kupionej z Chin bieliźnie, zaczęła się zastanawiać, czy producent nie podrzucił ich tam celowo.

***

Pewnego dnia na początku pierwszego semestru usłyszeliśmy ogłoszenie. Nauczyciel zapowiedział, że wkrótce rozpoczną się ćwiczenia przed igrzyskami masowymi. Igrzyska masowe, jak oznajmił, stanowiły niezbędny element naszej edukacji. Ćwiczenia, organizacja działań i dyscyplina konieczne do ich przeprowadzenia miały zrobić z nas dobrych komunistów. Od razu wyjaśnił, o co mu chodziło, powołując się przy tym na słowa Kim Jong-ila: skoro każde dziecko wie, że wystarczy najmniejszy błąd popełniony przez jednego człowieka, by zniszczyć przedstawienie przygotowywane przez tysiące osób, to takie dziecko nauczy się podporządkowywać swoją wolę woli kolektywu. Mówiąc wprost, choć wtedy oczywiście byliśmy zbyt

mali, by to zrozumieć, igrzyska masowe miały służyć jednemu – zniszczeniu przejawów samodzielnego myślenia.

Igrzyska masowe wyznaczały najważniejsze daty w kalendarzu naszych świąt. Ćwiczyliśmy do nich niemal cały rok, z wyjątkiem najzimniejszych tygodni. Ćwiczenia odbywały się na terenie szkoły, co stawało się szczególnie przykre w czasie letnich upałów. Ostatnie próby prowadzono na stadionie sportowym w Hyesan. Najważniejszym świętem w roku był 15 kwietnia, urodziny Kim Il-sunga. Na urządzonej z tej okazji paradzie grałam na bębnach. Następna okazja przypadała 2 czerwca, w czasie Dnia Dziecka. Organizowano wtedy występy gimnastyczne i kolejne parady, w czasie których szliśmy przez miasto niosąc intensywnie czerwone sztandary. Potem ćwiczyliśmy przed Dniem Zwycięstwa w wielkiej wyzwoleńczej wojnie domowej (chodzi tu o wojnę w Korei), który przypadał na dzień 27 lipca. Z tej okazji łączyliśmy wysiłki z innymi szkołami, tworząc ogromne chóry. Wkrótce, bo już 15 sierpnia, przypadał Dzień Wyzwolenia (upamiętniający koniec okupacji japońskiej), a następnie 10 października obchodziliśmy Dzień Założenia Partii. Przy takim zagęszczeniu świąt na porządną naukę czy sprawy prywatne zostawało naprawdę mało czasu.

Nie lubiłam tych imprez. Szargały wszystkim nerwy i przysparzały nam stresu. Ale nikt nie narzekał. Nikt też nie mógł liczyć na zwolnienie z tego obowiązku. Razem z kolegami i koleżankami zostałam wyznaczona do grupy przygotowującej pokaz z kartonami na stadionie w Hyesan. W występie brały udział tysiące dzieci wykonujących wyćwiczone do granic niemożliwości ruchy, polegające na podnoszeniu różnokolorowych plansz, z których powstawała sekwencja obrazów – wszystko to było zgrane z muzyką, pokazami gimnastycznymi lub defiladami. Choć żadne z nas nigdy nie wyraziło swojej opinii na głos, wszyscy obawialiśmy się tego „najmniejszego błędu”, który mógł zniszczyć całe przedstawienie. Mnie napawało to prawdziwym przerażeniem. Ćwiczyliśmy więc bez końca, żeby osiągnąć perfekcję. Każde z nas miało ze sobą wielki pakunek, w którym znajdowały się różnobarwne plansze unoszone potem w określonej kolejności. Nad naszymi ruchami czuwała dyrygentka, która stała przed nami i trzymała w powietrzu numer następnej karty. Gdy dawała odpowiedni sygnał, wszyscy podnosiliśmy jednocześnie wskazaną kartę. W efekcie karty układały się w obraz twarzy Wielkiego Wodza, którego głowę otaczał połyskujący złoty wieniec. Efekt błyszczenia wywoływały dzieci poruszające swoimi kartami.

Nigdy nie widzieliśmy, jak wygląda obraz, który właśnie przygotowywaliśmy, ale jeśli stadion był pełny, a z trybun dobiegał nas krzyk z tysięcy gardeł skandujących bez końca „Niech żyje!” – *MAN-SAE! MAN-SAE! MAN-SAE!* – adrenalina naprawdę nas elektryzowała.

Pod koniec pierwszego roku szkoły średniej odbyły się uroczystości mające uczcić początek wojny koreańskiej. Poruszyły mnie one do głębi i wywołały przypływ naprawdę intensywnych uczuć. Tamten dzień rozpoczął się od przemówień dyrektora i nauczycieli wygłaszanych przed wszystkimi uczniami zebranymi na szkolnym boisku. Z głośników popłynęły podniosłe słowa: „Dwudziestego piątego czerwca 1950 roku, o godzinie trzeciej nad ranem wojska Korei Południowej przekroczyły granicę i napadły na pogrążony we śnie kraj. Tamtego dnia życie straciło wielu niewinnych ludzi…”.

Wyobrażenie czołgów przejeżdżających przez granicę, żołnierzy mordujących naszych rodaków w domach – poruszyło nas wszystkich do łez. Padliśmy ofiarą napaści ze strony Korei Południowej. W moim sercu zapłonęła żądza zemsty i naprawienia niesprawiedliwości. Pozostałe dzieci czuły to samo. Potem między sobą rozważaliśmy, co byśmy zrobili, gdybyśmy spotkali kiedyś mieszkańca Korei Południowej.

***

Niekończące się, wyczerpujące zajęcia społeczne nie odebrały mi jednak azylu, w którym szukałam wytchnienia – książek. Nałogowego czytania nauczyła mnie matka. Miałam ilustrowane książki z bajkami, mitami i podaniami ludowymi. Miałam koreańskie wydanie *Hrabiego Monte Christo*. Uwielbiałam tę historię, mimo że niektóre strony miała sklejone przez cenzurę i nie sposób było ich rozerwać. Opowieści o bohaterach walczących z uciskiem były dozwolone, o ile nie kłóciły się z północnokoreańskim światopoglądem rewolucyjnym. Wszystkie niewygodne fragmenty i tak wymazywano.

W drugiej klasie szkoły średniej zaczytywałam się północnokoreańskimi thrillerami szpiegowskimi. Niektóre trzymały w napięciu tak bardzo, że siedziałam nad nimi do późna w nocy, czytając przy świeczce. Najlepsza była opowieść o północnokoreańskim tajnym agencie, który działał na terenie

Korei Południowej. Żył tam razem ze swoją południowokoreańską żoną, której nigdy nie wyjawił swojej tożsamości. Jego działaniami kierował bezpośrednio szef wydziału tajnych operacji – człowiek, którego agent nigdy nie spotkał osobiście. Z czasem jednak nawiązała się między nimi specyficzna więź. Punkt kulminacyjny fabuły stanowiło odkrycie agenta, który dowiedział się, że tajemniczym oficerem prowadzącym jest jego własna żona. Najbardziej lubiłam te historie, w których zakończenie – niby oczywiste od samego początku – zaskakiwało czytelnika.

***

Pewnego wieczoru – byłam wtedy na początku drugiej klasy szkoły średniej – gdy wróciłam do domu, zastałam matkę gotującą specjalną kolację na cześć pierwszego dnia ojca w nowej pracy. Wiedziałam już od jakiegoś czasu, że ojciec nosił się z zamiarem odejścia z armii, ale nie rozmawialiśmy wtedy wiele, a jego poczynania niespecjalnie mnie interesowały. Gdy wrócił do domu, po raz pierwszy zobaczyłam go w cywilnym ubraniu. Wyglądał elegancko i inaczej niż zwykle. Przywykłam do tego, że miał na sobie szaroniebieski mundur. Teraz pracował w podlegającej armii firmie handlowej. Uśmiechnął się szeroko i oznajmił, że w przyszłym tygodniu jedzie w podróż służbową do Chin. Pokazał mi swój paszport. Nigdy wcześniej nie widziałam paszportu, lecz udałam, że niespecjalnie mnie to interesuje. Natomiast matka nie posiadała się z radości. Mąż, który miał prawo wyjeżdżać za granicę, był prawdziwym wyznacznikiem wysokiego statusu rodziny. Powoli pięliśmy się po drabinie społecznej.

W czasie kolacji odezwałam się do niego tylko raz, a i to bez należnego szacunku. Zapytałam, co najbardziej podoba mu się w nowej pracy. Udzielił enigmatycznej, mało szczegółowej odpowiedzi. Najwyraźniej to miała być jakaś tajemnica. Przewróciłam oczami i odeszłam od stołu, co bardzo rozgniewało matkę. Ojciec się nie odzywał. Wiedziałam, że moje zachowanie go rani, ale byłam rozżalona bardziej niż kiedykolwiek. Oto znowu coś przede mną ukrywali. Ból wywołany prawdą o moim pochodzeniu nie zelżał ani trochę. Nie rozumiałam wtedy, że ojciec nie chce mówić o swojej pracy, żeby mnie chronić.

Ojciec zaczął jeździć w interesach do Chin, czasami zostawał tam na noc

czy dwie. Tamtej nocy, gdy wybuchł pożar, był jednak w domu, co przy jego nowym trybie życia było prawdziwym zrządzeniem losu.

Doszło do tego mniej więcej dwa miesiące po tym, jak odszedł z armii. Tamtego wieczoru wróciłam do domu późno. Byłam wyczerpana i mocno obolała po ćwiczeniach przed kolejnymi igrzyskami masowymi. Spałam już obok Min-ho, gdy krzyk matki poderwał mnie z posłania. Chwilę później do pokoju wpadł ojciec. W drzwiach za nim widziałam pomarańczowe błyski, a w całym domu śmierdziało paliwem lotniczym. Z tamtego domu wynieśliśmy tylko ubrania, które mieliśmy na sobie, i portrety, które ojciec zerwał ze ściany tuż przed zawaleniem się dachu. Wszystkie moje ilustrowane książki, powieści, ukochany akordeon i gitara spłonęły.

Pożar zniszczył jeszcze jeden mój skarb – coś tak niebezpiecznego, że gdyby to u nas znaleziono, wszyscy pewnie skończylibyśmy w obozie pracy. Patrząc jednak na tamte wydarzenia z perspektywy czasu, muszę przyznać, że pożar mógł okazać się wyjątkowo szczęśliwym trafem.

ROZDZIAŁ 10

SKALISTA WYSPA

Parę miesięcy przed pożarem jedna z moich najlepszych przyjaciółek zebrała kilka z nas – te, które naprawdę trzymały się blisko – na szkolnym boisku. Zazwyczaj przyjaźniłam się ze starszymi dziewczętami wywodzącymi się z mojego środowiska. Ta dziewczyna była córką komendanta policji w Hyesan. Teraz oznajmiła nam, że nadarza się okazja do dyskretnego sprowadzenia kaset magnetofonowych z nielegalną u nas południowokoreańską muzyką pop.

Wkrótce w nasze ręce trafiły nagrania znajdujące się na szczycie listy rzeczy zakazanych w Korei Północnej. Jako jedne z pierwszych w kraju usłyszałyśmy nowe przeboje.

Nasza grupka zaczęła spotykać się regularnie w wolne dni w domu tej, której rodzina akurat gdzieś wyszła. Tańczyłyśmy i śpiewałyśmy do przywiezionych z Południa nagrań Ju Hyun-mi i Hyun Chul. Kręciłyśmy piruety i falowałyśmy biodrami przy ledwie słyszalnych dźwiękach muzyki. Same wymyślałyśmy ruchy. Prawdę mówiąc, nie miałyśmy zielonego pojęcia, jak się tańczy do takiej muzyki. Wiedziałyśmy, że nie wolno nam się bawić przy nagraniach przygotowanych w kraju naszego największego wroga, ale dopóki Hyesan nie obiegła wieść o kobietach zesłanych do obozu pracy za tańczenie przy południowokoreańskiej muzyce rozrywkowej, nie zdawałyśmy sobie sprawy, jak poważne jest nasze wykroczenie. Jedna z uczestniczek tamtego przyjęcia zadenuncjowała pozostałe.

Od tamtej pory słuchałam nagrań, tylko gdy zostawałam sama w domu, leżąc spokojnie na łóżku. Moją ulubioną piosenką była *Skalista wyspa* Kima Weon-joonga. Tytułową skalistą wyspą była kobieta, którą kochał. Refren piosenki brzmiał:

Nawet jeśli mnie nie chcesz, i tak cię kocham,
Nawet jeśli nie otworzę oczu, i tak cię kocham.…

Uwielbiałam tę papkę. Piosenka opowiadała o zakochanych nastolatkach i wyjątkowo trafiała do mojego serca. Zmieniała mnie, wywoływała tęsknotę, sprawiała, że czułam, jak dorastam. Północnokoreańska twórczość nie niosła takich emocji. Mieliśmy wprawdzie muzykę rozrywkową, ale wzdrygałam się na samą myśl o tym, że miałabym słuchać przebojów o tytułach *Radośni w objęciach naszego Generała* czy *Młodzieży, naprzód!*

Nauczyłam się grać *Skalistą wyspę* na akordeonie. Bardzo uważałam, by grać cicho, zawsze przy zamkniętych drzwiach i oknach, lecz mimo to pewnego ranka, gdy ćwiczyłam, usłyszałam głośne pukanie do drzwi. Zamarłam. Na progu stał jeden z naszych sąsiadów. Szedł właśnie do pracy i usłyszał, jak ćwiczę.

Poczułam zaciskające się na moim żołądku zimne palce strachu. Doniesie na mnie, czy tylko ostrzeże? Ku mojemu zdumieniu – nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Uśmiechnął się i powiedział, że ta piosenka rozczuliła go i dodała mu sił. Potem wsiadł na rower i odjechał. To, co powiedział, było naprawdę dziwne. Teraz zastanawia mnie, czy tamten człowiek wiedział, że to południowokoreański utwór, i czy próbował dać mi to do zrozumienia, wyciągnąć do mnie dłoń, jakby dawał mi tajny sygnał.

Kilka miesięcy później, kiedy płomienie pochłaniały nielegalne kasety, znałam już na pamięć wszystkie nagrane na nich utwory. A słowa i melodia *Skalistej wyspy* jeszcze nie raz miały mi przynieść pocieszenie.

Południowokoreańskie piosenki pop dały mi pewną świadomość, że za granicami Korei Północnej istnieje świat. Gdybym miała o tym większe pojęcie, być może spostrzegłabym, że tamten inny świat zmienia się w gwałtowny sposób, stawiając nasze władze w bardzo trudnej sytuacji. Wtedy jednak nie wiedziałam, że Rosjanie pozwolili komunizmowi upaść, przez co Związek Radziecki rozpadł się „bez oddania choćby jednego strzału”, jak ujął to Kim Jong-il. Wydarzenia te miały tak wielki wpływ na to, co działo się w moim kraju, że nawet nasze władze nie mogły tego ukryć. Rodzice dzięki swojej pracy i prowadzonym interesom mogli zapewnić nam wystarczająco dużo jedzenia. Wtedy jeszcze nie zauważyłam, że podstawowe racje żywnościowe wydawane ludziom za pośrednictwem Publicznego Systemu Dystrybucji zaczęły maleć i pojawiać się nieregularnie. Nie zwróciłam też uwagi na fakt, że w 1992 roku rząd wprowadził i zaczął mocno

forsować kampanię pod hasłem „Jedzmy dwa posiłki dziennie”. Publicznie stwierdzano, że jedzenie dwa razy dziennie jest zdrowsze, niż zjadanie trzech posiłków. Wszyscy, którzy do tej pory nie znaleźli sposobu na dorabianie i polegali na towarach dostarczanych przez państwo, zaczynali odczuwać negatywne skutki zmian.

To w tym czasie moja rodzina wykonała kolejny ruch, który zaprowadził nas na krawędź znanego nam świata – na granicę ze wszystkim tym, co czekało na zewnątrz. Dotarliśmy tak daleko, jak tylko się dało, zupełnie jakby fortuna starała się zaaranżować wszystko tak, byśmy mogli przygotować się na czekającą nas przyszłość. Nasz nowy dom stał dokładnie nad brzegiem rzeki Yalu. Gdybym rzuciła kamieniem spod drzwi wejściowych, doleciałby on do Chin.

ROZDZIAŁ 11

„TEN DOM JEST PRZEKLĘTY”

Okolica, w której zamieszkaliśmy, była ściśle zabudowana parterowymi domkami, oddzielonymi od siebie wąskimi ulicami. Nowy dom okazał się nieco większy od tych, w których mieszkaliśmy wcześniej. Miał pomalowane na biało ściany, spadzisty dach, a przyległy do niego teren oddzielał od ulicy biały, betonowy mur. W domu były trzy pokoje, z których każdy zajmował całą szerokość budynku. Oznaczało to, że jeśli ktoś chciał dostać się do pokoju dziennego, musiał przejść przez kuchnię. Stamtąd można było wejść do pokoju położonego na tyłach – sypialni całej naszej czwórki.

Matka zapłaciła za ten dom olbrzymią kwotę. Oficjalnie w Korei Północnej nie istnieje żadna wartość prywatna, nie ma oficjalnego rynku nieruchomości. Lecz w rzeczywistości ludzie, który otrzymywali z przydziału domy położone w atrakcyjnej okolicy czy pożądane z innych przyczyn, często sprzedawali je lub zamieniali, jeśli otrzymali za nie odpowiednią cenę.

Położenie naszego nowego domu było idealne z punktu widzenia nielegalnych interesów, jakie prowadziła moja matka. Teraz mogła umawiać się z przemytnikami, by przenosili towar kilka metrów przez rzekę – prosto pod drzwi. Chcąc zabezpieczyć się przed kradzieżami, kazała podnieść otaczający dom mur – po przeróbkach miał prawie dwa metry wysokości – i sprowadziła ostrego psa tresowanego na potrzeby wojska. Jedyne wejście na posesję prowadziło przez starannie zamykaną bramę we frontowej części muru. Aby dostać się do domu, musieliśmy przejść przez trzy pary drzwi i otworzyć pięć zamków. Niecałe pięć metrów od budynku, tuż nad brzegiem rzeki biegła ścieżka, którą co jakiś czas przechodziły patrole. Któregoś dnia Wuj Opium i Ciotka Śliczna wpadli do nas z wizytą, by pogratulować matce trafnego wyboru. Trudno było o lepszą lokalizację.

Min-ho bardzo przeżywał przeprowadzkę. Przenieśliśmy się wczesną jesienią, gdy na dworze było jeszcze ciepło. W rzece bawili się rówieśnicy Min-ho – chłopcy z Korei Północnej i Chin. Pluskali się w wodzie, podczas gdy ich matki robiły pranie. Dla większości mieszkańców Korei Północnej granice stanowią barierę nie do przekroczenia. Nasz kraj jest odcięty od swoich sąsiadów, a mimo to pięcio-, sześcio- i siedmioletni malcy baraszkowali razem w rzece – chłopcy z Chin i Korei Północnej mieszali się ze sobą jak ryby czy ptaki.

Następnego dnia po przeprowadzce matka poszła przedstawić się sąsiadom. To, co od nich usłyszała, sprawiło, że jej dobry humor zniknął. Wróciła do domu pobladła z wściekłości.

– Ten dom jest przeklęty – oznajmiła, opierając się ciężko o drzwi i chowając twarz w dłoniach. – Popełniłam straszliwy błąd.

Sąsiadka powiedziała jej, że dziecko poprzednich lokatorów zginęło w wypadku. Matce wydawało się, że miała szczęście znajdując ten dom, tymczasem lokatorzy chcieli się go pozbyć, żeby uciec przed złym losem i wspomnieniami tragedii. Starałam się ją pocieszyć, ale pokręciła tylko głową. Wyglądała na zmęczoną. Za bardzo wierzyła w przesądy, by mogły przekonać ją jakiekolwiek logiczne argumenty. Zresztą sama prawie uwierzyłam w tę klątwę. Bardzo często przejmowałam przekonania matki. Widziałam, że już rozważa kolejną kosztowną sesję z wróżbitką.

Matka szybko umeblowała dom, po raz kolejny wprowadzając swoje przeróbki. Ludzie, których było na to stać, coraz częściej kupowali napływające z Chin lodówki, lecz matka nie chciała przyciągać nadmiernej uwagi. To zaś oznaczało codzienne kupowanie żywności – najczęściej na działających na granicy prawa placach handlowych, nigdy przez Publiczny System Dystrybucji. Przełożony matki został niedawno zesłany do obozu pracy, bo inspektorzy znaleźli u niego w domu duże ilości jedzenia – nieco wcześniej dostał sporą łapówkę – dlatego matka wolała zachować szczególną ostrożność. Nigdy nie przechowywaliśmy w domu zapasów ryżu – zazwyczaj nie więcej niż dwadzieścia, trzydzieści kilo.

Jedynym luksusem, na jaki sobie pozwoliliśmy z okazji przeprowadzki, był kolorowy telewizor marki Toshiba – prawdziwy wyznacznik statusu społecznego. Telewizja niesamowicie rozszerzyła moje i Min-ho horyzonty. Oczywiście nie była to zasługa nadawanych w niej „wiadomości” – w Korei Północnej był tylko jeden program, Centralny Kanał Telewizji Koreańskiej,

w którym pokazywano powtarzane w nieskończoność materiały o Wielkim Wodzu czy Umiłowanym Przywódcy, którzy odwiedzali fabryki, szkoły i gospodarstwa rolne, gdzie od ręki udzielali porad dotyczących wszystkiego: od nawozów azotowych do damskiego obuwia. Nie mam też na myśli bloku rozrywkowego, na który składały się stare północnokoreańskie filmy, występy zespołów muzycznych ruchu pionierskiego czy olbrzymich chórów wojskowych chwalących Rewolucję i Partię. W telewizji najwspanialsze było coś innego – mogliśmy mianowicie „łapać" chińskie programy nadające opery mydlane, a także efektowne reklamy towarów luksusowych. Chociaż nie znaliśmy mandaryńskiego, samo przyglądanie się temu wszystkiemu otwierało nam okno na zupełnie nieznany świat, na inny styl życia. Oglądanie programów obcej telewizji było oczywiście wysoce nielegalne i stanowiło poważne łamanie prawa. Matka łajała okrutnie mnie i Min-ho, zawsze gdy złapała nas na oglądaniu chińskiej telewizji. Ale ja nie zwracałam na to uwagi. Wieszałam koce w oknach i oglądałam dalej, gdy wychodziła z domu albo szła spać.

Żyliśmy teraz we wrażliwej politycznie części miasta. Władze zdawały sobie sprawę, że ludzie mieszkający wzdłuż rzeki poddawali się często trującemu wpływowi kapitalizmu i przemycanych przez granicę towarów, że oglądali szkodliwe zagraniczne programy telewizyjne, a nawet uciekali. *Bowibu* obserwowało mieszkające na tym obszarze rodziny z większą uwagą, wypatrując najmniejszych przejawów nielojalności. Rodzina, na którą padło podejrzenie, mogła znaleźć się pod całodzienną obserwacją prowadzoną przez lokalną policję. Bardzo często, by udowodnić czyjąś winę, władze uciekały się do prowokacji.

Pewnego dnia, krótko po przeprowadzce, do naszych drzwi zapukał sympatyczny, przyjaźnie wyglądający człowiek. Powiedział matce, że słyszał, jakoby Amerykanie mieli płacić pokaźne kwoty za zwrócenie im szczątków żołnierzy walczących tu w czasie wojny koreańskiej. Był w posiadaniu takich kości odkopanych w różnych częściach kraju. Chciał się dowiedzieć, czy matka mogłaby pomóc mu przemycić je przez granicę.

Matka wszystkie prośby o pomoc traktowała z dużą podejrzliwością. Wiedziała, jak działali tajni agencji *Bowibu*, że potrafili pojawić się znikąd z intratną propozycją, uciekając się do najprzeróżniejszych sztuczek. Słyszeliśmy o dobrze sytuowanej rodzinie, która wpadła w poważne tarapaty, po tym jak agenci pojawili się w przedszkolu i zapytali dziecko tych ludzi,

zupełnie spokojnie i nieagresywnie: „Który film z ostatnio oglądanych podoba ci się najbardziej?”. Dziecko entuzjastycznie podało tytuł południowokoreańskiego hitu oglądanego niedawno z nielegalnie sprowadzonej do domu kasety wideo.

Tym razem moją matkę uratowały przesądy. Nie chciała, by nękały ją dusze amerykańskich żołnierzy, więc powiedziała tamtemu człowiekowi, że nie może mu pomóc.

***

W połowie listopada, kilka tygodni po przeprowadzce, spadł pierwszy śnieg. Duże płatki mroziły nasze twarze. Kuliliśmy się na podłodze w poszukiwaniu ciepła, nie zdejmując z siebie kurtek i płaszczy. Wtedy do domu wrócił ojciec. Zawsze gdy wracał z Chin, przywoził ze sobą luksusowe drobiazgi, które pozostawały poza zasięgiem zwykłych ludzi. Czasami był to dobrej jakości papier toaletowy, czasami banany i pomarańcze, których prawie nie widywało się w Korei Północnej. Tym razem przywiózł wielką paczkę i nawet ja zrezygnowałam z tradycyjnego już wyrazu znudzenia na twarzy. Zbyt byłam ciekawa, co kryje się w tym pudle. Paczka zawierała prezenty dla mnie i mojego brata. Mnie ojciec kupił niezwykłą lalkę o jedwabistych jasnych włosach, niebieskich oczach i zachodnich rysach twarzy. Miała na sobie najpiękniejszą sukienkę, jaką kiedykolwiek widziałam – bawełnianą w drobną kratkę, obszytą koronką. Była tak duża, że ledwie dałam radę ją unieść. Musiałam oprzeć ją o ścianę w kącie przy swoim łóżku. Min-ho dostał przenośną konsolę Game Boy. Wprost nie posiadał się z radości. To było coś zupełnie nowego. Nie znaliśmy nikogo, kto miałby taką zabawkę.

Na wspomnienie tamtej lalki ogarnia mnie bezbrzeżny smutek. Byłam już trochę za duża na lalki, ale to był piękny i hojny podarunek. Dziś to rozumiem − ojciec miał świadomość, że mnie stracił, i starał się za wszelką cenę odbudować łączącą nas więź. Wiedział, że coś między nami się popsuło, i pewnie domyślał się, co takiego zaszło. Z pewnością nie zasługiwałam na taki prezent.

Była to ostatnia rzecz, jaką od niego dostałam.

ROZDZIAŁ 12

TRAGEDIA NA MOŚCIE

Zbliżały się moje czternaste urodziny liczone miarą koreańską. Był styczeń 1994 roku, początek roku pełnego tragicznych zdarzeń, podczas którego musiałam bardzo szybko dorosnąć.

Wzrostem dorównywałam już niemal matce. Byłam w dobrej kondycji i prowadziłam aktywny tryb życia. Uprawiałam sport, co zresztą bardzo lubiłam – trenowałam jazdę figurową na łyżwach, na tyle dobrze, żeby reprezentować szkołę w konkursie, a gdy pogoda nie dopisywała, ćwiczyłam halowe taekwondo. Dobrze też biegałam, wzięłam nawet udział w organizowanym w Hyesan półmaratonie.

Fatalny rok zapowiedział już dzień moich urodzin.

Długo wystawiałam szczęście na próbę swoim nietypowym wyglądem. Nauczyciele nigdy nie zwracali uwagi na fakt, że nie nosiłam szkolnego mundurka, bo wiedzieli, że moja matka nigdy nie żałowała szkole hojnych datków, a potrafiła też pomóc w sprawach bardziej złożonych, jak choćby zorganizowanie opału. Nie byłam jednak już dzieckiem i mój nonkonformizm budził coraz więcej podejrzeń.

Wreszcie stało się nieuniknione.

Kilka miesięcy wcześniej w szkole zatrudniono nową nauczycielkę. Nazywała się pani Kang i uczyła fizyki. Była młodą kobietą o przenikliwym spojrzeniu małych oczu i przeszywającym głosie. W dniu moich urodzin zauważyła mnie, gdy tylko weszła do klasy i przywitała się z nami. Wszystkie pozostałe dziewczęta miały szkolne mundurki i krótko przycięte włosy – u żadnej fryzura nie sięgała dalej niż do ramion. W różowym chińskim płaszczyku, modnych kozakach i z trwałą na głowie rzucałam się w oczy na ich tle.

Spojrzenie nauczycielki padło na moje buty i w jednej chwili zrozumiałam, że posunęłam się za daleko.

– Dlaczego masz *to* na sobie? – zapytała mnie przed całą klasą. – A skoro już o wyglądzie mowa, to dlaczego nie nosisz mundurka, jak wszyscy?

Odpowiedź jakoś wyskoczyła mi sama, zanim zdążyłam ugryźć się w język:

– A przeszkadza to pani? Bo mojej matce nie.

Klasa zamarła.

– Jak śmiesz mi pyskować! – wrzasnęła nauczycielka i podeszła do ławki, w której siedziałam. – Chcesz wyglądać, jak zgnili kapitaliści? To proszę! – Wzięła szeroki zamach i spoliczkowała mnie.

Uniosłam dłoń do twarzy. Krew pulsowała mi w uszach. Cała się trzęsłam z oburzenia. Matka nigdy mnie nie spoliczkowała. Wybiegłam z klasy i zalana łzami wróciłam do domu.

Tego dnia po raz pierwszy od bardzo dawna zatęskniłam za pociechą i poczuciem bezpieczeństwa, jakie zawsze dawał mi ojciec. Niestety tego dnia był znów w podróży służbowej w Chinach. Po każdym wyjeździe wracał trochę bardziej zmęczony i przybity. Matka mówiła, że ma problemy ze spaniem. Działo się coś złego. Wyjawił jej, że prawdopodobnie jesteśmy pod obserwacją.

***

Teraz już wiem, że chodzenie do szkoły w nowych butach i z trwałą ondulacją na włosach było oznaką głębszego problemu – narastającego rozczarowania. Przestałam czuć zauroczenie „życiem organizacyjnym” i zajęciami kolektywnymi, od których nikt w kraju nie był wolny. Z chwilą, gdy skończyłam czternaście lat, przestałam należeć do pionierów. Musiałam dołączyć do Ligi Młodzieży Socjalistycznej. Był to kolejny kamień milowy wyznaczający początek nowego okresu w moim życiu. Od tego momentu zaczęto od nas wymagać zastanowienia się nad przyszłością i określenia, jak moglibyśmy służyć krajowi. Moje dzieciństwo dobiegło końca.

Członkowie Ligi Młodzieży Socjalistycznej podlegali obowiązkowemu szkoleniu wojskowemu. Musiałam włożyć mundur polowy i uczyć się strzelać na strzelnicy miejskiej w Hyesan. Szczerze tego nie cierpiałam,

a matka tak bardzo obawiała się, że coś mi się stanie w czasie zajęć (uczestniczyła w nich duża grupa uzbrojonych dzieciaków i wypadki rzeczywiście miały czasem miejsce), że przekupiła władze szkoły, by mnie z nich zwolnić.

Nasiliła się też ideologiczna indoktrynacja. Młodzież komunistyczna powinna na tym etapie życia pogłębiać więź emocjonalną z Wielkim Wodzem, a także poznawać powoli partyjną ideologię *juche* (co można luźno przetłumaczyć jako „samowystarczalność"), promującą izolacjonizm i odrzucanie obcych wpływów.

Należałam teraz do działającej przy szkole średniej komórki Ligi Młodzieży Socjalistycznej. Na szczęście udało mi się uniknąć włączenia w szeregi Brygad Utrzymywania Porządku Społecznego – ochotniczej straży patrolującej ulice w poszukiwaniu przechodniów, u których dawało się dostrzec osłabienie czystości ideologicznej. Młodzież zatrzymywała teraz każdego, kto miał na sobie ubrania z zachodnimi słowami, co stanowiło akurat pierwszy krzyk mody w Chinach.

Z nadejściem wiosny skończyły się też wymówki chroniące nas przed obowiązkiem, który musiał wypełnić każdy mieszkaniec Korei Północnej – pielgrzymką do świętych miejsc położonych wokół góry Paektu. To właśnie w paśmie górskim w prowincji Ryanggang w czasie prowadzonej w latach trzydziestych i czterdziestych wojny podjazdowej z Japończykami ukrywały się oddziały partyzanckie, do których należał Kim Il-sung. Aby podkreślić znaczenie tego faktu, trzem z jedenastu okręgów prowincji zmieniono nazwy na cześć żony tego wielkiego człowieka, jego ojca i wuja. Młodzi Pionierzy i członkowie ligi Młodzieży Socjalistycznej zjeżdżali tu z całej Korei Północnej, by odwiedzić ten „rewolucyjny skansen", zobaczyć wszystkie pomniki i rzeźby wznoszone na cześć zwycięstw Wielkiego Wodza. Odwiedzali też pobliską wioskę Pochonbo, gdzie w 1937 roku Wielki Wódz poprowadził atak stu pięćdziesięciu partyzantów na lokalny posterunek japońskiej policji. Bitwa ta jest uznawana w Korei Północnej za jeden z ważniejszych punktów zwrotnych historii w walce o niepodległość, a także za dowód taktycznego geniuszu Kim Il-sunga, który pokonał tam przeważające siły wroga.

Przewodnik pokazywał nam pomalowane na biało ślady po kulach w ścianach starego posterunku oraz celę, w której Japończycy torturowali członków komunistycznej partyzantki. Nic z tego nie wywarło na mnie

wrażenia. Chciałam po prostu stamtąd się wydostać. Ostatkiem sił zdołałam ukryć znudzenie, które zaczęło się malować na mojej twarzy.

Dopiero gdy na własne oczy zobaczyłam zachowaną chatę, stojącą pod sosnami na zboczu góry Paektu, partyzancką kryjówkę, w której przyszedł na świat Kim Jong-il, znów przez chwilę poczułam się jak dziecko. Przypomniałam sobie obrazek przedstawiający ten dom, gwiazdę na niebie i tęczę nad szczytem Paektu. Ta przesycona magią historia ciągle miała dla mnie ogromne znaczenie.

Ogarniające mnie rozczarowanie nie wpływało korzystnie na stosunki z Min-ho. Mój brat chodził wtedy do szkoły podstawowej w Hyesan. Od kolegów słyszał, jak ich starsi bracia opowiadali o mnie i mówili, jaką miłą jestem dziewczyną. Pewnie myślał wtedy, że muszą mówić o kimś innym. Nadal nie przyjaźniłam się z nim tak, jak powinnam. Gdzieś w głębi serca pragnęłam mieć starszego brata, który mógłby mnie chronić, a nie dzieciaka, za którym to ja musiałam się wiecznie rozglądać. Min-ho miał siedem lat i naturę poszukiwacza przygód – podejrzewałam, że w tajemnicy przed wszystkimi wyprawiał się na drugą stronę rzeki. Potrafił być uparty. Gdy obarczono go jakimś zadaniem, zawsze się z niego wywiązywał. Kiedyś w jego szkole wyznaczono uczniom absurdalną ilość jagód do nazbierania – dziesięć kilo. Tylko on przyniósł tyle owoców, ile od niego zażądano. Pod tym względem byliśmy zupełnie różni. Ja zawsze szukałam wymówek, żeby uniknąć ciężkiej pracy i nie pobrudzić swoich ślicznych ubrań. Łączył nas tylko hyesański upór, tak charakterystyczny dla naszej matki.

***

Kilka dni po powrocie z wycieczki na górę Paektu, gdy po zajęciach pojawiłam się w domu, zastałam matkę krążącą nerwowo w kółko.

– Ojca ciągle nie ma – powiedziała, na przemian obejmując się i opuszczając ręce.

Ojciec miał wrócić z Chin dzień wcześniej. Powiedziała, że przed wyjazdem wydawał się szczególnie poruszony.

Minęły dwa kolejne dni, a jego nadal nie było.

Trzeciego dnia matka miała nerwy w strzępach. Nie potrafiła się rozluźnić, nie spała, nie jadła, nie umiała znaleźć sobie miejsca. Kilka razy próbowała

kontaktować się z biurem firmy, w której pracował, lecz za każdym razem trafiała na mur milczenia i słyszała, że ma czekać na informacje.

Kolejny dzień przyniósł kolejną porcję udręki. Min-ho ciągle pytał, czy ktoś nie mógłby się dowiedzieć, gdzie jest jego tata.

Wreszcie zadzwonił do nas znajomy ojca z firmy. Nie miał dobrych wiadomości. Ojca aresztowano cztery dni wcześniej na Moście Przyjaźni, gdy wracał z Chin.

ROZDZIAŁ 13

PROMIENIE ODBITE W FALACH

Na moście na ojca czekało czterech mężczyzn z Pyongyang – oficerów Komendy Wojskowej Służby Bezpieczeństwa. Organizacja ta działała niezależnie od Ministerstwa Bezpieczeństwa Narodowego, *Bowibu*. Była to tajna policja nadzorująca poczynania wojskowych.

Przez dziesięć kolejnych dni nie miałyśmy z matką żadnych wiadomości. Powiedziano nam tylko, że zatrzymano go na czas prowadzenia śledztwa w sprawie jego kontaktów służbowych. Całemu światu matka okazywała tę samą twarz, co zawsze – twarz kobiety twardej, niemającej czasu na głupstwa. Tylko w domu pozwalała sobie na słabość i łzy. Zaczęła przygotowywać się na najgorsze. Wiedziała, że mało kto wychodził z takiego zatrzymania bez szwanku; równie niewiele osób w ogóle wracało do domu. Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim stanie.

Właśnie wtedy, w tym nerwowym okresie, opowiedziała mi historię rodzinną, której jeszcze nie słyszałam. Była to opowieść o małżeństwie Ciotki Wiekowej, najstarszej siostry mojej matki. Wiele lat przed moimi narodzinami ciotka wyszła za mąż, doczekała się nawet trójki dzieci, o których istnieniu też nie miałam pojęcia. Jej mąż był Chińczykiem koreańskiego pochodzenia, który pod koniec lat sześćdziesiątych uciekł z Chin przed Rewolucją Kulturalną. Przyjechał do kraju, który miał za komunistyczną utopię, do Korei Północnej. Matka mówiła, że był szczerym, otwartym i uczciwym człowiekiem. Babka nie chciała się zgodzić na to małżeństwo, bo wybranek ciotki był obcokrajowcem, ale Ciotka Wiekowa stwierdziła, że prędzej umrze, niż poślubi innego. Ostatecznie więc babka zgodziła się na ślub.

Po kilku latach mąż ciotki stwierdził, że ma dość wszechobecnej

propagandy i oznajmił, że chce wracać do Chin. Ciotka Wiekowa nie chciała opuszczać domu, więc pojechał sam. Zatrzymano go na granicy. Gdyby powiedział policji, że chciał po prostu odwiedzić rodzinę w Chinach, a potem wrócić do Korei Północnej, może uszłoby mu to na sucho. Zgubiła go jednak uczciwość. Powiedział prowadzącym przesłuchanie, że stracił złudzenia. Od razu wysłano go do obozu dla więźniów politycznych, nie miał nawet procesu. Wtedy wkroczyła babka, która postanowiła ratować rodzinę. Załatwiła sprawy tak, by Ciotka Wiekowa mogła rozwieść się z mężem. Trójka dzieci trafiła do adopcji. Dzięki temu rodzina uwolniła się od przewiny zadawania się z „elementem przestępczym", który obniżyłby nasz *songbun* i okryłby nas hańbą na kilka następnych pokoleń. Były to typowe środki zaradcze, podejmowane gdy jedno z małżonków trafiało do obozu.

Troje dzieci ciotki znalazło dobre rodziny. Jeden z jej synów został oficerem. Ciotka Wiekowa spotkała go, gdy był już dorosłym człowiekiem i opowiedziała mu całą historię. Załamał się i uściskał ją serdecznie. Przysięgał, że koneksje rodzinne nie mają dla niego znaczenia, że chce odzyskać swoich bliskich – matkę i prawdziwe rodzeństwo. Później pojechał do obozu i próbował spotkać się z ojcem, ale nie wpuszczono go na teren więzienia. Obozy dzieliły się na dwa rodzaje. Do jednych trafiali więźniowie skazani na „rewolucyjną reedukację na drodze pracy". Jeśli zdołają przeżyć okres kary, wracają do społeczeństwa, choć już do końca życia podlegają ścisłej obserwacji. Drugi rodzaj obozów to strefa bez powrotu – więźniowie pracują tam aż do śmierci. Syn ciotki obawiał się, że jego ojciec trafił właśnie do takiego obozu i że nadal w nim przebywa.

Ta historia mocno mnie przygnębiła. Z rzadka wspominaliśmy ludzi, którzy narazili się władzom, a jeśli już to robiliśmy, nigdy nie rozważaliśmy okoliczności aresztowania, nie osądzaliśmy ani nie komentowaliśmy uczciwości wyroku. Ograniczaliśmy się do podawania faktów. Tak rozmawia się w Korei Północnej. Teraz jednak, w przypływie emocji, matka mówiła o tym, jak obozy pracy wpłynęły na losy naszej rodziny.

O obozach nie rozmawiało się otwarcie. Wiedzieliśmy, że istnieją, bo wśród ludzi krążyły mrożące krew w żyłach historie, szeptano sobie to i owo. Nie wiedzieliśmy, gdzie znajdują się te miejsca, ani jakie panują w nich warunki. Sama słyszałam tylko o okręgu Baekam, gdzie mieścił się mniej ekstremalny zakład karny – było to całkiem blisko Hyesan. Znaliśmy rodzinę, którą deportowano tam z Pyongyang, dlatego że ojciec zwinął

papierosa na wycinku gazety, nie zauważywszy uprzednio, że z drugiej strony wydrukowano zdjęcie Wielkiego Przywódcy. Całą rodzinę zesłano w góry, gdzie w tragicznych warunkach pracowali w Kolektywnym Gospodarstwie przy zbiorach ziemniaków.

Wyobraziłam sobie, że mojego ojca zsyłają do obozu pracy i poczułam, jak od kłębowiska różnych poplątanych uczuć kręci mi się w głowie. Nie pozostało nam jednak nic innego, jak czekać na wiadomości. Tymczasem pewnego wieczoru do naszych drzwi załomotało pięciu umundurowanych funkcjonariuszy. Wpadli do domu nie zdejmując butów, i zaczęli prowadzić bezpardonowe przeszukanie. Demolowali ściany, zrywali podłogi i obrywali sufit, szukając dóbr, które ojciec rzekomo miał tu ukrywać. Po godzinie odeszli z niczym, zostawiając za sobą istne pobojowisko. Matka i ja, zszokowane, przyglądałyśmy się zniszczeniom. Nasz dom w jednej chwili przekształcił się w ruinę.

***

Mniej więcej dwa tygodnie po zniknięciu ojca matka niespodziewanie dowiedziała się, że go zwolniono i że przebywa teraz w szpitalu w Hyesan. Gdy go zobaczyła, poczuła się tak oszołomiona, że zaczęła płakać przy ludziach. Jego wygląd mocno nią wstrząsnął. Ojciec był wymizerowany, miał zapadnięte oczy, ale mimo wszystko starał się uśmiechać. Wyglądał na znacznie starszego niż w rzeczywistości.

Poinformował matkę, że śledztwo w jego sprawie trwa. Oskarżono go o łapówkarstwo i nadużywanie stanowiska. Bardziej prawdopodobne było jednak to, że wyszedł z łask lub nieświadomie obraził jakiegoś wysoko postawionego oficera. Przesłuchiwano go wielokrotnie, raz po raz każąc mu spisywać zeznania. Za każdym razem przesłuchujący darł zapisaną kartkę na oczach ojca i kazał mu zaczynać od początku.

Matka nie pytała, co jeszcze mu robiono. Nie chciała, żeby ponownie przechodził przez ten koszmar, ale widziała, że mocno go pobito. Wiadomo było też, że nie pozwalano mu spać. W szpitalu przespał wiele dni z kołdrą naciągniętą na głowę.

Ojciec nie zwierzał się nikomu, co w żadnym razie nie było dziwne. Wielu północnokoreańskich mężczyzn nie potrafi mówić o uczuciach czy

przyznawać się do lęków i stresu, w jakim żyją. Niejednokrotnie widywałam bójki wybuchające między pijanymi mężczyznami w Hyesan, szczególnie w okresie świąt. Ojciec nigdy nie pił, ani nie zwierzał się nikomu. Stracił mocno na wadze i popadł w apatię. Teraz wiemy, że miał ciężką depresję − chorobę nieznaną w Korei Północnej. W szpitalu spędził około sześciu tygodni.

Matka musiała zrobić coś ze mną i Min-ho, żeby móc codziennie odwiedzać ojca w szpitalu i odpowiednio się nim zająć. Dlatego zostaliśmy wysłani na wschodnie wybrzeże do Wuja Kinomana, jego żony i ich dzieci – naszego kuzynostwa.

Pewnego dnia Wuj Kinoman wrócił do domu wcześniej. Zastał nas wszystkich – Min-ho, mnie, ciotkę i swoje dzieci – siedzących razem w pokoju. Zdjął buty i wszedł do mieszkania, zamykając za sobą starannie drzwi.

– Min-young, Min-ho, obawiam się, że mam złe wieści – powiedział.

Wyglądał na bardzo przybitego i od razu zorientowaliśmy się, że stało się coś złego. Powiedział, że matka zadzwoniła do niego do biura. Z jej słów wynikało, że ojciec rozchorował się w szpitalu i zmarł.

Min-ho był zdruzgotany. Pobiegł do sypialni i zamknął się tam. Ja wyszłam otumaniona na plażę i spojrzałam na Morze Wschodniokoreańskie[2]. Zza chmur przeświytywało słońce, jego promienie padały na taflę wody, zapalając na niej jaśniejsze plamy. Na horyzoncie majaczyły sylwetki pordzewiałych kutrów. Morze było spokojne.

Uraza, jaką żywiłam do ojca, systematycznie oddzielała nas od siebie. Dlaczego na to pozwoliłam? Dorastałam, rozumiejąc znaczenie rodziny i więzów krwi. Gdy odkryłam, że w moich żyłach nie płynie jego krew, poczułam się zaskoczona i nie wiedziałam, jak na to zareagować. Dlatego tak bardzo zdystansowałam się od niego.

Przypomniałam sobie historię spotkania rodziców − lata temu w pociągu do Pyongyang. Ojciec kochał matkę tak bardzo, że wziął z nią ślub, mimo że była rozwiedziona i miała dziecko z poprzedniego małżeństwa. Zalały mnie wspomnienia, dziesiątki wspomnień o tym, jak ganialiśmy razem ważki na łąkach w pobliżu Anju, obrazów z naszego życia w Hamhung, radości, z jaką przyglądaliśmy się matce zajadającej *naengmyeon*, dumy, jaką odczuwał ojciec, kiedy wróciłam z ceremonii przyjmowania do pionierów.

Przypomniałam sobie, jak bezpiecznie się przy nim czułam.

Patrząc w morze, zrozumiałam, jak wielkie ogarnęło mnie szaleństwo. Ten człowiek wychował mnie i kochał jak własne dziecko. A moja samolubność zaślepiła mnie do tego stopnia, że przestałam widzieć, jak bardzo sama go kocham. Padłam na kolana i zapłakałam gorzko, zaciskając pięści na piasku.

Musiało minąć kilka godzin, bo słońce już zachodziło, gdy powlokłam się z powrotem do domu. Wiedziałam, że do końca życia będę żałować swojego zachowania wobec ojca. A świadomość, że umarł przekonany o mojej niechęci względem niego, miała sprawić, że nadchodząca żałoba będzie jeszcze cięższa.

***

Śmierć ojca zaskoczyła wszystkich, którzy go znali. Był przecież młody – miał zaledwie czterdzieści lat.

Ale zanim matka zdołała jakkolwiek zareagować na ten cios, otrzymała kolejną druzgocącą wiadomość. Okazało się, że na akcie zgonu wystawionym w szpitalu jako przyczynę śmierci podano samobójstwo po przedawkowaniu diazepamu (walium). Lek ten można było dostać w każdym sklepie; ojciec musiał wyjść ze szpitala i go kupić.

Samobójstwo to w Korei temat tabu. Nie tylko przynosi wstyd pozostałym przy życiu członkom rodziny, ale też sprawia, że wszystkie dzieci samobójcy zostają automatycznie uznane za „wrogie” systemowi, co znajduje odbicie w obniżeniu *songbun*. W efekcie dzieci samobójcy nie mają prawa wstępu na wyższe uczelnie ani szans na dobrą pracę. Samobójstwo jest w Korei bardzo emocjonalnym środkiem protestu. Władza uznaje je za zdradę, dezercję. Karanie pozostałych przy życiu członków rodziny, to próba odebrania ludziom ostatecznej możliwości protestu.

Ta informacja zakłóciła matce żałobę. Natychmiast podjęła działania mające ratować mnie i Min-ho. Musiała sprawić, by jak najszybciej zmieniono wpisy w szpitalnej dokumentacji. Było to wyjątkowo trudne i delikatne zadanie, ale nasza przyszłość zależała właśnie od tego. Takt i zdolności dyplomatyczne matki ponownie zdziałały cuda. Kosztowało ją to niemal wszystkie oszczędności w twardej walucie, ale zdołała doprowadzić do zmiany klasyfikacji zgonu. Przekupiła władze szpitala, które zgodziły się

zmienić przyczynę na „atak serca”. Pogrzeb odbył się bardzo szybko, zanim ktokolwiek zaczął zadawać niewygodne pytania i zanim ja i Min-ho wróciliśmy od wuja. Nie mieliśmy nawet okazji pożegnać się z ojcem. Co gorsza, rodzice ojca przeklęli matkę na pogrzebie, stwierdzając, że to ona przyniosła ich rodzinie pecha.

Ostatnim i zupełnie niepotrzebnym upokorzeniem był list wysłany przez wojskową jednostkę prowadzącą śledztwo w sprawie ojca. Informowano w nim matkę, że ojciec został oficjalnie zwolniony ze służby.

***

Po śmierci ojca zbliżyłam się bardzo do Min-ho. Czułam się tak, jakbym po raz pierwszy od wielu lat zobaczyła go wyraźnie. Te same głupie urojenia, które kazały mi odsunąć się od ojca, przez lata nie pozwalały mi odczuwać prawdziwej więzi z bratem. Teraz widziałam, kim był naprawdę – moim bratem, pogrążonym w żalu równie mocno jak ja.

Zmieniłam też zdanie na temat domu nad rzeką. W ciągu kilku miesięcy od przeprowadzki w naszej rodzinie doszło do tragedii. Stwierdziłam, że dom faktycznie jest przeklęty, a ciążąca na nim klątwa – potężna.

Staraliśmy się pogodzić z tym, co się stało, gdy inne zdarzenie pogrążyło w żałobie cały kraj. Świat nigdy wcześniej nie widział scen tak daleko posuniętej masowej histerii. Echa tamtego wydarzenia pobrzmiewają w Korei Północnej do dziś.

2 Morze Japońskie (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 14

„WIELKIE SERCE PRZESTAŁO BIĆ”

Ósmego lipca 1994 roku poszłam do szkoły jak co dzień. Tuż przed przerwą obiadową do klasy wszedł nauczyciel i oznajmił, że reszta zajęć zostaje odwołana. Kazano nam wrócić do domów i włączyć telewizory. Było to o tyle dziwne, że w dni robocze nie nadawano żadnych programów.

Zamiast iść do siebie, poszłam do domu koleżanki. Zgodnie z poleceniem włączyłyśmy telewizor. Nie musiałyśmy długo czekać. Wkrótce na ekranie pojawiła się znana prezenterka telewizyjna Ri Chun-hui. Była ubrana na czarno, a oczy miała zaczerwienione od płaczu. Oznajmiła coś, co wydawało się wszystkim niemożliwe. Kim Il-sung, Wielki Wódz, ojciec naszego narodu umarł. W radio puszczono odpowiednio dramatyczny komunikat: „Wielkie serce przestało bić”.

Moja koleżanka w jednej chwili zalała się łzami. Jej płacz nie pozostawił mnie obojętnej, ale niepokój pojawił się wyłącznie w myślach – moje serce nie poczuło się poruszone. Jak mógł umrzeć? Choć wydaje się to niesamowite, w tamtym momencie ani mnie, ani wielu innym mieszkańcom Korei Północnej nawet nie przeszło przez myśl, że ten potężny król, bóg władający pogodą, mógłby umrzeć. Był przecież pozbawiony wad, wszechmocny. Stał tak wysoko nad przeciętnymi ludźmi, że jakaś część mnie nie wierzyła, że jest prawdziwy. Uważaliśmy, że on nie potrzebuje snu, że nie chadza do toalety. A mimo to umarł.

I nagle w mojej głowie jakby otworzyły się pewne drzwi. Pomyślałam, że przecież był osiemdziesięciodwuletnim człowiekiem. Zestarzał się i osłabł. Ostatecznie okazał się być nie lepszym od nas. Siedziałam, słuchając lamentów przyjaciółki, ale z moich oczu nie popłynęła ani jedna łza. Rana po śmierci mojego ojca była zbyt świeża, bym mogła opłakiwać Wielkiego

Wodza.

Następnego dnia wszyscy uczniowie i nauczyciele zebrali się przed budynkiem szkoły; ustawiono nas w długich, równych szeregach. Niebo nad nami było błękitne, a temperatura powietrza z każdą chwilą nieprzyjemnie rosła. Dyrektor i nauczyciele, wszyscy zalani łzami, wygłaszali pełne emocji przemowy. W tle grała żałobna muzyka. Trwało to całymi godzinami. Na początku było mi smutno, ale po trzech godzinach stania w pełnym słońcu czułam przede wszystkim zmęczenie i pragnienie.

Nikt nie kazał nam płakać. Nikt nie dawał do zrozumienia, że jeśli nie będziemy, padną na nas jakiekolwiek podejrzenia. Ale wszyscy wiedzieliśmy, że oczekuje się od nas łez. Zewsząd dobiegały mnie odgłosy łkania, zawodzenia i pochlipywania. Wyglądało na to, że wszyscy poza mną są pogrążeni w głębokim żalu. Zadziałał instynkt samozachowawczy − wiedziałam, że jeśli nie zacznę płakać jak pozostali, będę miała kłopoty. Dlatego zaczęłam pocierać twarz dłońmi, markując rozpacz. Wcześniej ukradkiem naplułam na palce i teraz przetarłam nimi oczy. Zaczęłam wydawać z siebie ciche jęki z nadzieją, że brzmią wiarygodnie.

Trwało to bardzo długo i w pewnym momencie zrozumiałam, że dłużej nie dam rady. Było bardzo ciepło i nogi nieco się pode mną ugięły. Nauczyciele uznali, że mogę zemdleć, więc zaprowadzono mnie do stojącej nieopodal karetki. Przyniosło mi to znaczną ulgę.

Następnego dnia odbyło się podobne zgromadzenie. Tym razem pod pomnikiem Zwycięskiej Bitwy o Pochonbo w parku w Hyesan zebrano uczniów i nauczycieli ze wszystkich szkół w mieście. Kilka tysięcy młodych ludzi i ich opiekunów rozpoczęło wspólne zawodzenie. Rozpacz zdawała się rosnąć z każdą godziną. Miasto ogarniała swoista histeria. Szkoły przestały funkcjonować. Zamknięto huty żelaza i tartaki, fabryki, sklepy i place handlowe. Każdy obywatel miał obowiązek uczestniczyć w codziennych masowych zbiórkach, na których okazywaliśmy nasz nieukojony żal. Dzień po dniu nauczyciele prowadzali nas na wzgórza, gdzie zrywaliśmy dzikie kwiaty, by złożyć je w parku przed pomnikiem Kim Il-sunga. Po kilku dniach w okolicy zabrakło kwiatów, ale i tak kazano nam je przynosić. Przyniesienie pod pomnik jednego kwiatu było obrazą Wielkiego Wodza.

W czasie którejś z wypraw po kwiaty przez łąkę przeleciał rój ważek.

– Spójrzcie – powiedziała zachwycona nauczycielka – nawet ważki rozpaczają po śmierci Wielkiego Wodza.

Mówiła poważnie, a my przyjęliśmy jej słowa bezkrytycznie.

Gdy okres żałoby dobiegł końca, przystąpiono do wymierzania kar tym, którzy przelali za mało łez. W dniu, w którym wznowiono zajęcia, wszyscy uczniowie zebrali się przed szkołą, by obrzucić wyzwiskami i publicznie skrytykować dziewczynę oskarżoną o udawanie płaczu. Dziewczyna była przerażona i tym razem jej łzy były szczere. Było mi jej żal, ale przede wszystkim czułam ulgę. Sama udawałam żal i cieszyłam się, że nikt nie przejrzał mojego oszustwa.

O podobne wykroczenia oskarżono wielu dorosłych, więc przez miasto przetoczyła się fala aresztowań – *Bowibu* miało pełne ręce roboty. Niedługo pojawiły się pierwsze informacje o publicznych grupowych egzekucjach.

Uczestnictwo w egzekucjach jest obowiązkowe od szkoły podstawowej. Często odwoływano lekcje, żeby uczniowie mogli uczestniczyć w takim wydarzeniu. Fabryki wysyłały robotników, by na miejscu pojawił się odpowiednio duży tłum. Zawsze starałam się unikać udziału w tych wydarzeniach, ale tamtego lata zrobiłam wyjątek, ponieważ znałam człowieka, który miał zostać stracony. Wiele osób w Hyesan go znało. Mogłoby się wydawać, że oglądanie egzekucji kogoś, kogo się zna, jest ostatnią rzeczą, na jaką ma się ochotę, tymczasem ludzie szukali wymówek, by nie iść na egzekucję, jeśli nie znali ofiary. Ale jeśli mieli z nią jakieś kontakty, czuli się w obowiązku pojawić się tak samo, jakby pojawili się na pogrzebie.

Skazany miał nieco ponad dwadzieścia lat i zaliczał się do osób, które zawsze miały pieniądze. Dziewczyny tłoczyły się wokół niego, a miejska chuliganeria była w niego zapatrzona. Człowiek ten pomagał ludziom uciekać do Chin i handlował przemyconymi stamtąd towarami. Jego prawdziwą zbrodnią było jednak to, że nie zaprzestał działalności na czas żałoby po śmierci Kim Il-sunga.

Miał zostać rozstrzelany razem z trzema innymi skazańcami na lotnisku w Hyesan. Lotnisko bardzo często wykorzystywano jako miejsce przeprowadzania egzekucji. Z ciężarówki, na oczach zgromadzonych w upale gapiów, wywleczono trzech mężczyzn. W jednej chwili wokół mnie podniosły się szepty. Znanego wszystkim chłopaka policjanci musieli zaciągnąć siłą na wyznaczone miejsce – znaczył trasę w pyle czubkami palców u stóp. Już wtedy sprawiał wrażenie na wpół umarłego.

Każdego z trzech skazańców przywiązano do pala, mocując ich głowy,

tułów i pas. Związano im nogi i ręce na plecach, za słupem. Rozpoczął się pilnie śledzony sąd ludowy, w czasie którego sędzia oznajmił, że oskarżeni przyznali się do winy. Potem zapytał, czy chcą wygłosić jakieś ostatnie słowa. Nie czekał na odpowiedź, bo wszyscy skazani zostali zakneblowani, a wcześniej wepchnięto im w usta kamienie, żeby w chwili śmierci nie przeklinali władz.

Naprzeciwko skazanych ustawiło się trzech umundurowanych strzelców z wymierzoną bronią. Zauważyłam, że mają zaczerwienione twarze. Nie było tajemnicą, że wykonawcom rozkazów śmierci pozwala się pić przed egzekucją. Powietrze przeszył dźwięk repetowania broni – każdy ze strzelców oddał trzy strzały: pierwszy w głowę, drugi w klatkę piersiową, trzeci w brzuch. Gdy kula trafiła w czaszkę znanego wszystkim chłopaka, ta dosłownie eksplodowała, rozbryzgując w powietrzu drobną krwawą mgiełkę. Rodzina skazanego musiała obserwować to wszystko z pierwszego rzędu.

ROZDZIAŁ 15

DZIEWCZYNA CHULIGANA

Gdy skończyłam piętnaście lat, zaczęłam chodzić na lekcje organizowane tylko dla dziewcząt. Teoretycznie miały to być zajęcia o seksie.

Żadna z nas nie miała pojęcia, na czym polega życie z mężczyzną, nie wiedziałyśmy też nic na temat rozmnażania. Partia, zawsze tak chętnie ingerująca w każdy aspekt życia człowieka, stawała się niezwykle nieśmiała, gdy przychodziło do spraw związanych z poczęciem nowego człowieka. Nie decydowała się na to, mimo że ciąża stawiała nastolatki w okropnym położeniu – ciężarna dziewczyna musiała natychmiast wyjść za mąż, żeby uniknąć kłopotów. Trudno byłoby zorganizować aborcję i pewnie nawet nikt by tego nie sugerował. Raczej zmuszano ją do oddania dziecka do rodziny zastępczej lub do domu dziecka.

W tamtym okresie wierzyłam, że mogę zajść w ciążę od pocałunku lub trzymania się z chłopakiem za ręce. Moje przyjaciółki też były o tym przekonane. U chłopców sprawa nie przedstawiała się lepiej – w kwestiach seksu wykazywali się równą ignorancją. Raz widziałam, jak grupa nastolatków nadmuchuje prezerwatywy pod apteką w Hyesan. Potem kopali je wzdłuż ulicy. Gdyby ktoś powiedział im, do czego służą te „balony”, spaliliby się ze wstydu.

Brak edukacji seksualnej powodował, że żadna z dorastających dziewcząt nie chwaliła się nabierającym kobiecych kształtów ciałem, nie flirtowała ani nie kusiła chłopców. Północnokoreańskie biustonosze kształtem przypominają bluzki i raczej spłaszczają biust, niż go eksponują. Jedna z dziewcząt w mojej klasie miała pokaźnych rozmiarów piersi. Pozostałe koleżanki wcale jej tego nie zazdrościły, a wręcz ochoczo wyśmiewały.

O tym, na czym polega akt płciowy, dowiedziałam się przypadkiem

i z zupełnie niespodziewanego źródła. Moja szkolna koleżanka zaprosiła mnie pewnego popołudnia na wspólne oglądanie przemyconego z Korei Południowej dramatu. Gdy włączyłyśmy wideo, przekonałyśmy się, że któryś z dorosłych mieszkańców domu zostawił w środku film zupełnie innego gatunku. Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiałam, na co patrzę. Na ekranie plątały się kończyny i widać było intymne części ciała. Obrazowi towarzyszyło regularne postękiwanie i jęczenie. Koleżanka zaczęła chichotać, widząc zaskoczenie na mojej twarzy. Nigdy nie widziałam, by na północnokoreańskim filmie ludzie choćby się całowali. Zgodnie z partyjną propagandą pornografia była częścią zgubnej i szkodliwej kultury zagranicznej. Ale ten film o „uprawianiu miłości", jak nazwała go koleżanka, powstał w Korei Północnej. Nakręcono go w Pyongyang i sprzedawano za granicą. Dostęp do tego typu nagrań mieli też wyżej postawieni funkcjonariusze partyjni. Nie uwierzyłabym, gdyby nie fakt, że „aktorzy" mieli dziwnie znajomy akcent. Tamtego dnia straciłam niewinność, a wraz ze mną − w moim mniemaniu – stracił ją również mój kraj.

Pierwsza miesiączka wywołała u mnie, podobnie jak u moich koleżanek, trzy następujące po sobie gwałtowne reakcje – szok, zażenowanie i całkowitą panikę. Musiałam użyć całego swojego intelektu, by zorientować się, co robić. Niesamowite, jak dobrze większość z nas radziła sobie z tym problemem, wziąwszy pod uwagę, że nie pytałyśmy o radę matek ani nikogo innego. Moja matka, najbardziej rozsądna osoba, jaką znałam, nie dała mi w tej kwestii żadnego wsparcia, podobnie jak sama nie otrzymała go od swojej matki.

Przeżywałam właśnie okres najdalej posuniętej paniki z powodu pierwszej menstruacji, gdy jedna z dziewczyn z klasy powiedziała mi, że w publicznej toalecie niedaleko szkoły zobaczyła coś, co naprawdę ją przeraziło. Chciała mi to koniecznie pokazać. Zakradłyśmy się tam we dwie. Turecka toaleta była wilgotna, mroczna i straszliwie cuchnęła. Obok otworu leżała zakrwawiona biała reklamówka. Wewnątrz znajdowały się zwłoki noworodka o maleńkiej sinoróżowej twarzy. Matka musiała tu urodzić i uciec. Obok nieżywego dziecka leżały pępowina i łożysko. Widok ten wstrząsnął mną do głębi. Tamtej nocy nie zmrużyłam oka.

***

Wtedy, w 1995 roku, zaczęłam umawiać się na randki. Mój chłopak był cztery lata starszy ode mnie i był chuliganem. Nazywał się Tae-chul. Był wysoki, szczupły i zawsze chodził w japońskiej kurtce, co w Hyesan stanowiło szczyt wyrafinowania. Uśmiechał się w specyficzny, sugerujący samozadowolenie, sposób, co bardzo mi się podobało. W każdym północnokoreańskim mieście są chuligani. Nie prawdziwi przestępcy, ale młodzi ludzie o charakterze liderów. W Korei Północnej tacy ludzie bardzo często handlowali zakazanymi towarami. Pozwalano im na wiele, o ile nie zajmowali się niczym choćby minimalnie związanym z polityką, co natychmiast przyciągnęłoby uwagę *Bowibu*.

Tae-chul miał pieniądze. Poza tym uczył się w szkole policyjnej i wkrótce planował rozpocząć służbę. Same spacery z nim wywoływały u mnie dreszcz rozkoszy ze względu na uwagę, jaką przykuwaliśmy. Kilka razy zaczekał na mnie przed szkołą i natychmiast pojawiły się plotki. Sprawa była poważna − kiedy ludzie zaczną mówić, że dziewczyna z kimś się umawia, bardzo ciężko jest jej znaleźć innego zalotnika.

Martwiło mnie to, ale lubiłam go. Rozpierała mnie duma, że wybrał właśnie mnie, choć tyle innych dziewcząt chciało się z nim umawiać. Chodziliśmy do niego do domu i słuchaliśmy razem południowokoreańskich nagrań pop, czasem też graliśmy − on na gitarze, ja na akordeonie. Jak wszystkie dzieciaki w naszym wieku w Korei Północnej nawet się nie całowaliśmy. Czasami trzymaliśmy się za ręce, ale i w tym staraliśmy się zachować najdalej idącą ostrożność. Nasze rodziny nie wiedziały, że ze sobą chodzimy, dlatego nie widziały nic zdrożnego w moich wizytach w jego domu. Matka dostałaby zawału, gdyby wiedziała, że Tae-chul był moim chłopakiem.

***

Tego roku obowiązki związane z przynależnością do Ligi Młodych Socjalistów były jeszcze bardziej uciążliwe niż zwykle. Wiosną pomagaliśmy sadzić ryż, latem plewiliśmy chwasty i nawoziliśmy pola, a jesienią przypadała pora zbiorów, w których pomagali uczniowie i robotnicy z całego kraju. Ta zakrojona na szeroką skalę akcja, w czasie której na polach powiewały czerwone transparenty, była ucieleśnieniem komunistycznego idealizmu.

Latem kazano nam kopać tunele wokół szkoły. Mobilizacja objęła cały kraj i wszyscy nagle znaleźliśmy się na wojennej stopie. Syreny wyły niemal codziennie. Wtedy rzucaliśmy to, czym akurat się zajmowaliśmy, i zaczynaliśmy biegać wte i wewte jak w amoku, czy ćwiczyć postępowanie na wypadek nalotów. Powiedziano nam, że Ameryka i Korea Południowa szykują się do rozpoczęcia ofensywy atomowej. Wojna mogła rozpocząć się w każdej chwili. Wizja konfliktu jądrowego mnie przerażała. Matka wpadła w panikę i rozdała bardzo dużo rzeczy. Wszystkie nieużywane koce i poduszki trafiły do Wuja Ubogiego i jego rodziny w gospodarstwie kolektywnym.

Chłopcy wymachiwali szaleńczo szpadlami, a dziewczyny nosiły ziemię. Nienawidziłam każdej minuty tego zajęcia. Gdyby wojna wybuchła, kiedy bylibyśmy w szkole, kilkaset osób miało skryć się w sieci tuneli. Bałam się, że nasza amatorska inżynieria nie wystarczy i nasz twór pogrzebie nas żywcem. Nie byłam też przekonana, czy tunele są na tyle głębokie, by uchronić nas przed skutkami wybuchu jądrowego. Wiele lat później dowiedziałam się, że w propagandzie kryło się ziarno prawdy. Stany Zjednoczone rzeczywiście rozważały przeprowadzenie nalotów na nasze elektrownie atomowe.

Po jednym z tych wyczerpujących dni spędzonych na kopaniu tuneli i ćwiczeniach działań, jakie należy podejmować w czasie nalotów, poszłam z Sun-i, moją przyjaciółką, do niej do domu. Sun-i należała do grona moich najlepszych przyjaciółek, ale wtedy byłam u niej po raz pierwszy. Zazwyczaj chodziłyśmy do mnie.

– Zjemy coś? – zapytałam. – Jestem głodna.

– Nie wiem, co mamy w domu – odparła wymijająco.

– Może być cokolwiek.

– Nie mamy zbyt wiele.

To mnie zirytowało. U mnie zawsze dostajesz coś do przegryzienia, pomyślałam.

– Nie potrzebuję pełnego obiadu.

Sun-i zawahała się. Widać było, że jest jej wstyd.

– Chodź – powiedziała w końcu, prowadząc mnie do kuchni. Na kuchence stały cztery garnki. Uniosła pokrywkę nad jednym z nich. – Popatrz. Przecież ci tego nie dam.

W garnku leżało grube, ciemnozielone coś o nieokreślonym kształcie.

Mogłam zapytać, co to było, ale wystarczyło mi jedno spojrzenie, by wiedzieć, że nie miało to nic wspólnego z normalnym jedzeniem. Dopiero w drodze do domu zrozumiałam, że mogły to być łodygi kukurydzy.

Nie wiedziałam jednak, dlaczego matka Sun-i miałaby gotować łodygi zamiast ryżu.

ROZDZIAŁ 16

„GDY BĘDZIESZ CZYTAĆ TE SŁOWA, NASZEJ PIĄTKI NIE BĘDZIE JUŻ NA ŚWIECIE”

Matka wróciła z pracy zmęczona i rozkojarzona. Od śmierci ojca źle sypiała. Wokół jej oczu i ust pojawiły się nowe zmarszczki. Od miesięcy nie widziałam, żeby się uśmiechała. Ale przynajmniej dzięki prowadzonym na boku interesom mogła nas utrzymać. Mieliśmy jedzenie i pieniądze, a praca w urzędzie zapewniała matce dostęp do wytworów gospodarstwa, którym zarządzała jej firma. Dzięki temu miała okazję przyjmować i wręczać łapówki, czego zresztą od niej oczekiwano. Niedługo po śmierci Kim Il-sunga rząd przestał wypłacać pensje. Nadal przez zakłady pracy rozprowadzał bony żywnościowe, ale te z każdą chwilą coraz bardziej traciły na wartości – liczba towarów, jakie można było za nie uzyskać, stale się kurczyła.

Kiedyś matka przyniosła do domu list, który dostała jej koleżanka. Napisała go siostra tamtej kobiety. Mieszkała w Północnym Hamgyong, prowincji sąsiadującej z naszą od wschodu. Matka pokazała nam go ze słowami:

– Ty i Min-ho musicie o czymś wiedzieć. Ludzie przeżywają ciężki czas. Wy chcecie, żebym kupiła wam to, narzekacie, że nie macie tamtego. Wiedzcie zatem, że nie wszyscy mają tyle, co my.

Spojrzałam na zapisaną kartkę.

Kochana Siostro!

Gdy będziesz czytać te słowa, naszej piątki nie będzie już na świecie. Nie

jedliśmy niczego od kilku tygodni. Jesteśmy wycieńczeni, choć ostatnio nasze ciała się rozdęły. Czekamy na śmierć. Marzę tylko o tym, żeby zanim umrę, zjeść kawałek placka kukurydzianego.

Byłam zaskoczona i nie do końca zrozumiałam przekaz listu. Dlaczego ci ludzie nie jedli od tygodni? Przecież żyliśmy w jednym z najzasobniejszych krajów świata. W każdym wydaniu wiadomości pokazywano fabryki i gospodarstwa rolne produkujące ogromne ilości towarów i żywności, emitowano materiały przedstawiające dobrze odżywionych ludzi wypoczywających po pracy i robiących zakupy w pełnych wszelkich dóbr sklepach w Pyongyang. I dlaczego ostatnim życzeniem tej kobiety było zjeść placek kukurydziany – „ciasto biedaków"? Nie powinna raczej marzyć, by ostatni raz spotkać się z siostrą?

Zrozumienie przychodziło powoli.

Przypomniałam sobie, jak ostro potraktowałam Sun-i, tylko dlatego że nie zaproponowała mi żadnej przekąski. Zmartwiałam.

Jej rodzina nie miała co jeść.

***

Kilka dni później pierwszy raz osobiście zetknęłam się z głodem.

Na targu przed dworcem Wiyeon w Hyesan zobaczyłam leżącą na boku kobietę, która trzymała w ramionach małe dziecko. Była młoda, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia kilka lat. Dziecko, chłopczyk, miało jakieś dwa lata i intensywnie wpatrywało się w matkę. Oboje byli bladzi i wychudzeni. Mieli na sobie podarte łachy. Twarz kobiety była brudna, a jej włosy mocno zakurzone, matowe. Wyglądała na chorą. Ku mojemu zdumieniu ludzie przechodzili obok bez cienia emocji, jakby ta dwójka była niewidzialna.

Ja nie umiałam ich zignorować. Położyłam banknot stuwonowy na kolanach chłopca. Taka kwota mogła zapewnić jedzenie na kilka dni. Uznałam, że dawanie go jego matce mija się z celem. Zamglonymi oczami nieprzytomnie patrzyła w dal. Nie widziała mnie. Sądzę, że była bliska śmierci.

– Uratowałam dziś dziecko – powiedziałam matce po powrocie do domu. Pomyślałam, że będzie dumna, gdy się dowie, że zajęłam się tamtą dwójką,

podczas gdy pozostali ludzie mijali ich bez najmniejszego gestu.

Gdy jednak opowiedziałam, co zrobiłam, matka spojrzała na mnie wyraźnie zdenerwowana.

– Czy ty zupełnie nie masz mózgu? Jak takie dziecko może cokolwiek kupić? Jakiś złodziej na pewno już zwinął te pieniądze. Powinnaś była kupić im jedzenie.

Miała rację, a ja czułam się winna.

Potem wiele myślałam na temat dobroczynności. Dzielenie się z innymi było powinnością dobrego komunisty, lecz jednocześnie wydawało się bezcelowe. Ludzie nie mieli prawie nic, a przecież musieli troszczyć się przede wszystkim o swoje rodziny. Mogłam oddać swoje sto wonów dziecku i jego matce, ale zrozumiałam, że rozwiązałabym ich problemy zaledwie na kilka dni. Ta myśl mocno mnie przybiła.

***

Nad Hyesan położył się cień. Wszędzie spotykało się żebraków, szczególnie koło targowisk. Czegoś takiego nigdy wcześniej nie widziałam w swoim kraju. Poza tym pojawiły się też żebrzące dzieci. Początkowo włóczyły się dwójkami i trójkami, lecz wkrótce ze wsi napłynęła do Hyesan nowa fala. Ich rodzice pomarli z głodu, pozostawiając je na pastwę losu. Nie miały krewnych, musiały więc radzić sobie same. Nazywano je *kotchebi* („kwietne jaskółki”), bo gromadziły się w stada niczym ptaki. Jedzenie też zdobywały w grupach – jedno z nich odwracało uwagę sprzedawcy, a pozostałe chwytały, co mogły i uciekały. Na ironię zakrawał fakt, że widywaliśmy je najczęściej grzebiące w śmieciach, gdzie szukały resztek ryżu, obierków czy chrząstek – żyjące dokładnie tak, jak podobno żyły dzieci w Korei Południowej.

W szkole też widać było zmiany. Dzieci, których rodzice mieli problemy ze zdobywaniem jedzenia, zaczęły opuszczać niektóre lekcje, z czasem zaś zupełnie przestały przychodzić na lekcje. Moja klasa zmniejszyła się o jedną trzecią. Niektórzy nauczyciele też się nie pojawiali, bo zarabiali na życie, handlując na targowiskach.

Brakowało nie tylko jedzenia. Skończyły się zapasy nawozów. Na wsiach dzieci musiały przynosić do szkół wyznaczone ilości odchodów, żeby było

czym nawozić pola. Z czasem ludzie zaczęli zamykać wychodki, żeby złodzieje nie rozkradli tej odrobiny, jaka wszystkim została. Brakowało opału. Huty stali i tartaki stanęły. Z fabrycznych kominów nie unosił się dym, a ulice, nawet za dnia, sprawiały wrażenie wymarłych. Modrzewie i sosny porastające niegdyś tak pięknie zbocza gór zaczęły znikać. Z krajobrazu stopniowo ubywało drzew. Ludzie wycinali je na opał tym intensywniej, że znad Mandżurii wiał już lodowaty wiatr, zwiastujący nadejście zimy. Coraz częściej zdarzały się przerwy w dostawie prądu, aż w pewnym momencie doszło do tego, że w ogóle rzadko go włączano. Żeby wieczorami oświetlić dom, matka zrobiła lampkę oliwną z garnka wypełnionego ropą i kawałka bawełny, który służył za knot. Kopciła tak bardzo, że całe twarze mieliśmy osmolone.

Pewnego mroźnego poranka, na kilka tygodni przed tym, jak rzekę skuł lód, wyszłam na spacer. Świeciło jasne, zimowe słońce i w jego promieniach dostrzegłam coś, co wyglądało jak szmata niesiona powolnie z nurtem wody. Szmata obróciła się nieco i wtedy zobaczyłam, że ma ludzką twarz. Topielec miał otwarte oczy. Przyglądałam się, przerażona, jak płynął powoli w kierunku naszego domu. Tuż przed świtem, zanim ktokolwiek żyjący po chińskiej stronie mógłby zauważyć, straż graniczna wyciągała z wody trupy i zagrzebywała je pod sianem. Były to ciała ludzi, którzy starali się sforsować rzekę w jej górnym biegu, lecz byli zbyt słabi, by wygrać z prądem. Wystarczyło, by w górach spadł deszcz, a nurt natychmiast stawał się bardziej rwący.

***

Na początku 1996 roku, niedługo po moich szesnastych urodzinach, na podmiejskim targu natknęłam się na sporą grupę ludzi skupioną wokół mężczyzny w średnim wieku. Człowiek ten mówił coś z wyraźnym akcentem typowym dla Koreańczyków żyjących w Chinach. Miał pokaźny brzuch, a na ramionach ocieplany płaszcz dobrej jakości. Wyglądał na kogoś, komu się powodzi. Uznałam, że musiał przyjechać z Chin w odwiedziny do krewnych.

– Dlaczego nasz naród musi tak cierpieć? – pytał, a po okrągłych policzkach płynęły mu łzy. – Ludzie głodują i umierają. Jak coś takiego mogło wydarzyć się w naszym kraju?

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął plik chińskich, niebieskich banknotów dziesięcioyuanowych. Tłum zafalował z przejęciem. Mężczyzna zaczął rozdawać banknoty na prawo i lewo, nie patrząc, komu je wręcza. Jakby wezwani dźwiękiem niesłyszalnego dla innych gwizdka, wokół nagle zmaterializowali się żebracy i w stronę mężczyzny wyciągnęły się ręce w obdartych łachach. Otaczały go z każdej strony. Mężczyzna oddał ludziom wszystko, co miał.

Jego pytanie zapadło mi w pamięć.

Co właściwie się działo? Wojna nie wybuchła, a wszyscy zapomnieli o grożącej nam detonacji bomby atomowej, mimo że przecież tyle czasu spędziliśmy kopiąc tunele i ćwicząc działania na wypadek nalotów. Głód spadł na nas znikąd, niczym zaraza.

Oficjalną przyczyną „marszów znoju", jak w komunikatach propagandowych określano głód, były wymuszone przez Jankesów sankcje nałożone przez ONZ na Koreę, a dodatkowo kiepskie zbiory i powodzie. Gdy o tym usłyszałam, ani przez chwilę nie wątpiłam w zapewnienia, że Kim Jong-il robił wszystko, co w jego mocy, by ulżyć ludziom w tych strasznych czasach. Gdzie bylibyśmy bez niego? Prawdziwe powody wybuchu klęski poznałam wiele lat później. W Korei Północnej wiedziała o nich zaledwie garstka ludzi. Źródeł tragedii należało upatrywać nie w sankcjach ONZ, a w upadku Związku Radzieckiego. Nowe władze Rosji odmówiły dalszego wspierania naszego kraju dostawami żywności i paliwa.

Krajem rządził teraz Kim Jong-il. Słuchaliśmy drżącego z emocji głosu spikerki telewizyjnej, która z przejęciem opisywała, jak nasz Umiłowany Przywódca, by zjednoczyć się w cierpieniu ze swoim narodem, je najprostsze posiłki złożone tylko z porcji ryżu i ziemniaków. Na ekranie jednak, jak zawsze, pojawiał się dobrze odżywiony grubas. Żeby odwrócić uwagę ludzi od spraw doszczętnie zniszczonej ekonomii, pokazywano nam Przywódcę w czasie niekończących się inspekcji w bazach wojskowych. Ludzie zaczynali mówić, że wojna zjednoczeniowa z Koreą Południową rozwiązałaby wszystkie problemy.

Akcent żebraków zdradzał, że większość z nich przybyła do Hyesan spoza miasta – przede wszystkim z Północnego i Południowego Hamgyong. Słyszeliśmy, że było tam wyjątkowo źle, jednak jak bardzo, przekonałam się dopiero, gdy wiosną 1996 roku pojechałam do Hamhung w odwiedziny do Ciotki Ślicznej.

To była podróż przez krajobraz z piekła rodem.

Wiosna jest najtrudniejszym okresem w Korei Północnej – zapasy z poprzednich zbiorów są już na wyczerpaniu, a świeże plony dopiero wzrastają. Tamtego roku ziemia była goła i brudna. Sprawiała wrażenie chorej, przeklętej. Nie było wzgórza, na którym nie wycięto by drzew, a na przestrzeni wielu kilometrów widać było snujących się apatycznie ludzi, którzy krążyli bez celu, bez nadziei na znalezienie jedzenia. Jak żywe trupy. Była też druga grupa – ci nie chodzili nigdzie, siadali tylko wzdłuż torów, bezczynnie, jakby na nic już nie czekali.

Zanim nastał głód, podróżowanie bez wstemplowanego w dowód pozwolenia na podróż, sprawdzanego przez odpowiednich urzędników na stacji kolejowej, było niemożliwe. Teraz nikt niczego nie kontrolował. Porządek walił się na naszych oczach. Żołnierze rabowali, policja parała się rozbojem, pociągi przestały trzymać się rozkładów. Na każdej stacji do wagonów próbowały wsiadać setki ludzi. W pociągu nie było miejsca, by pomieścić wszystkich. Z każdą chwilą podróż zmieniała się w coraz większy koszmar. Na jednej ze stacji cudem uniknęłam poranienia odłamkami szkła, gdy ludzie czekający na peronie wybili okno, starając się dostać przez nie do wagonu. Pociąg był niebezpiecznie przepełniony. Bezrobotni głodni ludzie jechali przed siebie w nadziei, że zdołają sprzedać coś w zamian za jedzenie. Zrobiło się tak tłoczno, że gdy wreszcie dotarliśmy do Hamhung, musiałam przechodzić po ludziach, by dostać się do wyjścia.

W końcu wyszłam na peron. Gdy obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że na dachu pociągu podróżowały setki ludzi. Ci, którzy mieli jeszcze coś cennego i chcieli to przemycić, siadali właśnie tam. Żaden urzędnik nie zdecydowałby się ryzykować życiem, by przeprowadzić kontrolę.

Mniej więcej w tym czasie moja matka, która wybrała się w podróż do Wonsan, gdzie żył Wuj Kinoman, zobaczyła pewną scenę z udziałem staruszki i policjanta. Ubranie siedzącej na dachu pociągu staruszki było powypychane nielegalnie przewożonymi towarami, które miała zamiar sprzedać. Policjanci zawsze czujnie wypatrywali przemytników, bowiem mieli nadzieję, że sami będą mogli sprzedać skonfiskowane dobra.

– Proszę mnie nie sprawdzać – błagała staruszka funkcjonariusza. – Nic więcej nie mam.

– Złaź na dół, stara wiedźmo! – wrzasnął policjant.

Gdy kobieta poprosiła go o pomoc, wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją

i jednocześnie wyciągnęła wolne ramię w górę, zaciskając palce wokół wiszących nad pociągiem drutów wysokiego napięcia. Staruszka i policjant zginęli na miejscu. Musiała sobie pomyśleć: Jeśli mam umrzeć, to zabieram tego bydlaka ze sobą.

Gdy wreszcie dotarłam do miasta, stwierdziłam, że pamięć płata mi figle. Hamhung, który pamiętałam z dzieciństwa, był tętniącym życiem, wielkim ośrodkiem przemysłowym, w którym kominów fabrycznych było tyle, że ich dym często utrudniał oddychanie. Teraz, choć kominy nie zniknęły, powietrze było świeże i czyste. Niebo przestało być żółte, bo największy dymiący potwór w okolicy, fabryka nawozów amonowych Hungnam, nie wyrzucała już z siebie zanieczyszczeń. Na ulicach nie widać było ani trolejbusów, ani samochodów, na chodnikach nie panował ścisk. Ludzie krążyli po ulicach jak w letargu i mówili do siebie, bo głód zsyłał na nich halucynacje.

Ciotka Śliczna zarabiała dotychczas na sprowadzaniu chińskich ubrań do Hamhung przez Hyesan i dostarczaniu w głąb kraju owoców morza, ale teraz, od kiedy na sieci transportu nie można już było polegać, szukała sobie nowego zajęcia. Uważała, że władze podjęły decyzję o odcięciu Północnego Hamgyong od sieci publicznej dystrybucji, żeby ratować resztę kraju. Zapytałam, dlaczego właśnie tę prowincję.

– Bo mieszka tam tak wielu ludzi o najniższym *songbun* – odparła.

Ludzie umierali na ulicach. Ale to właśnie głód i wyższa potrzeba sprawiały, że zmieniał się sposób myślenia. Widziałam to na własne oczy w Hamhung. Ludzie powoli odchodzili od wpajanej im przez całe życie ideologii i kierowali się w stronę tego, co ludzkość praktykowała od zarania dziejów – handlu.

Wszędzie – na poboczach, stacjach kolejowych, w zamkniętych zakładach przemysłowych – pojawiały się czarnorynkowe targowiska, na których można było kupić żywność, oczywiście po wysokich, wolnorynkowych cenach. Pojawiła się też nowa grupa społeczna – handlarze, a w zasadzie handlarki, bo prowadzeniem tego rodzaju działalności zajmowały się przede wszystkim kobiety, wywodzące się głównie z kasty o niskim *songbun*. Zresztą przynależność do kasty jako miara wartości człowieka bardzo szybko zeszła na dalszy plan, ustępując miejsca zdolności do zarabiania i zdobywania pożywienia. Wiele z tych kobiet sprzedawało po prostu z ulicy: rozkładały towary na matach wzdłuż chodników i pilnowały ich przed

złodziejami i *kotchebi*. Na niektórych targowiskach szybko pojawiły się lepiej wyglądające, mające bardziej trwały charakter stragany. Towary wykładano na ladach i chroniono markizami wykonanymi z charakterystycznych niebieskich worków, w których Światowy Program Żywnościowy dostarczał do Korei ryż. Niezwykłe było to, że w mieście, które znalazło się w śmiertelnym uścisku głodu, ludzie znajdowali tyle okazji do awansowania w strukturach społecznych i osiągania sukcesu w interesach – oczywiście ci, którzy zdołali dostrzec nowe możliwości. W czasie tamtej wizyty usłyszałam, jak ktoś mówi, że ludzie dzielą się na „głodujących, żebraków i handlarzy". Pochodziłam z Hyesan, więc koncepcja zainteresowania handlem nie była mi obca, lecz w Hamhung, drugim co do wielkości mieście Korei Północnej, takie podejście wydawało się czymś nowym.

Podróż powrotna do Hyesan okazała się równie koszmarna, co wyjazd stamtąd. Wiele osób podróżowało na ostojach pod wagonami albo trzymało się wszelkich występów na zewnętrznych ścianach. Niektórzy siedzieli na dachu, tuż pod przewodami trakcyjnymi. Gdy wysiadłam na dworcu w Hyesan, zobaczyłam leżącego na peronie mężczyznę. Miał tak uszkodzoną czaszkę, że ze środka wyzierał jego mózg. Żył jeszcze i pytał drżącym głosem, czy wyjdzie z tego. Umarł kilka sekund później. Jechał na ostoi i uderzył głową o krawędź peronu, gdy pociąg wjechał na stację. W tamtym czasie takie wypadki zdarzały się naprawdę często.

W 1996 roku w kraju doszło do wyraźnych zmian kulturowych. Dawniej, gdy ktoś przychodził w odwiedziny, witało się go pytaniem „Czy jadłeś już ryż?". Był to grzecznościowy zwrot mający okazać gościnność gospodarza. Pytanie to należało rozumieć jako zaproszenie do wspólnego posiłku. Ale w czasach, kiedy nikomu nie zbywało, pytanie to straciło sens. Na zmianę formuły grzecznościowej nie trzeba było długo czekać. Teraz słyszało się przede wszystkim „Jadłeś już, prawda?". Była też bardzo liczna grupa ludzi zbyt wstydliwych czy też zbyt dumnych, by przyznać się, że głodują. Ludzie ci zawsze odmawiali, gdy próbowano ich częstować w czasie wizyt. Gdy w naszym domu zaczął pojawiać się młody nauczyciel gry na akordeonie, który miał ćwiczyć z Min-ho, matka zawsze pytała, czy jadł już obiad. Stać ją było na podtrzymywanie starych obyczajów. Nauczyciel zawsze odpowiadał grzecznie, chyląc przy tym głowę:

– Jadłem, dziękuję bardzo. Ale byłbym wdzięczny za miskę wody

z *doenjang*.

Matka zawsze spełniała jego prośbę, choć wydawała się jej ona wyjątkowo dziwna. Nikt nie pił wody zaprawionej pastą sojową, którą doprawiano zupy. Za każdym razem nauczyciel pochłaniał przyniesiony napój w kilku łykach. Po miesiącu przestał przychodzić. Matka usłyszała gdzieś, że zmarł z głodu. Wiadomość ta zupełnie ją ogłuszyła. Dlaczego w takim razie nigdy nie przyjął zaproszenia na obiad? Widocznie godność cenił sobie wyżej niż własne życie.

Tego lata, gdy pewnego popołudnia wróciliśmy z Min-ho ze szkoły, natknęliśmy się w domu na złodzieja. Był to chudy żołnierz o dziobatej cerze. Nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Usiłował wynieść nasz telewizor, ale zabrakło mu siły. Żołnierze okradali domy w całym Hyesan. Zazwyczaj, gdy ich nakryto, oddawano ich w ręce policji, jednak moja matka po prostu dała mu trochę pieniędzy i kazała kupić coś do jedzenia.

Głód stawał się coraz bardziej powszechny. W końcu zaczęły pojawiać się doniesienia o kanibalizmie. Rząd surowo przestrzegał przed takimi działaniami. Słyszeliśmy na przykład o pewnym starszym panu, który zabił dziecko i ugotował na nim zupę. Sprzedawał ją potem w działającej na targowisku jadłodajni, gdzie cieszyła się sporym powodzeniem. Zbrodnia wyszła na jaw, gdy policja znalazła kości. Wtedy myślałam, że ci ludzie musieli być szaleni, że przecież nikt normalny nie popełniłby tak straszliwej zbrodni. Teraz nie jestem już tego taka pewna. Rozmawiałam z wieloma osobami, które wtedy otarły się o śmierć, i wiem już, że głód potrafi doprowadzić człowieka do obłędu – sprawić, że rodzice odbiorą jedzenie własnym dzieciom, ludzie będą zjadać ciała umarłych, a najłagodniejszy sąsiad posunie się do morderstwa.

***

System kontroli podróżnych załamał się w całym kraju z wyjątkiem Pyongyang, gdzie nadal dokładnie pilnowano tego, kto ma prawo wjechać do miasta. Tego lata pozwolono mi odwiedzić Wuja Zamożnego i jego żonę. Była to druga tak długa podróż, jaką odbyłam w najgorszym na przemieszczanie się czasie.

Obawiałam się tej wizyty. Przygotowałam się nawet na sceny, jakie

widziałam wcześniej w Hamhung, lecz ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu życie w Stolicy Rewolucji toczyło się normalnie – dobrze odżywieni ludzie zajmowali się wyłącznie swoimi sprawami, a po szerokich alejach jeździły napędzane prądem tramwaje. Nie widziałam ani żebraków, ani włóczących się bez opieki dzieci. Z kominów pracujących pełną parą elektrowni unosiły się kłęby dymu. Lojalni władzy mieszkańcy miasta byli starannie odizolowani od tego, co działo się w pozostałych częściach kraju.

Gdy pokłoniłam się przed brązowym olbrzymem – pomnikiem przedstawiającym Kim Il-sunga, stojącym na Wzgórzu Mansu, tak wielkim, że czułam się przy nim jak mrówka – i złożyłam u jego stóp kwiaty, ciotka i wuj zabrali mnie do Ok-liu-gwon, najsłynniejszej w kraju restauracji specjalizującej się w podawaniu dań z makaronu. Lokal był pełen ludzi, inni czekali jeszcze na swoje miejsca. Ewidentnie nikt tu nie chodził głodny. Wuj był potężnym i wpływowym mężczyzną, więc mogliśmy po prostu pójść na początek kolejki i obsłużono nas bez chwili zwłoki.

Wuj Zamożny był wielkim człowiekiem – tak ciałem, jak i duchem – co licowało z jego pozycją najbogatszego w całej rodzinie. W domu miał nawet saunę. Nigdy w życiu nie widziałam takich luksusów. Naliczyłam tam pięć telewizorów, niektóre z nich były ciągle zapakowane w kartony – wyraźnie przeznaczono je na łapówki.

Pewnego wieczoru na kolację podano zachodnie danie – jakiś rodzaj klusek. Nie wyglądało to jak prawdziwe jedzenie. Wuj Zamożny zaśmiał się, widząc moją minę.

– Większość ludzi w tym kraju nigdy w życiu nie spróbuje czegoś takiego. Masz okazję, która może się więcej nie powtórzyć.

Żona wuja nosiła tak eleganckie ubrania, że w ogóle nie wyglądała na mieszkankę Korei Północnej. Była kierowniczką Domu Towarowego Nr 1 w Pyongyang. Ten sklep często pokazywali w telewizji – na półkach zawsze leżało mnóstwo kolorowych towarów. Ale kiedy odwiedziłam ciotkę w pracy, powiedziała mi, że to wszystko na pokaz, żeby wywrzeć wrażenie na przyjezdnych z zagranicy. Tak naprawdę sklep nie miał w magazynie zapasu tych produktów. Powiedziałam, że miałam nadzieję kupić coś w prezencie dla matki, na przykład mały zestaw cieni do powiek, jaki widziałam za szklaną ladą. Ciotka skinęła wtedy na sprzedawczynię, która natychmiast wyjęła pudełko spod lady i podała mi je.

W drodze powrotnej do Hyesan miałam wrażenie, że wszystko to mi się

przyśniło. Trudno było uwierzyć, że Pyongyang leży w tym samym kraju, w którym na ulicach Hamhung ludzie umierali z głodu, a bandy pozbawionych rodzin dzieci biegały po targowiskach w Hyesan. Ostatecznie jednak nawet Pyongyang nie oparł się klęsce. Rząd nie zdołał powstrzymać klęski głodu przed wdarciem się do jego siedziby.

ROZDZIAŁ 17

ŚWIATŁA CHANGBAI

– Chcę zostać czołgistą! – wykrzyknął chłopak.

Nauczycielka uśmiechnęła się promiennie.

– A dlaczego chciałbyś zostać czołgistą?

– Żeby chronić nasz kraj przed amerykańskimi bydlakami. – Chłopak usiadł na swoim miejscu.

Byliśmy w ostatniej klasie szkoły średniej i nauczycielka pytała nas o plany na przyszłość.

Odpowiadaliśmy, jak na posłusznych Młodych Socjalistów przystało, a więc mówiliśmy dokładnie to, co chciała usłyszeć. Od dawna – tak dawna, że trudno nam było powiedzieć, kiedy to się zaczęło – uczono nas, że Czcigodny Ojciec Przywódca poświęcił całe swoje życie dla dobra ludu, i opowiadano, jak wielkie brzemię dźwigał na swoich barkach. Nawet przedszkolak wiedziałby więc, że nauczycielka nie będzie zadowolona, jeśli od któregokolwiek z nas usłyszy: „Chcę zostać piosenkarzem”.

Naturalnym wydaje się założenie, że w gronie przyjaciół bardziej szczerze dzieliliśmy się swoimi pragnieniami i nadziejami na przyszłość, że otwarcie mówiliśmy o tym, co chcielibyśmy osiągnąć. Do pewnego stopnia tak było. Jednak zanim dotarliśmy do ostatniej klasy, nauczyliśmy się dostosowywać marzenia do możliwości wypływających z naszego *songbun*. A te były mocno ograniczone. W mojej klasie było kilku uczniów o *songbun* odpowiednio wysokim, by starać się o przyjęcie na studia lub – w przypadku chłopców – by zaciągnąć się do armii. Kilka innych osób dzięki rodzinnym koneksjom mogło myśleć o podjęciu pracy w policji czy w *Bowibu*. Jednak przeszło połowa moich rówieśników należała do kasty „wrogów systemu”. Lista z ich nazwiskami trafiła do odpowiedniego urzędu w Hyesan, który

przydzielił ich do pracy w kopalniach czy gospodarstwach rolnych. Jedna dziewczyna z tej grupy zdawała nawet egzaminy na wyższą uczelnię; zdobyła odpowiednią liczbę punktów, ale i tak nie pozwolono jej studiować.

Mój *songbun* dawał mi prawo wyboru i snucia planów. Miałam skromne, niewyszukane marzenia. Chciałam zostać akordeonistką. Akordeon jest lubianym instrumentem w Korei Północnej, a kobieta, która potrafiła na nim dobrze grać, nie musiałaby się martwić o utrzymanie. To byłby mój oficjalny zawód, ale chciałam też, wzorem matki, zająć się handlem, założyć pokątny, nie do końca legalny interes i zarabiać pieniądze. Uważałam, że da mi to spełnienie. Wiedziałam też, że tylko w ten sposób sprawię, że moje dzieci, gdy już pewnego dnia będę je miała, nigdy nie będą chodzić głodne.

Matka w pełni poparła mój wybór i natychmiast zatrudniła muzyka z teatru w Hyesan, by dawał mi lekcje. Powiedziała też, że ojciec byłby bardzo zadowolony, bo zawsze lubił słuchać akordeonu. Rozpłakałam się, gdy to usłyszałam.

Miałam siedemnaście lat. Lada moment, w styczniu 1998 roku, miałam osiągnąć osiemnasty rok życia. Był to moment przełomowy. Każdy mieszkaniec Korei Północnej, który skończył osiemnaście lat, stawał się pełnoletni i otrzymywał dowód osobisty. To, co dla dzieci było psikusem czy drobnym wykroczeniem, które z powodzeniem uchodziły na sucho, dla dorosłego było już poważnym przestępstwem. Była jeszcze jedna rzecz, którą chciałam zrobić, zanim stanie się za późno.

Zimą 1997 roku koleżanka, która mieszkała niedaleko nas, spytała, czy chciałabym przejść z nią przez rzekę do okręgu Changbai w Chinach. Jej matka, podobnie jak moja, utrzymywała kontakty handlowe z mieszkańcami Changbai. Koleżanka już kilka razy przechodziła na drugą stronę, więc wiedziała, co robi.

Ten pomysł sprawił, że poczułam przyjemny dreszcz. Po zimowej przerwie chciałam zdawać na dwuletnie Studium Ekonomiczne w Hyesan. Dostać się tam było trudniej niż na czteroletnie studia uniwersyteckie, bo od absolwentów wyższej uczelni oczekiwano, że zajmą stanowiska w państwowych firmach, a nie zaczną rozwijać nielegalną działalność prywatną. Oceny nie miały w tym wypadku większego znaczenia. Liczyły się pieniądze i kontakty. Chciałam się tam uczyć i zająć handlem towarami

z zagranicy, dlaczego więc nie miałabym wymknąć się do Changbai? Dla mnie ten okręg był synonimem kontaktów handlowych.

Min-ho miał już na koncie wielokrotne przekraczanie granicy, jak zresztą wielu chłopców w jego wieku. Chciał się przecież bawić z chińskimi dziećmi po drugiej stronie rzeki. Czasami, gdy straż graniczna nie zwracała większej uwagi na to, co się wokół działo, Min-ho przemykał się na drugą stronę, by odwiedzić pana Ahna i jego żonę lub pana Changa, z którymi matka robiła interesy – obaj mieszkali blisko rzeki. Skoro jemu było wolno, to dlaczego nie mnie?

Z domu nieraz spoglądałam z podziwem w kierunku halogenowych świateł Changbai widocznych za rzeką. Patrzyłam, zafascynowana, na kolorowe neony i zastanawiałam się, jak to możliwe, że tam nigdy nie brakuje prądu. W szkole powtarzano nam przecież, że Chińczycy wszystkiego nam zazdroszczą i że powodzi się im znacznie gorzej niż nam. Przez lata wierzyłam w te opowieści, choć dowody świadczące o czymś zupełnie przeciwnym miałam na wyciągnięcie ręki – od mnóstwa towarów z Chin, które można było kupić na targach, po eleganckich i modnie ubranych Chińczyków, którzy czasami przyjeżdżali do Hyesan. Na to, że coś się nie zgadza, naprowadziły mnie słowa Ciotki Ślicznej, która powiedziała, że głodujący przyjeżdżają do Hyesan, bo w przygranicznych miastach jest zawsze więcej jedzenia.

Jedzenie z Chin? Czy Chińczycy mieli więcej jedzenia? zastanawiałam się.

W czasie głodu w Hyesan co noc zapadały nieprzeniknione ciemności, ale chmury nad Changbai jarzyły się bursztynową łuną od świecących się na ulicach lamp. Z czasem zaczęłam zwracać uwagę na jeszcze jedno: nikt po drugiej stronie – ani strażnicy wzdłuż granicy, którzy wyglądali olśniewająco w swoich zielonych mundurach, ani bawiące się w rzece dzieci – nie wyglądał na głodnego. Nikt nawet nie był chudy. Ewidentnie powodziło im się lepiej – i to znacznie! – niż nam. Gdy wreszcie to zrozumiałam, zaczęłam wątpić w jedno z najbardziej fundamentalnych przekonań, jakie żywiłam – że żyjemy w najwspanialszym kraju na świecie.

Nie rozumiałam mandaryńskiego, ale znałam wystarczająco dużo chińskich znaków, by odczytać niektóre z napisów wyświetlanych w telewizji. A nielegalnie przechwytywane programy oglądałam przecież od kilku lat i choć nie miałam pojęcia, co się w nich mówi, byłam zafascynowana tym, co widziałam.

W chińskiej telewizji regularnie występowały gwiazdy muzyki pop z Korei Południowej. Gwiazdy, takie jak Seo Taeji, zespół Boys czy cieszący się ogromną popularnością boysband H.O.T., występowały przed piszczącymi z przejęcia dziewczynami. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. Rozumiałam koreański, lecz nie wiedziałam, o czym śpiewają czy rapują. Ich ubrania, fryzury, sposób tańczenia – wszystko to sprawiało, że wydawali mi się obcy, zbyt dziwni, by się nimi interesować. Bardziej intrygowały mnie chińskie seriale i filmy obyczajowe. Każdy tam wydawał się mieszkać w pięknie umeblowanym domu z kompletem służby i kierowców, a w kuchni miał takie luksusy, jak kuchenka mikrofalowa czy pralka. Moja matka prała nasze ubrania w rzece. Czy Chińczycy naprawdę tak mieszkają? Moja ciekawość rosła z każdym dniem.

Przyjaciółka chciała przejść na drugą stronę tak szybko, jak to możliwe. Rzeka już dawno zamarzła. Z całą naiwnością zwierzyłam się z tego zamysłu matce, przekonana, że otrzymam jej zgodę. Dotąd zawsze zachęcała mnie do realizowania planów. Tym razem jednak niespodziewanie zrobiła się sroga.

– Wykluczone – powiedziała ostro.

Poczułam, jak mój entuzjazm słabnie.

– Przecież nikt się nie dowie.

– Nigdy, przenigdy nie przechodź na drugą stronę rzeki. To poważne przestępstwo.

– Min-ho chodzi.

– Jest za młody, żeby mu coś zrobili. Poza tym to chłopak, a chłopcy muszą nauczyć się, jak radzić sobie w życiu. Ty jesteś już kobietą. W przyszłym miesiącu kończysz osiemnaście lat.

Mój dobry nastrój minął bezpowrotnie. W tamtym momencie byłam chyba jedyną nastolatką na świecie, która nie chciała kończyć osiemnastu lat.

– Ale na razie ciągle mam siedemnaście – zaznaczyłam, ale matka upierała się, że to bez znaczenia. Kobiety musiały podchodzić do życia ostrożniej niż mężczyźni. Nie sposób było z nią dyskutować. Stwierdziła, że tylko głód może zmusić rodziców, by pozwolili swojej córce przejść do Chin. Ja nie miałam powodów, by narażać się na takie niebezpieczeństwo. – Kiedyś i tak pójdę – oznajmiłam, chcąc mieć ostatnie słowo.

– Nie pójdziesz! – matka prawie na mnie wrzasnęła. – Niech ci nigdy nie przychodzi do głowy, aby opuszczać ten kraju. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Żeby mnie udobruchać, jakieś dwa dni później przyniosła mi parę bardzo eleganckich butów.

– Za pieniądze, które za nie dałam, można by kupić nawet siedemdziesiąt kilo ryżu – zaznaczyła. Tak bardzo zależało jej na tym, żebym zachowywała się właściwie – i była jej wdzięczna – lecz jednocześnie bardzo mi pobłażała.

Rozumiałam, dlaczego nie pozwalała mi na ten wybryk, ale nie potrafiłam pozbyć się tęsknoty. Chciałam zobaczyć choć kawałek świata, a w moim mniemaniu właśnie Chiny były tym światem. Ale przede wszystkim chciałam się przekonać, czy to, co widziałam w telewizji, jest prawdą.

Leżałam na posłaniu i myślałam o wszystkich tych latach w Anju, kiedy wybiegałam na deszcz i czekałam na przerażającą kobietę w czerni, która miała nadejść razem z nim. Myślałam o dniu, w którym przepchnęłam się na przód tłumu stojącego pod mostem i zobaczyłam coś, czego żadna siedmiolatka nie powinna oglądać – wisielca. Ciekawość zawsze zwyciężała u mnie ze strachem, co w przypadku mieszkanki Korei Północnej, gdzie tylko najdalej posunięta rozwaga mogła zachować człowieka przy życiu, nie było najlepszą cechą charakteru. Jakaś część mnie wiedziała oczywiście, że wyprawa do Chin jest szalenie niebezpieczna. Mogła zakończyć się tragicznie, i to nie tylko dla mnie.

Ale przecież miałam tylko siedemnaście lat. I za kilka miesięcy rozpocznę studia. Lepsza okazja mogła się nie trafić.

Nastała odpowiednia chwila.

ROZDZIAŁ 18

PO LODZIE

W miejscu, w którym stał nasz dom, rzeka Yalu miała zaledwie jedenaście metrów szerokości i była bardzo płytka – w najgłębszym miejscu dorosłemu sięgała do pasa. Przed wybuchem klęski głodu, zanim ludzie zaczęli masowo uciekać z Korei Północnej, granica nie była pilnie strzeżona. Jednak tuż przed moimi osiemnastymi urodzinami patrole były znacznie częstsze. Życie nad rzeką niemal zamarło, bo wszystko, co działo się na brzegu rzeki, budziło natychmiastowe podejrzenia. Straż graniczna przyglądała się uważnie kobietom, które schodziły nad rzekę, by przynieść wodę czy wyprać ubrania, bo zawsze istniało ryzyko, że wystarczy chwila nieuwagi, by odebrały kontrabandę lub spróbowały przedostać się na drugą stronę. W tym czasie oczywiście te z kobiet, które faktycznie zajmowały się nielegalnymi interesami, musiały już dojść do porozumienia ze strażnikami i zacząć ich opłacać. Rzeka płynęła teraz ciszej niż kiedykolwiek, jakby rola muru więziennego mocno ją smuciła.

Ledwie wprowadziliśmy się do domu nad rzeką, a strażnik, którego trasa patrolowa biegła przez czterdzieści pięć metrów wzdłuż naszej posesji, przyszedł do nas z wizytą – chciał się zaprzyjaźnić. Potem przychodził już regularnie, a matka zawsze częstowała go czymś do jedzenia i picia. Nazywał się Ri Chang-ho. Był sześć lat starszy ode mnie, wysoki i bardzo przystojny. Wyglądał niczym żołnierze z plakatów propagandowych. Faktem jest, że większość żołnierzy pełniących służbę na granicy prezentowała się naprawdę dobrze. Dobierano ich specjalnie, by godnie reprezentowali kraj przed obcokrajowcami pojawiającymi się po chińskiej stronie. Wszyscy musieli należeć do kasty lojalnej wobec władzy. Mężczyźni ci zaliczali się do uprzywilejowanej grupy społecznej, ale bardzo często byli samotni i wiedli

życie z dala od domu.

Chang-ho był miłym człowiekiem. Nie przepadał za służbą w wojsku. Nie lubił, gdy mu rozkazywano, przez co często – w ramach kary – spadały na niego nieprzyjemne obowiązki. Straż graniczna nawet po służbie musiała pozostawać na terenie bazy, lecz Chang-ho wymykał się i wtedy często przychodził do nas. Był czarujący, ale czasami sprawiał wrażenie raczej niezbyt mądrego. Raz opowiedział mi, że w ramach szkolenia pokazywano im film o uzbrojeniu.

– Min-young, mówię ci, mamy najwspanialszą broń na świecie. – Był podekscytowany jak mały chłopiec. – Możemy pokonać Koreę Południową. I Amerykańców. Aż nie mogę się doczekać wojny. Skończyłaby się natychmiast.

Wiedziałam, że mogę mu ufać.

Rok wcześniej, pewnej chłodnej wiosennej nocy, wracałam od koleżanki. Było już dość późno, około północy, szczególnie jak na samotne spacery dziewczyny w moim wieku – miałam wtedy szesnaście lat. Gdy zbliżałam się do domu, zobaczyłam siedzącego na poboczu Chang-ho.

– Co tu robisz? – zapytałam zaskoczona.

– Czekałem – odparł.

– Na co?

– Na ciebie. Martwiłem się. – Był niczym starszy brat, którego nigdy nie miałam. Naiwność nie pozwoliła mi stwierdzić, dlaczego tak się mną interesował. Wyjął z kieszeni płaszcza list i poprosił, żebym dostarczyła go do jego matki w Hamhung. Wiedział, że wybieram się tam z wizytą do Ciotki Ślicznej. – Nie otwieraj – powiedział z dziwnym, skrytym uśmiechem.

W Hamhung znalazłam odpowiednią ulicę i zaniosłam list jego matce. Odczytała go od razu. A potem i ona uśmiechnęła się do mnie dziwnie.

– Wiesz, co tu jest napisane? – zapytała.

– Nie. Prosił, żebym nie otwierała.

Z jakichś przyczyn rozbawiły ją moje słowa. Traktowała mnie życzliwie, wręcz z tkliwością. Poczęstowała nawet sokiem i przekąskami, które kupiła w sklepie walutowym. Była piękną kobietą. Widać było, po kim Chang-ho odziedziczył urodę.

Gdy wróciłam do Hyesan, Chang-ho z nieskrywaną radością zdradził mi, co

napisał w liście: „Matko, pragnę poślubić tę dziewczynę, więc proszę, traktuj ją miło”.

Tego nie przewidziałam. Wpatrywałam się w niego zszokowana. Mina mu zrzedła.

– Jestem za młoda na ślub – oznajmiłam kategoryczne, cofając się o krok.

Natychmiast jednak zrobiło mi się go żal. Zadeklarował się z uczuciem i mogłam rozegrać to trochę delikatniej. Zaimponował mi tym, jak dzielnie przyjął odrzucenie. Od tego czasu darzyłam go jeszcze większą sympatią. Pozostaliśmy przyjaciółmi, a on dalej wpadał do nas w odwiedziny.

Rok później, gdy zaczęłam planować swoją wyprawę, Chang-ho nadal sprawował służbę na granicy. Moją koleżankę znudziło już czekanie, aż uproszę matkę o pozwolenie i postanowiła sama przeprawić się przez rzekę. Byłam nieco rozczarowana, lecz jednocześnie zyskałam dodatkową motywację i poczułam się bardziej zdeterminowana – mogłam iść choćby sama. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej śmiały stawał się mój plan. Dlaczego miałabym wracać już po kilku godzinach? Dlaczego przy okazji nie odwiedzić krewnych w Shenyang? Podróż wprawdzie byłaby dłuższa, ale może pan Ahn lub pan Chang zgodziliby się mnie zabrać. Wróciłabym przecież i tak po czterech czy pięciu dniach. Postanowiłam zapytać pana Ahna. Był bardziej przyjazny niż pan Chang.

Zaczęłam się przygotowywać. Powiedziałam Min-ho, że jeśli któregoś wieczoru nie wrócę do domu, to dlatego że mam zamiar wybrać się w odwiedziny do pana Ahna i jego żony. Ich stojący między drzewami dom było widać z naszego brzegu rzeki. Min-ho zamilkł, gdy usłyszał o moich planach. Widziałam, że nie cieszy go ten pomysł. Miał już dziesięć lat i zaczynał czuć się za mnie odpowiedzialny.

***

Postanowiłam, że pójdę w drugim tygodniu grudnia. Uznałam, że najlepiej będzie zrobić to tuż po kolacji. Musiałam ograniczyć bagaż. Nie miałam chińskiej gotówki i nie mogłam pozwolić, by matka zobaczyła, że wychodzę z domu z ubraniami na zmianę.

Tego wieczoru matka ugotowała naprawdę wspaniały posiłek.

– Dlaczego zrobiłaś tego aż tyle? – zapytałam, bo przygotowała znacznie

więcej, niż zjadaliśmy zazwyczaj.

W kuchni było ciepło i pachniało smakowicie – przyprawionym gulaszem i smażonym mięsem z marynaty. Matka zrobiła nawet bułki na parze. Stała odwrócona ode mnie i mieszała coś na patelni.

– Chciałam, żebyście zjedli coś porządnego – odpowiedziała po prostu.

Serce zamarło mi w piersi. Nie sądzę, by podejrzewała, co planowałam, ale i tak miałam wrażenie, że to kolacja pożegnalna. Tego wieczoru najadłam się do syta. Później włożyłam płaszcz z miną tak swobodną, jakbym właśnie wpadła na pomysł, żeby gdzieś wyjść.

– Dokąd się wybierasz o tej porze? – zapytała matka.

– Pójdę odwiedzić koleżankę – odparłam, nie patrząc jej w oczy. – Wrócę za kilka godzin.

Włożyła swój płaszcz, chwyciła lampę naftową i odprowadziła mnie do furtki.

– Nie zostawaj tam długo. Wróć szybko do domu – powiedziała i uśmiechnęła się do mnie.

W ciągu lat, które miały nadejść, nigdy nie zdołałam pozbyć się z pamięci wspomnienia tej chwili – wyrazu jej twarzy oświetlanej blaskiem olejnej lampy. W oczach mojej matki płonęła miłość, a na twarzy malowało się pełne zaufanie.

Odwróciłam się od niej z poczuciem winy.

Usłyszałam, jak brama zamyka się za mną. To już ten moment. Serce załomotało mi w piersi jak szalone.

Noc była bezchmurna, a mróz palił mnie w nosie i sprawiał, że mój oddech zamieniał się w delikatną mgiełkę. Owinęłam się szczelniej szalikiem i zapięłam płaszcz z podpinką aż po samą brodę. Przez chwilę stałam bez ruchu i nasłuchiwałam. Było cicho jak makiem zasiał. Gałęziami drzew nie poruszał choćby najmniejszy powiew wiatru. Okolica była wyludniona. Spojrzałam w górę, na usiane gwiazdami niebo.

Ruszyłam przed siebie. Moje kroki niosły się głośnym echem. W końcu jakieś dziesięć metrów dalej dostrzegłam sylwetkę Chang-ho. Patrolował nabrzeże w swoim długim płaszczu i z karabinem na plecach. Na szczęście był sam.

Światła wystarczyło zaledwie na tyle, by w ogóle coś dostrzec. Przede mną wiła się rzeka – blada, półprzejrzysta droga z lodu, która zdawała się pochłaniać światło gwiazd.

Cicho zawołałam Chang-ho. Odwrócił się, pomachał do mnie, a potem włączył latarkę. Zanim zdążył się odezwać, powiedziałam:

– Przechodzę na drugą stronę odwiedzić krewnych.

Zdumiony, uniósł brwi. Nigdy nie wspominałam mu o żadnych krewnych. Pomyślał chwilę i powoli pokręcił głową.

– Nie – powiedział, a w jego głosie brzmiała wątpliwość. – To zbyt niebezpieczne. – Wykrzywił usta, wyraźnie zatroskany. – Możesz mieć przez to ogromne kłopoty. Poza tym, jak zamierzasz dostać się do swoich krewnych? Nie mówisz po chińsku. Jesteś sama.

– Znam ludzi, którzy mi pomogą. – Skinęłam głową w stronę domu pana Ahna. Chang-ho przyglądał mi się przez kilka sekund. Wyglądał tak, jakby właśnie zobaczył obcą osobę.

– W porządku – odparł w końcu. – Skoro jesteś pewna. Ale wróć nie później niż za kilka godzin.

– Dłużej w tym raczej nie wytrzymam – rzuciłam, wskazując na swoje stopy.

Chang-ho poświecił latarką na moje nowe, bardzo drogie buty, które błysnęły w snopie światła. Włożyłam je w nadziei, że w nich łatwiej wtopię się w tłum po drugiej stronie.

Nagle usłyszeliśmy trzask gałązki gdzieś po drugiej stronie rzeki. Spojrzeliśmy w tamtą stronę. Za rzeką majaczyła jakaś ciemna postać – najwyraźniej chiński szmugler czekał na swój koreański kontakt.

– Hej! – zawołał do niego Chang-ho. Tamten wyglądał, jakby chciał uciec, jednak słowa Chang-ho zatrzymały go na miejscu: – Nie pomógłbyś tej pani dostać się tam, gdzie by chciała?

Zapadło milczenie. A potem z oddali doleciało nas ciche:

– Pewnie.

To było zaledwie kilka niepewnych kroków. Dotarcie na drugą stronę nie mogło mi zająć więcej niż minutę.

Gdyby zobaczył mnie którykolwiek inny strażnik, bez wahania zaciągnąłby mnie z powrotem na koreańską stronę, nawet spod samego chińskiego brzegu, choć tam przecież nie wolno było im chodzić. Nigdy wcześniej nie zrobiłam nic tak rażąco i jawnie niezgodnego z prawem.

Nie miałam wyrzutów sumienia, czułam tylko pobudzający, stawiający włosy dęba strach.

Weszłam na lód. Ostrożnie, noga za nogą, chwiałam się i ślizgałam

w nowych butach. Przede mną z mroku wychynął nieznany mi Chińczyk, który wyciągnął do mnie rękę.

Matce nic nie będzie, przekonywałam sama siebie. Później, w nocy, Min-ho powie jej, dokąd poszłam. Zanim wrócę, na pewno przestanie się już gniewać. Miało mnie nie być przecież tylko kilka dni. Byłam o tym tak święcie przekonana, że nawet nie obejrzałam się za siebie.

Skąd zatem przeczucie, które mnie wtedy nawiedziło – że oto moje życie zmienia się bezpowrotnie?

CZĘŚĆ DRUGA

DO PASZCZY LWA

ROZDZIAŁ 19

WIZYTA U PANA AHNA

Drzwi uchyliły się i żółte światło z wewnątrz padło na zamarzniętą ziemię.

– Dobry wieczór, panie Ahn – powiedziałam, schylając głowę.

Wysoka postać wypełniła drzwi. Gospodarz zmarszczył brwi. Chwilę trwało, zanim mnie rozpoznał.

– Witaj. – Był wyraźnie zaskoczony. – Jesteś siostrą Min-ho, prawda?

Na tym etapie mojej „podróży” szczękałam już głośno zębami i żałowałam, że mam na nogach moje eleganckie buty. Palce mi napuchły i dawno straciłam w nich czucie. Pan Ahn zaprosił mnie do środka. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o łysej czaszce, porośniętej tylko gdzieniegdzie kępkami włosów, które zaczesywał sobie na bok, by choć trochę przykryć łysinę. Miał też wielkie, wyłupiaste oczy. Min-ho żartował nieraz, że pan Ahn ma twarz zadowolonej, grubej ryby. Matka poznała go dzięki kontaktom, które ojciec utrzymywał z członkami straży granicznej. Żołnierze mówili, że pan Ahn jest najmilszym i najbardziej godnym zaufania człowiekiem spośród chińskich kupców. Sama wolałam go zdecydowanie od pana Changa, jego zrzędliwego sąsiada, z którym matka od czasu do czasu prowadziła interesy.

Dom pana Ahna sprawiał przytulne, gościnne wrażenie. Kupiec mieszkał z żoną i dwójką dzieci – córką w moim wieku i synem w wieku Min-ho. Rodzina Ahnów miała koreańskie korzenie, lecz od lat mieszkała w Chinach, więc mówili ze zacznie bardziej śpiewnym akcentem niż ja. Gdy zobaczyłam ich siedzących na podłodze wokół niskiego stołu, od razu wiedziałam, że są ze sobą mocno zżyci i bardzo się kochają. Pani Ahn była kobietą niską i drobną. Ruszała się szybko, nerwowo, trochę jak ptak. Gdy już poczęstowała mnie herbatą, zapytała, co u Min-ho. Mojego brata wszyscy

bardzo tu lubili. Potem cała rodzina spojrzała na mnie wyczekująco. Co ja tu, u diabła, robiłam?

Wyjaśniłam, że chciałabym odwiedzić i spędzić kilka dni u krewnych mieszkających w Shenyang.

– Zastanawiałam się, czy pozwoliliby mi państwo przenocować u siebie… i czy pomoglibyście mi dostać się jutro do Shenyang. Nie mam pieniędzy, ale krewni zwrócą państwu koszty. – Spuściłam wzrok. Nie przemyślałam tego porządnie. Całe lata nie widziałam nikogo z rodziny mieszkającej w Shenyang. Poczułam, że się czerwienię. – A jeśli nie oni, to moja matka na pewno, gdy już wrócę do domu.

Pan Ahn zmarszczył się i podrapał po karku. Z pewnością zorientował się już, że nie mam żadnego planu ani nawet pojęcia, na co się porywam. Odezwał się dopiero po chwili:

– Wiesz, gdzie leży Shenyang? – Miałam o tym zaledwie mgliste wyobrażenie. Sądziłam, że musi leżeć gdzieś niedaleko, może godzinę drogi autobusem. – To osiem godzin jazdy stąd – powiedział, obserwując, jak znaczenie tych słów powoli do mnie dociera. – A podróż autobusem byłaby niebezpieczna, bo nie masz dokumentów i nie znasz mandaryńskiego. Po drodze jest posterunek policji. – Była to kolejna poważna trudność, o której nie pomyślałam – ryzyko, że zostanę złapana. Każdy obywatel Korei Północnej złapany na nielegalnym pobycie w Chinach był natychmiast przekazywany w ręce *Bowibu*.

– Niczym się nie martw. – Mój zbolały wyraz twarzy wyraźnie go rozbawił. – Mogę cię tam zabrać, jeśli naprawdę ci na tym zależy. Ale będziemy musieli pojechać taksówką.

Teraz wiem, jak bardzo mu się narzucałam i jak wielką okazał mi wtedy przychylność. Zaczęłam mu dziękować, ale uniósł tylko dłoń. Powiedział, że od lat prowadzi interesy z moją matką, ceni ją jako klientkę i ufa jej.

***

Rano, po śniadaniu, pani Ahn zabrała się za przygotowywanie wielkiego garnka *nooroongji*. Jest to ryż przysmażany na dnie naczynia, tak by z zewnątrz był lekko przyrumieniony i chrupiący.

– Przygotowuję to dla gości z Korei Północnej – wyjaśniła. – Zatrzymują

się u nas nocą. Niektórych znamy, innych nie. Przychodzą niemal cały czas. Jak przygotuję sobie ryż teraz, później wystarczy, że dodam trochę wody i wszystko podgrzeję. – Opowiedziała mi o dwóch obcych przybyszach, którzy rok temu zapukali do ich drzwi. Byli wychudzeni i bardzo słabi. Rzucili się na jedzenie i zjedli porcję ryżu tak wielką, że można by nią nakarmić dwadzieścia osób. – Przykro było na to patrzeć. Rzucili się na jedzenie jak zwierzęta, jakby bali się, że ktoś im je odbierze. Wiedziałam, że jedzą za szybko. Chwilę później wybiegli przed dom i wszystko zwymiotowali.

Widać było, że państwo Ahn nie są bogaci. Ich dom w niczym nie przypominał tych, które pokazywano w chińskich filmach. Nie mieli służby ani mikrofalówki, a w łazience nie było pozłacanych kranów. Prawdę powiedziawszy, nasz dom był przyjemniejszy. Za to mieli mnóstwo jedzenia.

Tego ranka pan Ahn pokazał mi Changbai. Czułam się naprawdę dziwnie, spacerując między budynkami, które przez całe życie oglądałam z drugiej strony rzeki. Miałam wrażenie, że przeszłam przez lustro. Changbai było małym miasteczkiem z kilkoma aptekami, wystawami, na których stały różne modele damskich butów, drogeriami i dostępnym wszędzie jedzeniem. Pełno tu było tanich knajpek, supermarketów i kiosków z kolorowymi opakowaniami w witrynach. A dzieciaki o niesfornie sterczących włosach zajadały się przekąskami na ulicach.

Pan Ahn dał mi pieniądze na cieplejsze ubrania. Kupiłam ocieplane, zimowe botki i jasnozielony płaszcz o chińskim kroju. Dzięki temu wyglądałam bardziej jak Chinka. Włosy i tak miałam obcięte zgodnie z panującą wtedy w Chinach modą – po męsku, dłuższe z przodu, krótkie przy karku.

Następnego dnia wyruszyliśmy jeszcze przed świtem. Pan Ahn usiadł koło mnie na tylnej kanapie nowej taksówki. Już sama jazda była dla mnie dużym przeżyciem. Wcześniej niewiele miałam okazji, by jeździć prywatnym samochodem. A ten miał nawet radio i głośniki. Przez pewien czas droga prowadziła wzdłuż rzeki, wzdłuż granicy. Nie mogłam oderwać wzroku od Hyesan. W nocy mocno padało, przez co na dachach domów uformowały się śnieżne czapy, które sprawiały, że budynki wyglądały jak wielkie pieczarki. Z daleka rozpoznałam pomnik wzniesiony w parku ku czci Zwycięskiej Bitwy pod Pochonbo, stojące tam rzeźby, teraz w lodowych perukach, swoją szkołę podstawową. Miasto wydawało się zagubione w czasie. Wszystkie

budynki były podniszczone, nijakie, szare. I tylko ośnieżone górskie szczyty w tle sprawiały wrażenie nowych – błyszczały wściekle na tle rozświetlonego wchodem nieba, które przybrało barwę neonu.

Dwóch żołnierzy z północnokoreańskiej straży granicznej patrolowało ścieżkę prowadzącą wzdłuż rzeki. Przyglądali się uważnie opatulonym i szczelnie zakutanym kobietom, które zeszły nad rzekę, by wyciąć przeręble w lodzie i nabrać trochę wody do wiader.

Królicze futra na rękawice i czapki dla broniących nas żołnierzy, złom, który przetapiano na broń, miedź, z której produkowano naboje, pomyślałam.

Za nimi z kominów setek pieców stojących w przysadzistych domach unosił się dym ze spalania *yontan*, który formował osiadającą nad miastem mgłę. Przez chwilę między drzewami mignął mi biały mur otaczający nasz dom. Brama była zamknięta. Ten widok wywołał u mnie tęsknotę.

Niedługo wrócę, pomyślałam.

Ale jednocześnie odczuwałam rosnącą ekscytację, jakby w piersi pęczniały mi tysiące bąbelków. Czułam się wolna, niecierpliwie wyczekiwałam nowego. W ciemności na skraju lodu zaryzykowałam wszystkim, lecz patrzcie, dokąd mnie to doprowadziło. Udało mi się. Rozpierała mnie duma, czułam się naprawdę odważna.

Przez kilka minut zalegający wokół śnieg zdawał się otulać moje myśli; zdołał wręcz zupełnie je wyciszyć. Lecz chwilę później moje sumienie rozpoczęło wewnętrzną sesję autokrytyki. Widzę, że towarzyszka Min-young czuje się szczęśliwa. Chciałabym tylko jej przypomnieć, że nie ma bladego pojęcia, co ją czeka.

Potem przypomniała mi się twarz matki, miłość i zaufanie w jej oczach, gdy mówiła „Nie zostawaj tam długo”. Wyobraziłam sobie, jak łaja Min-ho za trzymanie przed nią w tajemnicy mojego wyskoku, i mój dobry humor gdzieś się ulotnił. Poczułam się winna, samolubna, głupia.

Niedługo wrócę.

Droga skręciła w prawo, a linia drzew zarysowała się mocniej.

Hyesan zniknęło mi z oczu.

ROZDZIAŁ 20

GORZKA PRAWDA

Droga wiła się i meandrowała między szczytami pasma górskiego Changbai. Z rzadka mijaliśmy wioski niskich, przysadzistych domków ze spadzistymi dachami. Nie różniły się specjalnie wyglądem od tych, które znałam z Korei Północnej. Ale po kilku godzinach, gdy część drogi mieliśmy już za sobą, wioski stały się większe i jakby bardziej zasobne. Potem ich miejsca zajęły miasteczka, aż wreszcie pojawiły się obszerne przedmieścia. Dwupasmowa droga rozszerzyła się do czterech pasm, po których sunęła powoli rzeka stali i świecących z daleka czerwonych tylnych świateł samochodów. Wpadliśmy w korowód tysiąca pojazdów, sunących w ślimaczym tempie. Nigdy wcześniej nie widziałam tylu aut. Nie nudziłam się ani przez chwilę. Rozglądałam się tylko, chłonąc nieznane mi widoki. Każdy samochód był dla mnie czymś nowym. Nigdzie w zasięgu wzroku nie pojawiły się zielone wojskowe ciężarówki, które w Hyesan stanowiły trzon ruchu drogowego.

Obiad zjedliśmy na stacji benzynowej przy autostradzie. Menu przedstawiono w formie kolorowych zdjęć eksponowanych na podświetlanych planszach. Od samego patrzenia aż ciekła mi ślinka. W Korei Północnej były tylko restauracje należące do państwa, w związku z czym prowadzący je ludzie nie widzieli potrzeby wabienia klientów czy podejmowania jakiegokolwiek wysiłku, by coś sprzedać. Półlegalne prywatne knajpki działały na targowiskach lub w prywatnych mieszkaniach. Tymczasem tu restauracje reklamowały się jaskrawymi plakatami zapraszającymi przechodniów, by zatrzymali się i chociaż przyjrzeli ofercie. Zamówiłam jajka i smażony ryż. Po chwili kelnerka postawiła przede mną olbrzymi talerz. Pomyślałam, że Chińczycy bardzo dużo jedzą. Spojrzałam na

pana Ahna. Tylko się roześmiał. Niezmiennie bawiło go to, jak reagowałam na wszystko wokół.

Do Shenyang dojechaliśmy późnym popołudniem. Do miasta prowadziła ośmiopasmowa droga szybkiego ruchu. Nic nie przygotowało mnie na to pierwsze spotkanie. Po obu stronach drogi wyrosły olbrzymie wieże ze szkła i stali. Ich czubki płonęły w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Taksówka zatrzymała się na skrzyżowaniu, gdy światło zmieniło się z żółtego na czerwone. Przed maską samochodu zaczęły przelewać się setki ludzi. Każdy był inaczej ubrany. Nikt nie nosił munduru. Spojrzałam w górę i wysoko ponad naszymi głowami zobaczyłam wielki plakat reklamowy, a na nim modelkę prezentującą bieliznę.

Nie wiedziałam wtedy, że Shenyang, stolica prowincji Liaoning, jest jednym z największych miast w Chinach. Mieszka tu przeszło osiem milionów ludzi. Pyongyang wygląda przy nim jak zapadła prowincja.

W końcu dotarliśmy do dzielnicy, w której mieszkali moi krewni. Kilka razy zatrzymywaliśmy się, żeby zapytać o wskazówki, aż w końcu znaleźliśmy właściwy adres. Wuj i ciotka mieszkali w wielkim, szykownym kompleksie apartamentowców. Każdy budynek kompleksu miał dwadzieścia pięter. Pan Ahn i kierowca taksówki wjechali ze mną windą aż na jedenaste piętro. Zadzwoniłam do drzwi i poczułam ukłucie niepokoju. Nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać.

Drzwi otworzył wuj Jung-gil. Spojrzał najpierw na mnie, a potem na pana Ahna i na kierowcę taksówki.

– Wuju, to ja – powiedziałam niepewnie. – Min-young.

Potrzebował kilku sekund, żeby przyswoić moje słowa. Lecz już za chwilę na jego twarzy odmalowało się niebywałe poruszenie. Wyglądał zupełnie jak postać z kreskówki. Ciotka Sang-hee również podeszła do drzwi i powitała mnie z nie mniejszym zdumieniem.

Wuj był w rzeczywistości kuzynem ojca. Jego rodzina opuściła Hyesan w czasie wojny w Korei. Dorastał w Shenyang. Dwa razy odwiedził nas w Hyesan, ale nie widzieliśmy się od kilku lat. Wydawał się nam zamożnym człowiekiem. Był nieco przysadzisty, bardzo wylewny i za każdym razem pojawiał się obładowany prezentami. Powoli zbliżał się do pięćdziesiątki.

Przedstawiłam pana Ahna, wyjaśniłam, że mam wakacje i chciałam zobaczyć Chiny, zanim zacznę naukę w studium. Wuj uregulował niebotyczny rachunek za taksówkę i kierowca oddalił się. Pan Ahn zamienił

z wujostwem jeszcze kilka zdań, a potem oznajmił, że skorzysta z okazji i zrobi zakupy, po czym wraca do Changbai. Pożegnaliśmy się.

Ciotka i wuj swoim zachowaniem natychmiast dali mi do zrozumienia, że jestem miłym gościem. Byłam członkiem rodziny – nie miało znaczenia, że nie widzieliśmy się od lat. Mieszkanie wujostwa było duże i nowocześnie urządzone – z punktowym oświetleniem wmontowanym w sufit. Wyglądało jak wyjęte żywcem z telewizyjnych filmów. Za sięgającymi od podłogi do sufitu oknami rozciągał się rozległy widok na tuzin podobnych, równie wysokich budynków. Niebo przybrało intensywną pomarańczową barwę. Na sąsiednich wieżowcach zapalały się światła, przez co domy wyglądały jak szkatułki na biżuterię. Za nimi, w oddali, aż po horyzont ciągnęły się setki połyskujących w promieniach zachodzącego słońca nowych, wznoszonych lub świeżo ukończonych wież.

Wuj poprosił ciotkę, by wyskoczyła do sklepu i kupiła lody. Za chwilę wróciła ze wszystkimi smakami, jakie udało się jej znaleźć.

– Spróbuj tych – powiedziała. – Niektóre dopiero co weszły na rynek.

Otworzyliśmy pudełka i próbowaliśmy łyżkami każdy smak. Nigdy wcześniej nie jadłam czegoś, co smakowałoby równie bosko. Były tam lody o aromacie jaśminu, zielonej herbaty, czarnego sezamu, słodkiej mieszanki w kolorze fuksji o nazwie taro oraz japońskie o smaku czerwonej fasoli. Czerwonej fasoli! Nie przypuszczałam, że w ogóle mogą istnieć takie smaki. W tamtej chwili bardzo chciałam zostać w Chinach.

Wuj był wysoki i szczuplejszy, niż zapamiętałam. Gdy byłam młodsza, miałam wrażenie, że jest pulchny, ponieważ dorastałam w kraju, gdzie nie było grubych ludzi, ale w porównaniu z dużymi, mocno zaokrąglonymi Chińczykami, na których napatrzyłam się w czasie tej podróży, dostrzegłam na jego twarzy pociągłość, która charakteryzuje ludzi mających za sobą dziesiątki lat znojów. Mój wuj wzbogacił się, to prawda, lecz nie nastąpiło to szybko.

Byłam tak zajęta opisywaniem perypetii mojej podróży i smakowaniem lodów, że początkowo w ogóle nie poruszyliśmy tematu rodziny. Dopiero po jakimś czasie wuj zapytał o ojca.

Zamarłam z łyżeczką podniesioną w pół drogi do ust. Wuj nie wiedział, że mój ojciec, a jego kuzyn, nie żyje.

Gdy skończyłam wyjaśniać, co zaszło, wuj wyraźnie sposępniał.

– Jak mogli mu to zrobić... – wymruczał.

Zaczął dopytywać o szczegóły. Chciał wiedzieć wszystko o aresztowaniu ojca, zarzutach, śledztwie. Nie miałam ochoty o tym mówić, ale odpowiadałam na jego pytania. Gdy skończyłam, wuj milczał przez kilka minut, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, wygłosił gniewną tyradę przeciwko mojej ojczyźnie. Chowane przez lata urazy wreszcie znalazły ujście.

– Wiesz, że wszystko, czego uczą was w szkole, to kłamstwo? – zapytał, a potem zaczął wymieniać bajki, którymi nas karmiono. Powiedział, że pod koniec II wojny światowej to nie geniusz militarny Kim Il-sunga, a Armia Czerwona doprowadziła do pokonania Japończyków. I że to dzięki Armii Czerwonej Kim Il-sung doszedł do władzy. Że nie było żadnej „Rewolucji". Nigdy wcześniej nie słyszałam, by ktoś krytykował moją ojczyznę. W pierwszej chwili uznałam, że wuj oszalał. – Uczyli cię też, że to Korea Południowa rozpoczęła wojnę, prawda? – kontynuował. – Wiedz zatem, że to Północ najechała Południe. A Kim Il-sung przegrałby z Amerykanami z kretesem, gdyby nie pomogły mu Chiny. – W tym momencie zyskałam pewność – wuj postradał zmysły. – A pokazywali ci tę drewnianą chatkę na górze Paektu, gdzie urodził się Kim Jong-il? – Wuj nawet nie starał się kryć sarkazmu. – To bajka. Kim Jong-il w ogóle nie urodził się w Korei, tylko na Syberii, gdy jego ojciec służył w Armii Czerwonej. – Wyraz mojej twarzy dobitnie świadczył o tym, że nie uwierzyłam w ani jedno słowo. Wuj równie dobrze mógłby mi wmawiać, że Ziemia jest płaska. – On nawet nie jest komunistą. – Własnymi słowami wpędził się w prawdziwą wściekłość. – Mieszka w pałacach, ma nadmorskie wille i każe sprowadzać sobie całe brygady atrakcyjnych dziewcząt, które mają zapewniać mu rozrywkę. Pija najlepsze koniaki i zajada się szwajcarskimi serami, podczas gdy jego ludzie nie dojadają. Wierzy tylko we władzę.

Ta przemowa sprawiła, że czułam się coraz mniej komfortowo. W domu nigdy nie rozmawialiśmy o życiu osobistym Przywódców. Nigdy. Wszelkie tego typu rozmowy uznawano za „plotki", a plotkowanie było bardzo niebezpieczne.

Ale wuj wyraźnie nie miał zamiaru skończyć. Zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

– Wiesz, jak zmarł Kim Il-sung? – zapytał, celując we mnie palcem.

– Miał zawał.

– To prawda. Jego syn mu go zapewnił. – Spojrzałam błagalnie na ciotkę Sang-hee, ale miała tak samo poważną minę jak wuj. – Zabił go Kim Jong-il.

Kim Il-sung pod koniec życia był pozbawionym wszelkich wpływów starcem, którego ogłoszono bogiem. Ale faktycznie krajem rządził Kim Jong-il, a jego ojciec nie miał już wpływu na nic, z wyjątkiem spraw zagranicznych.

Wuj utrzymywał, że tuż przed śmiercią Kim Il-sung spotkał się z byłym prezydentem Stanów Zjednoczonych Jimmym Carterem. Carter przypuszczalnie próbował namówić formalnego przywódcę Korei do zwołania szczytu, w którym wziąłby udział urzędujący prezydent. Kim Il-sung był gotów zostawić po sobie Koreę wolną od broni jądrowej i obiecał Carterowi, że Północ wycofa się z programu zbrojeń nuklearnych. Rozwścieczyło to Kim Jong-ila, który natychmiast zaczął blokować zwołanie szczytu. Między ojcem a synem musiało dojść do kłótni. Kim Il-sung uniósł się tak bardzo, że jego serce nie wytrzymało.

Nie uwierzyłam w żadną z tych bzdur, choć muszę przyznać, że część z tego, co mówił wuj, brzmiała bardzo prawdopodobnie. W szkole krążyły pogłoski o tym, że w całym kraju wybierano piękne dziewczęta, które miały zapewniać rozrywkę Umiłowanemu Przywódcy. Widziałam też w telewizji, że w czasie głodu Kim Jong-il nie żywił się prostymi posiłkami składającymi się z kulek ryżowych, jak utrzymywała propaganda. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim myśleć. Odcięłam się od tych informacji. Miałam dopiero siedemnaście lat, uznałam więc, że najlepszym wyjściem będzie zwyczajnie cieszyć się lodami. Rewelacje wuja dotyczące mojej ojczyzny wzbudzały we mnie odrazę i wprawiły w ponury nastrój. Nie chciałam o tym wiedzieć.

***

Wuj Jung-gil prowadził firmę handlową. Zaczynał od sprzedawania środków farmaceutycznych do Korei Południowej, ale z czasem rozszerzył działalność i teraz jego interesy miały się naprawdę świetnie. Wuj jeździł nowym audi. Ciotka Sang-hee była z zawodu farmaceutką. Mieli dorosłego syna, który mieszkał w innej prowincji. Oboje byli ludźmi otwartymi i rozmownymi, kochali jeść poza domem, chodzić na tańce i spotykać się z przyjaciółmi.

Zanim pierwszy raz zabrali mnie do miasta, zaproponowali, żebym przyjęła

nowe imię – Chae Mi-ran – dla własnego dobra. Imię to spodobało mi się. Koncepcja używania pseudonimu nawet mnie bawiła. Gdy do mieszkania zaglądali znajomi wujostwa, przedstawiano mnie im jako Mi-ran. Miałam pochodzić z Yanbian, obszaru Chin zamieszkanego w znacznej mierze przez Koreańczyków, którzy mówili głównie we własnym języku, a mandaryński często sprawiał im problemy. Znajomi reagowali na to wyjaśnienie z pełnym zrozumieniem.

Shenyang było dla mnie niczym objawienie. W Korei Północnej ulice nocą są ciemne i wyludnione. Tu o zmierzchu miasto ożywało. Na chodnikach przy ulicy Taiyuan kłębili się klienci sklepów i młodzi ludzie, którzy postanowili spędzić noc w mieście: chłopcy i dziewczęta obok siebie, stylowi, roześmiani. Z samochodów i barów dolatywały dudniące dźwięki muzyki. Wszystko wydawało się przesycone życiem, nadnaturalne; zupełnie jakbym wyrwała się z czarno-białego świata i znalazła w realiach odmalowanych w technikolorze. To było jak magia – iluzja wzmocniona miriadami świateł błyszczących na każdej wystawie, w każdej restauracji, każdym holu i na wszystkich stojących na ulicach jodłach. Ciotka Sang-hee wyjaśniła, że to choinki – zwyczaj, który przybył z zachodu i przyjął się w Chinach.

Każdego wieczoru jadaliśmy kolację w innym lokalu.

– Na co masz dziś ochotę? – pytał wuj. – Coś chińskiego, koreańskiego, japońskiego czy europejskiego? A może wolisz coś jeszcze innego?

W jednej restauracji trzymali ryby pływające w zbiorniku podświetlonym jaskrawoniebieskim światłem. Wybrałam sobie tę, którą miałam ochotę zjeść. Karty dań wprost obezwładniały mnogością pozycji. Co wieczór jadłam też lody.

Ciotka Sang-hee pokazała mi, jak obsługiwać urządzenie do karaoke, które mieli w mieszkaniu. Na początku śpiewałam wszystkie znane mi ballady południowokoreańskie przy dźwięku skręconym do minimum i zamkniętych drzwiach, aż któregoś razu ciotka krzyknęła z pokoju obok:

– Daj głośniej! Bardzo tę lubię.

W tym kraju nie trzeba było się ukrywać ze słuchaniem muzyki.

Kiedyś razem ze sporą grupą znajomych wujostwa wybraliśmy się do głośnego baru karaoke, co było dla mnie kolejnym nowym doświadczeniem. Nie mogłam uwierzyć, że śpiewam swoją ukochaną *Skalistą wyspę* przed szerszą publicznością i że ludziom się to podoba. Żadne z poprzednich wyjść

nie sprawiło mi takiej radości.

Gdy po czterech czy pięciu dniach ciotka Sang-hee zapytała, czy nie chciałabym zostać u nich jeszcze trochę, nie musiałam się zastanawiać.

Za dnia, kiedy ciotka i wuj byli w pracy, musiałam siedzieć w domu. Ale nawet to było fascynujące. Mogłam wreszcie do woli oglądać telewizję bez zasłaniania okien czy ściszania dźwięku. Nie musiałam martwić się sąsiadami. Byłam wolna.

***

Zanim się zorientowałam, minął miesiąc i osiemnaste urodziny musiałam świętować w Shenyang. Nie mogłam dłużej zwlekać z powrotem. Wuj powiedział, że odwiedzie mnie do Changbai. Minione tygodnie stanowiły dla mnie źródło tylu odkryć i radości, że w ogóle nie zastanawiałam się nad konsekwencjami osiągnięcia pełnoletności.

Dzień przed naszym wyjazdem zadzwonił telefon w kuchni. Wuj odebrał. Jego twarz była ściągnięta niepokojem, gdy podawał mi słuchawkę.

Przez trzaski i szumy na linii usłyszałam cichy głos matki:

– Min-young, posłuchaj mnie uważnie… Nie wracaj. Mamy kłopoty.

ROZDZIAŁ 21

ZALOTNIK

Nie miałam pojęcia, jakim cudem matka zdołała do mnie zadzwonić. Nie mieliśmy telefonu. Nie skorzystałaby też z linii w pracy, ponieważ ta była pod stałą kontrolą *Bowibu*. Skąd by nie dzwoniła, było to bardzo niebezpieczne. Nie złościła się. Nie miała czasu, by mnie rugać czy choćby zwyczajnie pogawędzić.

– Dzień po twoim wyjeździe zaczęli robić spis powszechny przed kolejnymi wyborami – powiedziała, a ja poczułam, że zalewa mnie zimy pot. Od czasu do czasu władze przeprowadzały spis rejestrujący wyborców, żeby dowiedzieć się, kogo brakowało i dlaczego. Skończyłam osiemnaście lat, nabyłam więc prawa „wyborcze" w Korei Północnej. „Wybory" zawsze wygrywał oczywiście Kim Jong-il, ze stuprocentowym poparciem. – Urzędnicy wiedzą, że cię nie ma. Przyszła z nimi *banjang*. Powiedziałam, że odwiedzasz Ciotkę Śliczną w Hamhung. *Banjang* nie wie, że to kłamstwo, ale plotki już krążą. Ludzie mówią między sobą, że jesteś w Chinach. – To Chang-ho, mój zaprzyjaźniony pogranicznik, powiedział matce, gdzie mnie szukać. „Ona niedługo wróci", oznajmił pogodnie. Był przystojny, ale niezbyt lotny. Matka o mało nie zemdlała. Przez kilka następnych dni odchodziła od zmysłów. Wiedziała, że musi podjąć jakieś kroki. Dlatego tydzień po tym, jak oznajmiła urzędnikom, że pojechałam do Hamhung, zgłosiła na policji moje zaginięcie. – Pogłoski o twoim wyjeździe do Chin mogą okazać się zbyt żywe, żebym mogła je uciszyć, gdybyś wróciła. Jesteś młoda. Przyszłość przed tobą. Nie będziesz chciała żyć z taką plamą w aktach. – Co to ma znaczyć? zastanawiałam się. Nie będę już nigdy mogła wrócić do domu? Matka mówiła spiętym, ponaglającym tonem: – Przez pewien czas będziemy mieli trochę kłopotów. Nie kontaktuj się z nami.

Sąsiedzi nas obserwują. Sprzedam dom, przeprowadzimy się. Nie wiem jeszcze dokąd, ale rozumiesz, o co chodzi. – Rozumiałam. Matka i Min-ho musieli się przenieść w okolicę, w której nikt nas nie znał i gdzie ludzie zaakceptują historię rodziny, w której zaginęła córka. – Muszę kończyć – oznajmiła nagle.

W słuchawce coś szczęknęło i matka się rozłączyła. Na linii zapadła cisza. Cała rozmowa nie trwała dłużej niż minutę.

Oddałam wujowi słuchawkę zupełnie oszołomiona. Dyszałam ciężko, jakbym miała za sobą forsowny bieg. W sposobie, w jaki matka zakończyła rozmowę – bez słowa pożegnania – było coś rozpaczliwego.

Gdy przekazałam wujostwu słowa matki, wymienili między sobą spojrzenia.

– Cóż, w takim razie powinnaś zostać w Chinach – stwierdziła poważnie ciotka. Sami byli zaskoczeni. Wiedzieli, że nie mam gdzie się podziać.

Natychmiast powiedziałam, że nie chcę być dla nich ciężarem, ale uspokoili mnie. Wszystko się jakoś ułoży, powiedzieli. Ciotka odwróciła się w stronę okna i spoglądała przez nie w milczeniu. Ciągle jeszcze trawili tę nową sytuację.

Ze wstydem przyznaję, że gdy zostałam sama w pokoju, poczułam ulgę. Cieszyłam się, że nie muszę wracać. Myślałam, że życie w Shenyang będzie dla mnie wspaniałym wypoczynkiem.

W przyszłości, gdy samotność miała stać się nie do zniesienia, a ja zrozumiałam wreszcie, jakie kłopoty sprowadziłam na matkę, wspomnienie tej ulgi wywoływało u mnie tak wielkie poczucie winy, że nie mogłam w nocy spać. Gdybym wtedy wiedziała, jak ciężka będzie rzeczywistość i jak bardzo będę tęsknić za bliskimi, złamałabym nałożony przez matkę zakaz i wróciłabym prosto do domu.

***

Skoro miałam zostać w Chinach, musiałam nauczyć się mandaryńskiego. Miałam najlepszego nauczyciela – konieczność. Można całymi latami uczyć się języka w szkole, ale nic nie pomaga osiągnąć sukcesu tak jak potrzeba. A ja ją miałam – i to pilną. Jeśli nie chciałam, żeby mieszkanie wujostwa stało się moim więzieniem, musiałam zacząć mówić po mandaryńsku tak

płynnie, jak przeciętna Chinka w moim wieku.

Na początek wuj dostarczył mi książeczkę dla dzieci w wieku przedszkolnym. Wertowałam ją samotnie za dnia, a wieczorami ćwiczyłam rozmówki z nim lub z ciotką. Szybko przeszłam do etapu czytania bajek. Godzinami oglądałam telewizję. Ponieważ w Chinach żyje mnóstwo grup etnicznych, dla których mandaryński jest drugim językiem, większość filmów i programów informacyjnych nadawanych w telewizji ma napisy[3]. Uczenie się w ten sposób było ciekawsze i nie ograniczało mnie wyłącznie do programów dla dzieci, bo znałam podstawowy zestaw chińskich znaków. Zawdzięczałam to ojcu. Kiedy kazał mi się ich uczyć, nie widziałam w tym większego celu, ale ojciec nie ustępował. W efekcie najlepsze oceny w szkole otrzymywałam właśnie za kaligrafię.

Nic mnie nie rozpraszało, więc szybko opanowałam podstawy mandaryńskiego. Gdy udało mi się rozpoznać w napisach słowo, którego właśnie się nauczyłam, zawsze czułam ogromną satysfakcję.

Przez pół roku wychodziłam z domu tylko od czasu do czasu na niedługie spacery. Dnie zaczęły zlewać się w jedno. Co rano budziła mnie coraz większa tęsknota za domem. Pewnego deszczowego dnia, gdy przyglądałam się widocznym za oknami wieżowcom, zrozumiałam wreszcie jedno. Już nigdy nie wrócę do domu.

Myśl ta stała się tak natrętna, że w ciągu kilku następnych dni przywiodła mnie na skraj szaleństwa. Wydarzyła się tragedia, której nie przewidziałam. Już nigdy nie zobaczę ani matki, ani Min-ho.

W pamięci ciągle wracałam do jazdy taksówką wzdłuż brzegu rzeki, kiedy po raz ostatni widziałam między drzewami zarys naszego domu. Dlaczego nie poprosiłam kierowcy, żeby się zatrzymał i mnie wypuścił? Nie mogłam też przestać myśleć o rozmowie telefonicznej, którą odbyłam z matką – o rozpaczy w jej głosie i o tym, że nawet się nie pożegnałyśmy.

Utknęłam w obcym kraju, tracąc przy tym tożsamość. Wuj i ciotka byli dla mnie wspaniali, ale łączące nas więzy krwi były tak słabe, że zaczynałam się czuć z tym niezręcznie. Nie mogłam nadużywać ich dobroci. Wiedziałam, że pewnego dnia będą chcieli, bym odeszła.

A gdybym teraz wróciła do domu?

Nie, tego nie mogłam zrobić. Zaszłam za daleko. Było już za późno.

Kuzyn zostawił w domu wujostwa gitarę, gdy się wyprowadzał. Zaczęłam grać na niej piosenki, które grywałam w Korei Północnej. Doprowadzały mnie do łez. W ciągu dnia płakałam tak często, że nie dawało się tego ukryć przed wujem i ciotką. Współczuli mi, ale powoli zaczynali mieć tego dość. Nie mogłam ich winić.

Mniej więcej na tym etapie pojawił się pierwszy koszmar. Śniło mi się, że matkę aresztowało *Bowibu*, że zesłano ją do obozu pracy, jednej z tych stref, z których nie ma powrotu, i że matka tam zmarła. Min-ho został w tym śnie sierotą i żebrakiem. Widziałam – a sen był bardzo realistyczny – jak idzie sam wzdłuż jakiejś opuszczonej szosy. Miał na sobie łachmany i szedł boso. Jego ruchy stały się agresywne, a on sam myślał tylko o tym, jak zdobyć coś do jedzenia. Był jak wściekły pies. Obezwładniało mnie poczucie winy. Sen tymczasem zmienił się. Okazało się, że przed śmiercią matka zdołała do mnie napisać. List zaczynał się słowami: *Ukochana córko, tak bardzo mi przykro, że odchodzę pierwsza i że nie zdołałam zadbać o Min-ho…*

Zbudziłam się, ledwie łapiąc powietrze. Gdy zrozumiałam, że to tylko sen, wpadłam w histerię. Płacz zbudził ciotkę. Przybiegła zobaczyć, co się stało, i gdy zobaczyła moją rozpacz, zaczęła mnie tulić. Ten koszmar był tak wyraźny, że uznałam go za proroczy – doszłam do wniosku, że na pewno stało się coś złego. Oczywiście nie mieliśmy sposobu, by sprawdzić moje podejrzenia. Następnego dnia byłam wyraźnie przybita. Czułam się tak, jakbym została na świecie zupełnie sama.

Następnej nocy śniłam kolejny koszmar. Przekradłam się po zamarzniętym lodzie i szłam sama ulicami Hyesan. Była noc, więc nie paliły się żadne światła. Miasto wyglądało na wymarłe. Poszłam do naszego domu. Przez okno zobaczyłam tulących się do siebie matkę i Min-ho. Matka płakała, a Min-ho ją pocieszał. Nie mieli pieniędzy ani jedzenia. I wszystko to przeze mnie. Mogłam tylko stać i patrzeć. Gdybym przeszła przez bramę, któryś z sąsiadów zobaczyłby mnie i doniósł na mnie. Poszłam więc w stronę rzeki, żeby odnaleźć Chang-ho. Z jego powodu też miałam wyrzuty sumienia. Zobaczyłam go, jak patrolował brzeg rzeki, lecz nie zdołałam do niego podejść. Schowałam się tylko za drzewami i przyglądałam mu z daleka. Nagle z cienia wyszli agenci *Bowibu*. Zaczęłam biec po lodzie na chińską stronę, wokół słychać było gwizdki i ujadanie psów. Wtedy się obudziłam.

Te sny wracały do mnie wielokrotnie. Widziałam wciąż te same sceny zamknięte w niekończącej się pętli, setki razy, noc w noc.

***

Kiedyś czułam się w Shenyang wolna i radosna, teraz po tych uczuciach nie pozostał nawet ślad. Latem 1998 roku wkroczyłam na długą, samotną ścieżkę. W pełni zasłużyłam na ten los. Sama go na siebie sprowadziłam.

Gdybym miała możliwość wrócić, zrobiłabym to bez wahania. Wróciłabym.

Wiedziałam już, Korea Północna nie jest najwspanialszym krajem świata. Żaden z koreańskich znajomych mojego wujostwa mieszkających w Chinach nie miał nic dobrego do powiedzenia na temat mojej ojczyzny, a w chińskich mediach mówiono o niej z pewnym zażenowaniem, jak o relikcie przeszłości. W gazetach wychodzących w Shenyang pojawiały się jawne satyry na Kim Jong-ila.

Nie obchodziło mnie to jednak. Mój kraj był tam, gdzie żyli moja matka i Min-ho. Był tam, skąd pochodziły moje wspomnienia, tam, gdzie byłam szczęśliwa. Wszystko to, co jeszcze niedawno miałam za symbol naszego zacofania, teraz stało mi się najdroższe i budziło moją największą tęsknotę. Wspomnienia płonącego *yontan*, lamp naftowych, a nawet Centralnego Kanału Telewizji Koreańskiej, w którym w kółko puszczano akordeonowe występy zespołów pionierów. Wspomnienia o prostocie życia. Wiedziałam też jedno – nigdy wcześniej nie poznałam, czym jest nieszczęście.

Pewnego dnia, gdy wuj i ciotka poszli do pracy, zadzwoniłam do Changbai, do pana Ahna. Miałam nadzieję, że zgodzi się przekazać wiadomość mojej matce. Ale jego telefon nie odpowiadał. Każda próba kończyła się urwanym sygnałem. W końcu zadzwoniłam do mieszkającego obok pana Changa, drugiego kupca, z którym matka utrzymywała kontakty.

Nie był zadowolony, gdy mnie usłyszał.

– Dlaczego do mnie dzwonisz?

– Chciałabym przekazać wiadomość dla matki.

– O czym ty mówisz? Nie znam cię.

– Ależ, zna…

– Nie dzwoń więcej na ten numer! – wykrzyczał i odłożył słuchawkę.

Pomyślałam, że może był pijany, więc spróbowałam następnego dnia. Tym razem telefon w ogóle nie odpowiedział.

Odcięto mi wszystkie możliwości skontaktowania się z Hyesan.

***

Ciotka Sang-hee rozpaczliwie starała się wyciągnąć mnie z tego kręgu nieszczęść. Naprawdę się o mnie martwiła. Nie miałam żadnego celu w życiu i ciotka widziała, że zaczynam wpadać w depresję. Dlatego zaczęła opracowywać plan, który w jej przekonaniu powinien rozwiązać moje problemy.

Nie miałam o niczym pojęcia, dopóki pewnego dnia nie usłyszałam dzwonka do drzwi. Siedziałam jak zawsze w swoim pokoju i grałam smutne piosenki na gitarze. Ciotka delikatnie zapukała i powiedziała, że mam gościa.

Serce zabiło mi mocniej. W moim udręczonym umyśle powstały zupełnie irracjonalne wizje. Pomyślałam, że to ktoś z Hyesan.

Poszłam z nią do salonu.

Na środku dywanu stał wysoki młody człowiek. Trzymał bukiet różowych azalii. Miał nieco ponad dwadzieścia lat i wyglądał, jakby w garniturze i krawacie, które miał na sobie, było mu niewygodnie i gorąco.

Ciotka promieniała.

– Mi-ran – powiedziała, zwracając się do mnie moim przybranym imieniem – to Geun-soo.

– Miło mi panienkę poznać – powiedział grzecznie. Ukłonił się i wręczył mi bukiet, ale nie spojrzał w oczy.

3 Różne dialekty używane w Chinach są zapisywane tym samym zestawem znaków (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 22

MAŁŻEŃSKA PUŁAPKA

Geun-soo, jak się okazało, był synem dobrej przyjaciółki ciotki, pani Jang, należącej do grupy Chińczyków koreańskiego pochodzenia. Był wysoki, ale tak nijaki, że nie wiem, czy zauważyłabym go w tłumie. Miał bladą karnację sugerującą, że całe życie spędza w domu, i mocny łojotok.

Przedstawiliśmy się sobie i zapadła niezręczna cisza. Spojrzałam na ciotkę.

– To może poszlibyście na lody? – zaproponowała ku mojemu przerażeniu.

W kawiarni serwującej lody, która znajdowała się niedaleko mieszkania wujostwa, okazało się, że Geun-soo jest jeszcze bardziej skrępowany niż ja. Chcąc trochę rozluźnić atmosferę, zaproponowałam, żebyśmy kupili na spółkę tubkę moich ulubionych, cudownie fioletowych taro. Geun-soo trochę się odprężył. Powiedział mi, że ma dwadzieścia dwa lata i dwie starsze siostry. Skończył uniwersytet w Shenyang, ale zależało mu na szybkim znalezieniu pracy. Jego rodzina miała sieć cieszących się popularnością restauracji i nie narzekała na brak pieniędzy. Geun-soo wyrażał się o swojej owdowiałej matce z ogromnym szacunkiem – większym, niż spodziewałabym się po mężczyźnie w jego wieku. Sprawiał przez to wrażenie dobrego syna i łagodnego człowieka, co przypadło mi do gustu. Przyznał, że lubi spędzać wieczory i noce w knajpkach z kolegami ze studiów. Uznałam, że musi mieć dużo odwagi i być rozrywkowym człowiekiem. W Korei Północnej nie znałam wielu młodych ludzi, którzy sięgaliby po alkohol.

Była to pierwsza z moich wielu randek z Geun-soo. W ciągu następnych miesięcy zabierał mnie na spacery po parku Beiling, a wieczorami do restauracji serwujących dania z makaronów lub do baru *noraebang* – koreańskiego lokalu z karaoke. Był nieszkodliwy, lecz wkrótce przekonałam

się, że mimo elokwencji brak mu głębi. Nie inspirował mnie w żaden sposób. Nie łączyła nas żadna więź.

Niezależnie od tego, jak bardzo starałam się wciągnąć go w dyskusję, czasami wręcz prowokowałam, nigdy nie zdołałam skłonić go do wyrażenia zdecydowanej opinii na jakikolwiek temat. Często wspólne wyjścia upływały nam w milczeniu. Zaczęłam podejrzewać, że cały czas, gdy nie byliśmy razem, spędzał na graniu w gry komputerowe. Poza tym był tak oddany matce, że zaczęłam lękać się spotkania z nią. Wydawał się zadowolony, że matka podejmuje za niego wszystkie decyzje.

Geun-soo wiedział, że pochodzę z Korei Północnej, lecz był przekonany, że naprawdę nazywam się Chae Mi-ran. Nie widziałam powodów, by wyprowadzać go z błędu. W rzeczywistości tak bardzo przywykłam do mojego nowego imienia, że Min-young wydawało mi się skórą, którą zrzuciłam dawno temu. Dawałam się dalej zapraszać na randki, a nawet pozwoliłam Geun-soo trzymać się od czasu do czasu za rękę. Nie łączyło nas nic poważnego, ale nasza relacja zdawała się cieszyć wuja i ciotkę. Mnie zaś zapewniała zajęcie, które pozwoliło mi przetrwać kolejny zachodni Nowy Rok, dziewiętnaste urodziny i chiński Nowy Rok. Dzięki niemu nie pamiętałam, że minęło już przeszło dwanaście miesięcy, od kiedy ostatni raz widziałam matkę i Min-ho.

Powinnam była dostrzec sygnały i wyciągnąć właściwe wnioski, gdy Geun-soo zaczął nalegać, bym popracowała nad mandaryńskim, i wytykać mi błędy w zachowaniu. Gdy zaprosił mnie na spotkanie ze swoją matką, upewnił się, że należycie odczuję doniosłość tej okazji. Mieszkanie należące do jego rodziny było znacznie większe i bardziej luksusowe od apartamentu wuja i ciotki. Pani Jang powitała nas w korytarzu. Nigdy wcześniej nie spotkałam tak zamożnej kobiety. Była bardzo szczupła i niebywale elegancka. Włosy miała upięte z tyłu głowy spinkami z masy perłowej. Wokół szyi przewiązała apaszkę Hermèsa, miała też na sobie przepiękne japońskie perły.

– Witaj, Mi-ran – powiedziała z chłodnym uśmiechem.

Nietrudno było zgadnąć, co sobie myślała. Dziewczyna z Korei Północnej była kiepską partią, jej syn mógł liczyć na znacznie więcej. Ale od Geun-soo wiedziałam, że jego matka nieprzychylnie patrzyła na Chinki, z którym się umawiał. Wielu Koreańczyków żyjących w Chinach nie akceptowało związków z Chińczykami.

Pani Jang była pragmatyczną, dobrze kalkulującą kobietą. Z łatwością

odsuwała od siebie obawy, bo uważała, że dziewczyna z Północy będzie zgodną i posłuszną żoną. Ostatecznie byłam nielegalną imigrantką, więc nie miałabym możliwości skarżyć się na nic. Byłabym uległa wobec mojej teściowej. Choć cała rozmowa toczyła się w niebywale uprzejmym tonie, widziałam, że pani Jang taksuje mnie z góry na dół, jakby oceniała jakość żywego inwentarza.

W ciągu następnych miesięcy zawsze gdy pojawiałam się w domu Geun-soo, pani Jang rozmawiała ze mną o mojej przyszłości z jej synem. Rodzina miała otworzyć dla nas nową restaurację, którą zarządzalibyśmy wspólnie. Wkrótce też, nie pytając mnie o zdanie, zaczęła wspominać o ślubie. Powiedziała, że jej syn jest nieco zbyt młody, by z kimś się wiązać, lecz przez wzgląd na nią chce jak najszybciej spłodzić potomstwo.

Poczułam, że jestem w pułapce. Geun-soo przecież w ogóle mi się nie oświadczył. W zasadzie nie potrafiłam określić, co do mnie czuł. Nie potrafiłam również wyobrazić sobie, by zapalił się do jakiejkolwiek koncepcji. Być może, gdy pił z kolegami, stawał się żywszy, ale wyraźnie nie chciał dzielić ze mną tego aspektu swojego życia. Bezwolnie godził się na wszystkie plany swojej matki.

Randki z nim coraz bardziej mnie krępowały. Ciągle zwracał mi uwagę, że powinnam pracować nad mandaryńskim i poprawiał mnie bezustannie. Wydawało się, że zależy mu przede wszystkim na tym, żebym nie przyniosła wstydu jego rodzinie błędami w wymowie. Czułam się, jakby wdrażano mnie w program wcielania do jego rodziny, nie zapytawszy nawet o zdanie. Sytuacja, w której się znalazłam, była tym bardziej dziwna, że wuj i ciotka widzieli w małżeństwie rozwiązanie wszystkich moich problemów. A także swoich. Moja pięciodniowa wizyta przeciągnęła się w niemal dwuletni pobyt.

***

Pewnego popołudnia pod koniec 1999 roku, gdy byłam w domu Geun-soo, pani Jang wróciła ze sklepów z torbami pełnymi zakupów. Zupełnie mimochodem wspomniała, że podała moją datę urodzenia wróżbicie, który w zamian zaproponował korzystną datę ślubu. Uroczystość miałaby się odbyć latem. Oznajmiła też, że znalazła dla nas doskonałe mieszkanie – całkiem niedaleko jej własnego. Wkrótce miała zabrać się za wybieranie

mebli.

Gdy tego wieczoru leżałam w łóżku, uznałam, że nadeszła pora, by odpowiedzieć sobie szczerze – naprawdę szczerze – na pytanie, czy mam w ogóle inny wybór. Starałam się skalkulować wszystkie możliwości, tak jak zrobiłaby to pani Jang. Niezależnie od uczuć, jakie żywiłam do niezaradnego Geun-soo, starałam się ocenić, czy to małżeństwo było dla mnie okazją czy też czekającą na ofiarę pułapką. Wiedziałam, że chcę zająć się prowadzeniem interesów i wiele podróżować. Gdybym teraz wyszła za mąż i urodziła dzieci, musiałabym pożegnać się na jakiś czas z myślami o karierze. Z drugiej strony znajdowałam się w naprawdę niepewnym położeniu. Nie mogłam dłużej mieszkać u wuja i ciotki. Nie miałam też perspektyw, a przynajmniej żadnych szans na uruchomienie własnego interesu. Mogłam jedynie uciec.

A jeśli mnie złapią?

Aresztowanie, deportacja, bicie, obóz pracy. Upadek rodziny w hierarchii *songbun*. Na tę myśl przeszył mnie dreszcz przerażenia.

W którą stronę bym się nie zwróciła, nie widziałam przed sobą wyjścia.

Dlatego spróbowałam przekonać się do zmiany zdania. Geun-soo jest miłym chłopcem. Zawsze mogłam trafić gorzej. Gdybym za niego wyszła, żyłabym w komfortowych warunkach i bez strachu. Miałabym też chiński dowód.

Był tylko jeden problem, w moim mniemaniu bardzo poważny. Nic z tego nie działo się za sprawą moich decyzji. Wszystko zwyczajnie mi się przytrafiało.

Członkowie rodziny Geun-soo mieli kontakty, zdołali więc załatwić dla mnie nowy dowód osobisty. Geun-soo nawet mi go pokazał i pozwolił potrzymać. Na zdjęciu rozpoznałam swoją twarz, ale imienia już nie. Otrzymałam nowe, które również wybrano za mnie. Miałam uchodzić za Chinkę koreańskiego pochodzenia o nazwisku Jang Soon-hyang. Ponieważ byłam zbyt młoda na ślub – w Chinach prawo do wchodzenia w związek małżeński nabywa się dopiero po dwudziestym roku życia – postarzyli mnie w dowodzie.

– Dokumenty dostaniesz po ślubie – oznajmił mój przyszły mąż, uśmiechając się pod nosem i zabrał mi dowód. Nawet on widział, że miałam wątpliwości, tym większe, że jak się przekonałam, moje nowe imię znaczyło

„osoba, która szanuje starszych i jest dobrą żoną, bo jest posłuszna mężowi i zawsze uważnie go słucha”.

***

Minęły moje kolejne urodziny. Zbliżał się koniec tysiąclecia. Wuj dał mi w prezencie telefon Motoroli, żebym, jak powiedział, mogła rozmawiać z Geun-soo, gdy tylko zechcę. Planowanie wesela nabrało tempa.

Pani Jang wyczuwała, że jej osobowość mnie przytłacza i starała się mnie uspokoić.

– Gdy się pobierzecie, zadbamy o ciebie – obiecała, ściskając moją dłoń swoimi upierścienionymi, kościstymi palcami. – Niczym nie będziesz musiała się martwić.

To było miłe z jej strony. Po tej deklaracji nabrałam odwagi, by zadać pytanie, które chodziło za mną od pewnego czasu. Nie wiem czemu, wydawało mi się, że muszę uzyskać jej zgodę.

– Czy po ślubie będę mogła odwiedzić moją rodzinę? − Miałam nadzieję, że nowy chiński dowód pozwoli mi legalnie wjechać do Korei Północnej.

Siedziałam z panią Jang i jej dwiema córkami przy kuchennym stole. Wszystkie spojrzały na mnie z przerażeniem.

– Nie, nie, nie, nie! – zaprzeczyła gorąco moja przyszła teściowa, jakby doszło do jakiegoś nieporozumienia. – Nigdy nie będziesz mogła wrócić, rozumiesz to? – W jej głosie brzmiało ostrzeżenie. – Mogliby dowiedzieć się, kim jesteś, a wtedy wszyscy mielibyśmy kłopoty. Żeby zdobyć ten dowód, musieliśmy złamać wiele przepisów. Odwiedzanie rodziny byłoby zbyt niebezpieczne. − Musiała dostrzec malujące się na mojej twarzy zaskoczenie, bo uśmiechnęła się nagle. Uśmiech ten wyglądał jak szczelina pojawiająca się na powierzchni lodu. – Po ślubie będziesz miała nową rodzinę – dodała. − Dołączysz do nas.

Gdy opowiadałam o tej rozmowie Geun-soo, dałam się ponieść nerwom. Wiedział doskonale, jak bardzo chciałam znów zobaczyć matkę i Min-ho. Pomyślałam, że to jego chwila – powinien pocieszyć swoją przyszłą żonę, wykazać się zrozumieniem i obiecać, że jakoś się nam uda, żebym się nie martwiła. Zamiast tego on stwierdził łagodnie:

– Matka ma rację. Tak będzie najlepiej.

Nawet na mnie nie spojrzał. Grał na konsoli.

Poczułam się ogłuszona. On i przyszła teściowa jednogłośnie ucinali wszelkie rozmowy o ewentualnym odwiedzaniu moich bliskich. Nawet gdybym zdołała jakoś nawiązać z nimi kontakt, musiałabym ukrywać to przed ludźmi w moim ścisłym otoczeniu.

Spojrzałam na twarz Geun-soo – bladą w świetle padającym z telewizora – i zrozumiałam, że nie mogę poślubić tego człowieka.

Niezależnie od tego, co miała przynieść przyszłość, musiałam stawić jej czoła samotnie. Ale było mi wszystko jedno. Wiedziałam, że znajdę sposób, by wzlecieć pod niebo. Nie wiedziałam jeszcze jak, ale postanowiłam zaryzykować.

***

Wuj i ciotka rozprawiali z przejęciem o ślubie niemal przy każdym posiłku. Nie zdołałam zebrać się w sobie, by oznajmić im swoją decyzję i zmierzyć się z ich rozczarowaniem. Bałam się też, że pani Jang wpadnie w złość i poczuje się upokorzona do tego stopnia, że zgłosi władzom mój pobyt w Chinach. Nie miałam z kim porozmawiać. Stanęłam przed jedynym możliwym wyjściem.

Ucieczką.

Było lato roku 2000. Ślub miał się odbyć za kilka tygodni. Długo zastanawiałam się, kiedy powinnam zacząć działać. Sprawę przesądził telefon od Geun-soo. Mój narzeczony poinformował mnie, że jego matka, zupełnie nie pytając nas o zdanie, zarezerwowała nam miesiąc miodowy w luksusowym nadmorskim kurorcie w Sanya nad Morzem Południowochińskim.

To zaważyło. Musiałam działać natychmiast.

Wrzuciłam do torby trochę ubrań i poczekałam, aż ciotka i wuj wyjdą do pracy. Zjechałam windą do lobby i uśmiechnęłam się do portiera. Czułam, jak krew tętni mi w żyłach. Przez głowę przeleciało mi wspomnienie przekraczania granicy na rzece Yalu. Wyszłam spokojnie z wieżowca, wyjęłam kartę z telefonu i wyrzuciłam ją do pierwszego kubła na śmieci.

ROZDZIAŁ 23

DZIEWCZYNA Z SHENYANG

Kierowca taksówki przyglądał mi się we wstecznym lusterku, czekając, aż powiem, dokąd mamy jechać. A ja się wahałam. Nie miałam żadnego planu. Po raz pierwszy w życiu nie miałam do kogo zwrócić się o pomoc.

Shenyang to wielkie miasto. Mogłam pojechać gdziekolwiek, ale instynkt podpowiadał mi, że powinnam trzymać się z dala od dzielnicy Xita, zwanej też Zachodnią Pagodą. Była to tak zwana Mała Korea w Shenyang. Tam żyli ludzie o koreańskich korzeniach, tam prowadzili swoje interesy. Gdyby ktokolwiek miał mnie szukać, udałby się od razu w to miejsce. Powiedziałam kierowcy, żeby pojechał do nieznanej mi dzielnicy leżącej na drugim końcu miasta, gdzie nikt nie miał powodu mnie szukać. Musiałabym oczywiście posługiwać się mandaryńskim, ale po dwóch latach nauki mój język był na przyzwoitym poziomie. Czułam, że sobie poradzę.

Kiedy jednak wjechaliśmy na autostradę i za oknem pojawiły się nieznane mi rejony, znów ogarnęły mnie wątpliwości.

Choć wiązało się to ze sporym ryzykiem, to jednak fakt pozostawał faktem – największe szanse na znalezienie pracy i uzyskanie jakiejkolwiek pomocy miałam w Xita, wśród innych Koreańczyków. Byłam tam kilka razy z ciotką i pamiętałam, że funkcjonował tam nieoficjalny rynek pracy – miejsce, gdzie ludzie przychodzili się pokręcić w poszukiwaniu kogoś, kto zaproponowałby im dorywcze zajęcie. Wuj wypłacał mi skromne kieszonkowe, ale udało mi się oszczędzić tyle, by móc utrzymać się samodzielnie przez kilka dni.

Powiedziałam kierowcy, by zawrócił do Xita.

Gdy znalazłam się wśród innych szukających pracy, znów stanęłam przed dylematem – lepiej wyglądać na mocno zainteresowaną czy przyjąć nonszalancką postawę? Kręciłam się po ulicy zaledwie przez kilka minut,

kiedy podeszła do mnie jakaś kobieta i odezwała się po mandaryńsku:

– Witaj. Szukasz pracy?

Była pogodną osobą w średnim wieku, ale umalowała się jak młoda dziewczyna i miała na sobie bawełnianą sukienkę z odkrytymi ramionami.

– Tak − odparłam.

– Prowadzę salon fryzjerski i szukam nowej stylistki. Byłabyś zainteresowana? – Mówiła też jak młoda dziewczyna. – Przejdziesz odpowiednie przeszkolenie. No i oferujemy darmowy nocleg. − Nie wierzyłam we własne szczęście. – To na obrzeżach miasta. Możemy pojechać taksówką. Będziemy na miejscu za jakieś pół godziny.

Przedstawiła się jako Miss Ma. W drodze na miejsce zadała mi wiele pytań. Miałam wrażenie, że stara się ze mną zaprzyjaźnić. Powiedziałam, że pochodzę z Shenyang i że mój ojciec jest właścicielem firmy robiącej interesy z Koreą Południową. Zdumiała się, że dziewczyna z bogatej rodziny jest zainteresowana pracą w salonie fryzjerskim. Starałam się dać jej do zrozumienia, że jestem zbuntowaną nastolatką.

Zauważyłam, że paznokcie Miss Ma mają barwę cyklamenu, która moim zdaniem nie przystawała kobiecie w jej wieku. Dostrzegłam też cienki, złoty łańcuszek oplatający jej nogę tuż nad kostką.

W końcu dotarłyśmy na szare, ponure przedmieście. Okolica przypominała raczej Changbai niż Shenyang, a sam salon fryzjerski nie wyglądał jak żaden znany mi zakład piękności. Wzdłuż lewej ściany stały wyłożone czarną skórą kanapy, a wzdłuż prawej ciągnęły się ogromne lustra, naprzeciwko których stało pół tuzina foteli fryzjerskich. Na dwóch siedzieli mężczyźni w średnim wieku, których właśnie poddawano zabiegowi mycia głowy.

Czy to fryzjer męski? zastanawiałam się.

Jeszcze jeden mężczyzna około pięćdziesiątki rozparł się na kanapie z gazetą i papierosem. Popiół strząsał do papierowego kubka. Zauważyłam, że coś wystaje mu znad kołnierzyka – niebieska głowa wytatuowanego na szyi węża. Miss Ma przywitała się z nim, a on obrzucił mnie ponurym spojrzeniem. Nikt nie musiał nic mówić, żebym wiedziała, że to on tu rządzi.

Moja nowa znajoma poprowadziła mnie do piwnicy i wskazała na wykonane z przydymionego szkła drzwi prowadzące do sześciu pokoi „zabiegowych”. Powiedziała, że właśnie tu będę pracować. Brzmiała teraz znacznie mniej przyjaźnie. Pomieszczenia skąpane były w ponurym, żółtawym świetle, a wszystko przenikał zapach wilgoci i męskiego potu.

Miss Ma otworzyła jedne z drzwi, a ja usłyszałam własne westchnienie.

Wewnątrz, przy świetle małych świeczek, młoda dziewczyna ubrana jedynie w skąpą halkę siedziała obok wyciągniętego na futonie mężczyzny, który z wyjątkiem przewiązanego w pasie białego ręcznika był całkiem nagi. Wychowana w pruderyjnej Korei Północnej, nigdy wcześniej nie znalazłam się w miejscu, w którym kobiety i mężczyźni przebywaliby razem półnadzy, nie mówiąc już o dotykaniu się. Dziewczyna tymczasem masowała ramię tego mężczyzny.

Co to za miejsce?!

– Może weźmiesz się za drugie ramię? – zaproponowała Miss Ma, po czym wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Nie miałam pojęcia, po co się kogoś masuje ani tym bardziej, jak się to robi. Mężczyzna leżący na futonie był gruby i błyszczał od potu. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z sauny. W niewyraźnym świetle świec przypominał wyrzuconego na brzeg morskiego ssaka, który zaczął już gnić. Z najgłębszą niechęcią zmusiłam się do dotknięcia go. Nie widziałam jego twarzy. Po kilku sekundach odezwał się jednak:

– Kto to? Jest beznadziejna.

– Nowa – powiedziała moja współpracowniczka. – Dopiero ją szkolimy.

Posłała mi błagalne spojrzenie, zupełnie jakby miała mieć przeze mnie kłopoty. Była mniej więcej w moim wieku, drobna i śliczna, ale z jej oczu wyzierało poczucie krzywdy.

Po chwili mężczyzna dźwignął się na leżance, przyjrzał mi się uważnie i zaprosił nas obie do baru z karaoke, który znajdował się nieopodal.

– Chyba nam nie wolno – powiedziałam, ale moja towarzyszka zaśmiała się.

– Nie bądź głupia. Oczywiście, że nam wolno.

Na górze mężczyzna z wytatuowanym wężem otworzył nam przeszklone drzwi i wezwał taksówkę.

Przez cały czas nic nie jadłam, a żołądek aż skręcało mi ze strachu. Bałam się, że w barze sprawy zajdą jeszcze dalej, ale mężczyzna stracił mną zainteresowanie, gdy dwukrotnie odmówiłam zaprawianego alkoholem drinka. Wyglądało na to, że moja decyzja popsuła mu plany na spędzenie tej nocy z dwiema dziewczynami. Natomiast moja współpracownica zdecydowała się na kilka kieliszków *soju*. Zaśpiewałam kilka koreańskich piosenek, potem on śpiewał sam. Gdy wsiadłyśmy do taksówki, by wrócić na

miejsce, było już ciemno.

Moja koleżanka poprowadziła mnie do budynku stojącego na tyłach salonu fryzjerskiego. Przeszłyśmy kilka kondygnacji wąskich schodów i trafiłyśmy na zamknięte na liczne zamki drzwi. Otworzyła je i zapaliła światło. Moim oczom ukazał się najbardziej zapuszczony pokój, jaki kiedykolwiek widziałam. W kącie coś poruszyło się szybko i zniknęło nam z pola widzenia. Na niewielkiej przestrzeni ściśnięto pięć piętrowych łóżek. Mieszkało tu dziesięć dziewczyn. Powietrze przesiąknięte było smrodem ludzkich ciał i ścieków. Między łóżkami rozciągnięto sznurki, na których schły majtki. Gdy zajrzałam do łazienki, musiałam zakryć dłonią nos i usta.

Więc do czegoś takiego uciekałam?

Byłam bardzo zmęczona i osłabiona. Z wyjątkiem kilku zjedzonych w barze przekąsek tego dnia nie miałam nic w ustach.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę tu dziś na noc – powiedziałam do mojej nowej znajomej. − Ale jutro się stąd zabieram. Chyba nie zdecyduję się na tę pracę.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia tamtej dziewczyny. Widywałam podobny wyraz twarzy niejednokrotnie w Korei Północnej.

Ona się bała.

– Stąd nie odchodzi się ot tak – stwierdziła.

– Co masz na myśli?

Zniżyła głos do szeptu:

– Nie pozwolą ci odejść.

***

Całą noc przeleżałam bezsennie na poplamionym materacu. Byłam zbyt wystraszona, by zasnąć. W pokoju było wilgotno i duszno. Czy tak miałam skończyć? I to tylko dlatego, że byłam nielegalną imigrantką? Miałam żyć w takim miejscu? Niby jak mogli mnie zatrzymać? Przecież nie przykują mnie łańcuchem. Starałam się zrozumieć, skąd wzięło się przerażenie w spojrzeniu mojej współpracownicy i nagle odpowiedź pojawiła się sama: Jeśli spróbuję odejść, zrobią mi krzywdę.

Zachowałam się jak idiotka. Miss Ma wiedziała, że jestem w Chinach nielegalnie od chwili, gdy mnie zobaczyła.

Uciekła się do podstępu, by mnie tu sprowadzić, zatem żeby się stąd wydostać, musiałam zastosować taką samą taktykę. Musiałam spróbować ją oszukać.

Następnego ranka wszystkie łóżka były ciągle puste. Ktokolwiek miał w nich spać, tę noc spędził gdzie indziej. Razem z moją współpracownicą zeszłam do salonu. Z ulgą zauważyłam, że karczystego właściciela tatuażu nie ma na dole. Miss Ma, krzykliwie wystrojona, siedziała za kasą.

Podeszłam do niej. Musiałam odegrać małe przedstawienie, ale najwyższej jakości.

– Ależ się wybawiliśmy na karaoke – powiedziałam, łapiąc się przy tym za głowę, jakbym miała kaca. Spojrzałam na nią z komicznie udawaną rozpaczą.

– Doskonale. – Uśmiechnęła się do mnie zza lady. – Po to tu jesteś. Jaki dostałaś napiwek?

Nie dostałam żadnego.

– Pieniądze mam w spodniach, na górze – skłamałam. – Wczoraj w nocy nie nadawałam się do liczenia czegokolwiek.

– Nigdy nie zostawiaj tam pieniędzy. Zawsze wszystko przynoś prosto tutaj.

– Oczywiście. Przepraszam. Kiedy poznam pozostałe dziewczyny?

– Wrócą, jak będą gotowe.

Przytrzymałam kciuki na szczęście.

– Chciałabym wrócić do Xita po swoje rzeczy, zanim zacznie się prawdziwy ruch.

Spojrzenie Miss Ma w jednej chwili zrobiło się nieprzyjazne. Po wczorajszej życzliwości nie został nawet ślad.

– Czego ci trzeba? Możemy wszystko załatwić.

– Och, dziękuję – zaśmiałam się. – Nie przyszłoby mi do głowy naciągać panią na gitarę. Chciałam przywieźć tylko ją i kilka zdjęć. Gitara nikomu nie będzie przeszkadzać. Zmieści się pod łóżkiem.

Udałam, że jej zły humor wzięłam za znak obawy o to, że moje rzeczy zajmą za dużo miejsca.

– Jeśli teraz pojedziesz, spóźnisz się na spotkanie z pierwszym klientem.

Zawahała się.

– Odpracuję w nadgodzinach. No i nie będę narażać pani na koszty taksówki. Pojadę autobusem za swoje pieniądze. Wrócę przed dziesiątą.

Zaczęła wzdychać i sapać. Teraz wyglądała na rozzłoszczoną i spoglądała

nerwowo w stronę okna. Zastanawiałam się, czy wypatruje mężczyzny z niebieskim tatuażem.

– Tylko się pośpiesz. Mamy dziś komplet klientów.

– Zrozumiano – odparłam, salutując radośnie, jakbym chciała powiedzieć „To pani tu rządzi”.

Wyszłam przez szklane drzwi.

Gdy tylko zniknęłam jej z oczu za rogiem, rzuciłam się pędem w stronę postoju taksówek, gdzie poprzedniego wieczoru wysiadłam po wizycie w barze z karaoke.

I natychmiast stanęłam jak wryta.

Kierowca pierwszego wozu wychylał się przez okno i rozmawiał ze stojącym przy samochodzie człowiekiem, który trzymał zwiniętą pod ręką gazetę. Był to nikt inny jak obdarzony szerokim karkiem właściciel niebieskiego tatuażu. Zawróciłam na pięcie i poszłam w stronę, z której przed chwilą przyszłam, w nadziei, że mnie nie widział. To zaś oznaczało, że będę musiała przejść obok przeszklonego frontu salonu fryzjerskiego. Jeśli zauważy mnie Miss Ma, zorientuje się, że nie idę na przystanek autobusowy. Zwolniłam nieco i poczekałam na większą grupę ludzi. Starałam się wtopić między nich, jakbyśmy zmierzali razem do tego samego celu. Prawie minęłam salon, gdy nagle doleciało mnie z wewnątrz głośne: „Ej!”.

Zaczęłam biec – jedna ulicę, potem następna. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Gdy zobaczyłam bursztynowe światło wolnej taksówki jadącej w moim kierunku, zaczęłam machać jak szalona.

Wskoczyłam do wozu i skuliłam się na siedzeniu. Tym razem nie wahałam się ani chwili.

– Xita. Szybko, szybko.

ROZDZIAŁ 24

POCZUCIE WINY

Od trzydziestu sześciu godzin nie spałam i prawie nic nie jadłam. Funkcjonowałam wyłącznie dzięki adrenalinie. Nic przy sobie nie miałam. Moja torba została w sali sypialnej nad salonem. W taksówce policzyłam to, co miałam w portfelu. Wystarczyło mi, żeby zapłacić za podróż i kupić trochę smażonego makaronu na ulicznym straganie. Tylko tyle.

Musiałam dziś znaleźć pracę.

Gdy znalazłam się znów w dzielnicy koreańskiej, postanowiłam sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja w restauracjach. Wydało mi się to bezpieczniejsze, niż szukanie szczęścia na rynku pracy. Sprawdziłam kilkanaście, wszędzie pytając o zatrudnienie, lecz bez skutku. Przypadkiem zobaczyłam w szybie swoje odbicie. Miałam podkrążone oczy, wyglądałam na głodną i zrozpaczoną. Ale za to pół metra od swojej twarzy, w tej samej szybie, zobaczyłam napisane po koreańsku ogłoszenie. Ktoś szukał kelnerki.

Stałam przed dużą restauracją o nazwie Gyeong-hwoi-ru, w której panował spory ruch. Na sali stało jakieś trzydzieści okrągłych stolików, między którymi krążyło przynajmniej dziesięć kelnerek odzianych w tradycyjne *chima jeogori*. Trwała właśnie pora lunchu – w jedną stronę sunęły tace zastawione parującymi potrawami, w drugą odnoszono puste już talerze. Zebrałam się w sobie i weszłam do środka.

– Chcę zostać kelnerką – powiedziałam do kobiety wydającej napoje, która wyglądała na kierowniczkę sali. Miała na sobie elegancką garsonkę.

– Jesteś uczennicą szukającą pracy na wakacje?

– Nie. Chciałabym zatrudnić się na pełen etat.

Kobieta wyciągnęła bloczek formularzy i długopis.

– Nazwisko?

– Jang Soon-hyang – powiedziałam, posługując się nazwiskiem z dowodu, który załatwiła mi rodzina Geun-soo. – Jestem z pochodzenia Koreanką. Z Yanbian.

Kierowniczka sali zapisała to w milczeniu, a mnie żołądek zawiązał się na supeł. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że dowód może być mi potrzebny do zatrudnienia. Jeśli zapyta mnie o dokumenty, będzie po wszystkim.

Wypełnianie formularza zajmowało jej podejrzanie dużo czasu. W końcu powiedziała:

– Dam ci pracę. Jeśli potrzebujesz noclegu, to mamy też sypialnię dla pracowników. To dwie minuty drogi stąd. − Poczułam ulgę. Żadna inna noclegownia nie mogła być tak zapuszczona jak ta, z której właśnie uciekłam. – Kiedy możesz zacząć?

– Dzisiaj.

Zaczęłam stukać palcami w ladę, by pokazać, jak bardzo zależy mi na szybkim podjęciu pracy.

Kobieta zmierzyła mnie z namysłem.

– Nie chcesz wiedzieć, ile będziesz zarabiać? − Ta praca była dla mnie ostatnią deską ratunku i rzeczywiście zapomniałam o najważniejszym. – Płacimy trzysta pięćdziesiąt juanów miesięcznie – powiedziała. Odpowiadało to czterdziestu dolarom amerykańskim. W Korei Północnej za taką kwotę można przeżyć pół roku. Dla mnie była to wyjątkowo hojna płaca. Kobieta uśmiechnęła się szeroko. – No i posiłki masz za darmo.

***

Pierwszy dzień pracy w restauracji koreańskiej Gyeong-hwoi-ru o mały włos skończyłby się dla mnie katastrofą. Moimi pierwszymi klientami byli Hanowie, Chińczycy z najliczniejszej w kraju grupy etnicznej, wszyscy ubrani w eleganckie garnitury. Jeden z nich poprosił o rachunek i gumę do żucia.

Przyniosłam wszystko zgodnie z jego życzeniem. Wtedy on dziwnie na mnie spojrzał.

– A co to? – zapytał. Wyczułam, że szykuje się awantura. Zauważyłam, że w tutejszych restauracjach było to normą. Niektórym wydawało się, że jeśli

wydają gdzieś pieniądze, to mogą zachowywać się niegrzecznie. – Nic takiego nie zamawiałem.

– Bardzo pana przepraszam. Nie prosił pan o gumę?

– Powiedziałem „papierosy”, a nie „guma”. – Oczy mu się zwęziły.

Musiał powiedzieć *xiang yan*, co w mandaryńskim oznacza papierosy, ale ja usłyszałam *kou xiang tang* (guma do żucia).

– Czy coś się stało? – do rozmowy wtrąciła się kierowniczka.

– Owszem – powiedział tamten człowiek, wskazując na mnie palcem. – Ona jest z Korei Północnej.

Krew odpłynęła mi z twarzy.

– Pochodzi z Yanbian – powiedziała spokojnie kierowniczka. – Nie zrozumiała, co pan powiedział.

– Bzdury. Każdy w jej wieku w Yanbian mówi doskonale po mandaryńsku. Ona mnie nie zrozumiała. Jest z Korei Północnej.

– Jest z rodziny koreańskiej – powiedziała kierowniczka, ciągle się uśmiechając. – Bardzo przepraszam za tę pomyłkę. Zaraz przyniosę panu papierosy. Na koszt firmy.

To mu wystarczyło. Przestał drążyć ten temat.

Później kierowniczka powiedziała mi, że niektórzy klienci zachowywali się po świńsku, żeby dostać coś gratis. Pocieszyła mnie, żebym się nie martwiła.

Nie podejrzewała nawet, że tamten człowiek miał rację.

***

Popadłam w rutynę. O 8:30 byłam w pracy, żeby nakryć stoły, uzupełnić solniczki i buteleczki na sos sojowy, a potem cały dzień usługiwałam klientom, aż do ostatniego, który wychodził o 22:00. Restauracja była czynna codziennie, a każdej z kelnerek przysługiwał jeden dzień wolnego w miesiącu. Pracowałyśmy naprawdę ciężko, ale mnie to nie przeszkadzało. Byłam dumna, że sama zdołałam rozwiązać swój problem, choć nadal nie mogłam być pewna jutra. Po raz pierwszy w życiu zyskałam pewną niezależność, a mój mandaryński poprawił się znacznie. Do sali sypialnej wracałam tak wykończona, że zasypiałam niemal natychmiast. Przyzwyczaiłam się też do koszmarów, które towarzyszyły mi noc w noc, w pętli, która zdawała się nie mieć końca.

Cztery kelnerki, z którymi dzieliłam pokój, były bardzo przyjazne i rozmowne, ale i tak bardzo uważałam na to, co mówię, szczególnie przy dwóch, które faktycznie pochodziły z Yanbian. Wystarczyła przecież jedna pomyłka, by odkryły prawdę na mój temat. Mimo to, jedna z dziewcząt zaintrygowała mnie na tyle, że zostałyśmy przyjaciółkami. Nazywała się Ji-woo. Studiowała przedsiębiorczość na Uniwersytecie Dongbei w Shenyang i pracą w restauracji zarabiała na studia. Bardzo mi tym imponowała. Poza nią, jedyną znaną mi w Chinach osobą z wyższym wykształceniem był Geun-soo, ale od niego nigdy nie dowiedziałam się nawet, na jakim kierunku się uczył. Ji-woo była zabawną, inteligentną dziewczyną i podobnie jak ja uwielbiała modę. Bardzo chciałam dowiedzieć się, czego uczyła się na temat modeli biznesowych, ale podręczniki, z których korzystała, wydawały mi się szalenie trudne. Kilka razy miałam ochotę podzielić się z nią swoim sekretem, ale za każdym razem słyszałam w głowie ostrzegawczy głos: Nie!

Przyzwyczaiłam się też do nowego imienia. Ji-hae, Min-young, Mi-ran, wszystkie one zostały za mną. Teraz nazywałam się Soon-hyang i nosiłam to imię niczym talizman.

Po kilku miesiącach obsługiwania stolików przeniesiono mnie do obsługi kasy. Radziłam sobie dobrze z pieniędzmi. Miesięcznie zarabiałam teraz pięćset juanów (około sześćdziesięciu dolarów). Postawiłam sobie za cel odłożyć tyle, żeby było mnie stać na podróż do Changbai. Chciałam stamtąd nawiązać kontakt z matką i Min-ho.

Podobała mi się moja nowa praca. Klienci restauracji fascynowali mnie. Przyłapałam się na tym, że obserwuję ich i staram się odgadnąć, jaką kto ma do opowiedzenia historię. Przestałam patrzeć na świat w tak ograniczony sposób, jak miałam to w zwyczaju w Korei Północnej. Okazało się, że ludzie mają złożone osobowości i bardzo się od siebie różnią. Życie oferowało ogromne możliwości i niezliczone drogi do wyboru.

***

Z czasem, gdy moja sytuacja nieco się ustabilizowała, zaczęły mnie nękać wyrzuty sumienia z powodu tego, jak odeszłam z domu wuja i ciotki. Uciekłam, nie zostawiwszy nawet słowa wyjaśnienia, a przecież byli dla mnie tacy dobrzy. Jak mogłam okazać taki brak szacunku? Uświadomiłam

sobie, że aby napisać list, musiałabym wyjaśnić, co czułam, a nie byłam do tego przyzwyczajona. Mało kto w Korei Północnej potrafi mówić o swoich uczuciach.

Po mniej więcej sześciu miesiącach, w grudniu 2000 roku, zadzwoniłam do nich z ulicznego aparatu. Odebrała ciotka Sang-hee.

– Mi-ran – szepnęła zaskoczona. Nawet ona zapomniała, jak miałam naprawdę na imię. Gdy pierwsze zaskoczenie minęło, usłyszałam w jej głosie mieszaninę ulgi, troski i urażonej dumy. – Upokorzyłaś nas – powiedziała. – Jesteśmy rodziną. Twoja ucieczka postawiła nas w złym świetle.

– Bardzo mi przykro. Nie dałam rady.

Ciotka chciała wiedzieć, gdzie jestem. Powiedziałam jej, że pracuję jako kelnerka i że daję sobie radę. Zaprosiła mnie do domu, ale wyczułam, że uraza, jaką do mnie żywi, jest ciągle świeża. Wolałam dać jej czas.

– Nie chcesz wiedzieć, co u Geun-soo? – zapytała.

– Nie chcę.

– Powinnaś do nich zadzwonić i przeprosić.

Przez dwa dni walczyłam z tą myślą, ale wiedziałam, że ciotka ma rację. Kilka razy zaczęłam nawet wykręcać numer, ale zawsze w ostatniej chwili opuszczała mnie odwaga.

W końcu zadzwoniłam. Odebrała pani Jang. Z początku zupełnie zaschło mi w ustach. Już miała odkładać słuchawkę, gdy zdołałam wykrztusić:

– Tu Mi-ran.

– O mój Boże... – Po drugiej stronie zapadło długie milczenie. – Gdzie jesteś? − Wyobraziłam sobie, jak nerwowo daje na migi znać córkom: „To ona”. Myślałam, że będzie syczeć z hamowanej furii, lecz jej głos brzmiał cicho i spokojnie. Ku mojemu zaskoczeniu powiedziała po prostu: – Mi-ran, wróć, proszę. Dla dobra mojego syna. Od kiedy odeszłaś, przestał być sobą. Jest strasznie przybity.

Geun-soo przybity z mojego powodu? Jej słowa zaskoczyły mnie.

– Czy mogę z nim porozmawiać? – zapytałam.

Gdy po chwili podszedł do telefonu, usłyszałam, że płacze. Brzmiał, jakby był pijany i nie potrafił porządnie się wysłowić.

– Błagam, wróć... – powiedział. – Ciągle mam bilety na naszą podróż poślubną. Możemy stąd wyjechać.

To był pierwszy raz, gdy okazał mi jakiekolwiek silniejsze uczucia. Zrobiło mi się go żal i poczułam się zaniepokojona. Musiałam odejść, zanim zdążył

ocenić, co do mnie czuje. Teraz jednak było za późno. Nie mogłam już wrócić. Przede wszystkim pragnęłam połączyć się z rodziną, a on i jego matka staliby mi na drodze.

Powtarzałam tylko, jak bardzo mi przykro. Upokorzyłam go i obraziłam jego rodzinę.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, skuliłam się pod ścianą budki telefonicznej i schowałam twarz w dłoniach. Ściągnęłam na Geun-soo ogromne nieszczęście.

Nasz Szacowny Ojciec Przywódca nakazuje nam szanować starszych i nie szargać dobrego imienia rodzin. Zauważyłam, że towarzyszka Mi-ran ciągle krzywdzi bliskich jej ludzi. Czy towarzyszka Mi-ran zgodzi się, że jest złym człowiekiem?

Tak. Byłam złym człowiekiem.

Nie miałam z kim porozmawiać, nie było przy mnie nikogo, kto powiedziałby mi, że wybór, którego dokonałam, by zadbać o siebie, nie czynił mnie złą.

Natomiast ta raniąca samokrytyka zapadła we mnie głęboko i sprawiła, że część mnie umarła. Gdy w domu wujostwa wylewałam łzy z tęsknoty za matką, czułam to w sercu. Lecz teraz coś we mnie skamieniało i przestałam płakać.

Przestałam też się lubić.

Przysięgłam sobie odpokutować za zło, jakie wyrządziłam Geun-soo. Kilka tygodni zastanawiałam się, jak mogłabym to zrobić. Wreszcie postanowiłam, że moją karą będzie pozostanie w stanie panieńskim. Nie chciałam ranić go bardziej ani obrażać mocniej, wychodząc za innego.

Od tej pory, gdy ktoś pytał mnie, kiedy planuję wyjść za mąż, odpowiadałam:

– Nigdy. Nie to jest dla mnie ważne.

ROZDZIAŁ 25

LUDZIE Z POŁUDNIA

W styczniu 2001 roku w porze lunchu w restauracji pojawiło się dwóch eleganckich mężczyzn. Zachowywali się przyjaźnie i zaczęli wypytywać o Shenyang. Zauważyłam, że mieli idealnie równe zęby.

Tego dnia brakowało kilku osób z obsługi, więc i ja obsługiwałam klientów. Postawiłam przed nimi zamówione *banchan*, kiedy jeden z nich zapytał cicho:

– Nie znasz przypadkiem nikogo z Korei Północnej?

Nie spojrzałam mu w oczy.

– A dlaczego pan pyta?

Wyjęli z kieszeni wizytówki i położyli je na stole. Powiedzieli, że kręcą reportaż dla jednego z ważniejszych kanałów telewizyjnych w Korei Południowej.

– Film dokumentalny – wyjaśnił jeden z nich. – Chcielibyśmy znaleźć uciekinierów z Korei Północnej, którzy starają się dostać do Korei Południowej. Opłacimy wszystkich pośredników i zadbamy o to, żeby ci ludzie dotarli na miejsce. Pokrywamy wszystkie koszty.

Zaskoczyli mnie. Północ i Południe od zawsze były śmiertelnymi wrogami. W 1953 roku podpisano jedynie zawieszenie broni, a nie traktat pokojowy. Oba kraje formalnie pozostawały w stanie wojny.

– Jak niby ktoś z Korei Północnej miałby dostać się do Korei Południowej? – zapytałam. Pierwszy raz słyszałam o czymś takim.

– Wiele osób decyduje się na podobny krok – odparł tylko.

Obiecałam, że popytam w tej sprawie, i odeszłam, mocno zaintrygowana.

Czy szukacie kogoś takiego jak ja?

Obaj przychodzili codziennie na lunch i poważnie rozważałam, czy nie

powierzyć im mojej tajemnicy, ale instynkt kazał mi zachowywać się nad wyraz ostrożnie. To mogła być pułapka. Nie chciałam postępować pochopnie, wolałam najpierw poznać fakty. Powiedziałam Ji-woo, mojej współlokatorce, o tym, co od nich usłyszałam, starając się zachowywać możliwie spokojnie. To, co powiedziała, było dla mnie prawdziwym zaskoczeniem. Okazało się bowiem, że władze Korei Południowej uważają wszystkich mieszkańców Korei Północnej za obywateli swojego kraju. Każdy, komu uda się dotrzeć do Seulu, otrzymuje paszport południowokoreański i sporej wysokości zasiłek, który ma pomóc takiej osobie urządzić sobie życie od nowa.

Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Od wuja i ciotki wiedziałam, że życie w Korei Południowej wcale nie przypominało odmalowanego przez Partię „piekła na ziemi". Wuj odwiedzał Koreę Południową w interesach i mówił, że żyje się tam jeszcze dostatniej niż w Chinach oraz że panuje tam jeszcze większa wolność. Myślałam, że przesadza. Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się zbyt wiele nad sytuacją w Korei Południowej. Byłam tak skupiona na nauce mandaryńskiego, że nawet nie oglądałam kręconych na Południu oper mydlanych, które puszczano w telewizji kablowej. Poza tym nadal wierzyłam, że wszystkie problemy na Północy biorą się z sankcji nałożonych na kraj przez ONZ za sprawą Amerykanów. Wyjazd do popierającej ich Korei Południowej byłby zdradą własnej ojczyzny, prawda? Pamiętałam też, że przy tych nielicznych okazjach, gdy ktoś uciekał do Korei Północnej, organy propagandowe Partii zawsze urządzały konferencję prasową. Czy gdybym wyjechała na Południe, czekałoby mnie to samo? Rząd mikrofonów i błyski fleszy? To mogłoby ściągnąć na moją rodzinę kłopoty.

Po tygodniu nadal nie potrafiłam podjąć decyzji, ale dwaj mężczyźni z Korei Południowej przestali przychodzić na obiady. Widać znaleźli to, czego szukali.

Wuj Opium powiedział mi kiedyś, że w życiu zawsze dostaje się trzy szanse. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jedna z ważniejszych właśnie przeszła mi koło nosa.

***

Tego wieczoru umówiłam się po pracy na spotkanie ze współlokatorkami. Kupiłyśmy sobie jagnięcinę z rożna i poszłyśmy do kawiarni na bawarkę z pianką. Koleżanki opowiadały o swoich losach, o problemach rodzinnych i sercowych. Każda z nich pragnęła w życiu czegoś więcej. Jedna, dziewczyna z koreańskiej rodziny z Yanbian, w pewnym momencie zerknęła na mnie z ukosa i powiedziała:

– Nigdy nie mówisz o sobie zbyt wiele. Jesteś sierotą?

Przez całe miesiące obawiałam się ciekawskich pytań, a teraz, gdy przegapiłam okazję, jaką stworzyli mi filmowcy z Południa, poczułam przypływ zuchwałej odwagi. Przesadna ostrożność sprawiła, że przegapiłam daną mi przez los szansę. Miałam już dosyć kłamstw.

– Nie, nie jestem sierotą – odparłam i dodałam bez namysłu. – Jestem z Korei Północnej.

Dziewczyny spojrzały po sobie. Ji-woo, najmądrzejsza z całej grupy, stwierdziła, że nie miała pojęcia. Nagle wszystkie żywo się mną zainteresowały. Opowiedziałam im zatem swoją historię. Siedziałyśmy w kawiarni do zamknięcia lokalu.

Po raz pierwszy zaczęłam szukać w Shenyang innych uchodźców z Korei Północnej. Ukrywało się ich tu tylu, że raz na kilka miesięcy policja przeprowadzała zakrojone na szeroką skalę łapanki, w czasie których starała się znaleźć jak najwięcej uchodźców. Odsyłano ich potem do Korei Północnej.

Na przyjęciu urodzinowym jednej z kelnerek usłyszałam dziewczynę, która mówiła po mandaryńsku tak kulawo, że musiała pochodzić z Północy. Przedstawiłam się. Stopniowo i dyskretnie poznałam kilka innych dziewczyn z Korei Północnej. Wszystkie one, tak jak ja, żyły niemal na widoku.

Dziewczyna, którą poznałam na urodzinach, nazywała się Soo-jin. Miała owalną twarz, wielkie oczy i pełne, kształtne, czerwone usta. W Korei Północnej uchodziłaby za piękność. Ona również pracowała jako kelnerka. Od tej pory raz czy dwa razy w tygodniu ucinałyśmy sobie pogawędkę przez telefon – bardzo polubiłam ten zwyczaj. Soo-jin mieszkała w Shenyang ze swoim chłopakiem z Korei Południowej. *Mieszkała z chłopakiem z Korei Południowej*. Gdy to usłyszałam byłam tak samo zgorszona, jak zafascynowana.

Ale kilka tygodni później nagle przestała dzwonić. Kiedy ja zadzwoniłam do niej, usłyszałam automatyczny komunikat: „Nie ma takiego numeru”.

Czułam, że stało się coś złego.

Pół roku później, gdy szłam po zmroku ulicami dzielnicy koreańskiej, wydawało mi się, że widzę Soo-jin, lecz nie miałam pewności. Zawołałam ją po imieniu. Odwróciła się, przerażona, z miną zwierzęcia przyłapanego na grzebaniu w śmieciach. To była ona. Mocno wychudła i wymizerowana, ale ona. Widziałam, jak spod koszulki wystają jej obciągnięte skórą łopatki.

Nie ucieszyła się na mój widok, strzelała tylko oczami na boki, jakby bała się, że ktoś ją śledzi. Powiedziała, że w jej mieszkaniu zjawili się policjanci i zażądali od niej dokumentów. Nie miała ich. Aresztowali ją i przesłuchali na komisariacie w Xita, a potem odesłali do Korei Północnej. Trzy miesiące spędziła w obozie przejściowym *Bowibu*. Higiena w zasadzie tam nie istniała, a każdy posiłek składał się z dziesięciu ziaren kukurydzy. Nowo przybyli natychmiast dostawali biegunki, co w połączeniu z głodowymi racjami żywieniowymi zabijało ludzi w przeciągu kilku dni.

Gdy ją wypuszczano, kazano jej podpisać przysięgę, że nigdy już nie ucieknie. Wiedziała, że jeśli złapią ją ponownie, nie przeżyje kary. Na nogach nadal miała blizny i rany po kopniakach i wymierzanych jej razach. Stwierdziła, że w Chinach jest dla niej zbyt niebezpiecznie i że musi dostać się do Korei Południowej.

Soo-jin starała się za wszelką cenę unikać rozgłosu. Była przekonana, że zdradziła ją nasza wspólna znajoma, również pochodząca z Korei Północnej i mieszkająca w Shenyang dziewczyna o imieniu Choon-hi. Soo-jin uważała, że policja wypuściła Choon-hi w zamian za informacje o innych zbiegach.

Ścisnęła moją dłoń.

– Soon-hyang, uważaj na siebie.

Patrzyłam, jak odchodzi. Nigdy więcej jej nie spotkałam.

***

To, co usłyszałam od Soo-jin, sprawiło, że wpadłam w prawdziwą paranoję na punkcie informatorów. Ile osób wiedziało, że pochodzę z Korei Północnej? Ciągle się nad tym zastanawiałam. Komu o tym mówiłam?

Ale nawet to nie pomogło mi przewidzieć nadciągającej katastrofy.

Tydzień później, około dziesiątej rano, kobieta przyjmująca rezerwacje w restauracji zadzwoniła na moją komórkę. Tego dnia miałam wolne i byłam

w swojej sypialni. Mocno przejęta, oznajmiła, że w restauracji czeka dwóch dobrze wyglądających, młodych mężczyzn.

– Pytali konkretnie o ciebie.

Serce przez chwilę zamarło mi w piersi. Nigdy wcześniej nikt nie pytał o mnie imiennie, ale pamiętałam, że zostawiłam swoje nazwisko dwóm filmowcom z Korei Południowej.

– Poproś, żeby zaczekali – powiedziałam. – Zaraz tam będę.

Umalowałam się i szybko udałam się do restauracji.

O tej porze nie było wielu klientów. Rejestratorka wskazała stolik. Wstało od niego dwóch obcych mi mężczyzn.

– Soon-hyang? – zapytał jeden z nich.

– Tak.

Uchylili poły marynarek, by pokazać wsadzone w kieszenie odznaki.

– Policja. Pójdzie pani z nami.

ROZDZIAŁ 26

PRZESŁUCHANIE

Dwóch funkcjonariuszy ubranych po cywilnemu wyprowadziło mnie z restauracji do nieoznakowanego BMW. Miałam mgliste poczucie oderwania od rzeczywistości, jakby wszystko to było jedynie złym snem. Nie skuli mnie. Wydawali się rozluźnieni, jakby nic z tego, co się działo, nie było dla nich nowością. Zauważyłam, że jeden z nich był niezwykle przystojny – wyglądał jak aktor filmowy. Trzeci siedział za kierownicą. Mnie posadzili z tyłu, między sobą.

– Dokąd jedziemy? – zapytałam.

Odpowiedział ten przystojny:

– Na komisariat w Xita.

Włączona w samochodzie klimatyzacja sprawiła, że zrobiło mi się zimno. Zaczęłam szczękać zębami. Już po wszystkim, pomyślałam. Z tej sytuacji nie było wyjścia.

Jechaliśmy znajomymi ulicami w Xita, a ja myślałam o tym, w jakie problemy wpędzę moją rodzinę, gdy *Bowibu* dowie się, że byłam w Chinach. Bałam się o los matki i Min-ho, nie o siebie.

Ja na to zasłużyłam. Sama do tego doprowadziłam.

Złączyłam dłonie na kolanach i po raz pierwszy w życiu zaczęłam się modlić. Nie wyznawałam żadnej wiary, modliłam się więc do duchów przodków. Jeśli to kolejny koszmar, to proszę, pozwólcie mi się obudzić. Modliłam się też do ducha mojego ukochanego ojca. Jeśli możesz, proszę, pomóż mi teraz.

Samochód zatrzymał się pod drzwiami komisariatu. Policjanci, idący po obu moich stronach, wprowadzili mnie do sali jasno oświetlonej jarzeniówkami. W pomieszczeniu było pełno ludzi w mundurach i po

cywilnemu. Wszyscy się śpieszyli. Po lewej zobaczyłam coś w rodzaju tymczasowej celi – fragment przestrzeni oddzielony sięgającymi od podłogi do sufitu kratami. Wewnątrz cisnęło się około trzydziestu osób, opartych o kraty lub siedzących na podłodze kobiet i mężczyzn, cichych, o pustych spojrzeniach i zrezygnowanych twarzach. Niektórzy byli bardzo wychudzeni. Patrzyli w moją stronę. Wyglądali na obywateli Korei Północnej. Nie czułam wobec nich żalu. Nic nie czułam.

Za kilka minut do was dołączę.

Minęliśmy biurko, na którym leżało miesięczne czy dwumiesięczne dziecko zawinięte w koc. Płakało, ale nikt nie zwracał na nie uwagi.

Nogi zaczęły się pode mną uginać. Policjanci poprowadzili mnie na górę.

Na drugim piętrze znajdowała się duża, jasna sala konferencyjna. Opierając się o ściany, stało w niej około dwudziestu policjantów w jasnoniebieskich koszulach. Wszyscy mi się przyglądali. Ten przystojny, który wprowadził mnie do sali, uprzejmie zaoferował mi stojące naprzeciwko biurka krzesło, a potem usiadł między dwoma innymi funkcjonariuszami. Wszystko to wydawało się nierzeczywiste, niczym sen. Spokojne, lecz zarazem groźne.

Przystojny przedstawił się jako inspektor Xu. To on miał prowadzić przesłuchanie. A więc to działo się naprawdę. Byłam otoczona.

Skup się, nakazałam sobie. Zwracaj uwagę tylko na to, co istotne, na tych trzech ludzi za biurkiem. O reszcie, która ci się przygląda, zapomnij.

Pytania zadawali wszyscy trzej, nie tylko inspektor Xu. Odzywali się po kolei, po mandaryńsku.

Jak masz na nazwisko? Gdzie się urodziłaś? Jak nazywają się twoi rodzice? Gdzie pracują? Gdzie mieszkają? Jak nazywa się twoje rodzeństwo?

Powiedziałam im, że jestem córką wuja Jung-gil i ciotki Sang-hee, podałam też ich dane.

– Potrzebujemy numeru telefonu do twoich rodziców – powiedział jeden z funkcjonariuszy.

W głowie zawył mi sygnał alarmowy. Nie mogłam ryzykować, że zadzwonią do wuja i ciotki.

– Nie mamy teraz telefonu. Rodzice zlikwidowali go, bo przez jakiś czas mieli zatrzymać się w Korei Południowej.

Gdzie chodziłaś do szkoły podstawowej? Jak nazywał się dyrektor?

Wygrzebałam z pamięci wszystko, co słyszałam w czasie rozmów z Geun-soo i jego siostrami na temat ich czasów szkolnych w Shenyang.

A szkoła średnia? Do której szkoły chodziłaś?

Serce waliło mi jak oszalałe, ale zmusiłam się do zachowania spokoju. Cały organizm działał jak w trybie nagłego wypadku. Miałam wrażenie, że mnie tu nie ma, że nie biorę w tym wszystkim udziału.

Przyglądają mi się, żeby przekonać się, czy kłamię. Nie zdradź się z niczym. Mów jasno i z przekonaniem, upominałam się, ale po moich dłoniach widać było, że się stresuję. Zaczęłam nerwowo wyłamywać palce. To musiało zwrócić ich uwagę. Znów zdyscyplinowałam się w myślach.

Wracamy do rodziców. Kiedy urodził się twój ojciec? A matka? A potem, tonem tak spokojnym, jakby pytali o dzień tygodnia:

– Kiedy urodził się Kim Il-sung?

Piętnastego kwietnia. Na to pytanie każdy mieszkaniec Korei Północnej umiałby odpowiedzieć bez zastanowienia. Ja jednak odparłam:

– Nie mam pojęcia.

Przesłuchanie przeszło w nową fazę. Inspektor Xu zapytał, kiedy mam zamiar wyjść za mąż. Pomyślałam, że w tym pytaniu może kryć się pułapka.

– Nie wcześniej niż za dziesięć lat – oznajmiłam. Mój śmiech zabrzmiał nieszczerze. – Jestem za młoda na małżeństwo.

Policjanci stojący za mną obserwowali mnie w milczeniu. Nikt nie wchodził do pokoju, nikt też z niego nie wychodził.

Inspektor Xu przyglądał mi się uważnie, obracając długopis w palcach.

Potem przesunął po blacie biurka w moją stronę egzemplarz „Shenyang Daily” i kazał mi przeczytać pierwszy artykuł. Była to wiadomość o karambolu na drodze szybkiego ruchu Shen-Da.

W tamtym czasie mówiłam już po mandaryńsku bardzo płynnie i byłam pewna, że nie słychać u mnie ani śladu północnokoreańskiego akcentu.

Po minucie czy dwóch inspektor Xu oznajmił:

– Wystarczy.

Zauważyłam, że jak na razie nikt nie wprowadził moich odpowiedzi do stojącego na biurku komputera.

Wahają się. Myślą, że mogę być Chinką.

Potem przyszedł czas na sprawdzenie chińskiego na piśmie. Jeden z przesłuchujących dyktował mi fragment tekstu z gazety i patrzył zza pleców, jak przenoszę go na papier. Gdy skończyłam, jeden z nich zapytał:

– A gdzie masz dowód?

– W domu. – Gdy Geun-soo pokazał mi dokumenty, które jego rodzina

wyrobiła na moje nowe nazwisko, zapamiętałam ich numer. Teraz płynnie go wyrecytowałam. Dokumenty nadal były rejestrowane na papierze. Sprawdzenie numerów wymagało wykonania telefonu na inny komisariat, gdzie musiano by wyciągnąć z kartoteki odpowiednią teczkę.

Jeśli dojdą do wniosku, że jestem z Korei Północnej, zaczną sprawdzać na poważnie. To będzie koniec.

Ale atmosfera w pokoju zelżała. Podejrzliwość zniknęła z twarzy przesłuchujących. Inspektor Xu uśmiechnął się po raz pierwszy.

– To kiedy ma pani zamiar wyjść za mąż? Tak naprawdę.

Znów się zaśmiałam.

– Kiedy trafi mi się dobra partia.

Jeden z przesłuchujących zamknął notatnik. Usłyszałam, jak mówi: „Fałszywe zgłoszenie”.

A więc ktoś na mnie doniósł.

Inspektor Xu wstał.

– Jest pani wolna – powiedział, wskazując drzwi. – Przepraszam, że zajęliśmy pani czas, ale mamy swoje procedury.

Ruszyłam lekko ogłuszona w stronę wyjścia, czując na plecach wzrok policjantów. Miałam wrażenie, że wszystko to tylko mi się śni i ciągle spodziewałam się usłyszeć: „Jeszcze tylko jedno…”.

Drzwi zamknęły się za mną. Zeszłam szybko po schodach, minęłam wyznaczony obszar rejestracji i celę tymczasową. Nie dałam rady spojrzeć na zamkniętych w niej ludzi.

Wyszłam na słońce, w uliczny gwar. Gdy przeszłam kilka przecznic, zatrzymałam się na chwilę na chodniku. Był jasny, ciepły poranek. W Xita sprawy toczyły się zwykłym torem. Ludzie mijali mnie bez słowa. Spojrzałam w niebo. W górze, niczym mała, srebrna płotka, sunął samolot.

Dziękuję ci, kochany ojcze, z całego serca ci dziękuję. Dziękuję, że przez te wszystkie lata kazałeś mi się uczyć w szkole chińskiego.

Opanowanie chińskiego pisma zajmuje całe lata. Ostatni test, jaki przeprowadzili na posterunku, rozwiał ostatecznie wątpliwości policjantów.

Ojciec ocalił mi życie.

***

Wiedziałam, że mój czas w Shenyang dobiega końca. Nie mogłam tu zostać. Było to zbyt niebezpieczne. Postanowiłam, że dopóki nie podejmę decyzji, dokąd się udać, pozostanę w ukryciu. Tylko gdzie? W tym mieście nie było miejsca, w którym policja nie mogła człowieka znaleźć.

Z każdym krokiem ulga przeradzała się w przygnębienie. Kryłam się za tyloma kłamstwami, że sama już nie potrafiłam powiedzieć, kim jestem. Zatracałam swoje człowieczeństwo. To, przez co właśnie przeszłam, odczłowieczyło mnie w jeszcze większym stopniu. Policyjna biurokracja, jej procedury i podstępne pytania oraz inspektorzy w wyprasowanych koszulach, którzy uważali za właściwe odsyłać ludzi z mojego kraju wprost do cel *Bowibu*, gdzie czekało ich bicie kablami.

Chwyciłam się za głowę. Jak mogłam być tak głupia, żeby mówić komukolwiek, że jestem z Korei Północnej? Teraz nie mogłam już ufać nikomu. I nigdzie nie mogłam czuć się bezpieczna.

W chwili, gdy o tym pomyślałam, przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl. Skoro sieć na ukrywających się obywateli Korei Północnej zarzucano z posterunku w Xita, to przeprowadzę się dokładnie tutaj. Nikt nie będzie podejrzewać, że zbieg zamieszka tuż obok miejsca, w którym układa się wszystkie plany łapanek. Najciemniej jest zawsze pod latarnią.

Kilka dni później wynajęłam kawalerkę w sąsiedztwie komisariatu. Od wejścia do siedziby policji moje drzwi dzieliło zaledwie pięć kroków. Z okna widziałam znanych mi z pokoju przesłuchań policjantów, którzy wchodzili na komendę i wychodzili z niej w swoich ciemnoniebieskich mundurach. Mieszkałam tak blisko, że nikomu nie przyszłoby do głowy szukać zbiegów w tym domu, nawet w najdokładniejszych przeszukaniach.

***

Dwa tygodnie po przeprowadzce wracałam wieczorem z restauracji. Miałam za sobą długi dzień i ledwo podnosiłam nogi, by wejść po schodach. Zaczęłam szukać w torebce kluczy do drzwi. Na klatce schodowej nie było światła.

Nagle usłyszałam, jak w ciemności po mojej lewej stronie ktoś poruszył się gwałtownie, zupełnie jakby biegł w moją stronę. Zanim zdołałam zareagować, coś z ogromną siłą uderzyło mnie w tył głowy. Zadzwoniło mi

w uszach i pociemniało w oczach.

Straciłam przytomność.

ROZDZIAŁ 27

PLAN

Pod wpływem mdłego, białego światła otworzyłam oczy. Leżałam na boku na jakimś łóżku. Z tyłu głowy czułam pulsujący ból. Mdliło mnie. Jakaś kobieta o miłym głosie poprosiła, żebym na nią spojrzała. Przeniosłam wzrok nieco dalej i zobaczyłam lekarkę w zielonej maseczce chirurgicznej. Poinformowała mnie, że rozcięcie na mojej głowie wymagało założenia dziesięciu szwów. Właśnie podano mi środki znieczulające, po których przez godzinę miałam być nieprzytomna.

Jeśli się nie obudzę, nikt nie będzie wiedział, kim jestem, pomyślałam.

Tyle imion i żadnej tożsamości.

Powieki zaczęły mi ciążyć.

***

Minęło kilka dni, zanim doszłam do tego, co się stało. Sąsiadka mieszkająca obok usłyszała hałas na klatce schodowej. Znalazła mnie, leżącą na betonowej podłodze w powiększającej się szybko kałuży krwi. Napastnik rozbił mi na głowie litrową butelkę piwa i uciekł.

Ktoś czekał na mnie w ciemności, bo chciał mnie skrzywdzić, być może nawet zabić. Ktokolwiek to był, nie ruszył portmonetki ani kluczy, które zdążyłam wyciągnąć z torebki, a za pomocą których mógł przecież obrobić moje mieszkanie.

W szpitalu powiedzieli, że miałam sporo szczęścia. Gdyby napastnik najpierw wypił piwo, obrażenia byłyby dużo poważniejsze. Lekarze sugerowali, żebym jak najszybciej zgłosiła sprawę na policję. Powiedziałam, że oczywiście tak zrobię, choć tak naprawdę nie miałam najmniejszego

zamiaru udawać się na komisariat.

Znajoma z poprzedniego mieszkania, Ji-woo, zasugerowała, że za zamachem mogła stać rodzina mojego porzuconego narzeczonego. Być może pani Jang szukała sposobu, by pomścić honor rodziny za upokorzenie, jakiego przed ślubem doznał ode mnie Geun-soo.

Ta myśl bardzo mnie trapiła, ale im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym mniej prawdopodobne mi się to wydawało. Wybrana metoda i broń – litrowa butelka piwa! – nie były czymś, do czego zniżyłaby się ta rodzina. Pani Jang miała zdecydowanie więcej klasy.

Czas napaści – zaledwie dwa tygodnie po przesłuchaniu – sugerował, że miało to coś wspólnego z informatorem, który doniósł policji, że pochodzę z Korei Północnej, podał im moje nazwisko i miejsce zatrudnienia. To tylko moje spekulacje, ale podejrzewam, że ta osoba mogła mścić się za konsekwencje złożenia na policji „fałszywego" donosu.

Gdy rana na głowie zagoiła się, wróciłam do pracy w restauracji, ale nie byłam tam już szczęśliwa. Zginęło gdzieś oparcie, jakie dawała mi codzienna rutyna. Przestałam ufać ludziom. Wpadałam w paranoję, gdy tylko klient próbował ze mną porozmawiać.

Bardziej niż kiedykolwiek tęskniłam za rodziną. Brakowało mi uczuć, jakie okazywała matka. Miałam ochotę wypłakać się jej w ramionach, wyżalić na wszystko, co mnie spotkało. Tęskniłam też za towarzystwem Min-ho. Każdego dnia, w każdej godzinie myślałam o nich. Przed przesłuchaniem szukałam w Shenyang znajomych, teraz trzymałam się na uboczu. Znów zostałam sama.

Po przeprowadzce do nowej dzielnicy odkryłam, że korzystam z tej samej pralni, co niektórzy policjanci. Czasami widywałam przystojnego inspektora Xu. Nie rozpoznał mnie. Jednym ze stałych klientów pralni był policjant koreańskiego pochodzenia, który stale się do mnie uśmiechał. Bezskutecznie starałam się przypomnieć sobie, czy widziałam go w rzędzie stojących pod ścianą funkcjonariuszy tamtego dnia, a zapytać nie mogłam. Wydawał się miły. Nazywał się Shin Jin-su i był sierżantem. Był trochę starszy ode mnie. Nie nazbyt przystojny, ale w mundurze wyglądał imponująco. Pewnego wieczoru w pralni zaprosił mnie na kolację. Instynkt podpowiadał mi, żebym się uśmiechnęła i odmówiła, lecz po tym, co działo się w ostatnich

tygodniach, strach i cynizm wzięły górę. Głos w mojej głowie szepnął: A czemu nie? Sojusznik w policji może być przydatny.

Zaczęliśmy się spotykać. Była jesień 2001 roku. Nie robiliśmy nic szalonego – chodziliśmy do MacDonalda i KFC. Pewnego wieczoru wydał mi się wyjątkowo zmęczony, ale też zadowolony.

– Jestem wykończony – powiedział. – I głodny jak wilk.

Kończył jeść Big Maca i frytki.

– Dlaczego?

– Od rana łapaliśmy Koreańców z Północy. – Mówił z pełnymi ustami. – Złapaliśmy ich tylu, że ominął mnie lunch.

Opisał, jak niektórzy z nich płakali i błagali o litość, gdy ich łapano. Chyba był przekonany, że będzie mnie to bawić tak samo jak jego.

– Proszę, nie odsyłajcie mnie – mówił piskliwie z udawanym północnokoreańskim akcentem.

Musiałam kontrolować się ze wszystkich sił, by ukryć złość. Umawiasz się z jedną z nich, pomyślałam z goryczą.

Wiedziałam, że nie żywię do niego żadnych uczuć, że jestem z nim wyłącznie dla własnego bezpieczeństwa. To jednak nie było mądre. Zrozumiałam, że igram z ogniem.

Musiałam skończyć swój związek z sierżantem Shin Jin-su. Ale dopóki siedziałam naprzeciwko i słuchałam opowieści o jego udziale w łapankach na moich rodaków, dużą satysfakcję dawała mi myśl, że wreszcie mam swój własny, północnokoreański plan.

***

Z matką rozmawiałam ostatni raz prawie cztery lata temu. Rok w rok w rocznicę tamtego telefonu w moim sercu otwierała się rana. Ale tuż przed czwartą rocznicą, zimą 2001 roku, po raz pierwszy poczułam nadzieję. Po czterech latach oszczędzania wreszcie miałam wystarczająco dużo pieniędzy, by zapłacić pośrednikowi za odnalezienie mojej rodziny w Hyesan. Nawet jeśli nie mogłam wrócić, chciałam za wszelką cenę przekazać im wiadomość, dać znać, że żyję i myślę o nich codziennie. Dowiedzieć się, czy są bezpieczni i powiedzieć, jak bardzo ich kocham.

Nie miałam innego wyjścia, jak udać się do Changbai, do domu pana Ahna

i mieć nadzieję, że jego rodzina nadal tam mieszka. Ich telefon nie działał od lat.

Dlatego też ułożyłam plan B.

W restauracji niemal codziennie pojawiał się pewien biznesmen koreańskiego pochodzenia, który często ze mną rozmawiał. Był bardzo hojny i cały personel darzył go niezmierną sympatią. Pewnego wieczoru zauważył, że mam gorszy nastrój. Odpoczywał właśnie po kolacji przy szklaneczce whisky i papierosie. W przypływie szczerości powiedziałam, że mam w Korei Północnej krewnych, z którymi muszę się skontaktować.

– Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? – zapytał. – Mam kontakty, znam ludzi.

Dyskretnie przedstawił mnie pewnemu chińskiemu pośrednikowi, który miał duże doświadczenie w wydostawaniu ludzi z Korei Północnej – tych, których było stać na opłacenie jego stawek. Był małym, twardym człowiekiem i sprawiał wrażenie uczciwego. Mówił z rezerwą właściwą ludziom o realistycznym podejściu do ryzyka. Jednocześnie jednak czułam, że lepiej nie wchodzić mu w drogę. Zapytał, jaki mam cel.

– Chcę spotkać się ponownie z matką i bratem – odparłam bez namysłu.

Uznałam, że plan awaryjny zwiększy szanse na powodzenie mojej misji.

Czas miał pokazać, że plan B okaże się katastrofalną pomyłką.

ROZDZIAŁ 28

GANG

Słabowita kobieta, która otworzyła mi drzwi, okazała się być panią Ahn. W ciągu czterech lat postarzała się o dekadę. Gdy mnie zobaczyła, zakryła usta dłonią. Z progu ostrzegła mnie, że pan Ahn jest bardzo chory – nie był w stanie podnieść się z łóżka o własnych siłach.

Po twarzy zadowolonej, grubej ryby nie został niemal żaden ślad. Teraz wykręcał ją ból, a pan Ahn miał poważne problemy z mówieniem.

Pani Ahn wyjaśniła, że północnokoreańska straż graniczna złapała jej męża na przemycaniu kontrabandy do Hyesan, zapakowali go na pakę wozu i zabrali na posterunek. Powiedzieli, że pomagał ludziom uciekać do Chin i pobili do nieprzytomności. Wiedzieli, że nic nie powie chińskiej policji, bo jest szmuglerem.

– Po tym nie powinien był wracać – stwierdziła.

Ale wrócił i niemal dał się złapać drugi raz. Straż znów go zauważyła. Strzelali do niego, gdy uciekał na chińską stronę rzeki. Pan Ahn został ranny w ramię. Poza raną postrzałową odezwała się też u niego zaawansowana cukrzyca.

Wszystko to było straszne, ale następna wiadomość dosłownie mnie poraziła. Okazało się, że mieszkający tuż obok pan Chang, który tak bardzo zezłościł się, gdy do niego zadzwoniłam, został skazany za sprzedawanie północnokoreańskich kobiet Chińczykom, którzy zmuszali je do ślubu, a także wysyłali do domów publicznych. To wyjaśniało jego reakcję na mój telefon. Chińska policja już wtedy prowadziła przeciwko niemu śledztwo. Zmarł wkrótce po rozpoczęciu odbywania kary dziesięciu lat więzienia, a jego żona postradała zmysły. I pomyśleć, że tamtej nocy po przejściu rzeki niemal zapukałam do jego drzwi, zanim zdecydowałam się iść do pana Ahna.

Pani Ahn nie miała żadnych wieści o mojej rodzinie. Min-ho nie pojawiał się u nich od lat. Handel uprawiany przez graniczną rzekę zamarł, jak mówiła, od czasu wydarzeń sprzed dwóch lat. W 1999 roku naczelnik Partii w Hyesan złożył skargę u samego Kim Jong-ila, stwierdzając, że miasto stało się siedliskiem kapitalizmu. W Pyongyang zarządzono brutalne czystki. Aresztowano wielu kupców, a na lotnisku w Hyesan urządzono publiczną egzekucję.

Gdy słuchałam tego wszystkiego, zrobiło mi się słabo. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że moja matka i Min-ho mogą już nie żyć.

Pani Ahn nadal była dobrą kobietą. Powiedziała, że poprosi któregoś z przemytników o odszukanie mojej rodziny, a jeśli uda się z nimi skontaktować − o zaaranżowanie spotkania z Min-ho w Changbai. Zadeklarowałam, że opłacę przemytnika.

Przyjechałam po zmroku, a gdy wyjeżdżałam rano, nadal było ciemno. Nie widziałam Hyesan po drugiej stronie rzeki, ale czułam jego obecność. I jego zapach. Woń dymu *yontan* oraz świeżo pociętego drewna. Czułam też ten nieziemski bezruch.

Teraz nie pozostawało mi nic innego, jak wrócić do Shenyang do pracy. I czekać.

***

Kilka tygodni później, pewnego zimnego sobotniego ranka, w moim mieszkaniu zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałam głos pani Ahn. Powiedziała, że przemytnik zdołał zlokalizować moją rodzinę i że Min-ho przeszedł przez rzekę. Jej kolejne słowa sprawiły, że serce podskoczyło mi w piersi:

– Stoi obok mnie.

Usłyszałam głuchy odgłos przekazywania słuchawki. A później głos:

– Halo?

Wstrzymałam oddech. Kto to jest?

– Nuna, to ja – powiedział znów ten głos, używając słowa, którym koreański chłopiec zwróciłby się do swojej starszej siostry. Coś jednak było nie tak. Ten ktoś nie brzmiał jak Min-ho. Obróciłam się w stronę okna. Wyobraziłam sobie brata w odbiciu w szybie. Gdy widzieliśmy się po raz

ostatni, był dziesięcioletnim dzieckiem. Teraz miał czternaście lat. – Nuna, zaufaj mi – poprosił. – Pamiętasz, jak kiedyś w wakacje przeszedłem na drugą stronę i nie mogłem wrócić, bo rzeka wylała?

Wypuściłam powietrze z płuc. To on. Zaczęłam głupio chichotać i płakać jednocześnie. Poczułam, jak zalewa mnie fala miłości do brata.

– Głos ci się zmienił... – tylko tyle zdołałam powiedzieć.

– Tobie też.

***

W drodze na dworzec kolejowy podjęłam wszystkie oszczędności i wymieniłam je na dolary. Wyszło tego około ośmiuset dolarów. Część tej kwoty miałam przekazać przemytnikowi znalezionemu przez panią Ahn, resztę chciałam oddać matce i bratu. Uznałam, że dolary będą dla nich wygodniejsze – łatwiej w nich dawać łapówki w Korei Północnej. Pojechałam pociągiem z Shenyang do Changchun, a stamtąd autobusem do Changbai. Bilety sporo kosztowały, ale tak było szybciej.

Podróż cichym, szybkim pociągiem, za którego oknami widziałam rozmywające się w pędzie wzgórza, minęła mi na upojnych rozmyślaniach o spotkaniu z bratem. Nagle znów zadzwonił mój telefon. Usłyszałam męski głos:

– Moi ludzie znaleźli twoją rodzinę.

To był chiński pośrednik. Uśmiech spłynął z mojej twarzy.

Niemal zapomniałam o planie B.

To, że oba kanały zadziałały i że będę musiała zapłacić wszystkim, wydawało się szczytem absurdu, a już na pewno bardzo niekorzystnym zbiegiem okoliczności.

– Kiedy przyjedziesz do Changbai?

– Jutro – skłamałam.

Gdy dotarłam do domu pani Ahn, przy łóżku jej męża zobaczyłam młodego mężczyznę. Wstał, kiedy weszłam do pokoju.

Wyobrażając sobie Min-ho, zawsze widziałam gładką, dziecięcą twarzyczkę mojego małego brata z jego ślicznym uśmiechem. Stojący przede mną młody człowiek w niczym nie przypominał tamtego wspomnienia. Był wyższy i pełniejszy, ale w jego rysach dostrzegłam twarz matki. Przyglądał

mi się z nieskrywaną ciekawością. A potem uśmiechnął się tak, jak pamiętałam, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, nie jestem już dzieckiem”. Musiałam wydać mu się całkiem obca. Miałam na sobie jeansy, a we włosach farbowane jasnobrązowe pasemka, co było czymś zupełnie niespotykanym w Korei Północnej. Patrzyliśmy na siebie, stojąc po dwóch stronach salonu pani Ahn; chłonęliśmy siebie nawzajem, jakby dzieliły nas lata, a nie metry.

– To naprawdę ty – powiedziałam w końcu.

– Tak – odezwał się męskim głosem.

A potem roześmialiśmy się i wreszcie ruszyliśmy do siebie. Nie wierzyłam, że tulę się do mojego brata.

Zanim zdążyłam zapytać o matkę, ktoś zapukał do frontowych drzwi.

Pani Ahn otworzyła i do domu weszło czterech mężczyzn. W chwili, gdy ich zobaczyłam, wiedziałam, że nadchodzą kłopoty. Wszyscy mieli na sobie czarne kurtki i jeansy. Jeden z nich miał kolczyki na twarzy. To nie byli mieszkańcy Changbai, tylko członkowie gangu.

– Ty jesteś Soon-hyang? – zapytał jeden z nich, z ogoloną na łyso głową. – To my znaleźliśmy twoją rodzinę.

Chiński pośrednik zatrudnił takich bandziorów? zdziwiłam się.

Wyszłam przed dom, żeby się z nimi rozmówić, ze wszystkich sił próbując zapanować nad głosem.

– Skontaktuję się z wami jutro – powiedziałam.

– Nie. Pójdziesz z nami teraz – oznajmił ten ogolony. – Niczym się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

Pani Ahn przyglądała się temu wszystkiemu głęboko zszokowana.

Zostawiłam torbę i telefon i poszłam z nimi. Min-ho też chciał iść, ale kazałam mu zostać. Musiałam sama sobie z tym poradzić.

Mężczyźni zaprowadzili mnie do nieumeblowanego mieszkania w bloku po drugiej stronie Changbai. Ten łysy zamknął się ze mną w pustym pokoju. Stał tak blisko, że czułam jego oddech. Przemówił mi prosto w twarz:

– Znaleźliśmy twoją rodzinę. Twoja matka powiedziała, że twój brat czeka w domu starego Ahna, żeby się z tobą spotkać. Guzik mnie obchodzi, czy potrzebował do tego naszej pomocy czy nie. My swoje zrobiliśmy. Teraz płać.

– Ile?

– Siedemdziesiąt tysięcy juanów.

Poczułam, jak krew zastyga mi w żyłach. Kwota ta odpowiadała blisko

ośmiu i pół tysiącom dolarów i wielokrotnie przekraczała sumę, jaką zdołałam odłożyć.

– Nie mam tyle.

– To zapłaci twój bogaty kumpel z Shenyang. Ten biznesman – odparł na to. – Pośrednik zapewniał nas o tym. – Podał mi telefon. – Dzwoń do niego. Powiedz mu, że ma przelać pieniądze.

Serce podeszło mi do gardła. Trudno było o większe nieporozumienie.

– To nie ma nic wspólnego z tym człowiekiem – powiedziałam. – To ja muszę zapłacić swoje rachunki. On tylko starał się mi pomóc. Prawie go nie znam. Nie mogę prosić go o pieniądze.

– No to masz problem.

– Jaki problem?

– Ujmę to tak: jak nie zapłacisz, to odstawimy cię z powrotem do Korei Północnej.

ROZDZIAŁ 29

KOJĄCY BLASK KSIĘŻYCA

Pełni współczucia i zrozumienia ludzie, których spotkałam w Chinach, wyrażali czasami zdumienie, że Kimowie tyranizują Koreę Północną od prawie sześćdziesięciu lat. Jakim cudem coś takiego mogło uchodzić im płazem? Równie trudno jest odpowiedzieć na pytanie, jak radzą sobie z tym uciskiem podlegli im ludzie. Problem tkwi w tym, że nie ma wyraźnej granicy oddzielającej okrutnych władców od uciskanych obywateli. Kimowie rządzą, wikłając wszystkich w swoje sprawy, sprawiając, że ludzie stają się współwinnymi tworzenia tego brutalnego systemu. Wszyscy tkwią w tym układzie – ci stojący najwyżej i ci z samego dołu – zasady moralne ulegają rozmyciu i nikt nie pozostaje bez winy. Sterroryzowani członkowie Partii będą terroryzować swoich podwładnych, ci zaś − podległych sobie ludzi i tak aż do samego dołu drabiny społecznych zależności. Przyjaciel doniesie na przyjaciela z obawy przed karą za nieudzielenie informacji. Dobrze wychowany chłopak zostanie strażnikiem, który zakatuje kopniakami dziewczynę tylko za to, że próbowała uciec do Chin, bo jej *songbun* spadł na samo dno hierarchii i w oczach państwa stała się nic niewartym, wrogim śmieciem. Zwykłych ludzi przekształca się w oskarżycieli, donosicieli i złodziei. Zmusza się ich, by za pomocą lęku przed stojącymi wyżej zyskiwali przewagę, a czasem po prostu walczyli o przetrwanie. I choć stojący przede mną człowiek był Chińczykiem, a nie obywatelem Korei Północnej, to stanowił doskonały przykład wytworu takiego systemu. Mógł ratować ludzi, stać się bohaterem, lecz wolał korzystać z lęku, jaki budził, by się bogacić. W ten sposób pogłębiał tylko cudze nieszczęście. Przyparł mnie do muru, ustawił na krawędzi. Zapłać albo pchnę.

– Nie mam takiej kwoty – powtórzyłam. – Jeśli zejdziesz trochę

z oczekiwań, zobaczę, co da się zrobić. Ale jeśli nie jesteś skłonny do ustępstw, nic ode mnie nie uzyskasz.

Straciłam wszelką nadzieję. Musiał dostrzec to w moich oczach, bo zostawił mnie samą i poszedł naradzić się z pozostałymi. Mieszkanie miało cienkie, gipsowe ściany, więc słyszałam większość z tego, o czym mówili w sąsiednim pokoju.

– Jak chcecie dostać od niej forsę, to nie możecie jej tknąć – stwierdził jeden z nich.

Łysy wrócił do pokoju. Powiedział, że będę musiała tu zostać, dopóki nie znajdą rozwiązania. Pośle kogoś do domu pana Ahna po moją torbę.

Miałam nadzieję, że zdołałam ukryć panikę pod maską obojętności. W torbie miałam telefon i całą gotówkę. Nie chciałam, by położyli ręce na pieniądzach, bo nie miałabym czego dać Min-ho i matce ani jak zapłacić pani Ahn za pomoc przemytnika.

Spytałam, czy mogę skorzystać z jego telefonu. Kazał mi rozmawiać w jego obecności, żeby mógł słyszeć każde moje słowo.

Zadzwoniłam na numer mojej komórki, ale nikt u państwa Ahn nie odebrał. Zadzwoniłam jeszcze raz. I jeszcze. Łysy stracił mną zainteresowanie i poszedł pogadać z kumplami.

No, dalej. Proszę, niech ktoś odbierze, zaklinałam rzeczywistość.

Min-ho powiedział mi później, że i on, i pan Ahn słyszeli dzwonek, ale nie wiedzieli, co wcisnąć, żeby odebrać. Żaden z nich nie widział wcześniej telefonu komórkowego. Wreszcie jakoś to rozgryźli i Min-ho odebrał telefon.

Cicho i szybko powiedziałam mu, że ma zostawić portmonetkę w mojej torbie, ale wyjąć z niej wcześniej wszystkie pieniądze, zapłacić pani Ahn za pomoc przemytnika i jak najszybciej wracać do Hyesan.

Wreszcie jeden z bandytów wrócił z moją torbą. Min-ho zrobił wszystko, o co prosiłam.

Później tego dnia Łysy powiedział, że zgadzają się obniżyć kwotę do sześćdziesięciu tysięcy juanów (około siedmiu tysięcy dwustu pięćdziesięciu dolarów). Oznajmił też, że nigdzie się nie ruszę, dopóki nie zapłacę.

W pokoju, w którym mnie trzymali, nie było zamka, więc na zmianę pełnili wartę pod drzwiami – jeden pilnował, reszta spała w pokoju, przez który trzeba było przejść, by wydostać się z mieszkania. Ucieczka nie wchodziła w rachubę.

Tego wieczoru jeden z nich przyniósł kupioną na wynos kolację – danie

z jagnięciny i pierożki. Miałam nadzieję, że jeśli przetrzymam ich odpowiednio długo, zejdą z ceny jeszcze bardziej. Za bardzo się wstydziłam, żeby odważyć się na zagranie jedyną kartą atutową, jaką posiadałam, czyli zadzwonić do wuja i ciotki w Shenyang. Uznałam, że wolę zdać się na los i w razie konieczności wrócić do Korei Północnej. Jak mogłabym prosić ich o zapłacenie takiego majątku bandytom po tym, jak okazałam się tak niewdzięczna?

Grałam na czas, mówiąc Łysemu, że wysyłam wiadomości do znajomych, by spróbowali w moim imieniu zebrać odpowiednie fundusze.

Trzeciego wieczoru mieli już dość kupowania jedzenia na wynos i zabrali mnie do miejscowej restauracji, gdzie dwóch z nich usadziło mnie między sobą. Nie wyobrażam sobie, co musieli myśleć inni klienci lokalu, widząc mnie z tymi bandziorami. Oni z kolei wiedzieli, że będąc nielegalną imigrantką, nie zrobię nic głupiego. Gdybym na przykład poprosiła kogoś o pomoc, znalazłabym się w jeszcze większych tarapatach.

Słyszałam, jak mówią, i na podstawie akcentu zorientowałam się, że ten z kolczykami na twarzy był Hanem. On przerażał mnie najbardziej. Miałam wrażenie, że przemoc wyładowuje się wokół niego niczym ładunki elektrostatyczne. Starałam się unikać jego spojrzenia. A on zwyczajnie rozbierał mnie wzrokiem. Dwaj pozostali byli Chińczykami koreańskiego pochodzenia. Wyglądali bardziej normalnie. Wywnioskowałam, że należeli do gangu z Yanji. Zajmowali się handlem towarami ze sztucznej skóry i sprzedażą amfetaminy. Wszyscy z ogromnym szacunkiem odnosili się do Łysego. Jego akcentu nie potrafiłam rozpoznać. Być może był to Dandong.

Później, gdy znów zamknęli mnie w pustym pokoju, otworzyli piwa i popijali nimi kolejki *soju*. Ciągle słyszałam też trzask kamienia zapalniczki, domyśliłam się więc, że palą narkotyzowane papierosy. Cokolwiek w nich było, nie uspokajało ich. Rozmowa z każdą chwilą stawała się coraz bardziej agresywna i pełna przechwałek, a wkrótce złowrogo ordynarna. Żołądek zawiązał mi się na supeł.

W pewnej chwili ten z kolczykami na twarzy przypomniał pozostałym, że w pokoju obok siedzi dwudziestojednoletnia dziewczyna. Przez chwilę za ścianą panowała cisza. Potem usłyszałam, jak mówi:

– A co nam zrobi?

Błagam, nie...

Dotąd zachowywałam pełen napięcia spokój, jakim popisałam się na

komisariacie w Xita. Dawałam radę kontrolować strach i zachowywać się tak, jakbym go nie odczuwała. Teraz zaczęłam tracić samokontrolę. Z trudem łapałam oddech. Zaczęłam się trząść i nie mogłam przestać. Gdyby teraz weszli do pokoju, podniosłabym krzyk.

Usłyszałam ruch w sąsiednim pomieszczeniu, jakby wstawali z podłogi. Skuliłam się w kącie. Miałam zamiar błagać o litość.

Wtedy znów zaczęli rozmawiać. Ten z kolczykami zapytał, dlaczego, u diabła, traktują mnie tak dobrze. Jeden z Koreańczyków stwierdził:

– Bo jest naszą klientką. Jeśli coś jej zrobisz, nie zapłaci nam.

Drugi przytaknął pomrukiem. Łysy milczał. Wznieśli kolejny toast *soju*. Ten z kolczykami na powrót się uspokoił. Wrócili do rozmowy.

Całą noc spędziłam skulona w kącie, oplatając ramionami kolana. Nie odważyłam się drgnąć nawet o milimetr i tylko w skupieniu obserwowałam wędrówkę księżyca za oknem. Otulony chmurami wydawał się jedwabisty i eteryczny, jakby otaczał go miękki kokon. Na ten sam księżyc patrzyli być może moja matka i Min-ho. Powiedziałam sobie, że jeśli będę trzymać się jego poświaty, nic mi się nie stanie. Będę bezpieczna.

Bezpieczna. Pomyślałam o swoim chłopaku z policji w Shenyang, sierżancie Shin Jin-su. Zastanawiałam się, jak by zareagował, gdybym poprosiła go o pomoc, gdybym przyznała się, kim jestem. Na myśl o wyrazie zaskoczenia, jaki musiałby pojawić się na jego twarzy, niemal się uśmiechnęłam.

***

O świcie zadzwoniłam do wuja w Shenyang. To była nasza pierwsza rozmowa od chwili, gdy uciekłam z ich mieszkania. Głos drżał mi ze strachu i wstydu. Poprosiłam o pomoc. Obiecałam, że poświęcę życie na spłacenie tego długu.

– Natychmiast zapłacę – obiecał. Miał przelać pieniądze na konto bandytów.

Chciałam mu podziękować, ale słowa uwięzły mi w gardle. Wuj był krewnym mojego ojca i okazywał mi taką samą miłość i hojność.

Dwa dni czekaliśmy na potwierdzenie dokonania przelewu. Zauważyłam, że na straży w sąsiednim pokoju zawsze stawali dwaj Koreańczycy, nigdy ten

z kolczykami. Nie ufali mu. Byłam im za to wdzięczna.

Po niemal tygodniu niewoli zabrali mnie do banku w Changbai, gdzie wyciągnęli z konta pieniądze.

Oczy tego z kolczykami błyszczały z podniecenia, gdy zobaczył grube zwitki stujuanowych banknotów w kopercie. Zaczął poklepywać kolegów po plecach, a potem przyciągnął ich do siebie.

– Daliśmy radę.

Później Łysy zabrał mnie na dworzec autobusowy. Zanim odszedł, wyciągnął do mnie dłoń i powiedział:

– Daj mi ten pieprzony telefon.

Oddałam mu komórkę.

Gdy zniknął, sięgnęłam do ukrytej kieszeni długiego, ocieplanego płaszcza, gdzie schowałam trochę zwiniętych w ciasny plik banknotów. Kupiłam za nie bilet do Shenyang.

W czasie podróży powrotnej oparłam głowę o szybę i spoglądałam beznamiętnie na pokryty bielą, pusty świat. Sześćdziesiąt tysięcy juanów – fortunę odpowiadającą dziesięcioletnim dochodom kelnerki – kosztował mnie tygodniowy, przymusowy pobyt w Changbai z wizją gwałtu, a w zamian za to osiągnęłam tylko trzyminutowe spotkanie z Min-ho.

Ale nawiązałam kontakt z rodziną. Wiedziałam, że żyją i nie siedzą w więzieniu. Oni też wiedzieli, że żyję i jakoś sobie radzę.

Wszystkie te przejścia i świadomość zaciągnięcia długu, który miałam spłacać latami, sprawiły, że natychmiast po powrocie do domu się rozchorowałam. Nabawiłam się też okropnych wrzodów w ustach, przez co ledwie mogłam jeść i pić. Bałam się i popadałam w paranoję. Chciałam natychmiast wydostać się z Shenyang. Im szybciej, tym lepiej. Nie wiedziałam, dokąd powinnam jechać. Zastanowiłam się, co moja matka zrobiłaby w takiej sytuacji. Ostatecznie poszłam do wróżbitki.

– Jeśli masz się przeprowadzać… – kobieta zawiesiła głos dla większego efektu – powinnaś jechać na południe. Tam, gdzie jest ciepło.

– Na przykład do Szanghaju? – Nie przeszkadzało mi, że podsuwam jej odpowiedź, którą chciałam usłyszeć.

Następne słowa wypowiedziała z takim namaszczeniem i w takim skupieniu, jakby w ogóle mnie nie słyszała:

– Najlepszym miejscem dla ciebie będzie Szanghaj.

Lepszego zapewnienia nie potrzebowałam.

Powiadomiłam właściciela mieszkania, że będę się wyprowadzać i rzuciłam pracę w restauracji. Miałam nawet zadzwonić do sierżanta Shin Jin-su, żeby umówić się z nim po raz ostatni, ale rozmyśliłam się. Niebawem miał się domyślić, że nasza znajomość należy już do przeszłości.

Na początku stycznia 2002 roku spakowałam cały swój majątek do dwóch lekkich toreb, kupiłam bilet w jedną stronę do Szanghaju i wsiadłam do szybkobieżnego pociągu.

ROZDZIAŁ 30

NAJWIĘKSZE I NAJGŁOŚNIEJSZE MIASTO AZJI

W podróż ruszyłam z Yee-un, znajomą koreańskiego pochodzenia, która też postanowiła przenieść się do Szanghaju. Pracowała jak ja, jako kelnerka, i wcześniej spotkałyśmy się dwa czy trzy razy. Zauważyłam, że niechętnie mówi o swojej przeszłości, co akurat bardzo mi odpowiadało. Ja też nie mówiłam o sobie. Domyśliłam się, że obie mamy przed czym uciekać. Yee-un z natury była dobroduszna i otwarta. Mówiła donośnym głosem. Lubiłam ją. Gdy zaczęłyśmy rozważać, jak poradzimy sobie w Szanghaju, obie wpadłyśmy jednocześnie na tę samą myśl – mogłybyśmy zamieszkać razem. Gdy tylko zgodziłyśmy się w tym względzie, poczułam, że całe napięcie, w jakim żyłam od tygodni, gdzieś się ulotniło. Zamieszkanie z Yee-un oznaczało, że nie będę musiała od nowa radzić sobie ze wszystkim sama. Obie byłyśmy niemal bez grosza, lecz teraz zaczynanie od zera nie wydawało się nam już takie straszne.

Śmiałyśmy się właśnie z wizji, że przez najbliższy czas, dopóki nie znajdziemy pracy, będziemy żywić się gotowymi daniami z makaronem, gdy na końcu wagonu mignął mi zielony mundur policjanta. Ludzie zaczęli sięgać do swoich kurtek i portfeli. Wszyscy wyciągali dokumenty. Poczułam zimny pot występujący mi na czoło.

Wiedziałam, że w pociągach i autobusach przeprowadzano czasami takie kontrole, ale jak dotąd miałam szczęście i unikałam ich.

Policjant zerkał na każdy dokument, potwierdzał to, co widział skinieniem głowy i szedł dalej wzdłuż rzędów foteli. Był kilkanaście metrów ode mnie. Co robić? Poczułam się, jakby dusił mnie wełniany kokon. Wpadłam

w panikę. Yee-un coś mówiła, ale jej głos docierał do mnie jakby spod wody.

– Soon-hyang, pytałam, czy wszystko w porządku?

– Mam chorobę lokomocyjną – powiedziałam i wystrzeliłam z siedzenia.

Zamknęłam się w toalecie i czekałam, nasłuchując narastającego zawodzenia, jakie towarzyszyło przyśpieszaniu, gdy pociąg wjechał w długi tunel. Gdy wychynęłam z mojego azylu po przeszło godzinie, sprawdziłam najpierw dokładnie, co się dzieje w wagonie. Policjant już sobie poszedł.

Yee-un spała głęboko, wciśnięta w fotel. Resztę podróży przesiedziałam jak na szpilkach, z żołądkiem ściśniętym z nerwów.

***

O świcie wjechaliśmy na dworzec w Szanghaju. Na tle różowiącego się wschodu słońca zamajaczyły mi kontury wysokich na pół kilometra wież dachów Pudong. Może dlatego, że nagle zewsząd doleciały mnie strzępy rozmów w dialekcie szanghajskim, przez chwilę straciłam poczucie, że jestem w Chinach.

Wielu pasażerów wysiadło z pociągu objuczonych torbami i plecakami, tak jak ja i Yee-un. Do największego i najgłośniejszego miasta w Azji przybywały co tydzień tysiące młodych imigrantów, ludzi, którzy szukali tu nowego życia, kariery, fortuny, nowej tożsamości lub kryjówki. W Shenyang czułam się czasami jak ktoś wyjątkowy, niczym specjalny, sekretny gość. Tu byłam kimś zupełnie pozbawionym znaczenia. Świadomość ta przerażała mnie i jednocześnie budziła we mnie ekscytację. Być może tu mogłam wreszcie stać się tym, kim chciałam.

W roku, w którym przeniosłam się do Szanghaju, w megalopolis żyło siedemnaście milionów ludzi, w tym niewielka, bo licząca zaledwie osiemdziesiąt tysięcy osób społeczność rdzennych Koreańczyków. Mniej więcej jedną trzecią stanowili ekspatrianci z Korei Południowej, pozostali zaliczali się do grupy Chińczyków koreańskiego pochodzenia, z którymi chciałam się utożsamiać.

Skierowałyśmy się z Yee-un od razu do Longbai, małej, ale żywej dzielnicy koreańskiej. Jeszcze tego samego dnia zdołałyśmy znaleźć podłe, dwupokojowe mieszkanie wynajmowane za niewielką opłatą i bez depozytu. Była w nim niewielka kuchenka z przeciekającym zlewem, a okna

wychodziły na plac budowy, gdzie nocami prowadzono nielegalne prace konstrukcyjne, przez co cały czas dobiegały nas dźwięki wiercenia i przybijania. Nie przeszkadzało nam to jednak. Miałyśmy wrażenie, że właśnie dostałyśmy od losu nową szansę.

W życiu dostaje się trzy szanse. Tym razem swoją chwyciłam.

Chciałam zatrudnić się w restauracji do czasu, aż znajdę coś lepszego. I znów miałam wrażenie, że wszystko dzieje się błyskawicznie. W Szanghaju nic nie trwa w bezruchu. W ciągu kolejnego dnia zatrudniłyśmy się z Yee-un w tej samej restauracji. Ja stałam przy kasie, ona została kelnerką.

Aby zaznaczyć jakoś nowy początek, po raz kolejny zmieniłam tożsamość. Tym razem zdecydowałam się na imię Chai In-hee. Było to piąte imię, jakie przyjęłam. Zbyt wiele osób w Shenyang wiedziało, że pochodzę z Korei Północnej. Musiałam pochować Soon-hyang.

– Dlaczego? Co jest nie tak z Soon-hyang? – dopytywała z niedowierzaniem Yee-un.

– Wróżbitka doradziła mi, że nowe imię przyniesie mi szczęście.

Stałam się mistrzynią kłamstw. Nie mówiłam prawdy nawet tym, którzy sądzili, że mnie znają.

***

Za dnia wieżowce Lujiazui kryły się w szarej mgle smogu, nocami błyszczały kolorowymi światłami wystaw i wabiły blaskiem kryształu. Każdy z budynków różnił się od pozostałych, a ich szczyty tworzyły na tle chmur atole światła. Z kolei podstawy rywalizowały o uwagę szybko zmieniającymi się obrazami – to piłkę kopaną butem Nike, to coca-colą nalewaną do wyświetlanych na ledowych panelach szklanek, w których buzowały bąbelki.

Pewnego dnia, krótko po moim przyjeździe, włóczyłam się po Huaihai Lu, zerkając tęsknie na witryny pełne brylantowej biżuterii i zachodnich luksusowych zegarków. Wtedy dotarło do mnie, że nie znalazłam się po prostu w innym kraju; trafiłam do zupełnie innego wszechświata niż ten, w którym dorastałam. Tu wszyscy mieli obsesję na punkcie pieniędzy, sławy i rozgłosu. Bałam się, że ludzie zaczną wypytywać o moją przeszłość, ale nikogo w Szanghaju nie obchodziło, skąd się pochodzi, o ile nie było się nielegalnym imigrantem. Na rynku nieruchomości, na giełdzie czy w handlu

fortuny wzrastały w ciągu jednej nocy. Miasto witało wszystkich tych, którzy mieli odwagę, ambicję i zdolności, a dla tych, którzy do niego nie pasowali, było nieczułe i okrutne.

Jeśli chciałam myśleć o porzuceniu zawodu kelnerki, musiałam zdobyć to, o czym marzył każdy nielegalny imigrant w Szanghaju – prawdziwy dowód osobisty. Tylko ten mały kawałek plastiku dzielił mnie od lepszych możliwości. Bez dowodu nie miałam szans na lepiej płatną, sensowną pracę.

W ciągu następnych kilku miesięcy delikatnie sondowałam znajome kelnerki w dzielnicy koreańskiej. Wielu nielegalnych uchodźców ściągało do Szanghaju i bardzo często to właśnie w restauracjach znajdowali pierwsze zatrudnienie. A przecież przynajmniej część z tych dziewczyn musiała jakoś zdobywać legalne papiery. Kilka przyznało, że ich dokumenty są podrabiane, ale sceptycznie podchodziłam do takiej koncepcji. Legitymowanie się podróbką w czasie kontroli policyjnej było zwyczajnie niebezpieczne. Najrozsądniej było kupić od kogoś legalnie wydany dowód. Do tego zaś potrzebowałam pośrednika.

Pierwszy, na którego trafiłam, kontakt narajony mi przez jedną z kelnerek, zażądał równowartości szesnastu tysięcy dolarów. Powiedziałam, żeby zapomniał o takich pieniądzach. Drugi wymienił jeszcze wyższą kwotę. Kłopoty, na jakie natrafiłam, przypominały przejścia z gangiem w Changbai. Każdy, kto wiedział, że przebywam w Chinach nielegalnie, mógł próbować wydusić ze mnie dowolną sumę i wcale nie czuć się przy tym zobowiązanym do pomocy.

Żeby uniknąć następnej przykrej przygody z bandytami, potrzebowałam lepszej taktyki. Musiałam spreparować sobie legendę.

***

Łagodna świeżość wiosny w Szanghaju szybko ustąpiła letniemu odrętwieniu. Pewnego dnia, gdy razem z Yee-un szukałyśmy po pracy ochłody w lodziarni, zaczął flirtować z nami siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna. Był to Chińczyk koreańskiego pochodzenia, lekko po trzydziestce, który prowadził własny sklep w dzielnicy koreańskiej. Zauważyłam, że jest lekko podchmielony. Jakimś cudem rozmowa zeszła na jego ciotkę.

– Zajmuje się załatwianiem kontraktów małżeńskich kobietom, które chcą się wydać za kogoś z Korei Południowej – opowiadał. – Dacie wiarę?

Instynktownie wyczułam w tym okazję.

– Chciałabym studiować w Korei Południowej – powiedziałam, a Yee-un spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby nagle wyrosła mi druga głowa. – Ale jestem już za stara na ubieganie się o wizę studencką. Musiałabym się jakoś odmłodzić...

– Potrzebujesz nowego dowodu – Chińczyk dokończył za mnie wywód zgodnie z moimi oczekiwaniami. Może starał się tylko zaimponować dwóm ładnym dziewczynom w lodziarni, ale nagle okazał się bardzo chętny do pomocy. – Zapytam ciotkę, czy by ci nie pomogła. Zobaczymy, co powie.

Zapisał sobie mój numer telefonu.

***

Mijały tygodnie, lato trwało aż do połowy września, a po nim nadeszła łagodna i przyjemna jesień, a ja zapomniałam o człowieku z kawiarni. Niespodziewanie, gdzieś w listopadzie, pod koniec pierwszego roku, który spędziłam w Szanghaju, na wyświetlaczu mojej komórki pojawił się nieznany numer.

Przez chwilę nie wiedziałam, o czym mówi kobieta, której głos usłyszałam. Okazało się, że była to ciotka tamtego Chińczyka.

Zaprosiła mnie do siebie, do Harbin. Powiedziała, że da radę załatwić mi nowy dowód osobisty.

– Dziękuję bardzo – odpowiedziałam, zastanawiając się, gdzie jest to całe Harbin.

– Osiemset kilometrów od Szanghaju, daleko na północnym wschodzie – poinformowała mnie Yee-un, gdy zapytałam ją o to. Nieźle się przy tym ubawiła.

Skłamałam kierowniczce restauracji, że moja matka zachorowała i muszę odwiedzić ją w szpitalu. Kupiłam bilet na pociąg do Harbin. Podróż na północny wschód trwała prawie dwa dni. Z łagodnej szanghajskiej zimy trafiłam zupełnie nieprzygotowana do zasypanej śniegiem i skutej lodem części kraju. W Harbin spędziłam zaledwie dwie godziny, ale to wystarczyło, bym spotkała niziutką kobietę, tak opatuloną futrami, że przypominała

bardziej zwierzę niż człowieka. Kobieta zrobiła mi zdjęcie i wsiadłam w pociąg powrotny.

Miesiąc później do mojej skrzynki pocztowej trafiła koperta. Otworzyłam ją, a ze środka wypadł mój własny dowód osobisty. Nazywałam się teraz Park Sun-ja.

Sun-ja... Westchnęłam. Moje szóste imię.

Tak nazywała się pewna Chinka koreańskiego pochodzenia, która – jak poinformowała mnie kobieta z Harbin – była chora psychicznie. Jej rodzice chcieli zarobić na opiekę, więc sprzedali dowód córki. Wydałam na to wszystkie pieniądze, które zaoszczędziłam w czasie pracy w Szanghaju, ale od tej pory przebywałam w Chinach legalnie, a przynajmniej mogłam uchodzić za osobę, która ma prawo pobytu, bez obawy, że zostanę nakryta.

Miasto, zupełnie jakby wyczuło mój nowy status, w ciągu zaledwie kilku dni odkryło przede mną całkiem nowe możliwości i zdecydowanie jaśniejszą stronę życia.

ROZDZIAŁ 31

KOBIETA SUKCESU

Mniej więcej tydzień po otrzymaniu dowodu znalazłam pracę, w której zarabiałam prawie czterokrotnie więcej niż na posadzie kelnerki. Zostałam tłumaczką i sekretarką w południowokoreańskiej firmie specjalizującej się w produkcji płyt kompaktowych i oświetlenia LED. Biuro przedsiębiorstwa mieściło się w dzielnicy koreańskiej. Moim przełożonym był jeden z południowokoreańskich dyrektorów, a do moich obowiązków należało towarzyszenie mu w spotkaniach z klientami i podczas wizytacji w zakładach produkcyjnych. Zauważyłam, że Chińczycy poważają Koreańczyków z Południa i zachowują się w stosunku do nich z dużym szacunkiem. Z moich doświadczeń wynikało, że na Koreańczyków z Północy spoglądają raczej z góry.

Wszystko znów działo się bardzo szybko. Jednego dnia podawałam do stołów, następnego siedziałam na sali posiedzeń zarządu i tłumaczyłam negocjacje handlowe, ucząc się przy tym, jak działa nowoczesne przedsiębiorstwo i w jaki sposób prowadzi się interesy. Spotykałam klientów i kupców z Tajwanu i Malezji, a prywatnie obracałam się w kręgach południowokoreańskich współpracowników. Koleżanki z czasów pracy w restauracji znały mnie jako In-hee, w nowej pracy posługiwałam się imieniem z dowodu − Sun-ja. Musiałam dbać o to, by te dwa światy nigdy się nie zeszły.

Produkcja towarów oferowanych przez zatrudniającą mnie firmę odbywała się w fabryce, nowoczesnej nawet jak na szanghajskie standardy − w warunkach całkowicie bezpyłowych, więc żeby wejść na halę fabryczną, należało przejść przez specjalną śluzę, w której wydmuchiwano z ubrań wszystkie paprochy.

Południowokoreańscy koledzy i koleżanki traktowali mnie dobrze. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak zareagowaliby, gdyby wiedzieli, że dorastałam w sercu kraju pozostającego w nieustającym konflikcie z ich ojczyzną. Czasami wydawało mi się to absurdalne. Przecież wszyscy byliśmy Koreańczykami − łączyły nas język i kultura − a formalnie pozostawaliśmy w stanie wojny.

***

Trochę się odprężyłam i zaczęłam odrobinę cieszyć się życiem. Wreszcie miałam większe zabezpieczenie finansowe, choć oczywiście nadal byłam winna wujowi horrendalną sumę pieniędzy. Dług spłacałam w miesięcznych ratach. Zaczęłam się ubierać tak ładnie, na ile było mnie na to stać. Zauważyłam, że przedsiębiorcze kobiety, które widziałam na Nanjing Lu, przywiązują dużą wagę do wyglądu i bardzo starannie dobierają stylowe dodatki do swoich pięknych strojów. Nauczyłam się prowadzić samochód i poszłam na kurs prawa jazdy. Dla Yee-un czynsz za mieszkanie stał się z czasem zbyt wysoki, więc wyprowadziła się, a ja postanowiłam zatrzymać ten lokal.

Zyskałam nieco większą pewność siebie. Przestałam żyć w cieniu.

Jedyną chmurą na jasnym niebie była rozłąka z rodziną. Z matką ostatni raz rozmawiałam przeszło pięć lat temu. Tęsknota, którą czułam, wcale nie zmalała. Po przykrych doświadczeniach z gangiem obawiałam się wrócić do Changbai. Nie wiedziałam, co robić. Ogarnęło mnie dojmujące poczucie rezygnacji. Czas sprawiał, że droga prowadząca do matki i brata stawała się coraz ciemniejsza i mniej widoczna. Nie byłam pewna, czy zdołam jeszcze na nią trafić. Miałam dwadzieścia dwa lata i gdybym została w Korei Północnej, miałabym już za sobą Studium Ekonomiczne w Hyesan. Prawdopodobnie też pracowałabym na rządowej posadzie, jak moja matka, miałabym dom nad rzeką i sieć kontaktów handlowych dzieloną z wujami i ciotkami. Czy to naprawdę byłoby takie złe?

Nie chciałam o tym myśleć.

***

Ze swoją nową tożsamością czułam się na tyle bezpiecznie, że odważyłam się nawet jadać w dwóch szanghajskich restauracjach, które należały do rządu Korei Północnej. Jedna z nich, Morangak, mieściła się w dzielnicy koreańskiej, niedaleko mojego domu. Druga, Pyongyang Okryugwan, znajdowała się w centrum, w hotelu Jianguo, i do niej chodziłam całkiem często. Restauracje te były źródłem twardej waluty dla tego z biur Partii, które zajmowało się ich utrzymaniem. Pracujące tam kelnerki wybierano ze względu na ich lojalność, *songbun* i urodę. Ponieważ restauracje te cieszyły się dużą popularnością, były wykorzystywane, jak podejrzewam, przez agentów *Bowibu*, którzy chcieli szpiegować środowiska mniejszości koreańskich poza granicami kraju.

Już gdy po raz pierwszy przekroczyłam próg Pyongyang Okryugwan i usiadłam przy stole, poczułam się jak w domu. Kelnerki mówiły po koreańsku z mocnym, znanym mi akcentem i czesały się tak samo jak kobiety w Korei Północnej niemal od czasów wojny koreańskiej. Były miłe, ale zachowywały wstrzemięźliwość w kontaktach z klientami. Wiedziały, że wszyscy w restauracji obserwują się nawzajem. Kelnerkom nie wolno było nawiązywać znajomości z klientami. Domyślałam się, że wieczorem odprowadzano je do pomieszczeń sypialnych i nie pozwalano wychodzić do miasta.

Jedna z nich obsługiwała mnie dość często i wbrew zakazom zbliżyła się do mnie. Pochodziła z Pyongyang. Pewnego dnia zaskoczyła mnie, oświadczając, że marzy o zrobieniu sobie operacji plastycznej biustu w Szanghaju.

– Myślisz, że cię puszczą?

Ściszyła głos.

– Jeszcze nie pytałam, ale nie wykluczam, że to możliwe.

Zaskoczyło mnie to. Wiedziałam, że pewne reguły można było naginać, ale nie sądziłam, że ta się do nich zaliczała. Złapałam się też na tym, że gdy tylko wspomniała o operacji, zaczęłam przyglądać się uważniej jej twarzy.

– Oczy też sobie zrobiłaś! – wykrzyknęłam, zdumiona.

Kelnerka miała podwójną powiekę. Przeprowadzanie takiego zabiegu było bardzo popularne wśród Koreanek, ponieważ dzięki temu ich oczy wydawały się większe.

– Tak − przyznała.

– Tutaj?

– W Pyongyang.

Niemal wypuściłam kieliszek z ręki. Elity w Pyongyang miały dostęp do chirurgii plastycznej? Biorąc pod uwagę, w jakiej nędzy i głodzie żyła reszta społeczeństwa, wydawało się to niemal nieprzyzwoite.

Klienci zatrudniającej mnie firny, którzy przyjeżdżali do Szanghaju z Korei Południowej, bardzo często prosili, by zabrać ich do jednej z tych restauracji. Zachowanie niektórych mężczyzn w czasie tych wypraw nieraz wprawiało mnie w zakłopotanie. Stare koreańskie przysłowie mówi: „Mężczyzna z południa, kobieta z północy", co oznacza, że najprzystojniejsi na Półwyspie Koreańskim mężczyźni żyją na południu, ale najładniejsze kobiety pochodzą z północy. Uroda kelnerek zdawała się potwierdzać słuszność tych słów, a sam fakt, że kelnerki pozostawały poza czyimkolwiek zasięgiem, zmieniał niektórych mężczyzn w chorych z miłości idiotów. Wpadali w prawdziwy amok i wieczór w wieczór wracali do restauracji, żeby popatrzeć na dziewczynę, dla której stracili głowę. Widziałam, jak niektórzy z nich wręczali kelnerkom małe, eleganckie pudełka z podarkami kupowanymi w markowych sklepach z biżuterią. Ku mojemu zaskoczeniu kelnerki uśmiechały się tylko z fałszywą skromnością i przyjmowały prezenty. Domyśliłam się, że kierownictwo restauracji na to zezwalało i konfiskowało później te drobiazgi w imieniu Korei Północnej. Ci mężczyźni nie tylko nieświadomie pomagali finansować działania rządu w Pyongyang − stawiali też kelnerki w trudnej i potencjalnie niebezpiecznej sytuacji. Nie sądzę, by którykolwiek z nich rozumiał, jak musiałoby się skończyć dla Koreanki z Północy to, czego oni rzeczywiście pragnęli. Ale jeden miał się o tym przekonać.

Pewnego wieczoru w czasie mojego drugiego roku pobytu w Szanghaju zastałam drzwi Pyongyang Okryugwan zamknięte na głucho. Następnego dnia całe moje biuro huczało od plotek – jedna z kelnerek uciekła z południowokoreańskim klientem firmy, przyjacielem mojego przełożonego. Tamten mężczyzna zachował się wyjątkowo niemądrze i ukrył ją w swoim mieszkaniu. Północne kierownictwo restauracji natychmiast zgłosiło zniknięcie kelnerki szanghajskiej policji. Funkcjonariusze przepytali pozostałych pracowników, szybko zidentyfikowali gościa, o którego chodziło i udali się prosto do jego domu. Oboje deportowano – jego na Południe, ją na Północ, gdzie miała stawić czoło konsekwencjom swojego wyboru. Nigdy nie dowiedziałam się, o którą kelnerkę chodziło, ale miałam niemiłe

przeczucie, że o dziewczynę, która była dla mnie tak miła i chciała sobie zoperować piersi. Dwa miesiące później restauracja wznowiła działalność z zupełnie nowym personelem.

***

Pod koniec drugiego roku mojego pobytu w Szanghaju zdarzało mi się zapominać, że pochodzę z Północy. Przyjaźniłam się wyłącznie z Chińczykami koreańskiego pochodzenia i Koreańczykami z Południa, których poznałam w pracy. Utrzymywałam z nimi kontakty na równej stopie. Mówiłam po mandaryńsku płynnie, z akcentem typowym dla Chińczyków koreańskiego pochodzenia. Moje dokumenty głosiły, że byłam Chinką urodzoną w koreańskiej rodzinie. Lubiłam swoją pracę i chyba po raz pierwszy miałam poczucie, że w życiu układa mi się lepiej. Nikt w tym mieście nie wiedział, kim byłam wcześniej.

Niespodziewane spotkanie pokazało mi, że zachowuję się niefrasobliwie.

Doszło do niego w czasie przerwy na lunch na jednej z bardziej ruchliwych ulic w dzielnicy koreańskiej. Nagle usłyszałam za sobą głośne wołanie:

– Soon-hyang?

Zamarłam, ale nie potrafiłam się powstrzymać i obejrzałam się za siebie. Od razu go rozpoznałam. To był ten przyjacielski biznesman z restauracji w Shenyang, który skontaktował mnie z chińskim pośrednikiem, czyli ktoś, kto pewnie doskonale wiedział, że pochodzę z Korei Północnej. Uśmiechał się i czekał, aż go rozpoznam.

– Chyba mnie pan z kimś pomylił – rzuciłam i poszłam w swoją stronę.

Strach oblepił mnie jak wilgotne, nocne powietrze. Potraktowałam to spotkanie jako przestrogę, by nie popadać w samozadowolenie. Nie byłam wolnym człowiekiem. Przeszłość mogła mnie dopaść w każdej chwili. Przez wiele dni unikałam pojawiania się w dzielnicy koreańskiej w porze lunchu.

Zaledwie kilka tygodni później znów zostałam rozpoznana, tym razem w znacznie poważniejszych okolicznościach.

Koleżanka z pracy zabrała mnie na prywatkę. Powiedziała, że to przyjęcie urodzinowe wydawane na cześć pewnego uroczego człowieka z Shenyang, którego ledwie zna. Gdy przyjechałyśmy na miejsce, muzyka już grała i nikt nie wylewał za kołnierz. Zostałam poprowadzona przez tłum, by poznać

gospodarza. Zbladłam, gdy go zobaczyłam. Znałam tego człowieka. Prowadził restaurację w Shenyang. Spotkałam go kilka razy, zdarzało się nam też wychodzić w towarzystwie innych osób. Zaczęłam gorączkowo szukać wymówki, by stąd wyjść, lecz było już za późno. Zobaczył mnie.

– Soon-hyang – stwierdził, równie zaskoczony. – Nie wierzę, że to ty. Co tu robisz? – Naprawdę cieszył się, że mnie widzi.

Koleżanka zerknęła na mnie ze zdziwieniem.

– Soon-hyang? – zaśmiałam się. – Nie, mylisz się, ale bardzo się cieszę, że mogę cię poznać.

Myślał, że żartuję. Kilka minut zajęło mi przekonywanie go, że nie jestem osobą, za którą mnie bierze. Koleżanka przysłuchiwała się temu wszystkiemu. Gdyby ktokolwiek w pracy uświadomił sobie, że nie jestem osobą, za którą się podaję, zaczęto by zadawać pytania, sprawdzać moje dokumenty.

W końcu podrapał się po głowie i powiedział, przekrzykując hałas:

– No, może. Ale wiedz, że w Shenyang mieszka dziewczyna, która wygląda dokładnie jak ty. Chyba masz bliźniaczkę. Ale to wie pewnie tylko twoja matka.

Prawie mi się udało, gdy nagle w drzwiach stanęła kolejna grupa gości.

– Soon-hyang! − Z drugiego końca pokoju machała do mnie jakaś kobieta, która natychmiast zaczęła przepychać się w moim kierunku. Publiczna demaskacja wywołała u mnie dziwne uczucie – pewnego rodzaju euforię pomieszaną z nerwowymi skurczami żołądka. – Soon-hyang! Nie wierzę, że cię widzę. Tyle czasu! – Uściskała mnie na oczach człowieka, którego przed chwilą okłamałam. – Nie miałam pojęcia, że tu będziesz.

Była to jeszcze jedna znajoma z czasów, gdy pracowałam w shenyangskiej gastronomii, kobieta, z którą spotykałam się w przeszłości niejeden raz. Przed kimś, kto znał mnie tak dobrze, nie mogłam niczego udawać. Poszukałam wzrokiem koleżanki z pracy, ale była akurat zajęta rozmową z kimś innym i w panującym rozgardiaszu nie wychwyciła rozgrywającego się dramatu. Tylko gospodarz imprezy, człowiek z Shenyang, przyglądał mi się w zdumieniu. W jego spojrzeniu dawało się wyczytać nieme pytanie: „Dlaczego miałabyś tak kłamać?”.

Musiałam mu to jakoś wyjaśnić.

– Przepraszam – powiedziałam, pochylając głowę. – Proszę, nie mów nikomu. − Żałowałam, że nie mogę wyjaśnić mu, dlaczego skłamałam

w sprawie swojego imienia.

Do domu wróciłam w ponurym nastroju, użalając się nad sobą. Gdzie bym nie pojechała, nawet w tak wielkim kraju prawda zawsze mnie dopadnie. Jedyne, co mogłam teraz zrobić, to wyprzedzać ją o krok, dzięki kolejnym kłamstwom i oszustwom. Tej nocy płakałam w łóżku po raz pierwszy od bardzo dawna. Najbardziej brakowało mi kogoś bliskiego z Korei Północnej, kogoś, komu mogłabym się zwierzyć i zaufać. Kto rozumiałby, dlaczego decydowałam się na takie właśnie kroki. Kto nie obwiniałby mnie i na moim miejscu zrobiłby to samo.

Już wkrótce, jakby w odpowiedzi na moje modły, los miał mi zesłać taką osobę.

***

Nazywała się Ok-hee. Poznałyśmy się przelotnie w Shenyang. Też była kelnerką i należała do niewielkiego grona północnokoreańskich dziewczyn, z którymi zaczęłam się spotykać. Ledwie się poznałyśmy, gdy policja zabrała mnie na przesłuchanie. Po tym wydarzeniu postanowiłam się ukrywać i zaczęłam stronić od ludzi, a od Koreańczyków z Północy przede wszystkim.

To ja zauważyłam ją pierwsza przed sklepem z kosmetykami w dzielnicy koreańskiej. To spotkanie ją zaskoczyło. Była szczupłą, cichą dziewczyną o uroczym nawyku pochylania głowy i zwijania włosów w drobny pierścionek, gdy się do niej mówiło. Usiadłyśmy przy bawarce i w czasie rozmowy przyznała, że ma fałszywy dowód. Najbardziej obawiała się, że zdradzi ją kiepski mandaryński. Ona też uciekła przed władzami z Shenyang.

Ok-hee była mi w Chinach ogromną podporą i prawdziwą przyjaciółką.

ROZDZIAŁ 32

KONTAKT Z HYESAN

Niedługo po spotkaniu z Ok-hee zupełnie niespodziewanie odebrałam telefon od Min-ho. To, co od niego usłyszałam, odmieniło moje życie.

Byłam podwójnie zaskoczona, bo zaczynałam już tracić nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze uda mi się porozmawiać ze swoją rodziną; nie sądziłam też, że to oni skontaktują się ze mną. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Min-ho mógłby mieć taką możliwość. Brat dzwonił do mnie z domu pana Ahna w Changbai.

Po początkowym wybuchu euforii mój dobry nastrój nieco opadł, gdy Min-ho zdradził mi powód, dla którego się ze mną kontaktuje. Wpadli z matką w problemy finansowe. Gotówka, którą dałam mu w Changbai, już się skończyła.

– Skończyła? – zapytałam, lekko ogłuszona.

– Tak. Przyślesz więcej?

Dałam im pięć tysięcy juanów. Rolnik w Chinach zarabia dwa do trzech tysięcy juanów rocznie. Wydawało mi się, że ta kwota powinna wystarczyć na jakiś czas, nawet gdyby sami nie zarabiali. Po latach pracy z Chińczykami wykształciłam w sobie emocjonalne podejście do zarobionych pieniędzy. Dostawałam je w zamian za wiele godzin ciężkiej pracy. Oszczędzałam, odmawiając sobie wielu wygód. Nikt w Korei Północnej nie potrafi tego zrozumieć. W tym kraju wszystkim wydaje się, że poza granicami pieniądze są łatwo dostępne dla każdego. Min-ho zachowywał się tak, jakby był przekonany, że po prostu pójdę do sklepu i wezmę jeszcze trochę gotówki. Nie było sensu tłumaczyć mu, że właśnie zapłaciłam majątek za dowód, że musiałam płacić wysoki czynsz i że spotkanie z gangiem w Changbai skończyło się dla mnie zaciągnięciem ogromnego długu u wuja.

Westchnęłam i powiedziałam tylko:

– Zobaczę, co da się zrobić.

Min-ho nie wyjaśnił, co stało się z pieniędzmi. Uznałam, że matka musiała wręczyć kilka łapówek. Dużo później dowiedziałam się, że wydała je, by pomóc moim wujom i ciotkom.

Pod koniec rozmowy, zupełnie mimochodem, Min-ho rzucił prawdziwą bombę. To, co usłyszałam, wszystko zmieniło.

– Jeszcze jedno. Czy mogłabyś przysłać mi telefon komórkowy?

Wyjaśnił mi, że w rejonie przygranicznym ludzie zaczęli używać komórek, żeby dzwonić do Chin za pośrednictwem chińskich sieci komórkowych. Było to oczywiście surowo zabronione.

Potrzebowałam chwili, by przetrawić te informacje.

Następnego dnia kupiłam telefon Nokia i kartę SIM, które wysłałam do pana Ahna razem z tysiącem juanów w gotówce i prośbą, by przekazał je Min-ho.

Gdy pierwszy raz zadzwoniłam na numer Nokii, odebrał Min-ho. Poprosiłam, by podał telefon matce. O czymś takim do tej pory mogłam jedynie marzyć.

– Min-young? – Od lat nikt mnie tak nie nazywał. – Czy to ty?

Słyszałam jej głos, ale brzmiała dziwnie i eterycznie, jakby mówiła do mnie z innego świata.

– Omma – zwróciłam się do niej koreańskim słowem oznaczającym „matko”. – To naprawdę ty? – Podobnie jak w przypadku pierwszej rozmowy z Min-ho i teraz w mojej głowie zalęgły się podejrzenia, że to nie ona, że to jakiś podstęp. – Możesz powiedzieć mi, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni?

Jej śmiech zabrzmiał dziwnie znajomo.

– Wyszłaś z domu tuż po kolacji, o siódmej wieczorem czternastego grudnia 1997 roku. Miałaś na sobie te cholerne eleganckie pantofle.

Teraz ja też się zaśmiałam.

– Jakim cudem pamiętasz takie szczegóły?

– Jak mogłabym zapomnieć dzień, w którym moja mała dziewczynka mnie zostawiła?

Pamięta dzień, a nawet godzinę. Poczułam, jak w moim gardle rośnie nieprzyjemna gula. Było mi źle. Moja omma...

Teraz ona zaczęła sprawdzać mnie. Też zastanawiała się, czy jestem osobą,

za którą się podaję. Nie mówiłam już z północnokoreańskim akcentem. Zadała mi kilka pytań, na które tylko ja mogłam znać odpowiedź. Gdy skończyłam odpowiadać, chciała coś dodać, ale słowo „córka” utknęło jej w gardle. Nie mogła mówić. Po policzkach płynęły mi gorące łzy i kapały na kolana. Stałyśmy tak, oddzielone od siebie tysiącami kilometrów, trzymając w dłoniach telefony, wsłuchując się w narastającą ciszę, i żadna z nas nie powiedziała ani słowa.

Gdy zastanawiam się, jak bardzo skrzywdziłam moją matkę, wiem, że nigdy nie zdołam wyobrazić sobie ogromu jej rozpaczy. Być może, jeśli pewnego dnia będę miała własne dzieci, zdołam choć trochę zbliżyć się do tego zrozumienia.

Słysząc głos matki w słuchawce, nagle odnalazłam wewnętrzną prawdę o sobie, zupełnie jakbym zarzuciła cumę we właściwej przystani. Przez lata zatraciłam swoją tożsamość. W Shenyang zdarzało mi się myśleć, że jestem Chinką koreańskiego pochodzenia, w Szanghaju czasami miałam się za Koreankę z Południa. Głos matki poruszył we mnie struny, które określały moją tożsamość. Wszystkie kłamstwa, którymi się osnułam, rozpłynęły się bez śladu. Urodziłam się i wychowałam w Hyesan, nad brzegiem rzeki Yalu, w prowincji, nad którą wznosiła się potężna góra Paektu. Nic nie mogło tego zmienić.

Matka wyznała, że w ciągu tych lat, które upłynęły od mojego zniknięcia, kilka razy odwiedzała wróżbitki.

– Mówiłam im, że nie wiem, gdzie jest moja córka, lecz że za nią tęsknię. – Nie mogła powiedzieć nikomu, że żyję w Chinach. – „Nie ma jej na naszej ziemi”, powtarzały wszystkie. „Jest niczym samotne drzewo rosnące na skalnym zboczu. Ciężko tak przetrwać. Ale ona jest twarda i mądra. Tylko bardzo samotna”, powiedziała jedna. „Nic jej nie jest, nie musi się pani martwić”, stwierdziła inna. „Żyje w Chinach niczym żona wielkiego pana”. – Matka zapraszała nawet szamanów, żeby odprawiali w domu rytuały za moją pomyślność i bezpieczeństwo w Chinach. W ten sposób sięgała do mnie przez pustkę, chcąc wierzyć w te przesądy i choć przez chwilę poczuć pociechę. – Córko... – powiedziała do mnie wreszcie.

***

Od tamtej pory rozmawiałyśmy ze sobą w każdy weekend. Za każdym razem to matka dzwoniła pierwsza, a ja oddzwaniałam. Zazwyczaj rozmawiałyśmy godzinę lub dwie, czasami dłużej, aż zdarzało mi się zasypiać. Jej głos dawał mi tak wielkie pocieszenie. Płaciłam za połączenia około stu pięćdziesięciu juanów (dwadzieścia dolarów) miesięcznie, ale bywało i tak, że rachunek za jedną rozmowę wynosił trzysta juanów.

Samo nadrabianie zaległości na temat tego, co działo się w Hyesan w czasie mojej nieobecności, zajęło nam kilka tygodni.

Matka zgłosiła moje zaginięcie na policję, co oczywiście wywołało falę podejrzeń. Musiała wręczyć niejedną łapówkę, żeby nikt nie wyciągnął z tego konsekwencji. Potem, tak jak się obawiałam, ona i Min-ho trafili pod ścisłą obserwację – pilnowali ich *banjang*, sąsiedzi i miejscowi policjanci. Przeniosła się razem z Min-ho do dzielnicy, w której nikt ich nie znał. Dostała awans w pracy, nie w wyniku uznania zasług, lecz po to, by znalazła się bliżej władzy i by można było poddać ją dokładniejszej obserwacji. Pewnego dnia kolega szepnął jej do ucha, że przez ostatnie trzy lata musiał co tydzień składać raport dotyczący jej zachowania. Ostrzegł ją, by była ostrożna. Po tym wydarzeniu rzuciła pracę w rządowym biurze i zajęła się tym, co robiła Ciotka Śliczna – wysyłaniem chińskich towarów pociągiem do Pyongyang i Hamhung.

Matka przyznała, że zdarza się jej krytycznie oceniać Partię i system, ale przekazała mi tę wiadomość w sposób mocno zawoalowany. W ogóle wszystkie rozmowy prowadziła z założeniem, że *Bowibu* może słuchać każdego słowa. Tajna policja starała się łapać użytkowników telefonów komórkowych, ale nie dysponowała odpowiednio zaawansowanym sprzętem, by ich namierzać. Agenci *Bowibu* złożyli jej już nawet wizytę.

Pewnego dnia po powrocie z pracy matka zastała przed domem dwóch ubranych po cywilnemu agentów *Bowibu*, czekających razem z Min-ho. Jeden z nich zaczął wypytywać o mnie.

– Zachowywał się niezwykle miło – powiedziała. – To było przerażające.

Chciał zobaczyć moje zdjęcie, więc matka pokazała mu rodzinny album. Przejrzał go wnikliwie.

– Pani córka jest bardzo piękna – stwierdził, po czym zapytał: – Może pani jeszcze raz opisać, jak zaginęła?

Matka powiedziała mu dokładnie to samo, co policji.

Wtedy złożył jej niezwykłą ofertę. Powiedział, że jeśli faktycznie jestem

w Chinach i zapłacę pięćdziesiąt tysięcy juanów (przeszło sześć tysięcy dolarów), to będę mogła wrócić do Korei Północnej i odzyskać dawne życie bez konsekwencji mojej ucieczki.

Brzmiał bardzo przekonująco, ale matka i tak węszyła w tym podstęp. Pozostała przy historii o moim zaginięciu.

Była jednak przekonana, że mogłaby załatwić mi powrót do Korei Północnej bez konieczności czynienia jakichkolwiek wyznań. Bardzo zależało jej na tym, bym wróciła do domu. Rozmawiała już z władzami o tym, jak zostałby przyjęty mój powrót.

– Powiedzieli, że nie byłaś pełnoletnia, gdy uciekłaś, więc nie popełniłaś przestępstwa.

– Ale w papierach będę mieć wpisane, że przez kilka lat byłam oficjalnie zaginiona – zauważyłam.

– Zapłacimy, żeby zmienili wpisy w papierach. Jesteś w takim wieku, że pora pomyśleć o małżeństwie. Ślub musisz wziąć w Korei Północnej.

– Czy bezpiecznie będzie wracać?

– Sprawię, żeby było bezpiecznie. – Matka była niewzruszona.

Rozmawiałyśmy o tym niejednokrotnie. Marzyłam, żeby wrócić do Hyesan, być znów z rodziną – matką, wujami, ciotkami – ale czy rzeczywiście mogłabym przekroczyć po cichu granicę, a potem zgłosić się do władz, jak sugerowała matka, mówiąc, że byłam jeszcze dzieckiem, gdy opuściłam kraj, więc nie popełniłam przestępstwa? Im więcej o tym myślałam, tym bardziej kusiło mnie, żeby się na to zdecydować. Ale cichy wewnętrzny głos stale powstrzymywał mnie przed podjęciem takiej decyzji. Jakaś część mnie wiedziała, że obie się oszukujemy. Wracanie teraz, po tylu latach spędzonych z dala od kraju, było szalenie niebezpieczne.

***

Któregoś razu matka zadzwoniła z zatrważającym pytaniem. Zazwyczaj rozmawiałyśmy w weekendy, ale tym razem telefon odezwał się w czasie, gdy byłam w pracy.

Była bardzo podekscytowana.

– Mam kilka kilo lodu – powiedziała.

Skuliłam się na krześle, tak by koledzy z pracy mnie nie widzieli.

Matka chciała wiedzieć, czy znam w Chinach ludzi, którzy mogliby upłynnić ten towar.

Lód, czyli kryształki metamfetaminy, już jakiś czas temu zastąpił w Korei Północnej heroinę – główne źródło pozyskiwania twardej waluty przez państwo. Metamfetamina jest narkotykiem syntetycznym, więc jej produkcja nie zależy od uprawy roślin, jak ma to miejsce w wypadku heroiny, a państwowe laboratoria zapewniają wysoką czystość materiału. Większość uzależnionych w Chinach używała towaru produkowanego w Korei Północnej. Tak jak niegdyś opium, kryształki amfetaminy, mimo że nielegalne, stały się w Korei Północnej zamiennym środkiem płatniczym, często wręczanym w podarunkach lub jako łapówki.

– Omma – wyszeptałam wściekle – wiesz, co to jest? To niezgodne z prawem.

– Wiele rzeczy jest niezgodnych z prawem.

W jej świecie prawo stało na głowie. Ludzie musieli je łamać, by przeżyć. Zakaz handlu narkotykami, którego łamanie w większości krajów jest poważnym przestępstwem, dla ludzi z Korei Północnej ma zupełnie inny wydźwięk. Proceder ten wiąże się z podobnym ryzykiem, jak w innym kraju parkowanie samochodu w niedozwolonym miejscu. Bo przecież jeśli nie złapią cię na gorącym uczynku, to nie dzieje się nic złego. W Korei Północnej jedynym naprawdę liczącym się prawem, tym, za którego złamanie grożą najcięższe kary, jest bezwzględna wierność dynastii Kimów. I każdy obywatel doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Dla mojej matki fakt, że metamfetamina jest nielegalna, nie miał większego znaczenia. Lód był przecież tylko jeszcze jednym towarem na sprzedaż.

Powiedziała, że jeden z większych handlarzy w kraju przyniósł jej towar do domu, bo wiedział, że jestem w Chinach, i miał nadzieję, że zdołam go tu upłynnić.

– Oddaj mu to. I nigdy się w to nie mieszaj – zażądałam. – Tymi interesami zajmują się paskudni ludzie, których nie będzie interesowało to, czy policja cię złapie.

Nigdy więcej nie prosiła mnie o sprzedawanie narkotyków.

Czasami ani matka, ani Min-ho nie mogli dzwonić przez całe tygodnie. Nie potrafiłam się wtedy na niczym skupić. Zawsze byłam przekonana, że trafili do celi *Bowibu*. Gapiłam się bezmyślnie w telefon, jakby to mogło sprawić, że zadzwoni. Przypisałam ich numerowi specjalny dzwonek – jeden

z zabawnych rapowanych utworów koreańskich. Brzmiał mniej więcej tak: *kong kong da, kong kong da*. Zdarzało mi się słyszeć ten dzwonek w snach, a czasami nawet wyobrażać go sobie na jawie. Gdy telefon milczał dłużej, zaczynałam go ciągle sprawdzać. A potem, po kilku tygodniach, dzwonek znów się odzywał, a ja mogłam odetchnąć z ulgą.

– Wyłączali prąd – mówiła czasami matka. – Nie mogłam naładować telefonu.

Takie sytuacje zdarzały się regularnie, lecz za każdym razem panika i paranoja brały u mnie górę nad rozsądkiem.

***

Pewnego wieczoru, wiosną 2004 roku, rozmawiałam w najlepsze z matką. Leżałam wyciągnięta przed telewizorem, który błyskał w tle z wyłączonym dźwiękiem. W trakcie rozmowy moją uwagę przykuł materiał puszczany na ekranie. Była wtedy u mnie Ok-hee. Ona też zauważyła ten program.

– Omma, oddzwonię za chwilę, dobrze? – rzuciłam, po czym chwyciłam pilot i włączyłam dźwięk.

Właśnie powtarzano materiał w zwolnionym tempie. Grupa mężczyzn, kobiet i dzieci biegła szaleńczo, by minąć chińskich strażników i przedrzeć się przez jakąś bramę. Brama prowadziła do ambasady Korei Południowej w Pekinie. Ludziom jakimś cudem udało się odwrócić uwagę strażników, którzy teraz rzucili się w ich stronę i starali się powstrzymać przed wkroczeniem na terytorium Korei Południowej. Jednej czy dwóm osobom udało się przedrzeć, lecz któryś ze strażników pochwycił jedną z kobiet za płaszcz i powalił na ziemię. Brutalność, z jaką potraktował tę uciekinierkę, była zatrważająca. Złapał ją za nadgarstki i odciągnął od bramy. Na ziemi ciągle leżał jej but.

Prezenterka powiedziała, że właśnie oglądaliśmy próbę ucieczki obywateli Korei Północnej, szukających azylu politycznego w ambasadzie Korei Południowej.

Azylu politycznego?

Ok-hee i ja popatrzyłyśmy na siebie zdumione.

ROZDZIAŁ 33

ROZMOWY Z MISIEM

W następnych miesiącach w telewizji pokazano więcej podobnych materiałów. Prezentowały one nagrania z wydarzeń mających miejsce przed ambasadami innych krajów w Pekinie, raz nawet przed japońską szkołą. Czasami żadnemu z Koreańczyków nie udawało się dotrzeć do bram i wszystkich odciągali gdzieś policjanci oraz ubrani po cywilnemu agenci. Grymasy rozpaczy na ich twarzach głęboko wryły mi się w pamięć. Te rozpaczliwe próby uzyskania azylu były nagrywane przez organizacje zajmujące się ochroną praw człowieka, by pokazać, jak nieludzko zachowują się chińskie władze, które odmawiają Koreańczykom z Północy statusu uchodźców politycznych.

Przypomniałam sobie tyradę, jaką wygłosił wuj Jung-gil przeciwko władzom Korei Północnej, gdy przeszło sześć lat temu zjawiłam się w jego mieszkaniu w Shenyang. Wspomniałam wszystkie dziwaczne prawdy, jakie wygłosił na temat wojny koreańskiej i prywatnego życia Kim Jong-ila. Wtedy mu nie wierzyłam. Zamknęłam się na prawdę dotyczącą reżimu panującego w moim kraju. Dopóki nie uderzał on bezpośrednio w moją rodzinę, wolałam o niczym nie wiedzieć. Myślałam, że ludzie uciekają z głodu lub jak ja – z powodu niepohamowanej ciekawości. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby próbować ucieczki z powodów politycznych. Przypomniało mi się dwóch filmowców z Korei Południowej, spotkanych w Shenyang, tych samych, którzy zadeklarowali, że opłacą pośredników za uciekiniera z Korei Północnej. Stchórzyłam wtedy, bo byłam przekonana, że na Południu zostanę potraktowana jako egzotyczna ciekawostka, przybysz z Północy, któremu natychmiast trzeba urządzić konferencję polityczną. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy ze skali

zjawiska – że tysiące ludzi rocznie starało się uciec z Korei Północnej i że większość z nich nie chciała żyć w Chinach, lecz właśnie w Korei Południowej.

Telefony komórkowe odmieniły moje życie, bo pozwoliły mi skontaktować się z rodziną. Teraz podobnie zmienił je Internet – był moim oknem na świat, dzięki niemu wiedziałam, co się mówi na temat Korei Północnej. Zaczęłam dyskretnie sprawdzać informacje w kafejkach internetowych. Początkowo moje poszukiwania ograniczały się do podstawowych faktów. Przede wszystkim zaintrygowało mnie to, że na tyle ucieczek w ostatnich latach żaden obywatel Korei Północnej nie został poproszony o udzielenie wywiadu.

Żyłam w Szanghaju już dwa lata. W tym czasie od znajomych dowiedziałam się wiele na temat Korei Południowej. Regularnie oglądałam też puszczane w południowokoreańskiej telewizji seriale. Niektóre z nich były tak wciągające, że wprost pędziłyśmy z Ok-hee do mojego małego mieszkania, gdzie układałyśmy się na macie i wspólnie je oglądałyśmy. Nigdy jednak nie wyobrażałam sobie, że sama mogłabym żyć w Korei Południowej, a przynajmniej nie do momentu, gdy ujrzałam tych zrozpaczonych ludzi szturmujących bramy ambasady. Ryzykowali własnym życiem, żeby się tam dostać, a to oznaczało, że nagroda musiała być tego warta.

Im więcej o tym myślałam, tym bardziej nęciła mnie myśl o życiu między Koreańczykami na Południu. W Chinach – niezależnie od tego, jak płynny byłby mój mandaryński i jak bardzo wiarygodne papiery udałoby mi się zdobyć – zawsze będę obca. Sercem, duszą. Koncepcja wyjazdu do Korei Południowej bardzo szybko stała się głównym tematem rozmów, które prowadziłam z Ok-hee. Ona również bardzo pragnęła wyjechać z Chin. Czy istniała możliwość, że dotrzemy do Korei Południowej razem?

***

Wiedziałam, że z dowodem wydanym na nazwisko Chinki o koreańskich korzeniach nie musiałabym posuwać się do czynów tak heroicznych, jak szturmowanie bram ambasady. Pomyślałam, że mogę po prostu wystąpić o wizę i polecieć do Seulu. Jednak z internetu dowiedziałam się, że sprawa

nie przedstawia się tak prosto. Korea Południowa przed wydaniem wizy musiała mieć pewność, że ubiegająca się o nią osoba wróci do Chin i nie będzie próbowała nielegalnie zostać w Korei.

Ok-hee utrzymywała kontakty z szanghajską społecznością nielegalnych imigrantów z Korei Północnej. (Ona z kolei była jedyną obywatelką Korei Północnej znaną mi w tym mieście). To ona znalazła nam pośrednika, który od razu zaproponował proste rozwiązanie. Ok-hee i ja miałybyśmy podać się za Koreanki z Południa, które zgubiły paszporty. Musiałybyśmy zgłosić się na policję, a potem do ambasady południowokoreańskiej w Pekinie. Pośrednik miał przygotować wszystkie niezbędne dokumenty. Chciał dostać zaliczkę w wysokości dziesięciu tysięcy juanów (około tysiąca czterystu dolarów).

Po długich dyskusjach, jakie przeprowadziłyśmy nad niezliczonymi filiżankami herbaty melonowej z mlekiem sojowym, zdecydowałyśmy się na ten krok. Przybiłyśmy sobie piątkę. Tamtej nocy kładłam się spać z poczuciem, że mam w życiu cel.

Następnego dnia jednak, gdy stanęłyśmy w kolejce do banku, by pobrać odpowiednią kwotę dla pośrednika, Ok-hee była milcząca bardziej niż zwykle, nerwowo nawijała włosy na palec. Znałam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że się boi.

– Nie wiem, czy to zadziała – stwierdziła wreszcie. – Wróżbitka powiedziała mi, że tym razem los nie szykuje dla mnie zagranicznej podróży.

– Zadziała – powiedziałam bez cienia wątpliwości.

– Wydaje mi się, że mamy nie więcej niż pięćdziesiąt procent szans. Wte lub wewte. – Ok-hee obawiała się, że pośrednik albo zniknie z naszymi pieniędzmi, albo wręczy nam dokumenty tak nieudolnie podrobione, że strach będzie się nimi posłużyć.

Powiedziałam jej, żeby nie popadała w paranoję. Byłam przekonana, że mamy duże szanse. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, niedługo będziemy miały przed sobą perspektywę rozpoczęcia nowego życia. Mogłabym przecież nadal dzwonić do rodziny za pośrednictwem chińskiej sieci komórkowej, a nawet pojechać do Changbai z południowokoreańskim paszportem. W swojej naiwności byłam przekonana, że gdyby nie spodobało się nam w Korei Południowej, nadal mogłabym wrócić do domu. Byłam ciągle młoda, a matka namawiała mnie gorąco do powrotu.

Jak się okazało, obawy Ok-hee nie były bezpodstawne. Wkrótce miałam się

przekonać, że los nie sprzyjał nam w tym przedsięwzięciu.

***

Zaczęłam zamykać swoje sprawy w Szanghaju i wyprzedawać rzeczy. Było w tym wszystkim coś ostatecznego, co bardzo mnie niepokoiło. Pojawiło się też poczucie winy. Wiedziałam, że matka nie będzie pochwalać mojego pomysłu.

Myśli te sprawiły, że w ciągu kilku dni humor popsuł mi się całkowicie. W prawdziwą rozpacz wpędziły mnie wyniki badań medycznych. Okazało się, że mam niebezpiecznie wysoki poziom cukru. Ponieważ ogólnie byłam przygnębiona, nabrałam przekonania, że lada moment umrę. Naszły mnie podobne myśli jak wtedy, gdy po ataku w Shenyang leżałam w szpitalu – gdybym umarła samotnie w mieszkaniu, nikt nie wiedziałby nawet, kim byłam. Matka spędziłaby resztę życia, próbując mnie odnaleźć. Ta odrobina pieniędzy, które miałam odłożone w banku, nigdy by do niej nie dotarła.

Porzuciłam myśli o Korei Południowej. Przestało mi zależeć na czymkolwiek. Tamtej majowej nocy leżałam bezsennie, spoglądając we fluorescencyjne światła błyskające na stawianym właśnie biurowcu, który piął się w górę zaledwie kilka metrów od moich okien. Rozważałam samobójstwo. Nie czułam się na siłach rozmawiać z nikim, nawet z Ok-hee.

Wtedy kupiłam sobie małego pluszowego misia. Ponieważ bałam się, że mogę stracić przytomność i umrzeć w czasie posiłku, sadzałam go przy stole, żeby miał na mnie oko. Na początku nie rozmawialiśmy, ale pewnego dnia po pracy zaczęłam do niego mówić. Były to długie, monotonne monologi, jakie zwykle wygłasza się do dzieci. Chcąc zaradzić coś na dojmującą pustkę w domu, nastawiałam w telewizorze automatyczny włącznik, tak żeby odbiornik zaczynał grać pół godziny przed moim powrotem do domu. Początkowo wyrzucałam sobie, że tracę pieniądze na prąd, ale szybko zaczęłam ignorować te obiekcje. Cały tamten miesiąc upłynął mi w przekonaniu, że umieram i nie zdążę nawet pożegnać się z rodziną. Ta myśl przybijała mnie zupełnie.

Postanowiłam wydać wszystkie moje oszczędności na drogie ubrania. Chociaż raz w życiu sobie zaszaleję, pomyślałam. Nie mogłam powiedzieć matce, że choruję. Jej zmartwienie nie ulżyłoby mi w żaden sposób. Miałam

zamiar utrzymywać z nią kontakt do samego końca. Długo zastanawiałam się nad tym, jak przygotować ją na milczenie, które musiało ostatecznie nastąpić, i uznałam, że najlepiej będzie powiedzieć, że wyprowadzam się do innego kraju, skąd nie będę mogła już dzwonić do Korei Północnej.

Po miesiącu Ok-hee i kilka innych znajomych osób zaczęli się niepokoić do tego stopnia, że zmusili mnie do wykonania kolejnych badań krwi. Tym razem wyniki były w normie. Skok poziomu cukru był najwyraźniej związany z nieprzespaną nocą przed badaniem. Powiedziano mi, że jestem zdrowa. Na pociechę zostało mi mnóstwo bardzo drogich ubrań.

Ogólne przygnębienie i skłonność do użalania się nad sobą utrzymywały się jeszcze przez kilka tygodni, dopóki pewne wydarzenia w Hyesan nie postawiły mnie na nogi.

ROZDZIAŁ 34

MIN-HO NA PRZESŁUCHANIU

W ramach przygotowania do wyjazdu z Szanghaju wysłałam do Changbai, do domu pana Ahna, niemal wszystkie moje rzeczy i część pieniędzy. Gdy przesyłka dotarła na miejsce, sama pojechałam do Changbai, po raz pierwszy od pamiętnego spotkania z członkami gangu.

Na miejscu byłam późnym wieczorem. Był październik 2004 roku. Zatrzymałam się na chwilę między drzewami rosnącymi na brzegu rzeki i patrzyłam na drugą stronę, na Koreę Północną. Góry odcinały się ciemnymi plamami na tle upstrzonego gwiazdami nieba. Hyesan pogrążone było w absolutnych ciemnościach. Gdybym w tamtym momencie patrzyła na las, a nie na miasto, widok przedstawiałby się tak samo. Niczego nie widziałam, Hyesan mogłoby w ogóle nie istnieć.

Mój kraj był pogrążony w cichym bezruchu. Ta myśl napawała mnie ogromnym smutkiem. Wydawał się pozbawiony życia niczym kupka popiołu. I wtedy gdzieś w oddali zabłysły bursztynowe światła ciężarówki sunącej samotnie ulicą.

Pani Ahn powitała mnie wiadomością o śmierci pana Ahna. Mocno odczuł skutki odniesionych ran i zaawansowanej cukrzycy. Przybiło mnie to bardziej, niż przypuszczałam. Pani Ahn zaprosiła mnie do środka. Gdy zobaczyłam oparte o ścianę laski pana Ahna, łzy napłynęły mi do oczu. Towarzyszył mi przez całe dzieciństwo – dorastałam ze świadomością, że tam niedaleko, po drugiej stronie rzeki, żyje dobry, łagodny człowiek, któremu ufa moja matka. W Chinach był moją opoką, jedynym łącznikiem z rodziną, z przeszłością i z moją prawdziwą tożsamością.

Pani Ahn pomogła mi posegregować rzeczy, które chciałam przesłać na drugą stronę rzeki. Były to przedmioty codziennego użytku, ale w Korei

Północnej wysoce pożądane i o wielkiej wartości. Do paczek – dwóch dużych niebieskich worków i jednego mniejszego, białego – trafiły żelazko, suszarka, nieco biżuterii, witaminy, perfumy Chanel i kilka innych drobiazgów. Zapakowałam też całą gotówkę: amerykańskie dolary i chińskie juany.

Później zadzwoniłam do Min-ho i spytałam, kiedy mogę przesłać te pakunki.

– Jutro, za dnia.

– Tak oficjalnie? – zdziwiłam się.

– Nic się nie przejmuj. Strażnicy będą uprzedzeni.

Okazało się, że pani Ahn zatrudniła dwóch przemytników, którzy mieli przenieść towar przez rzekę. Gdy wrócili, powiedzieli, że Min-ho już na nich czekał. Wszystko poszło gładko. Odetchnęłam z ulgą, zapłaciłam im i czekałam na telefon od brata.

Na próżno.

Następnego dnia też nie zadzwonił. Ruszyłam na spacer wzdłuż rzeki. Był to pierwszy raz od czasu mojej ucieczki, kiedy miałam okazję przyjrzeć się dokładniej swoim rodzinnym stronom. Cały ruch uliczny stanowiło kilka wojskowych samochodów i wóz ciągnięty przez woły. Za moich czasów po ulicach miasta takie nie jeździły. W oddali widziałam portret uśmiechniętego Kim Il-sunga, jedyną barwną plamę na tle wszechobecnej szarości. Okolica wyglądała na zniszczoną i biedną. Nic się nie zmieniło. W Chinach zaś nic nie zostawało takie, jakim było. Domy wyrastały w takim tempie, że w ciągu roku miasto potrafiło się zmienić nie do poznania.

Nie mogłam dłużej czekać. Z każdą mijającą godziną moje przerażenie rosło. Coś musiało pójść nie tak. Poczekałam w Changbai jeszcze dwa dni w tanim hotelu, jedynym, który był otwarty o tak później porze, gdy przyjechałam do miasta. W nocy zmartwienie nie pozwoliło mi usnąć, a ponieważ ściany hotelu były cienkie, słyszałam rozmowę, jaką w sąsiednim pokoju prowadziło dwóch mężczyzn. Mówili z silnym północnokoreańskim akcentem. Nie wiedziałam, czy to agenci *Bowibu* czy przemytnicy, ale ich obecność sprawiła, że jeszcze bardziej zaczęłam przeczuwać nadciągającą katastrofę. Czwartego dnia, nadal bez żadnej wiadomości od Min-ho, wróciłam do Szanghaju.

Tydzień później, dokładnie w chwili, gdy wychodziłam z pracy, zadzwonił telefon.– Nuna, co dokładnie nam przysłałaś? – zapytał Min-ho bez słowa powitania.

– Żelazko, suszarkę, trochę witamin i innych drobiazgów – odparłam. Wymieniłam różne rzeczy z listy, skrupulatnie pomijając pieniądze. Zapytałam go, dlaczego nie zadzwonił. Zignorował to jednak i ponownie zapytał, co wsadziłam do worków. – Właśnie ci powiedziałam.

Rozłączył się bez słowa.

Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć.

Następnego dnia rano telefon znów zadzwonił. Tym razem usłyszałam nieznanego mi mężczyznę:

– Jestem przyjacielem twojej matki – powiedział. Miał głęboki, uspokajający głos. Nie mówił z akcentem z Hyesan. – Mieliśmy mały problem z powodu rzeczy, które wysłałaś. Zajmę się za nią wszystkim, ale muszę wiedzieć, ile pieniędzy było w worku.

To zadziwiające, jak często okazywałam chorą wręcz podejrzliwość wobec zupełnie niewinnych i życzliwych dla mnie ludzi, a gdy prawdziwe niebezpieczeństwo odezwało się melodyjnym głosem w telefonie, przez myśl nie przemknęło mi, żeby wątpić w szczerość intencji dzwoniącego.

– Dziękuję, że jej pan pomaga – wypaliłam. Często zastanawiałam się, czy matka się z kimś spotyka. Przecież nie miała jeszcze pięćdziesiątki. Pomyślałam, że może to jej sympatia.

– Nie ma za co. Wysłałaś suszarkę, prawda?

– Tak.

– I żelazko?

– Tak.

Sprawdził w ten sposób całą listę prezentów.

– A pieniądze? Ile tam było?

– Nie pamiętam – powiedziałam. – Matka będzie wiedziała. Proszę ją zapytać. Bardzo dziękuję za pomoc.

– Naprawdę nie ma za co – odparł i zakończył rozmowę.

Tydzień później znów odezwał się Min-ho. Byłam właśnie w supermarkecie w dzielnicy koreańskiej i kupowałam warzywa.

– Dobrze się spisałaś, nuna – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Wszystkie nasze rozmowy w zeszłym tygodniu były kontrolowane.

Zamarłam między karczochami i chińską kapustą.

– Człowiek, z którym rozmawiałaś, to wyższy rangą wojskowy. Dzwonił z sali konferencyjnej. Miał włączony głośnik, więc pozostali mogli słyszeć, co mówiłaś.

Pozostali?

Brat wyjaśnił mi, że pożyczył samochód, żeby około drugiej po południu odebrać torby przerzucone przez rzekę. Miał wszystko ustalone ze strażą graniczną, ale gdy pakował towar do bagażnika, przejeżdżający w oddali na motocyklu wyższy rangą wojskowy zobaczył, co się dzieje, i zaczął krzyczeć. Strażnicy uciekli, a Min-ho natychmiast odjechał.

Tamtej nocy siedmiu czy ośmiu uzbrojonych ludzi stanęło na progu domu matki. Przeszukali wszystko i znaleźli dwa niebieskie worki, ale trzeciego, małego, białego, który Min-ho ukrył poza domem, nie zdołali odnaleźć. Brata i matkę aresztowano i zabrano do koszar Koreańskiej Armii Ludowej w Hyesan. W czasie przesłuchania Min-ho zarzekał się, że wszystko, co znaleziono, mieściło się w dwóch niebieskich workach. Mówił, że nie ma pojęcia o białym pakunku, choć wojskowy upierał się, że widział trzy paczki. Żołnierze zamknęli brata w celi. Niedługo pojawiło się w niej dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Zaczęli kopać Min-ho i bić go po głowie metalowymi pałkami obciągniętymi gumą. Mimo to wszystkiemu zaprzeczał. Powiedział, że prędzej dałby się zabić, niż oddał draniom pieniądze.

Słuchałam, nadal stojąc bez ruchu, z koszykiem u stóp, pozwalając, by mijały mnie kolejne matki z dziećmi.

Moja matka siedziała w czasie przesłuchania w sąsiedniej celi, słyszała więc krzyki i wycie Min-ho, gdy żołnierze się nad nim pastwili. Miała nadzieję, że natychmiast wszystko im powie, ale on milczał. Ciągnęło się to minuta za minutą. Matka nie dała rady tego znieść. Zaczęła walić w żelazne drzwi celi z całą siłą. Wrzeszczała, że powie im wszystko, co chcą wiedzieć. Natychmiast przyznała się do schowania białej paczki. Powiedziała też, gdzie jej szukać.

Kwota, którą znaleźli, zaskoczyła żołnierzy. Wezwali swojego dowódcę. Ten powiedział, że nigdy nie widział, by przez granicę przerzucono tak dużo pieniędzy. Pomyślał, że to fundusze przysłane przez południowokoreańskich szpiegów i że mogę być agentką południowokoreańskiego wywiadu, *angibu*. Dlatego kazali Min-ho do mnie zadzwonić. Gdy mnie usłyszeli, wymienili tylko spojrzenia. Fakt, że nie mówiłam już z północnokoreańskim akcentem,

tylko wzmocnił ich przekonanie, że jestem agentką z południa.

Gdy ten wyższy rangą wojskowy zadzwonił do mnie, nie miałam oczywiście o niczym pojęcia. To akurat zadziałało na moją korzyść, bo odpowiadałam spokojnie i szczerze, co przekonało go, że jestem osobą prywatną, która chciała tylko przesłać trochę rzeczy i pieniędzy rodzinie. Potem wojskowi przedstawili matce i Min-ho propozycję. Stwierdzili, że w normalnych okolicznościach moja rodzina powinna trafić do obozu pracy, jeśli jednak zgodzą się milczeć, to zostaną zwolnieni. Matka i Min-ho przystali na to. Wojskowi oddali matce suszarkę i fiolki z witaminami, zostawiając w każdej po kilka pastylek. Resztę – w tym oczywiście całą gotówkę, wszystkie ciężko zarobione przeze mnie pieniądze – ukradli.

***

Od czasu ostatniego kontaktu z pośrednikiem, który dla mnie i Ok-hee miał załatwić dokumenty, na podstawie których mogłybyśmy wystąpić o wydanie zastępników „zagubionych" południowokoreańskich paszportów, minęły całe miesiące. Alarmujące wieści z Hyesan sprawiły, że zaczęłyśmy się coraz bardziej denerwować. Następne wydarzenia przekonały mnie, że zmierzamy w fatalnym kierunku.

W krótkiej i treściwej rozmowie telefonicznej matka oznajmiła mi, że ona i Min-ho natychmiast wyjeżdżają do Hamhung, do Ciotki Ślicznej. W związku z tym przez jakiś czas nie będą mogli kontaktować się ze mną.

Zaledwie kilka dni po tym, jak armia zwolniła moich bliskich z aresztu, w Pyongyang ogłoszono jedną z regularnych akcji przeciwko korupcji i kapitalizmowi. Do miasta przyjechał oddział specjalny *Bowibu*. Sąsiedzi wiedzieli, że matka miała kłopoty, widzieli przecież wojsko na progu jej domu. Dlatego donieśli na nią agentom. Wkrótce matka otrzymała wezwanie do głównej siedziby *Bowibu* w Hyesan. Kazano jej tam czekać całymi godzinami. Wiedziała, że ludzie, którzy wchodzą do tego miejsca, czasami już go nie opuszczają. Poprosiła o pozwolenie na skorzystanie z toalety. Zamknęła za sobą drzwi, przecisnęła się przez małe okno, przeskoczyła przez mur i uciekła. Sytuacja stała się zbyt poważna, by matka mogła załatwić ją zwyczajowymi łapówkami i przekonywaniem. Wiedziała jednak, że i z takich kłopotów można wyjść obronną ręką. Akcje rządu w Pyongyang miały to do

siebie, że jeśli człowiek, przeciwko któremu toczyło się postępowanie, zdołał zniknąć na czas, później mógł wrócić po cichu do dawnego życia bez żadnych konsekwencji. Należało tylko pozwolić, by sprawy nieco się uspokoiły. Dlatego matka zamknęła dom i zadzwoniła, żeby oznajmić, że wyjeżdżają.

To przesądziło sprawę. Wszystko, co miało miejsce w ostatnim czasie, zdawało się być na wskroś przesiąknięte pechem. Próba dostania się do Korei Południowej na podrobionych papierach w jednej chwili wydała mi się najgorszym pomysłem, na jaki kiedykolwiek wpadłam. Z pewnością skończyłaby się tragicznie, a mnie i Ok-hee odesłano by do Korei Północnej. Ok-hee przyznała mi rację.

Zadzwoniłyśmy do pośrednika i zerwałyśmy umowę.

Minęły trzy miesiące, zanim matka mogła wrócić do Hyesan. Najpierw przygotowała odpowiednio teren – sprezentowała głównemu śledczemu nową chińską lodówkę i wręczyła sporą łapówkę, by wykreślił jej nazwisko z listy podejrzanych. Potem wróciła do domu. Sąsiedzi mieszkający obok, ci, którzy złożyli na nią donos, przyglądali się jej, jakby zobaczyli ducha. Matka musiała przywitać się grzecznie z tymi wzorowymi obywatelami i uśmiechać się, zupełnie jakby wszystko to, co miało miejsce, było tylko nieporozumieniem.

– Krążyły plotki, że deportowano cię do obozu pracy – mówili sąsiedzi. Spodziewali się, że lada dzień rząd zajmie dom matki.

Gdy wreszcie znalazła się w środku i zamknęła za sobą drzwi, osunęła się na podłogę. Zrozumiała, że niebawem będzie musiała znów przeprowadzić się do innej dzielnicy.

ROZDZIAŁ 35

W OKOWACH MIŁOŚCI

Spędziłam w Szanghaju kolejny rok. Znalazłam nową, dobrze płatną pracę, tym razem dla firmy kosmetycznej w dzielnicy Mihang. Zostałam tłumaczką właściciela, Japończyka, który nie mówił zbyt dobrze ani po mandaryńsku, ani po koreańsku.

Przeprowadziłam się do lepszego mieszkania w Longbai. Podobały mi się tamtejsze ulice wysadzane figowcami. Ludzie mieszkali blisko siebie. Była to dzielnica z aspiracjami, choć jak to zwykle w Szanghaju, tu i ówdzie widywało się ślady nędzy. Emeryci z czasów maoizmu w pikowanych kurtkach grali w madżonga na progach domów, nie zwracając uwagi na wystrojone w garsonki od Prady dziewczęta, które mknęły do pracy.

Poza Ok-hee w kręgu moich znajomych pojawiali się teraz wyłącznie mieszkający w Chinach Koreańczycy z Południa. Często jadaliśmy poza domem i urządzaliśmy sobie weekendowe wypady poza miasto. Miałam dwadzieścia pięć lat i teoretycznie żadnych powodów do narzekania. Tylko Ok-hee rozumiała pustkę w moim sercu.

***

Pewnego wieczoru, na początku 2006 roku, moi przyjaciele stwierdzili, że warto wybrać się do ekskluzywnego koktajlbaru mieszczącego się na ostatnim piętrze jednego z drogich hoteli w Bund. Ostatnio otwarto ich kilka, wszystkie oferowały niezwykły widok na panoramę miasta i wieżowce Pudong rozpostarte nad brzegami rzeki Huagpu.

W grupie, która ostatecznie wybrała się do miasta, był nieznany mi wcześniej człowiek. Miał zaczesane do tyłu błyszczące, czarne włosy, twarz

o pięknych proporcjach i doskonale prosty nos. Nosił szyty na miarę garnitur, a mankiety koszuli spięte spinkami. Przedstawił się jako Kim. Przyjechał do Szanghaju z Seulu w interesach. Usiedliśmy przy oknie i zaczęliśmy rozmawiać. Niemal natychmiast zapomnieliśmy o wszystkim, co działo się wokół nas, zupełnie jakbyśmy byli w tym barze sami. Róż zachodu słońca przeszedł w złotą poświatę zapalanych lamp, a pejzaż nad rzeką zamigotał nagle tysiącem świateł. Kim niechętnie mówił o sobie i starannie dobierał słowa. Ta wstrzemięźliwość wydała mi się pociągająca. Jeden z naszych wspólnych znajomych ni stąd, ni zowąd wypalił, że Kim pracował kiedyś jako model. Nie zdziwiło mnie to. Podobał mi się jego styl. Nie starał się flirtować ani mi zaimponować, ale w jego oczach widziałam, że mu się podobam. Miał w sobie pewną arogancję – ten rodzaj pewności siebie, który wynika ze statusu społecznego i stanu konta. Ale i to przypadło mi do gustu. Coś sprawiło, że zniknęły trzymające mnie przy ziemi ograniczenia. Zaczęłam unosić się w powietrzu. Zdawało się, że minęło zaledwie kilka minut, gdy usłyszeliśmy, że zamykają bar. Siedzieliśmy tam przeszło cztery godziny. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś, co tak odczuwalnie zamąciłoby mi postrzeganie upływu czasu.

Następnego dnia Kim zadzwonił i zapytał, czy umówiłabym się z nim na kolację. Miał wracać do Seulu. Żywiłam wobec niego na tyle ciepłe uczucia, by wiedzieć, że po jego wyjeździe będzie mi bardzo przykro. Dlatego odmówiłam. Bałam się cierpienia.

W nocy nie mogłam usnąć. Żałowałam swojej decyzji. Głupia, nigdy więcej go nie zobaczysz, myślałam.

Rankiem sama do niego zadzwoniłam. Zapytałam, czy ma ochotę na kawę przed odlotem. Gdy zobaczyłam, jak wstaje na powitanie w kawiarni w Longbai, miałam wrażenie, że otacza go jakaś świetlana aura. Zapytałam, czy nie może opóźnić nieco swojego wyjazdu. Zadzwonił gdzieś natychmiast, po czym powiedział, że może zostać jeszcze kilka dni.

Znów zaczęłam się modlić – robiłam to naprawdę przy nielicznych okazjach: Wiem, że ten mężczyzna nie jest partią dla mnie. Pochodzimy z innych światów, ale proszę, niech tych kilka dni należy do nas. Chcę się z nim spotykać.

Następny tydzień żyłam jak w transie. Nigdy dotąd nie dopuszczałam do siebie myśli o związku. Uczucia, jakie żywiłam wobec matki i brata w zupełności mi wystarczały. Czułam popęd seksualny, ale skrywałam go

bardzo głęboko. Tak naprawdę wcześniej prawie się nie całowałam.

Kilka dodatkowych dni, które Kim miał spędzić w Szanghaju, przeciągnęło się w miesiąc. A miesiąc w dwa lata. Kim wynajął mieszkanie zaledwie kilka kroków od Longbai. Nasza znajomość bardzo szybko przekształciła się w poważny związek.

Kim skończył uniwersytet w Seulu i pracował dla swoich rodziców, zarządzając kilkoma nieruchomościami, które posiadali w Szanghaju. Otworzył przede mną drzwi do świata, jaki wcześniej mignął mi zaledwie kilka razy przed oczami. Nigdy nie martwił się o pieniądze. Życie zdawało się upływać mu bez większych trosk, a problemy, z jakimi się borykał, należały do zupełnie innej kategorii niż moje – obliczanie stopy zysku z wynajmu nieruchomości, szukanie najemców czy spotkania z planistami. Wydawał się nieświadomy szacunku, jakim otaczali go ludzie, bo nikt nigdy nie traktował go inaczej. Bez trudu rezerwował stoliki w najlepszych francuskich restauracjach w Bund. Gdy latał do Chin w interesach, zabierał mnie ze sobą. Nie miał kryształowego charakteru, jak się szybko przekonałam. Cechowała go pewna lekkomyślność, która prawdopodobnie wynikała z faktu, że zwykle robił tylko to, czego oczekiwali od niego rodzice, i nigdy nie dokonywał w życiu własnych wyborów. Gdy raz wybraliśmy się do Shenzen, zabrał mnie do prywatnego podmiejskiego ośrodka rekreacyjnego. Wokół rosły palmy, a przed budynkiem parkowały wyłącznie limuzyny i samochody sportowe. W klubie funkcjonował działający do późna bar, w którym na stołach tańczyły kobiety z powiększonymi biustami. Byłam zszokowana, ale Kim patrzył na to wszystko z uprzejmym znudzeniem. Przyniesiono nam szampana na koszt klubu. Nie piję alkoholu, więc Kim wypił całą butelkę sam. Takie zachowania zdarzały mu się jednak rzadko. Przez większość czasu był delikatny, czuły i cichy. Był osobą, której chciałam powierzyć swoje tajemnice. Nabierałam coraz większego przekonania, że właśnie tego mężczyznę chciałabym poślubić. W ten sposób problem przedostania się do Korei Południowej znów powrócił do mojego życia.

***

Gdy powiedziałam matce, że rozważam wyjazd do Korei Południowej, nie

przyjęła tego dobrze.

– Dlaczego chcesz przenieść się na terytorium wroga? – zapytała. – Będziemy mieć przez to jeszcze większe problemy. – Słyszałam jednak rezygnację w jej głosie. Stwierdziła, że pod tym względem ja i Min-ho jesteśmy tacy sami. Uparci, nieposłuszni i zawzięci. Min-ho nie zmienił zdania nawet wtedy, gdy bito go w celi. Matka wiedziała, że hyesański upór wygra u mnie ze wszystkim.

– Chiny to nie mój kraj, nie mój dom – przekonywałam. – Korea Południowa to przynajmniej Korea.

– Ale powinnaś pomyśleć o ślubie…

Z każdym mijającym rokiem matka martwiła się coraz bardziej, że jeszcze nie znalazłam sobie męża. Przyznała, że sama zaczęła szukać kogoś dla mnie – mężczyzny o odpowiednim *songbun*, który zarabiałby godne pieniądze i pochodził z rodziny zdolnej do utrzymania naszego sekretu. Opowiadała mi o ludziach z Hyesan, których zaczęła sprawdzać w moim imieniu. Znów stwierdziła z przekonaniem, że zdoła przekupić urzędników, wymazać wszystkie wpisy w papierach i załatwić mi możliwość uniknięcia kary. Nie miałam serca powiedzieć jej, że chcę jechać do Korei Południowej, żeby poślubić tam mężczyznę, którego kocham.

***

Mniej więcej rok po poznaniu Kima rzuciłam pracę i przez jakiś czas żyłam z oszczędności. W wolnych chwilach zaczęłam sprawdzać, jak mogłabym dostać się do Seulu. Na stronie internetowej założonej przez przebywających w Korei Południowej uchodźców z Północy widziałam powracający raz po raz ten sam problem, który męczył i mnie: „Przebywam nielegalnie w Chinach. Jak mogę dostać się do Seulu?”. Ci, którym się udało, udzielali innym rad. Wydawało mi się, że w 2004 roku na emigrację zdecydowała się rekordowa liczba ludzi. Teraz był rok 2007 i uciekinierów było jeszcze więcej.

Zadzwoniłam pod numer pomocy w Seulu podany na stronie internetowej. Pełna zrozumienia kobieta podała mi numer telefonu do pośrednika. Człowiek ten cierpliwie wyjaśnił mi, że mam trzy możliwości. Ponieważ miałam chiński dowód, mogłam wystąpić o wydanie paszportu. Byłam

jednak osobą samotną, więc mogłam mieć problemy z uzyskaniem wizy, bo trudno byłoby mi przekonać władze południowokoreańskie, że wrócę do Chin. Zatem najłatwiej byłoby mi poślubić Chińczyka z rodziną w Korei Południowej i załatwić od nich zaproszenie. Tę możliwość odrzuciłam od razu. Następna była jednak jeszcze gorsza. Mogłam zapłacić za fałszywą wizę – kosztowałoby mnie to około dziesięciu tysięcy dolarów. To rozwiązanie było drogie i wydawało mi się wyjątkowo niebezpieczne. Gdyby ktokolwiek odkrył, że wiza jest podrobiona, zostałabym odesłana do Chin i sprawdzona przez tutejszą policję, która natychmiast odkryłaby, że moja tożsamość jest fałszywa. Kolejna polegała na dostaniu się do innego kraju, na przykład Mongolii, Tajlandii, Wietnamu czy Kambodży, w którym uchodźcom z Korei Północnej przysługiwał status uchodźców politycznych, co z kolei pozwalało im wyjechać bez przeszkód do Korei Południowej. To kosztowałoby zaledwie trzy tysiące dolarów, ale oczekiwanie na potwierdzenie statusu uchodźcy mogło trwać naprawdę długo.

Po rozmowie z pośrednikiem poczułam się załamana. Żadna z tych możliwości do mnie nie przemawiała. Nie posunęłam się ani o krok do przodu. Ale nie miałam zamiaru poddawać się na tym etapie. Po prawie dziesięciu latach życia w Chinach miałam dość stanu wiecznego zawieszenia w próżni. Chciałam wreszcie uporządkować swoje życie. I poślubić Kima.

***

Kilka dni później Kim i ja wybraliśmy się na kolację z przyjaciółmi. Nie byłam ani specjalnie głodna, ani w nastroju do spotkań towarzyskich. Ciągle rozważałam w myślach to, co powiedział mi pośrednik. Kelnerki wniosły na stół ogromne, duszone kraby. Oddzielanie białego mięsa od różowych skorup zawsze kończyło się bałaganem. Gdy skończyłam jeść, zauważyłam pod miseczką papierową podkładkę przedstawiającą mapę świata – z Szanghajem zaznaczonym w samym jej środku. Całość otaczały dwa czerwone chińskie smoki. Zaczęłam szukać na niej pozostałych krajów, które wymienił pośrednik – Tajlandii, Mongolii, Wietnamu i Kambodży. Nie byłam nawet pewna, gdzie leżą, więc zajęło mi to chwilę. Wprawdzie wszystkie były w Azji, lecz Chiny zajmowały tak wielki teren, że żaden z nich nie znajdował się w pobliżu Szanghaju.

– Wszystko w porządku? – zapytał Kim.

Powiedziałam mu, że jestem zmęczona. Zwinęłam podkładkę i schowałam ją do torebki.

***

Następnego dnia obudziłam się o świcie.

Coś w tej mapie nie dawało mi spokoju. Wyjęłam ją i rozprostowałam na stole. Raz jeszcze przyjrzałam się wszystkim wymienionym przez pośrednika krajom.

Gdy zrozumiałam, o co chodzi, przeszły mnie ciarki.

Nie potrzebuję fałszywej wizy. Nie muszę szukać azylu w odległych krajach. I nie muszę wychodzić za Chińczyka… Wystarczy przecież dostać się na lotnisko w Incheon.

Natychmiast zadzwoniłam do Ok-hee. Słychać było, że ją obudziłam.

– Chyba znalazłam rozwiązanie – oznajmiłam.

***

Wiedziałam, że chiński paszport uprawnia mnie do otrzymania wizy do Tajlandii. Gdybym zarezerwowała bilet na lot do Bangkoku z przesiadką na Incheon, to po dotarciu do Seulu mogłabym zgłosić się do pracowników lotniska, przyznać do północnokoreańskiego pochodzenia i poprosić o azyl. Wiz potrzebowali zwykli podróżni. Ja nie byłam podróżną, byłam zbiegiem. Musiałam oczywiście kupić także bilet powrotny, żeby nie wzbudzić podejrzeń władz imigracyjnych w Szanghaju.

Podczas następnego spotkania ze znajomymi, zapytałam jednego z nich, czy można polecieć taką trasą.

– Zgłupiałaś? Kto niby miałby wybrać taką drogę?

Miał rację.

Trasa Szanghaj–Incheon–Bangkok–Incheon–Szanghaj była wbrew wszelkiej logice. Jak miałam wyjaśnić urzędnikowi imigracyjnemu w Szanghaju, że lecę do leżącego na południowym zachodzie Bangkoku, nadkładając przeszło trzy tysiące kilometrów na międzylądowanie na leżącym na północnym wschodzie Incheon, jeśli nie występowałam przy tym

o wizę do Korei Południowej?

Potrzebowałam jakiejś przekonującej historyjki.

Ciągle szukałam odpowiedniego uzasadnienia, ale złożyłam też podanie o chiński paszport. Zostało rozpatrzone znacznie szybciej, niż podejrzewałam, i dokument przysłano mi pocztą.

Potem wystąpiłam o wizję do Tajlandii. Pracownik biura podróży wysłał mój paszport do tajskiego konsulatu w Pekinie, skąd dokument wrócił tydzień później z wbitą do niego wizą. Byłam niemal gotowa do akcji, pozostawało mi tylko kupić bilet powrotny na samolot.

Ok-hee nie mogła ubiegać się o chiński paszport, ponieważ jej dokumenty były podrabiane. Dlatego zapłaciła pośrednikowi za zorganizowanie fałszywego paszportu południowokoreańskiego. W ten sposób mogła przynajmniej dotrzeć do punktu odprawy imigracyjnej w Południowej Korei. Wybrała inną drogę – promem z Quingdao do Incheon.

Jednej sprawy nie mogłam dłużej odwlekać. Musiałam wyznać Kimowi prawdę o sobie.

ROZDZIAŁ 36

KIERUNEK: SEUL

Pewnego słonecznego grudniowego dnia Kim przygotowywał dla nas obiad w swoim mieszkaniu. Zaczęłam temat od stwierdzenia, że chciałabym mieszkać w Seulu.

– Dlaczego? – Podkręcił mocniej gaz i zaczął mieszać na patelni bambusową szpatułką posiekany seler. Zrobił przy tym dziwną minę. – Chińczycy koreańskiego pochodzenia nie mają zbyt wysokiego statusu w Korei Południowej – powiedział, przekrzykując syczenie warzyw na rozgrzanej patelni. – Przecież o tym wiesz.

– Wiem.

Jednym z powodów, dla których zależało mi na przeprowadzce – choć miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała wypowiadać go na głos – było to, że chciałam wziąć z Kimem ślub.

Przyglądałam się, jak dodaje do dania kalmara, grzyby, sól i pieprz.

– Przecież żyje ci się tu dobrze, lepiej niż kiedykolwiek będzie w Seulu. Jesteś Chinką, to twój kraj.

Nie był to zbytnio zachęcający wstęp do dalszej rozmowy.

Jeszcze tylko kapka sake i odrobina sosu sojowego i lunch był gotowy. Danie wyszło doskonałe, ale jadłam w milczeniu.

– Czy to cię trapi ostatnimi czasy? – zapytał z ustami pełnymi parującego jedzenia. Obawiał się, że w Południowej Korei będę w połowie obca, bo przecież dla niego byłam Chinką urodzoną w koreańskiej rodzinie. – Wierz mi, Koreańczycy niczego nie ułatwiają swoim pobratymcom urodzonym w innych krajach. Tych z Ameryki traktują jak obcych, a tych z Chin mają za coś gorszego od siebie.

– Mam swoje powody.

– Jakie?

Wzięłam głęboki wdech.

– Nie jestem Chinką.

– Co masz na myśli? – Uniósł miseczkę w górę, by zgarnąć do ust kolejną porcję jedzenia.

– Nie jestem obywatelką Chin. Mam fałszywy dowód. Nie urodziłam się w koreańskiej rodzinie żyjącej w Chinach.

Kim odstawił miskę.

– Chyba nie rozumiem.

– Jestem z Korei Północnej.

Przez chwilę przyglądał mi się, jakbym właśnie opowiedziała niesmaczny dowcip.

– Słucham?

– Jestem z Korei Północnej. Dlatego chcę się dostać na południe. Urodziłam się i wychowałam w Hyesan, w prowincji Ryanggang, w Korei Północnej. Do domu nie mogę wrócić, więc chciałabym zamieszkać w tej drugiej Korei.

Odłożył pałeczki na stół i odchylił się na krześle. Po ciągnącej się w nieskończoność chwili milczenia powiedział:

– Tego się nie spodziewałem. Setki razy słyszałem przecież, jak rozmawiasz z rodziną. Przecież oni są w Shenyang.

– Nie. Mieszkają w Hyesan, niedaleko chińsko-koreańskiej granicy.

Kim aż westchnął z niedowierzania.

– Jak mogłaś ukrywać to przede mną przez dwa lata? – Cała jego twarz wyrażała głęboką urazę. – Jak mogłaś przez cały ten czas kłamać mi prosto w oczy?

Zdecydowanie bardziej bolało go moje oszustwo niż fakt, że urodziłam się we wrogim kraju.

– Postaraj się, proszę, zrozumieć – powiedziałam, starając się panować nad głosem. – Kiedy mieszkałam w Shenyang, miałam niemałe problemy, bo kilku osobom powiedziałam prawdę na swój temat. O mało nie odesłano mnie przez to z powrotem do Korei Północnej. Przyjechałam do Szanghaju, bo tu nikt nie wiedział, kim jestem. Prawdę zna tylko jedna przyjaciółka z Korei Północnej. I teraz ty. Dwie osoby.

Znów zamilkł na długo i przyglądał mi się, jakby poznając na nowo. Zimowe słońce wpadło do pokoju, zmieniając twarz Kima w płaskorzeźbę

o mocno zaznaczonych krawędziach. Pomyślałam, że nigdy jeszcze nie wydawał mi się tak piękny. Powoli uraza znikała z jego oczu, zastępowana rosnącą ciekawością.

Opowiedziałam mu, jak przekroczyłam granicę na rzece Yalu oraz jak żyłam wcześniej w Chinach. Gdy zbliżałam się do końca, pochylił się w moją stronę i chwycił mnie za ręce. A potem zaskoczył mnie zupełnie i zaczął się śmiać. Był to łagodny, pełen rozluźnienia śmiech w stylu „no, kto by pomyślał".

– W takim razie rzeczywiście powinnaś jechać do Korei Południowej. Spędźmy tu Nowy Rok, a potem lecimy.

W tamtej chwili kochałam go chyba mocniej niż kiedykolwiek wcześniej czy później.

Zarezerwowałam bilety na styczeń 2008 roku.

***

Matka nadal sprzeciwiała się całkowicie temu pomysłowi, ale ustąpiła, gdy zrozumiała, że nie mam zamiaru zmienić zdania. Kim był teraz dla mnie zbyt ważny, ale nadal nie miałam odwagi, żeby powiedzieć o nim matce. Ona nadal marzyła, że pewnego dnia wrócę do Hyesan.

Mniej więcej w tym okresie podałam swoje dane na stronie dla uchodźców *People Search*, żeby przekonać się, czy znajdę w Chinach jeszcze kogoś z Hyesan. Podałam tam nazwę mojej szkoły średniej, rok jej ukończenia i zostawiłam adres mejlowy. Nie minął dzień, a otrzymałam wiadomość od dziewczyny, która utrzymywała, że też jest z Hyesan, choć nie z mojej szkoły. Rozmawiałyśmy ze sobą na czacie. Gdy powiedziała, że jest teraz w Harbin, ja wspomniałam, że żyję w Szanghaju. Nie chciałam zdradzać więcej. Nie powiedziałam tego na głos, ale byłam przynajmniej w połowie przekonana, że mam do czynienia z mężczyzną, przypuszczalnie działającym w Chinach agentem *Bowibu*.

– Masz kamerę w komputerze? – zapytała. Widać wyczuła moją podejrzliwość. – Włączę swoją, to przekonasz się, że jestem kobietą i że nie jestem szpiegiem, dobrze?

Na ekranie pojawił się obraz. W szaroróżowej, lekko przyciemnionej poświacie siedziała uśmiechnięta dziewczyna mniej więcej w moim wieku,

lecz ku mojemu zaskoczeniu nie miała na sobie ani bluzki, ani stanika. Kim siedział obok mnie i zaczął się uważnie przyglądać.

– Jesteś naga? – zapytałam.

– Tak. Przepraszam, ale jestem w pracy.

Kim i ja zerknęliśmy na siebie.

– Gdy dzwoni klient, muszę od razu uruchamiać czat, więc nie mam czasu ubierać się między rozmowami.

– Eee, a co to za praca?

– Rozmowy wideo – odparła radośnie.

Nazywała się Shin-suh. Usiłowała dostać się do Korei Południowej, ale została złapana w Kunming i deportowana do Korei Północnej. Kunming to duże miasto leżące na południowym zachodzie, do którego bardzo często kierują się północni Koreańczycy zmierzający do któregoś z państw Azji Południowo-Wschodniej uznających ich prawa uchodźców. Rok później uciekła ponownie i pracowała w ten sposób, żeby zarobić na pośrednika, który miał pomóc jej dostać się do Korei Południowej.

– Wybrałaś taką pracę?

– Oczywiście, że nie. – Zaśmiała się smutno. – Większość pośredników zajmuje się handlem żywym towarem. Pomagają uciekać tylko kobietom. Opłacają ich przyszli mężowie albo domy publiczne. To też rodzaj prostytucji, ale nowy. I prawdę mówiąc wolę pracować tak, niż rzeczywiście być prostytutką.

Na tym etapie nie miałam już żadnych podejrzeń.

– Niedługo spróbuję przedostać się do Seulu. Jeśli mi się uda, postaram się sprowadzić cię tam – powiedziałam jej. Naprawdę chciałam pomóc tej dziewczynie.

***

Data odlotu zbliżała się coraz bardziej, a ja z każdym dniem robiłam się coraz bardziej przestraszona perspektywą odprawy imigracyjnej na lotnisku Pudong w Szanghaju. Miałam wykupiony bilet do Seulu, ale wizę wyłącznie do Tajlandii.

– Jeśli się boisz, zadzwoń na lotnisko i zapytaj – doradził Kim.

Urzędnik imigracyjny nie potrafił odpowiedzieć na moje pytanie z całą

pewnością. Powiedział, że to nie będzie niemożliwe, ale mimo wszystko trudne.

– Proszę spojrzeć na mapę. Naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego chce pani lecieć przez Koreę Południową, skoro wybiera się pani do Tajlandii. Poza tym wielu Chińczyków koreańskiego pochodzenia wylatuje do Seulu i nigdy już nie wraca, a to problem dla obu krajów. Będzie musiała nam pani wyjaśnić, dlaczego decyduje się na taką trasę i przekonać nas, że mówi prawdę. Wtedy podbijemy pani paszport i pozwolimy przejść.

Wyobraziłam sobie procedurę kontroli paszportowej, starając się przewidzieć wszystkie możliwości i raz jeszcze sprawdziłam swoją historię. Mogli zapytać mnie o cokolwiek, wiec pomyślałam, że poza paszportem warto zabrać ze sobą wszystkie dokumenty, jakie miałam – prawo jazdy, dowód osobisty, wszystko, co mogło świadczyć, że w Szanghaju na mój powrót czeka uporządkowane i dostatnie życie. Byłam gotowa.

***

Kim odprowadził mnie na lotnisko i pożegnał się. Uznaliśmy, że wspólna podróż mogłaby wszystko skomplikować.

– Zadzwonię do ciebie z Seulu – powiedziałam. Nie wspomniałam o drugiej możliwości, nie chcąc kusić losu. Kilka minut później stałam już przed urzędnikiem imigracyjnym.

– Leci pani do Tajlandii? – zapytał, wydymając przy tym wargi.

– Tak.

– Dziwna trasa.

– Przepraszam?

– Dlaczego leci pani przez Koreę Południową? Ma pani bilet do Tajlandii, ale leci pani przez Incheon. To strasznie okrężna droga.

– Mój chłopak jest obecnie w Seulu. Zarezerwował sobie bilet do Bangkoku na ten sam lot z Incheon, co ja – powiedziałam. – Wracać będziemy tak samo.

Wyciągnął rękę.

– Proszę pokazać mi swój dowód.

Nabrał podejrzeń; może sądzi, że paszport jest fałszywy, pomyślałam. Położyłam na ladzie wszystkie swoje dokumenty. Wyglądało na to, że ich

widok trochę uspokoił urzędnika. Stałam przy bramce już od dziesięciu minut, a on sprawdzał dokładnie wszystko, co mu pokazywałam. Za mną ustawiła się już spora kolejka. Bałam się, lecz nie miałam odwrotu. Trwało to całe wieki, ale w końcu wbił stempel wyjazdowy w mój paszport, spojrzał na mnie i przystawił stempel ponownie. Zabrałam swoje papiery i poszłam w stronę bramki.

Miałam jeszcze godzinę do wejścia na pokład. Wprawdzie w Szanghaju zima była łagodna, lecz przygotowałam się na ujemne temperatury w Korei i miałam na sobie ocieplany płaszcz. Teraz pociłam się ze strachu. Urzędnik mógł w każdej chwili zrozumieć, że to podstęp. Obawiałam się, że zaraz obok mnie pojawi się policja. Rozglądałam się nerwowo wokół. Gdy tylko zaczęto wpuszczać pasażerów na pokład, ruszyłam naprzód. Zajęłam swoje miejsce i nadal wyczekiwałam pojawienia się policji. Wreszcie zamknięto drzwi i samolot zaczął kołować. Napięcie zeszło ze mnie niczym powietrze z dętki. Oparłam się o zagłówek samolotowego fotela.

Ale mój spokój nie trwał długo. Chwilę później zaczęłam się zamartwiać tym, co stanie się na Incheon. Nie miałam dokumentów pozwalających mi przejść kontrolę bez trudu. Od lat byłam ukrywającym się zbiegiem. Próba przekroczenia granicy będzie wymagała ujawnienia się. Poczułam, jak zalewa mnie fala paniki.

Po godzinie pilot ogłosił, że będziemy podchodzić do lądowania. Kilka minut później zobaczyliśmy w dole Seul i Incheon. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe. Byłam bardzo podekscytowana i jednocześnie przerażona.

Nagle chmury rozwiały się i zobaczyłam rozciągające się na ziemi miasto – sięgało aż po horyzont, we wszystkich kierunkach. Patrzyłam na coś, co przypominało jakąś nieskończoną formację geologiczną, niezliczone stalagmity w kolorze piaskowca i poruszające się między nimi, małe jak mrówki, samochody.

Granica dzieląca Koreę Południową od Północnej jest wąska, a Pyongyang i Seul leżą niecałe dwieście kilometrów od siebie. A mimo to wydaje się, że dzieli je znacznie więcej, jakby leżały na dwóch krańcach świata. Pomyślałam o matce i Min-ho. Dzwoniłam do nich w Nowy Rok. Min-ho przekazał mi coś, co mocno mnie zaniepokoiło: że nasza matka trafiła do szpitala. Miała wypadek w domu i mocno się poparzyła. To tylko pogłębiło moje poczucie winy i sprawiło, że jeszcze bardziej pogubiłam się we własnych uczuciach.

Jęknęła hydraulika i samolot zaczął wypuszczać podwozie.
Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę swoją matkę?

CZĘŚĆ TRZECIA

PODRÓŻ DO JĄDRA CIEMNOŚCI

ROZDZIAŁ 37

WITAJCIE W KOREI

Dołączyłam do tłumu pasażerów wysiadających z samolotu, nie wiedząc, dokąd dalej iść ani co ze sobą zrobić. Obok szybko przechodzili ludzie ciągnący za sobą walizy na kółkach. Kilka osób oderwało się od głównego nurtu i zboczyło do toalet. Zastanawiałam się, czy – jak ja – starają się kupić trochę czasu przed spotkaniem z przeznaczeniem przy ladzie odprawy imigracyjnej.

Przez długi czas wydawało mi się, że dotarcie na lotnisko w Seulu będzie końcem długiej prywatnej podróży. Nie zastanawiałam się nad tym, co zrobię, gdy wreszcie tu dotrę. Teraz jak wszyscy inni sunęłam naprzód małymi, nerwowymi krokami. Zbliżałam się do tablicy informacyjnej, oddzielającej pasażerów tranzytowych od grupy udającej się do wyjścia z lotniska. Bilet, który miałam w kieszeni, pozwoliłby mi dolecieć do Bangkoku, gdybym chciała się stąd wydostać. Czułam w brzuchu niepokojące mrowienie, jakby tysiące motyli żyło we mnie i machało skrzydełkami. Zaczerpnęłam powietrza, zwolniłam trochę i skupiłam się na czekającej mnie konfrontacji.

Tłum zaczął rozdzielać się na węższe strumyki prowadzące do punktów kontroli imigracyjnej. Ustawiłam się w kolejce dla cudzoziemców. Nasz rządek przesuwał się miarowo do przodu, w tempie mniej więcej jednej osoby na minutę. W końcu od urzędnika kontroli imigracyjnej dzieliło mnie tylko pięć osób. Zaschło mi w ustach, a dłonie spotniały. Nie miałam pojęcia, co mam mu powiedzieć. Z rosnącym lękiem obserwowałam, jak przygląda się uważnie każdej osobie, sprawdza jej paszport, a potem monitor komputera. Za cztery minuty przyjdzie moja kolej. Usłyszałam za sobą jakiś hałas, obejrzałam się i zobaczyłam wydłużającą się kolejkę pasażerów

z następnego samolotu. Gdy ponownie spojrzałam przed siebie, kolejna osoba znów się przesunęła. Przede mną stały już tylko trzy. Zaczęłam mieć tremę, pojawił się wstyd. Dwie osoby przede mną. Nie było sposobu, by uniknąć zbiegowiska, gdy przejdę przez żółtą linię i oznajmię, że chcę ubiegać się o azyl polityczny. Jedna osoba.

Odwaga mnie opuściła.

Wyszłam z kolejki i ustawiłam się na końcu.

Czekanie zaczęło się od nowa, lecz tym razem, gdy przesuwałam się ku ladzie, zauważyłam po swojej prawej niewielki pokój. Przez otwarte drzwi widziałam ubranych w granatowe mundury urzędników imigracyjnych przy komputerach oraz trzy osoby siedzące przed nimi – dwie kobiety, które wyglądały na podróżne z Południowo-Wschodniej Azji, oraz przypuszczalnie Chińczyka. Domyśliłam się, że mieli jakieś problemy z dokumentami.

Załatwienie sprawy w tym pokoju byłoby mniej zawstydzające niż w punkcie odprawy. Weszłam do tego biura. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Serce zaczęło mi bić tak szybko, że gdy odezwałam się, zabrzmiałam, jak nagrana na taśmę.

– Jestem z Korei Północnej – powiedziałam. – Chciałam prosić o azyl.

Wszyscy urzędnicy unieśli głowy.

Potem znów spojrzeli na ekrany komputerów. Mężczyzna, który spojrzał pierwszy, uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem.

– Witamy w Korei – powiedział i pociągnął łyk kawy ze stojącego przed nim plastikowego kubka.

Straciłam pewność siebie. Domyślałam się, że moje przybycie do Korei Południowej będzie w jakimś stopniu doznaniem traumatycznym, lecz jednocześnie do głosu doszły bardziej pierwotne odruchy. Mężczyzna użył słowa *Hanguk*.

W obu Koreach, Północnej i Południowej, na określenie nazwy kraju używa się innych słów języka koreańskiego. Nazwa Korei Południowej, *Hanguk*, oznacza dosłownie „kraj Hanów” i nawiązuje w ten sposób do starożytnego pochodzenia etnicznego Koreańczyków. Oficjalna międzynarodowa nazwa Korei Południowej to Republika Korei. Na Północy używa się nazwy *Chosun*, nawiązując tym samym do okresu istnienia królestwa Joseon. Oficjalnie zaś kraj nazywa się Koreańską Republiką Ludowo-Demokratyczną. Krwawe dzieje obu krajów i propaganda w Korei Północnej wytworzyły między nami taką nienawiść i doprowadziły ludzi na Północy do

stanu takiej ignorancji, że słowo *Hanguk* od zawsze kojarzymy ze słowem „wróg” i wszystkim, co na świecie najgorsze.

– Gratulujemy dotarcia aż tu – odezwał się znów urzędnik. – Proszę chwilę poczekać.

Wrócił z dwoma mężczyznami ubranymi w takie same granatowe mundury i kobietą w ciemnej garsonce. Jeden z mężczyzn miał przy sobie przenośny skaner. Poprosili o mój paszport i zeskanowali go. Pokręcili głowami i spróbowali znów. Coś było nie w porządku.

– Naprawdę jest pani z Korei Północnej? – zapytała kobieta. Gdy zwracała się do swoich kolegów, nie używała form grzecznościowych, co upewniło mnie w przekonaniu, że to ona tu rządzi i zapewne jest agentką wywiadu.

– Tak.

– Pani paszport i wiza są prawdziwe – odparła. – Koreańczycy z Północy nie przyjeżdżają tu na legalnych papierach. Używają podróbek.

– To prawdziwy paszport, ale nazwisko nie jest moje. Urodziłam się Korei Północnej.

Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że ona ma mnie za Chinkę koreańskiego pochodzenia, udającą Koreankę z Północy i starającą się w ten sposób uzyskać obywatelstwo Korei Południowej.

Jej uwagę przykuł mój bagaż.

– Samsonite też jest prawdziwa – oznajmiła szorstko. – To nie podróbka.

Wcześniej nie zwróciłam uwagi na znaczek zachodniej marki, więc nie wiedziałam, dlaczego nazwała moją walizkę „Samsonite”. Kupiłam ją, bo wyglądała solidnie. Później dowiedziałam się, że ludzie w Korei Południowej są bardzo czuli na punkcie marek. Tylko cudzoziemcy i uchodźcy podróżują tam z podróbkami. Kobieta spojrzała mi prosto w oczy z miną taką, jakby przyłapała mnie na kłamstwie.

– Proszę powiedzieć prawdę – odezwał się jeden z urzędników. – Jeszcze nie jest za późno. – W jego tonie dobra rada mieszała się z pogróżką.

– Mówię prawdę.

– Gdy PSW zacznie prowadzić śledztwo, nie będzie już powrotu. Jeśli jest pani Chinką, zostanie pani osadzona w areszcie, a potem deportowana do Chin – powiedział.

Państwowa Służba Wywiadowcza była rządową agencją odpowiedzialną za zajmowanie się przybyłymi do Korei Południowej uciekinierami z Północy. Usłyszałam też, że jeśli zostanę deportowana, w Chinach będę musiała

zapłacić ogromną karę. Istniało też niebezpieczeństwo, że chińskie władze odkryją moje oszustwo i deportują mnie do Korei Północnej. Czyżby teraz, gdy udało mi się dotrzeć do Korei Południowej, nikt miał mi nie wierzyć?

Popełniłam straszliwy błąd.

Urzędnik kontynuował swoją wypowiedź:

– Proszę powiedzieć nam prawdę. Teraz. Nie będzie pani miała żadnych kłopotów. Pozwolimy pani wrócić do Szanghaju. – Przerwał, żebym mogła przetrawić jego słowa.

– Mówię wam prawdę. Nazywam się Park Min-young. Jestem gotowa poddać się śledztwu.

Nawet mnie prawda wydała się dziwna i wątpliwa. Nie używałam tego imienia od przeszło dziesięciu lat.

– W porządku. – Kobieta pokręciła głową. – Jak pani sobie życzy.

Następne dwie godziny spędziłam z nią sam na sam w pozbawionym okien pokoju, gdzie zadawała mi pytania i robiła notatki z moich odpowiedzi. Myślałam, że już skończyłyśmy, gdy otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn w garniturach i koszulach z rozpiętymi kołnierzykami. Byli starsi, jeden mógł mieć jakieś czterdzieści lat, drugi – całkiem siwy – przeszło pięćdziesiąt. Ze sposobu, w jaki powitała ich przesłuchująca mnie kobieta, wnosiłam, że byli jej przełożonymi. Potem ona wyszła, a mężczyźni zaczęli przesłuchiwać mnie ponownie. Oni też nie wierzyli, że pochodziłam z Korei Północnej. Starszy z nich mówił z pewną agresją.

Na tym etapie zaczynałam już czuć zmęczenie, chciało mi się też jeść i zaczynałam tracić wątek rozmowy.

O, ironio. W Shenyang musiałam przekonywać podejrzliwych policjantów, że jestem Chinką, a nie przybyszem z Korei Północnej, tutaj starałam się dokonać czegoś odwrotnego.

Po kolejnych dwóch godzinach oznajmili, że przewożą mnie do centrum operacyjnego PSW w Seulu. Wyprowadzili mnie z lotniska bocznym wyjściem prosto do podstawionego samochodu z kierowcą. Był już wczesny wieczór i robiło się ciemno. Spędziłam na lotnisku pięć godzin. Samochód okazał się być nowym, błyszczącym pojazdem bez żadnych oznaczeń. Usiadłam z tyłu z młodszym mężczyzną. Minęliśmy budynek terminalu lotniczego, wjechaliśmy na sześciopasmową autostradę oświetloną bursztynowym światłem sodowych latarni ulicznych.

– To droga do Seulu – powiedział ten młodszy. Był milszym z przesłuchujących mnie urzędników. Jego siwowłosy kolega, który siedział z przodu, w ogóle się nie odezwał.

Starałam się ocenić swoją sytuację. Nie jestem w więzieniu. Nie wsadzili mnie z powrotem do samolotu. To już było coś. Ale po tej myśli natychmiast przyszła kolejna, mniej pocieszająca. Co powiedzieliby moi przyjaciele w domu, gdyby wiedzieli, z kim teraz jestem? Dla Północnych Koreańczyków *angibu*, jak nazywali PSW, była złowieszczą organizacją, stojącą za wszystkimi katastrofami kolejowymi i wypadkami drogowymi. To oni w oczach moich krajanów odpowiadali za wszystkie zawalone budynki, wadliwe towary, niedostatki dostaw i niewyjaśnione pożary. Wiele osób w Korei Północnej, szczególnie tych wyżej postawionych, straciło życie w wyniku oskarżeń o współpracę z *angibu*.

– Byliśmy bardzo zajęci – wyjaśnił mężczyzna. – To nasza druga wyprawa na lotnisko. Tuż przed panią wylądowało tu stu pięćdziesięciu uciekinierów z Północy i trzeba było ich wszystkich sprawdzić.

– Ilu?

– Stu pięćdziesięciu. Co tydzień mniej więcej siedemdziesiąt osób dociera tu z Tajlandii i mniej więcej tyle samo z Mongolii i Kambodży.

Powiedział, że spodziewają się teraz największej w historii fali uchodźców, gdyż w Chinach rozpoczęto poważną akcję usuwania z kraju osób przebywających w nim nielegalnie, prowadzoną w ramach przygotowań przed olimpiadą w Pekinie w 2008 roku.

Potem zapytał mnie, co czuję wobec kraju, w którym teraz jestem i zaczął podawać mi podstawowe dane na temat długości życia tutaj, opieki zdrowotnej i średnich dochodów. Brzmiało to, jakby wygłaszał tę przemowę niejeden raz. Chciał w ten sposób obalić fałszywe przekonania wyrosłe na gruncie propagandy – że ludzie tu żyją w ubóstwie, że są prześladowani oraz że amerykańscy żołnierze stacjonujący w Seulu bezkarnie znęcają się nad dziećmi i osobami upośledzonymi. Propaganda północnokoreańska była tak groteskowo przerysowana, że aby obalić jej tezy, nikt na Południu nie musiał nawet przesadzać. Już w latach siedemdziesiątych, gdy Korea Południowa zaczęła rozwijać się gospodarczo i dorównywać największym światowym potęgom, do przekonania uciekinierów z Północy, że własny rząd okłamywał ich we wszystkim, wystarczyła wycieczka do fabryki samochodów Hyundai czy sklepu Lotte w Seulu. To działało nawet na najbardziej

zindoktrynowanych komandosów łapanych po nieudanych tajnych misjach prowadzonych na Południu.

Jechaliśmy szybko po pełnych samochodów ulicach wzdłuż rzeki Han, mijając Yeoido, rozwijającą się w zawrotnym tempie dzielnicę biurowców, które wyglądały jak wielkie zbudowane ze światła ule. Spojrzałam w górę i ujrzałam pokryty płytami złotego szkła budynek, który znałam z seriali telewizyjnych.

– To Wieżowiec Sześćdziesiąt Trzy – wyjaśnił agent. – Swojego rodzaju kamień milowy. Ma sześćdziesiąt trzy piętra. Nie możemy budować ich zbyt wysokich, żeby nie stały się celem ataków z Północy.

Tyle światła. Tyle bogactwa.

A wszystko to powstawało, gdy ja dorastałam niecałe pięćset kilometrów dalej na północ. Pokręciłam głową, gdy wreszcie dotarło do mnie, gdzie jestem. Przez chwilę czułam się tak podekscytowana, że ledwie mogłam oddychać. Znajdowałam się po drugiej stronie granicy mojego podzielonego kraju, w równoległej Korei. Ta wydawała się żywa i prawdziwa. W porównaniu z gnuśną i ponurą Północą kipiała energią i światłem w stopniu mnie zadziwiającym.

Podjechaliśmy pod monolityczny budynek kwatery głównej PSW. Przed wejściem stała uzbrojona warta. Wielkie drzwi otworzyły się bezszelestnie, a ja poczułam, jak cała ekscytacja gdzieś ze mnie ulatuje. Jak ujęli to agenci, wkrótce miało rozpocząć się moje „prawdziwe przesłuchanie”.

ROZDZIAŁ 38

KOBIETY

Pierwszą noc w Seulu spędziłam w ogólnym pokoju zatrzymań, w którym poza mną znajdowało się jeszcze około trzydziestu kobiet. Ledwie przekroczyłam jego próg i zobaczyłam spojrzenia moich towarzyszek, wiedziałam, że będę mieć kłopoty. Większość z nich była ode mnie starsza. Obrzuciły moje eleganckie ubrania z Szanghaju spojrzeniami wyrażającymi niechęć. Przyjechałam prosto z lotniska, one zaś wyglądały, jakby spędziły za kratkami całe lata. Jedna natychmiast zażądała, żebym oddała jej swoje ubrania.

Dwadzieścia z nich, jak się dowiedziałam, rzeczywiście niedawno opuściło więzienie. Trasa ich ucieczki była imponująca – prowadziła przez całe Chiny do Tajlandii, gdzie przed przekazaniem ambasadzie Korei Południowej, zostały zamknięte w areszcie przez tajską policję. To doświadczenie mocno je odczłowieczyło, o czym dowiedziałam się, bo zadbały, żebym poznała każdy szczegół ich losów. W budynku przeznaczonym do przetrzymywania około stu osób zamknięto prawie trzysta kobiet. Bardzo często nie miały nawet na czym siedzieć. Jeśli nowo przybyłe nie miały czym się opłacić, musiały spać obok cuchnącej latryny. W takich warunkach ciężko było utrzymać nerwy na wodzy, ciągle więc dochodziło do bójek. Władze Tajlandii wypuszczały zaledwie kilka osób tygodniowo, tak że oczekiwanie ciągnęło się całymi miesiącami. Ponieważ kobiety w ciąży miały pierwszeństwo, bardziej złośliwe z towarzyszek podróży oskarżały je, że są puszczalskimi dziwkami, które specjalnie zaszły w ciążę w czasie podróży, żeby teraz przeskoczyć kolejkę. Ich relacja mocno mnie zszokowała. Wydawało mi się, że gdy uciekinierzy przekroczą bezpiecznie granicę Chin z innym krajem, mogą spokojnie ubiegać się o azyl. Jednak dla wielu kobiet

prawdziwy koszmar zaczął się dopiero po opuszczeniu Chin. Wyjątkiem było kilka kobiet, które uciekały przez Mongolię. Władze Mongolii traktowały je dobrze i zakwaterowały w wygodnych domach z dostępem do kuchni.

Przemoc była wśród tych kobiet na porządku dziennym. Strażnicy pracujący dla PWS musieli ostrzec je, że wszelkie bójki są tu przestępstwem i jeśli będzie do nich dochodzić, proces uzyskiwania obywatelstwa znacznie się przeciągnie. Mimo to, w tym pokoju niemal codziennie dochodziło do wybuchów nienawiści.

Niemal wszystkie te kobiety uznały, że jestem mięczakiem i oszustką.

– Nigdy nie przetrwałabyś w Tajlandii. – Tę kąśliwość słyszałam najczęściej.

– Nie jesteś z Korei Północnej, prawda? – mówiły inne kobiety. – Wyglądasz jak Chinka i mówisz jak Chinka.

Pozwalałam im wierzyć, w co tylko chciały – nie widziałam powodów, by się przed nimi tłumaczyć – ale ich podejście bardzo mnie smuciło. Stały na progu wolności, lecz jad spływający z ich ust był tak żrący, tak toksyczny, że z łatwością mógł rozpuścić kraty każdej celi. Północni Koreańczycy potrafią żywić do innych ludzi negatywne uczucia bez powodu – to efekt trwających całe życie obowiązkowych sesji krytyki.

Częstym tematem rozmów były lesbijki. Dowiedziałam się, że w dusznym ścisku ciał tajlandzkiego więzienia dla kobiet wszystko odbywało się publicznie, nawet seks.

Rolę prowodyrki w tej grupie odgrywała olbrzymia kobieta o imponującej posturze i włosach przyciętych krótko jak u żołnierza. Pozostałe nazywały ją Zbir. W tajskim więzieniu wywalczyła sobie pozycję, wchodząc w fizyczną konfrontację z każdym, kto śmiał rzucić jej wyzwanie. Powiedziano mi, że jest lesbijką i że jej dziewczynę przetrzymują w innym pomieszczeniu. Zresztą ona sama nie ukrywała ani swojej orientacji seksualnej, ani zainteresowania moją osobą.

Wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się, że w Korei Północnej były osoby homoseksualne. Ze wstydem przyznaję, że do tamtej chwili uważałam homoseksualizm za sprawę dotyczącą wyłącznie obcych nacji, czasem tylko pojawiającą się w fabułach filmowych. Jedna z kobiet powiedziała mi, że homoseksualiści są w Korei Północnej wysyłani do obozów pracy, że cierpią w samotności i nie mogą zaufać nikomu, nawet swoim rodzinom. O tym też nie wiedziałam. Była to jedna z wielu rzeczy, o których miałam dowiedzieć

się niebawem o swojej ojczyźnie. Moje polityczne przebudzenie dopiero się zaczynało.

Aby uniknąć zaczepek, zaczęłam zachowywać się opryskliwie i prawie się nie odzywałam. Niestety taka polityka nie chroniła mnie w żaden sposób przed Zbirem. Mogę sobie tylko wyobrażać, jak trudno żyło się jej w Korei Północnej i ile tam wycierpiała. Lecz mimo to, zmieniła moje życie w tamtym pomieszczeniu w piekło. Mam zaledwie metr pięćdziesiąt siedem wzrostu i ważę nieco ponad czterdzieści pięć kilogramów. Ona była ode mnie większa i mogła powalić mnie na ziemię jednym ciosem. Początkowo starałam się z nią zaprzyjaźnić i w ten sposób uniknąć niebezpieczeństwa. Ale kolejne dni mijały, a zaczepki przeszły w kpiny i szyderstwa. Stawały się też coraz bardziej napastliwe i coraz częściej miały podłoże seksualne.

– Nie zrobię ci nic złego, dopóki nie śpisz – mówiła.

Dwa razy do naszej celi wchodził strażnik, który kazał jej zostawić mnie w spokoju. Przerażała mnie, lecz wiedziałam, że właśnie strachu nie mogę okazać. W końcu zaczęła się mnie czepiać niemal co godzinę. Nie potrafiła zostawić mnie w spokoju. Zrozumiałam, że muszę w końcu się jej postawić, mimo że była ode mnie starsza – w kulturze koreańskiej należał się jej z tego powodu szacunek. Jej zaczepki sprawiały, że z każdym dniem stawałam się bardziej spięta i nerwowa. Na razie jednak udawało mi się ukrywać to za maską obojętności. Nikt nie próbował jej powstrzymać, nawet starsze od niej kobiety.

Była też wśród nas młodsza ode mnie dziewczyna, Sun-mi. W pewien sposób się zaprzyjaźniłyśmy. W Chinach łapano ją trzy razy i zawsze odsyłano do Korei Północnej, gdzie agenci *Bowibu* kopali ją i bili pałkami. Zawsze pytali, czy spotkała jakichś Południowych Koreańczyków i chrześcijan.

– Co to są chrześcijanie? – pytała. – Nie wiedziałam, więc bili mnie dalej.

Zauważyłam, że najlżejszy hałas – zamknięcie drzwi czy skrzypnięcie krzesła – sprawiał, że Sun-mi stawała się nieobecna.

Pewnego popołudnia pod koniec mojego pierwszego tygodnia pobytu w sali kobiet Sun-mi oglądała jakiś program w telewizji. Wiedziałam, że bardzo cieszyła się z tego. Ja czytałam książkę. Do sali weszła Zbir, usiadła dokładnie przed Sun-mi, tak że zablokowała jej obraz, po czym wzięła pilota i przełączyła program.

To zabawne, że czasami tą ostatnią kroplą goryczy jest jakiś drobiazg.

Usłyszałam czyjś krzyk. Swój krzyk. Używałam ohydnych wyrażeń, jakimi nigdy w życiu się nie posługiwałam i odzywałam się zupełnie bez szacunku do osoby starszej ode siebie – również po raz pierwszy. Do dziś wydaje mi się to niewiarygodne – obrzuciłam tamtą kobietę stekiem wyzwisk, najgorszych, jakie potrafiłam wymyślić, w napadzie furii, o jaką nigdy bym się nie podejrzewała. Zbir wyglądała na niespodziewanie zbitą z tropu. Nie przestałam wrzeszczeć, dopóki nie zabrakło mi tchu. W ciszy, jaka zapadła później, słychać było tylko mój przyśpieszony oddech.

Wtedy odezwała się jedna ze starszych kobiet.

– I widzisz, do czego doprowadziło twoje zachowanie? Młodsza osoba przestała cię szanować. Upokorzyła cię.

***

Po dwóch tygodniach, które spędziłam w sali kobiet, zostałam wywołana przez straż. Nadszedł czas mojej rozmowy twarzą w twarz ze specjalnym śledczym. Zaprowadzono mnie do pozbawionej okien celi i zamknięto tam samą. Pomieszczenie było ponure, ale z radością powitałam samotność. W celi stało drewniane biurko, dwa krzesła i metalowe łóżko, na którym leżał niebieski koc i obleczona białą poszewką poduszka. Cela miała pięć kroków długości i cztery kroki szerokości. Z sufitu zwisała słaba żarówka, a z jednego z rogów spoglądała na mnie kamera. Drzwi zamknięto na głucho. Obok drzwi wisiał telefon, przez który mogłam wezwać młodego strażnika, gdybym musiała udać się do toalety.

Drugiego dnia w drzwiach celi stanął ubrany w garnitur mężczyzna w średnim wieku, spojrzał na mnie, zajrzał do akt, potem wyszedł. Wrócił mniej więcej po minucie.

– Ma pani dwadzieścia osiem lat?

– Tak.

– I nazywa się Park Min-young?

– Tak.

– I obecnie ma pani dwadzieścia osiem lat?

– Zgadza się.

To miał być przesłuchujący mnie agent. Zastanawiałam się, dlaczego dwukrotnie spytał o wiek i czemu wyglądał, jakby moja odpowiedź go

zaskoczyła. Przecież musiał mieć wszystko zapisane w aktach.

Poprosił mnie, żebym opisała swoje życie w jak najdrobniejszych szczegółach. Powiedział, że niektórzy ludzie zapisują naprawdę grube bloki papieru, jakby pisali autobiografię. Dokument ten miał stanowić podstawę do dalszego przesłuchania. Poprosił też, bym zaznaczyła na mapie Hyesan, gdzie mieszkałam. Długo wywiązywałam się z tego zdania, starając się podać mu tyle szczegółów, ile pamiętałam.

Często w czasie przesłuchania milkł i spoglądał mi głęboko w oczy, przechylając przy tym głowę, jakby czegoś szukał w moim spojrzeniu. To było mocno niepokojące. Przemknęło mi przez myśl, że w jakiś dziwny sposób ten człowiek ze mną flirtuje. Po tym, co tamte kobiety opowiadały o tajskim więzieniu, nic nie mogło mnie już zaskoczyć. Starałam się kontrolować swoją twarz. Nie chciałam dawać mu niczego do zrozumienia.

Pozostawałam w tym zamknięciu przez tydzień. Początkowo spotkania z przesłuchującym mnie człowiekiem były mocno onieśmielające, jednak po kilku dniach oczekiwałam ich niecierpliwie. Były to moje jedyne spotkania z drugim człowiekiem. W czasie jednego ze spędzanych samotnie popołudni, gdy nie miałam co robić, zaczęłam ćwiczyć chińską kaligrafię – zaczęłam spisywać swoje myśli i odczucia na kilku kartkach papieru. Opisałam przytłaczającą posępność ścian celi i wyraziłam przekonanie, że pokój bez okna jest niepełny. Potem zmięłam papier i wyrzuciłam go do kosza na śmieci. Następnego dnia rano do celi wszedł młody strażnik.

– Pani to napisała? – zapytał. Trzymał w ręku moją zmiętą kartkę papieru.

A więc jednak sprawdzają moje śmieci.

– Co tu jest napisane?

– Tylko moje luźne przemyślenia – odparłam. – Czy wolno mi pisać?

– Tak – zdumiał się moim pytaniem. – Na studiach uczyłem się chińskiego, tylko tyle. Dlatego próbowałem to przeczytać. I zastanawiałem się, dlaczego to pani napisała.

– Bo nie mam tu co robić.

***

Następnego dnia rano otworzył drzwi i zajrzał do celi.

– Pada śnieg. Chce pani zobaczyć?

Zaprowadził mnie do łazienki, otworzył okno i zostawił mnie samą. Lada chwila miał wstać świt. Ciągnąca się wzdłuż horyzontu złota poświata rozświetlała chmury. Płatki śniegu sypały się z nieba niczym pierze. Nie widziałam niczego podobnego od czasu, gdy byłam młodą dziewczyną. Było sporo poniżej zera. W każdym budynku paliły się światła, a między nimi świeciły na czerwono krzyże. Ile tu szpitali! – pomyślałam. (Później dowiedziałam się, że te krzyże oznaczały kościoły, nie szpitale. Nigdy wcześniej, ani w Korei Północnej, ani w Chinach, nie widziałam takich znaków). Wszystko wyglądało magicznie. Wróciłam pamięcią do dnia sprzed wielu lat, gdy jako mała dziewczynka stałam na deszczu w Anju i czekałam na kobietę w czerni, która miała pojawić się na ziemi razem z deszczem.

– Jeśli złapiesz ją za spódnicę, zabierze cię ze sobą – mówił Wuj Opium.

Byłam śmiertelnie przerażona; bałam się, że kobieta w czerni uniesie mnie do innego świata. I w pewien sposób tak się stało. Patrzyłam teraz na ten świat.

Następnego dnia przesłuchujący mnie agent uśmiechnął się po raz pierwszy. Po zakończeniu przesłuchania powiedział:

– Wierzę, że jest pani z Korei Północnej.

– Skąd pan wie? – Uśmiechnęłam się szeroko. Na tym etapie miałam wrażenie, że znamy się od miesięcy. – Tamte kobiety uważają, że jestem Chinką.

Machnął lekko dłonią.

– Przesłuchuję ludzi od czternastu lat – powiedział. – Po pewnym czasie człowiek uczy się trochę psychologii. Zazwyczaj potrafię określić, kiedy ktoś kłamie.

– Jak?

– Po oczach.

Poczułam, że się rumienię. To wyjaśniało te długie spojrzenia. On wcale ze mną nie flirtował.

– Ale mimo wszystko jest pani interesującym przypadkiem – powiedział. – Zalicza się pani do jednego procenta wszystkich ludzi, z jakimi miałem do czynienia przez te czternaście lat.

Jednego procenta?

– Przede wszystkim jest pani jedyną znaną mi osobą, która dostała się tu łatwo, przylatując bezpośrednio z miejsca, w którym pani mieszkała. Po drugie nie zajęło to pani wiele czasu, ot, dwie godziny lotu. I po trzecie nie

płaciła pani pośrednikom. To miałem na myśli. Po prostu wsiadła pani w samolot. Sama pani na to wpadła?

– Tak.

– W takim razie jest pani genialna. – Teraz zachowywał się zupełnie inaczej niż dotychczas. Zrobił się rozmowny i przyjaźnie nastawiony. – Wiedziałem, że śledztwo pójdzie sprawnie, bo nie skłamała pani na temat swojego wieku. Większość uchodźców z Północy kłamie w tym względzie. Starzy utrzymują, że są starsi, żeby otrzymać pomoc socjalną. Młodzi chcą uchodzić za młodszych, żeby móc studiować za darmo. Pani natomiast powiedziała, że ma prawie trzydzieści lat. Gdy przyszedłem tu panią przesłuchać, spodziewałem się zobaczyć osobę mocno po trzydziestce, natomiast pani wygląda na jakieś dwadzieścia jeden lat. Pomyślałem, że pomyliłem cele, więc wyszedłem sprawdzić. Dlaczego Północna Koreanka, która wygląda na dwadzieścia jeden lat, przyznaje, że ma prawie trzydzieści lat? Bo jest szczera, pomyślałem sobie.

Uśmiechnęłam się, lecz jakaś część mnie pomyślała, że dałam się nabrać.

Następnego dnia rano obudziłam się odświeżona. Tej nocy po raz pierwszy od przyjazdu do Shenyang do ciotki i wuja przeszło jedenaście lat temu nie miałam koszmarów.

ROZDZIAŁ 39

DOM JEDNOŚCI

Wcześnie rano razem z grupą innych uchodźców wsiadłam do autobusu, który miał zawieźć nas do Anseong w prowincji Gyeonggi. Poranek był jasny i rześki. Czekała nas dwugodzinna podróż. Po raz pierwszy miałam okazję przyjrzeć się mojej nowej ojczyźnie za dnia. Na drzewach pojawiły się już pierwsze pąki i małe, zielone listki. W mieście i wokół niego widzieliśmy łagodne zbocza zielonych pagórków tak charakterystyczne dla koreańskiego krajobrazu, tak mi znajome. Wschodzące słońce wyłaniało z mgieł kolejne pasma wzgórz – najpierw to najbliższe, potem następne i jeszcze jedno majaczące delikatnie w oddali. Między tymi wzgórzami stał Hanawon, czyli „Dom Jedności". Tam, na południe od Seulu, w cichej wiejskiej okolicy, znajduje się miejsce, w którym uchodźcy przechodzą przyśpieszony kurs życia w nowym społeczeństwie. Bez tego dwumiesięcznego pobytu większość Północnych Koreańczyków nie zdołałaby poradzić sobie w nowych warunkach. Wielu z nich i tak boleśnie przekonywało się, że wolność – ta prawdziwa, w której twoje życie i to, co z nim zrobisz, zależy wyłącznie od twoich decyzji – bywa przerażająca.

Rozpierał mnie optymizm. Przysięgłam sobie, że zrobię wszystko, by w tym pięknym kraju odnieść sukces. Że nowa ojczyzna będzie ze mnie dumna. Byłam jej całym sercem wdzięczna za przyjęcie mnie.

Ośrodek nie wygląda szczególnie pod żadnym względem – jest tam wiele sal wykładowych, sypialnie, przychodnia lekarska, gabinet dentystyczny i jadalnia, a wszystko to odgrodzone od świata wysokim płotem – ale jednocześnie jest to miejsce jedyne w swoim rodzaju na całym świecie. To pomost między światami, między równoległymi Koreami. Ludzie, którzy wyszli z otchłani, w Hanawon przystosowują się do życia. Tylko dla

nielicznych to przejście jest łatwe.

Pozwolono nam kupić przekąski i karty telefoniczne. Natychmiast zadzwoniłam do Kima. Była to pierwsza rozmowa, na jaką mi pozwolono, od kiedy przyjechałam do Korei Południowej. Gdy mnie usłyszał, aż krzyknął z radości. Wszystko to ciągnęło się bardzo długo i zaczął się poważnie martwić.

– Myślałem, że odesłali cię z powrotem do Chin – powiedział.

Długo rozmawialiśmy, a potem zaśmiał się w ten łagodny, zrelaksowany sposób, który sprawił, że serce zabiło mi szybciej. Nie mogłam doczekać się spotkania z Kimem.

Potem zadzwoniłam do Ok-hee. Przypłynęła promem i przeszła weryfikację znacznie szybciej niż ja. Byłyśmy mocno podekscytowane. Ok-hee miała już mieszkanie w Seulu i umawiała się na rozmowy o pracę.

Gdy odłożyłam słuchawkę, miałam ochotę zacząć skakać. Za kilka tygodni miało zacząć się moje nowe życie.

Później, o umówionej wcześniej porze, zadzwoniłam do Hyesan. Matka powiedziała, że Min-ho spotyka się z kimś na poważnie. Jego dziewczyna nazywała się Yoon-ji. Matka powiedziała, że jest bardzo piękna i pochodzi z rodziny o dobrym *songbun*. Jej rodzice uwielbiali Min-ho. Poczułam, jak w krtani narasta mi płacz. Miałam nigdy nie spotkać tej szczęśliwej dziewczyny.

W Anseong kwaterowano wyłącznie kobiety i teraz dzieliłam pokój z czterema innymi dziewczynami. Powiedziano mi, że tamte agresywne kobiety, z którymi siedziałam w sali kwatery głównej PSW, co tydzień wychodziły na spotkanie autobusu, żeby przekonać się, czy nim przyjadę. Były tak przekonane, że jestem Chinką, że obstawiały zakłady, czy już mnie złapano. Ale gdy znów się z nimi spotkałam, okazało się, że znacznie złagodniały. Dowiedziałam się, że niektóre z nich prześladowało poczucie winy z powodu rodzin pozostawionych w Korei Północnej, czy wspomnienia po okrutnym traktowaniu przez *Bowibu*. Mrok w ich sercach był tak intensywny, że przesłaniał im nadzieję na lepszą przyszłość. Mimo daleko posuniętych środków ostrożności, niektórym udawało się zdobyć alkohol i upijały się do nieprzytomności, za co otrzymywały surowe reprymendy od pracowników ośrodka, monitorujących zachowanie pensjonariuszek. Nawet w tej znacznie luźniejszej przecież atmosferze często dochodziło do bójek. Zbir też tu była, lecz wyraźnie mnie unikała.

Moje koszmary ustały, ale ze zdumieniem zauważyłam, że to właśnie tu, w tym rajskim otoczeniu, trudy i przejścia, jakie uciekinierki miały za sobą, wreszcie je dopadały i zaczynały dręczyć we śnie. Niektóre kobiety załamywały się lub dostawały ataków paniki na myśl o wymagającym i pełnym rywalizacji rynku pracy, na który miały zaraz wejść. W ośrodku działali psycholodzy, którzy starali się pomóc tym kobietom, byli też lekarze zajmujący się wszystkimi, często zaniedbywanymi przez lata schorzeniami.

Wiele z przybyłych miało problem z tym, by oduczyć się dawnego sposobu bycia. Paranoja, niezbędna do przetrwania w środowisku, w którym sąsiedzi i koledzy z pracy donosili na ciebie, teraz nie pozwalała tym kobietom zaufać nikomu. Nie potrafiły przyjmować konstruktywnej krytyki, niezbędnej w czasie opanowywania nowych umiejętności, bez poczucia, że o coś się je oskarża.

Zostałam przeszkolona z zasad demokracji, przysługujących nam praw i podstawowych informacji o mediach. Nauczono nas, jak otwierać konta bankowe i jak poruszać się metrem. Ostrzegano nas przed oszustami. Pojawiali się też goście z odczytami. Jednym z nich była kobieta z Północy, która zdołała otworzyć i rozwinąć na Południu piekarnię. Jej wiara we własne możliwości bardzo mnie zainspirowała. Przyjechał też ksiądz, który przedstawił nam założenia wiary katolickiej (wielu uciekinierów przechodziło na chrześcijaństwo po przeprowadzce na Południe, ale jego wyjaśnienia dotyczące konieczności zachowania ślubów czystości przez księży i zakonnice wywołało wśród kobiet duże rozbawienie. Wykład wygłosił również pan Park, bardzo miły policjant, który mówił, co należy robić w razie wypadków, na przykład jak wezwać karetkę czy zgłosić popełnienie przestępstwa.

Uczęszczaliśmy też na niezwykłe lekcje historii – dla niektórych w Hanawon było to pierwsze wolne od dogmatów okno na świat. Wiedza historyczna większości uciekinierów ograniczała się znajomości olśniewających legend z życia Wielkiego Wodza i Umiłowanego Przywódcy. Dopiero tu dowiadywali się o niczym niesprowokowanym ataku Północy na Południe, który 25 czerwca 1950 roku rozpoczął wojnę koreańską. Wiele osób z oburzeniem odrzucało tę wiadomość. Nie mogli pogodzić się z faktem, że główny przedmiot wiary w naszym kraju – rzecz, w którą wierzyła większość mieszkańców Północy – był kłamstwem. Nawet ci, którzy wiedzieli, że Korea Północna jest przesiąknięta złem do głębi, mieli

problem z zaakceptowaniem tej wiadomości. Znaczyło to bowiem, że łzy, które wylewali co rok 25 czerwca i dziesięcioletnia służba wojskowa, wszystkie „walki o szybkość” produkcyjną, które toczyli, nie miały znaczenia. Były jedynie częścią wielkiego kłamstwa. Ta informacja odbierała sens życia wielu ludziom.

***

Codziennie wydawano nam trzy smaczne posiłki – każdy inny – więc wszystkie przybrałyśmy na wadze. Jedzcie, ile chcecie, zachęcali nas pracownicy. Gdy stąd wyjedziecie, o dobre jedzenie może być znacznie trudniej. Instruktorzy zazwyczaj ostrzegali nas właśnie przed tym – że życie zasadniczo jest bardzo wymagające. Że być może będziemy mieć problemy ze znalezieniem pracy. Że będziemy musieli płacić rachunki, a jeśli ich nie zapłacimy, wpadniemy w długi. Te informacje przerażały szczególnie ludzi winnych duże kwoty pośrednikom – ci zaś pojawiali się codziennie pod główną bramą ośrodka. Instruktorzy starali się pokazać, że droga do szczęścia i sukcesu jest kręta i niepewna. Miałam nadzieję usłyszeć zapewnienie w stylu: „Pracujcie ciężko, starajcie się, jak możecie, a na pewno osiągniecie sukces”. Niestety, choć wszyscy starali się po prostu ustosunkować do naszych oczekiwań, niepewność, jaką przed nami rysowali, mocno mnie niepokoiła. Lada moment miał nadejść czas, w którym kształt mojego życia miał przestać zależeć wyłącznie od sprytu. Miałam zyskać wolność kształtowania swojego losu. Lecz zawsze, gdy usiłowałam wyobrazić sobie, co czeka mnie w przyszłości, nie widziałam jasnego obrazu, a wirującą mgłę i kryjące się w niej, pozbawione odpowiedzi pytania dotyczące losów mojej matki, Min-ho i Kima.

***

Aby zapobiec powstawaniu północnokoreańskiego getta, władze Korei Południowej wysyłały uciekinierów do różnych miast i miasteczek na terenie całego kraju. Nikt nie wybierał dokąd trafi. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent chciałoby zamieszkać w Seulu, ale ponieważ brakowało tam mieszkań, do stolicy trafiało tylko kilka osób. Każdemu z nas dawano na start

około dziewiętnastu milionów wonów (około osiemnastu tysięcy dolarów) na pokrycie wydatków mieszkaniowych.

Bardzo chciałam zamieszkać w Seulu. Wydawało mi się, że tam będę miała największą szansę na znalezienie pracy, no i tam mieszkał Kim. Każdego dnia w Hanawon myślałam właśnie o nim. Marzyłam o nim na zajęciach, starałam się wyobrazić sobie jego mieszkanie w Gangnam, spotkanie z jego rodziną, eleganckimi znajomymi. Zastanawiałam się, jak spędza niedzielne poranki – przy kawie, jazzie i wiadomościach z giełdy.

Kiedy jednak dowiedziałam się, że tylko dziesięć osób z kilkuset dostanie mieszkania w Seulu, humor znacznie mi się pogorszył. Dziesięć osób. Aby uniknąć oskarżeń o kumoterstwo, w Hanawon wybierano tę dziesiątkę w drodze losowania – z pojemnika wyciągano odpowiednie kartki z numerkami. Pracownik ośrodka potrząsał tym pudełkiem na oczach wszystkich zgromadzonych w wielkim audytorium i wyciągał dziesięć numerów. Odczytywał je na głos jeden po drugim: *126, 191, 78, 2, 45…* Każda z wybranych kobiet unosiła ręce i krzyczała z radości, a potem ściskała się z przyjaciółkami.

Słuchałam tylko jednym uchem. Całe to przedstawienie mocno mnie przygnębiało. Starałam się wyobrazić, dokąd mogę trafić.

206, 176, 11…

Pracownik ośrodka rozejrzał się po audytorium.

– Jedenaście? Kto ma numer jedenaście?

Wybrzeże nie byłoby takie złe.

– Jedenaście? Proszę tutaj.

Przypomniałam sobie lato na plaży w pobliżu Anju i ojca opowiadającego mi o tym, że to Księżyc powoduje pływy wody.

Nagle poczułam ostry ból w ramieniu. Siedząca obok kobieta dała mi sójkę w bok. Wskazywała na kartkę w mojej dłoni.

– Jedenaście. To ty.

ROZDZIAŁ 40

WYŚCIG PO WIEDZĘ

W drodze do autobusu czekał na mnie pan Park, uśmiechnięty policjant, który w ośrodku Hanawon wykładał nam zasady bezpieczeństwa osobistego.

– Przeprowadzasz się do mojej dzielnicy – powiedział. – Mam za zadanie ci pomóc.

Ledwie przekroczył czterdziestkę, a już pracował w Wydziale Bezpieczeństwa Policji Państwowej. Roztaczał wokół siebie aurę spokoju i miał niebywały autorytet – przez co przypominał mi nieco ojca. Pomógł mi odnaleźć się w nowej sytuacji, wypełnić podanie o południowokoreański dowód i paszport. Pan Park pozostaje w mojej pamięci jedną z najcieplejszych osób, z jakimi miałam do czynienia w Korei Południowej.

Dostałam małe, dwupokojowe, nieumeblowane mieszkanie w dzielnicy Geumcheon, położonej w południowo-zachodniej części miasta, nieopodal stacji metra Doksan. Zamieszkałam na trzynastym piętrze dwudziestopięciopiętrowego budynku. Z okien miałam widok na podobne wieżowce, a za moim blokiem znajdowało się wysokie wzgórze. Nie była to dostatnia dzielnica.

Wolontariusze Czerwonego Krzyża wskazali mi drogę do mieszkania. Gdy się pożegnali i wyszli, zamykając za sobą metalowe drzwi, a na klatce schodowej rozległo się echo ich kroków, zrozumiałam, że jestem sama. Nie w ukryciu, ale wolna. Przez długi czas stałam przy oknie i obserwowałam życie toczące się tam, w dole, oraz cienie budynków wydłużające się wraz z wędrującym po niebie słońcem. Uświadomiłam sobie, że nie wiem, co mam dalej robić. Mogłam wyjść i kupić materac oraz telewizor i cały dzień oglądać opery mydlane. Mogłam pozwolić, by brudy i nieumyte talerze narosły w wielkie stosy. Mogłam tak stać przy oknie i czekać, aż lato

przejdzie w jesień, a jesień w zimę. Świat nie miał zamiaru w niczym mi przeszkadzać. Wolność przestała być tylko teoretyczną koncepcją.

Nagle poczułam napad paniki. Byłam tak przerażona i niespokojna, że zadzwoniłam do Ok-hee i zapytałam, czy mogłabym spędzić tę noc u niej.

Ok-hee odetchnęła z ulgą na mój widok. Gdy już się uściskałyśmy i pogratulowałyśmy sobie spełnienia naszych marzeń, usiadłyśmy na podłodze i zjadłyśmy mrożone danie z makaronu. Jej dotychczasowe doświadczenia z Seulu mogły otrzeźwić największego optymistę. Mimo że Ok-hee, podobnie jak ja, spędziła całe lata w Szanghaju, nie miała tu łatwego startu. Osoba prowadząca rozmowę kwalifikacyjną obiecała jej, że oddzwoni i powiadomi ją o decyzji firmy. Przez kilka dni czekała na telefon, w końcu zadzwoniła sama, tylko po to, żeby usłyszeć, że nie dzwonili, bo niegrzecznie jest odmawiać komuś bezpośrednio.

Koreańczycy z Północy szczycą się swoją otwartością, do której byli zachęcani przez samego Kim Jong-ila. Obcokrajowcy bardzo często są zaskoczeni brutalną szczerością północnokoreańskich dyplomatów. Doświadczenia Ok-hee były pierwszym sygnałem sugerującym, że drogi obu Korei rozeszły się także w sferze kultury. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. Szybko przekonałam się, że przeszło sześćdziesiąt lat podziału bez niemal żadnego kontaktu odbiło się także na języku i pewnych wartościach, które wcześniej miałam za wspólne dla obu Korei. Tymczasem znalazłam dowody na to, że Północ i Południe rozwinęły się w zupełnie innych kierunkach. Nie byliśmy już jednym narodem.

***

Następnego dnia z Szanghaju przyleciał Kim. Prosto z lotniska przyjechał do mnie. Zrobiło mi się słabo na jego widok. Minęły przecież trzy miesiące. Długo po prostu przytulaliśmy się do siebie, wtuleni twarzą w twarz szeptaliśmy, jak bardzo za sobą tęskniliśmy. Brakowało mi jego dotyku, zapachu, uspokajającego tonu głosu. Zapuścił trochę włosy. Wyglądał jeszcze lepiej niż wcześniej, o ile w ogóle było to możliwe.

Zabrał mnie do wielkiego multipleksu kinowego w Yongsan. Zaproponował, żebyśmy kupili sobie przekąski na seans. Przeczytałam podświetlone menu wiszące nad ladą. Było po koreańsku, ale nie

zrozumiałam z niego ani słowa. Czym były *na chos*, *pop corn* i *co la*? Znałam oczywiście te nazwy z Chin, ale transliteracja z języka angielskiego na alfabet koreański mocno mnie zafrapowała. A jak się szybko przekonałam, nie były to jedyne takie przypadki. Czułam się zakłopotana, gdy ktoś mówił, że wyszedł już ze swojego *apateu* i jedzie *elebaytoh* na dół, żeby złapać *tekshi*, bo spieszy się na *meeting* − nie miałam pojęcia, o co chodzi. Musiałam się tego nauczyć. Potrzebowałam nowego wykształcenia.

***

Dorastałam w komunistycznym kraju, w którym Ojciec Przywódca zapewniał ludziom wszystko, czego potrzebowali. W obywatelu najbardziej ceniono jego lojalność, a nie wiedzę czy zdolność do ciężkiej pracy. Status człowieka w społeczeństwie określał *songbun* jego rodziny. W Korei Południowej status społeczny również ma znaczenie, lecz nie jest dziedziczny. Określa się go na podstawie odebranego wykształcenia. I choć odpowiednie wykształcenie daje tu ogromną przewagę nad innymi ludźmi – nawet dzieci bogaczy nie osiągną wiele, jeśli nie radzą sobie w szkole – samo w sobie stanowi też pułapkę. Między innymi z tego powodu Koreańczycy z Południa są według wielu badań najbardziej nieszczęśliwym narodem rozwiniętego świata.

Każdy, kogo spotykałam, myślał tylko o tym, jak zdobyć dobre wykształcenie, by nie spaść na dno społecznej hierarchii. Pęd ku temu celowi sprawia, że osiemdziesiąt procent uczniów szkół średnich w Korei Południowej idzie na studnia. Nawet gwiazdy pop i sportowcy kończą tu uczelnie wyższe, żeby uniknąć zaszufladkowania w grupie pozostałych dwudziestu procent. Matki zapisują swoje dzieci na dodatkowe zajęcia już w przedszkolu, żeby zyskały jak największą przewagę nad rówieśnikami. Nacisk społeczny na zdobycie odpowiedniego wykształcenia jest tak wielki, że lata szkolne potrafią zmienić się w koszmar. Ponieważ tak wiele osób kończy studia, kandydaci do pracy, jeśli chcą być konkurencyjni, muszą z kolei wykazać się dodatkowymi zdolnościami, na przykład biegłą znajomością języka angielskiego. Jeśli po całym tym znoju student zdoła się dostać do jednego z największych koncernów przemysłowych w Korei Południowej – Hyundaia, Samsunga czy LG – może mówić, że odniósł

sukces.

Uciekinierzy z Korei Północnej giną w tym systemie, ponieważ wykształcenie, jakie odbierają w swojej ojczyźnie, w kraju rozwiniętym nie jest nic warte. Jeśli są za starzy, by wrócić do szkoły, muszą podjąć pracę fizyczną. Jeśli ciągle mogą podjąć edukację, często okazuje się, że mają bardzo dużo do nadrobienia i brak im pewności siebie. W Szanghaju nie odczuwałam tak tej różnicy, lecz już pierwsze tygodnie pobytu w Seulu dały mi do zrozumienia, jak wygląda tutejsza rzeczywistość. Teraz już rozumiałam, co mieli na myśli pracownicy ośrodka w Hanawon, gdy mówili, że życie „stawia pewne wyzwania". Tu bez wyższego wykształcenia było się nikim.

Ponieważ uciekinierzy z Korei Północnej przyjmowali zazwyczaj nisko płatne i niecieszące się estymą prace, w Korei Południowej patrzono na nich z góry. Taka dyskryminacja i protekcjonalne traktowanie rzadko objawiają się wyraźnie, ale daje się je odczuć. Dlatego też wielu uciekinierów stara się stracić akcent i ukryć swoją tożsamość w czasie poszukiwania pracy. Gdy się o tym dowiedziałam, zrobiło mi się przykro. Przez lata w Chinach musiałam się ukrywać. Czyżby tutaj miało być tak samo?

***

Kim bardzo mi pomógł w tym pierwszym okresie. Dzięki niemu zaadaptowałam się do nowego życia znacznie łatwiej, niż wiele z poznanych w Hanawon kobiet. Niektóre z nich od razu zaczęły szukać pracy fizycznej czy w usługach, bo tam pracodawca zapewniał z reguły wyżywienie. Ja chciałam tego uniknąć. Nie miałam zamiaru znów być kelnerką. Pragnęłam lepszego życia, niż tylko od wypłaty do wypłaty, z dnia na dzień. Potrzebowałam nieco czasu, by dojść do tego wniosku. Po kilku tygodniach postanowiłam zapisać się na półroczny kurs i zdobyć uprawnienia wykwalifikowanej księgowej. Zawsze dobrze radziłam sobie z liczbami, doszłam też do wniosku, że papiery księgowej pozwolą mi znaleźć dobrą pracę. W kursie uczestniczyły same kobiety. Od nich dowiedziałam się, jak trudno jest Koreańczykom z Południa żyć szczęśliwie we własnym społeczeństwie.

Wiele spośród nich nie zdołało zatrudnić się w prestiżowych firmach, przez

co popadły w przygnębienie i uznały, że los im nie sprzyja. Przyczyn niepowodzenia upatrywały najczęściej w rozdmuchanych do granic możliwości niewielkich niedoskonałościach – zbyt pulchnej sylwetce, zbyt niskim wzroście – czy niepowodzeniach na gruncie uczuciowym. Nie potrafiłam im jednak współczuć. W każdym kraju ludzie mają swoje problemy, a ich rozterki były często jak wyjęte żywcem z serialu telewizyjnego.

Po kilku tygodniach od ponownego spotkania z Kimem doznałam zawodu miłosnego. Gdy mieszkaliśmy w Szanghaju, wydawało mi się, że żywimy do siebie silne uczucie i wkrótce weźmiemy ślub. Czekałam, aż Kim mi się oświadczy, ale nie zrobił tego przez dwa i pół roku. Teraz rozumiałam, co go przed tym powstrzymywało.

Kim dorastał w Gangnam, dostatniej, modnej dzielnicy Seulu, leżącej na południowym brzegu rzeki Han. Jego rodzina zyskała bardzo wiele w latach rozkwitu gospodarczego, dorabiając się milionów na rosnących gwałtownie cenach nieruchomości. Kim odebrał staranne wykształcenie, podobnie jak jego rodzice, którzy ukończyli prestiżowe wyższe uczelnie. Ale wykształcenie, choć bardzo ważne w Korei Południowej, nie przesądza o statusie człowieka. Prowadzi do niego, ale sam status też jest istotny, ponieważ to on zabezpiecza los, kiedy ten się odwraca. W kraju trzeciego świata, który stał się czternastą pod względem wielkości potęgą gospodarczą, głód i brak bezpieczeństwa ciągle są żywe w pamięci ludzi. Gdy wszystko zawiedzie, osoba o wysokim statusie społecznym będzie mogła liczyć na pomoc rodziny i jej koneksje. Wszyscy znajomi Kima wywodzili się z takiego właśnie środowiska. Byli wśród nich znani aktorzy i modele – ci, którzy zaliczali się do seulskiej śmietanki towarzyskiej. Gdy wychodziliśmy wieczorami do miasta, koleżanki Kima, dziewczyny w moim wieku, przyjeżdżały do klubów luksusowymi zachodnimi autami. Ich rodzice zajmowali wysokie stanowiska w wielkich firmach. Ja nie miałam nic – żadnej rodziny, pracy, wykształcenia ani pieniędzy. Nie miałam *back*, jak mówią w Korei Południowej, skracając angielskie słowo *background* − odpowiedniego pochodzenia, koneksji i wsparcia.

Nie było mi siebie żal. W Korei Północnej funkcjonuje podobny system wartości. Wuj Ubogi wychował się w rodzinie o wysokim *songbun*, ale

zignorował opinie krewnych i poślubił dziewczynę z gospodarstwa rolnego, przez co spadł w społecznej hierarchii. Kim mógł sprzeciwić się swoim rodzicom, uciec ze mną i wziąć ślub. Być może nawet przez rok czy dwa lata bylibyśmy szczęśliwi, ale żar uczuć kiedyś wygasa. Z czasem zacząłby czuć wyrzuty sumienia z powodu rozczarowania, jakie przyniósł swojej rodzinie. Życie ze mną zaczęłoby go męczyć i w końcu doszedłby do wniosku, do jakiego moim zdaniem musiał dojść Wuj Ubogi – że ten związek był błędem.

Kim zrozumiał to wszystko wcześniej niż ja – przypuszczalnie jeszcze w Szanghaju – i starał się znaleźć wyjście z tej sytuacji.

– Chciałbym, żebyś poszła na studia – powiedział, gdy odwoził mnie do domu po jednym ze spotkań ze swoimi wspaniałymi znajomymi. – Gdybyś została lekarzem lub farmaceutą, moi rodzice czuliby się usatysfakcjonowani.

Patrzyłam przed siebie w milczeniu. Nawet nie poznałam jego rodziców.

Następnego dnia jednak rozeznałam się w sytuacji. Studia medyczne były drogie i tylko najlepsi uczniowie zdawali na nie egzaminy. Co gorsza, pracownicy PSW oznajmili mi, że ponieważ uciekłam z Korei Północnej przed ukończeniem szkoły średniej, musiałabym przejść dwuletni kurs przygotowawczy, by móc zdawać egzaminy wstępne na wyższą uczelnię. Tytaniczny wysiłek, który miał zadowolić rodziców Kima, wymagałby dziesięciu lat mojego życia.

***

Nadeszło lato 2008 roku. Razem z Kimem i grupą jego znajomych oglądałam w telewizji transmisję z olimpiady w Pekinie. Siedzieliśmy w mieszkaniu Kima w Gangnam. Za każdym razem, gdy południowokoreańscy lekkoatleci zdobywali medal, towarzystwo reagowało żywiołowymi wiwatami, jak zresztą wszyscy w okolicznych mieszkaniach. W całej dzielnicy słychać było okrzyki radości. Ludzie wołali *Uri nara!* (Nasz kraj!) albo *Daehan minguk!* (Republika Korei!). Ja też się cieszyłam, ale nie zdołałam krzyknąć *Uri nara*. Próbowałam, bo chciałam być częścią tego, co się działo, jednak w sercu nie czułam radości, a patriotyczne słowa nie przeszły mi przez gardło.

Moje serce należało do Korei Północnej. Czułam się dumna, gdy mój kraj zdobywał złoto, ale nie wolno było mi wtedy wiwatować. Teraz Korea

Północna była moim wrogiem.

Wymówiłam się od kolacji z Kimem i wróciłam do swojego małego mieszkania, gdzie nadal dolatywały mnie wiwaty i odgłosy świętowania. To doświadczenie mnie przybiło. Tamtej nocy leżałam bezsennie w łóżku i patrzyłam na miejską łunę odbijającą się w chmurach. Nocne niebo nad Seulem świeciło bursztynową poświatą, która całkowicie zasłaniała gwiazdy. W Hyesan z okna sypialni widziałam Drogę Mleczną.

Olimpiada wywołała u mnie kryzys osobowości. Przypuszczalnie problem ten narastał już od jakiegoś czasu, żywiąc się niepewnością, jaką odczuwałam w związku z przyszłością moją i Kima oraz z brakiem wykształcenia.

Czy jestem Koreanką z Północy? Tam się urodziłam i wychowałam. A może jestem Chinką? Przecież dorosłam w Chinach, prawda? A Południowa Korea? Płynie we mnie ta sama krew, co w tutejszych ludziach, mamy wspólne korzenie. Ale czy południowokoreański dowód czyni mnie obywatelką tego kraju? Dla tutejszych ludzi uchodźcy z Korei Północnej są kimś gorszym, są służącymi.

Bardzo chciałam gdzieś przynależeć, tak jak każdy, ale nie było już kraju, który mogłabym nazwać swoją ojczyzną. Nie było w pobliżu nikogo, kto uświadomiłby mi, że wiele osób na świecie ma podzieloną tożsamość i że to naprawdę nie ma znaczenia. Liczy się to, jakimi ludźmi jesteśmy.

Jakby na zawołanie, pojawiły się myśli o powrocie do domu, do Korei Północnej. Ale teraz byłam obywatelką Korei Południowej, więc prawo zabraniało mi wyjazdu na Północ. Gdybym wyjechała, w najlepszym razie zostałabym wykorzystana do celów propagandowych jako osoba, która odrzuciła styl życia na Południu (zdarzały się takie przypadki), w najgorszym zaś – trafiłabym do więzienia lub została rozstrzelana.

Matka wiedziała, że czuję się samotna i nieszczęśliwa. Rozmawiałam z nią co niedzielę. Nie chciałam jej jednak przysparzać dodatkowych problemów, bo miała mnóstwo własnych. Od czasu, gdy armia przeszukała jej dom i odkryła paczki oraz pieniądze, które wysłałam z Szanghaju, nad matką zebrały się chmury. Tamto wydarzenie ściągnęło na nią uwagę *Bowibu* i teraz przy każdym ogłaszanym przez Pyongyang nalocie na Hyesan trafiała na listę ludzi skazywanych na wewnętrzne wygnanie do oddalonych od cywilizacji górskich wiosek. Za każdym razem wręczała śledczym ogromne łapówki, żeby usunęli jej nazwisko z tej listy, ale obawiała się, że nie da rady ciągnąć tego procederu zbyt długo.

Gdyby znali prawdę, gdyby wiedzieli, że jej córka uciekła na Południe, nic nie powstrzymałoby ich przed aresztowaniem jej i Min-ho.

Mówiła też, że życie w Hyesan jest coraz cięższe. Znów pojawił się głód.

Zrobiło mi się jej żal. Czyżby nastał czas, by zaproponować jej ucieczkę do Korei Południowej?

Od tej pory delikatnie, każdej niedzieli, wspominałam o możliwości przeprowadzki do Seulu.

– Nigdy stąd nie odejdę – odpowiadała niezmiennie.

***

Powoli wychodziłam z dołka. Przecież tyle zaryzykowałam, żeby się tu dostać. Nie mogłam teraz się poddać. Tamtego jasnego poranka w Hanawon przysięgłam sobie, że odniosę tu sukces, a nowa ojczyzna będzie ze mnie dumna. Musiałam się do tego odpowiednio przygotować, niezależnie od ceny. Nie mogłam ponieść porażki.

Ciężko pracowałam i pod koniec 2008 roku uzyskałam dyplom księgowej. Pewna kancelaria prawnicza zaproponowała mi pracę z miesięcznym wynagrodzeniem wysokości miliona trzystu tysięcy wonów (około tysiąca dwustu dolarów), co stanowiło przyzwoitą kwotę. Po namyśle jednak odrzuciłam tę ofertę. Uznałam, że bez wyższego wykształcenia będę stała w miejscu.

Zaczęłam rozważać rozpoczęcie żmudnego procesu przygotowania do egzaminów wstępnych na studia. Zanim ukończyłabym odpowiedni kurs przygotowawczy, miałabym trzydzieści lat. Dyplom uzyskałabym dopiero w trzydziestym czwartym roku życia. Czy dałabym radę? Zadałam to pytanie na forum internetowym i otrzymałam mnóstwo odpowiedzi. „Będzie ci ciężko rywalizować z ludźmi młodszymi od ciebie o dziesięć lat”, napisał ktoś. „Odpuść sobie i znajdź pracę”, dorzucił ktoś inny. Najczęściej pojawiającą się odpowiedzią była jednak rada: „Powinnaś znaleźć sobie męża”. W zasadzie mogli dopisać: „zanim będzie za późno”.

Jedyną osobą, która zachęcała mnie do podjęcia tego trudu, był pan Park. Naprawdę zależało mu na tym, żebym odniosła sukces, i starał się wspierać mnie w tym dążeniu. Przed przystąpieniem do jakichkolwiek egzaminów musiałam jednak zrobić jeszcze jedno – potrzebowałam nowego imienia.

W Hanawon dowiedziałam się, że rodziny niektórych uciekinierów były surowo karane, gdy *Bowibu* odkryło, że ich krewni uciekli na Południe. Między uciekinierami nie brakowało szpiegów, którzy donosili później władzom w Pyongyang. Dlatego wiele osób zmieniało imię. Nie był to oczywiście jedyny powód. Niektórzy wierzyli wróżbitom i uważali, że nowe imię przyniesie im więcej szczęścia.

Gdy powiedziałam panu Parkowi, że chciałabym przyjąć nowe imię – takie, które miałoby specjalne znaczenie – zaprowadził mnie do *jakmyeongso*, profesjonalnej wróżbitki zajmującej się dobieraniem imion. Zapłaciłam jej pięćdziesiąt tysięcy wonów (około czterdziestu pięciu dolarów), podałam datę urodzenia i dwa człony mojego prawdziwego imienia.

– Jedno z nich przyniosło ci pecha – oznajmiła łagodnie.

Nie zdołałam powstrzymać uśmiechu. Przypomniałam sobie poranną wyprawę z matką do Daeoh-cheon lata temu, gdzie siwowłosa wróżbitka odczytywała matce tajemnice losu.

Ta kobieta prezentowała się znacznie lepiej; była w średnim wieku, z włosami silnie skręconymi trwałą. Gdy tylko przymknęła oczy, natychmiast poczułam to samo, co wtedy. Uważałam, że to śmieszne, a jednak chciałam wierzyć w każde jej słowo.

Postanowiłam nieco jej pomóc.

– Zawsze jest mi zimno.

– Tak – powiedziała, podchwytując wskazówkę. – Masz cechy jin, nie jang, więc powinnaś ogrzać się nieco w blasku ciepłego imienia. – Zaprezentowała mi pięć możliwości. Zdecydowałam się na Hyeon-seo. – W tym imieniu zawsze będzie ci towarzyszyć siła słońca. – Ostrzegła jednak: – To potężne imię, które może przynieść ci ogromne szczęście, lecz może też cię obezwładnić i sprowadzić na ciebie pecha. Dlatego radziłabym ci przyjąć jakiś pseudonim, który zrównoważyłby tę przytłaczającą pozytywną siłę „Hyeonseo”.

Nie, pomyślałam. Żadnych więcej imion. Ma być Hyeonseo.

Latem 2009 roku – już z nowym imieniem – złożyłam dokumenty na kilka uczelni. Aby podnieść swoje szanse, zaczęłam samodzielnie uczyć się angielskiego, ale okazał się bardzo trudny. Wiedziałam, że jeśli któryś z uniwersytetów zdecyduje się zaprosić mnie na rozmowę wstępną lub pozwoli podejść do egzaminu, dowiem się o tym dopiero we wrześniu czy nawet w październiku. Miałam przed sobą kilka tygodni czekania. Gdyby

mnie przyjęli, przez najbliższe lata miałam wieść życie, którego rytm wyznaczałyby kolejne semestry i przerwy wakacyjne.

Gdy wszystko wreszcie zaczynało się stabilizować i nabierać jakiegoś kształtu, znów zostałam zepchnięta prosto w otchłań.

ROZDZIAŁ 41

W OCZEKIWANIU NA ROK 2012

– Na razie ludzie są głodni – mówiła moja matka, co jakiś czas niepewnie ściszając głos. – Ale będzie lepiej. Wszyscy teraz czekamy na 2012 rok.

Jęknęłam. Setna rocznica urodzin Kim Il-sunga przypadała za mniej niż trzy lata. Propaganda od dawna ogłaszała, że właśnie wtedy Korea Północna osiągnie cel, jakim było stanie się „silnym i bogatym narodem”.

Byłam pewna, że nic się nie zmieni, ale skąd matka miała o tym wiedzieć. Mogła narzekać na swoje życie, ale nie znała nic poza nim i nadal wierzyła w to, co mówiła władza. Cudzoziemcom bardzo trudno jest zrozumieć, jakim problemem dla Koreańczyków z Północy jest zaakceptowanie faktu, że reżim Kimów jest nie tylko bardzo zły, lecz także na wskroś niewłaściwy. Życie w tym kraju pod wieloma względami nie różni się od życia, jakie ludzie wiodą gdzie indziej – martwimy się o pieniądze, cieszymy z dzieci, pijemy zbyt wiele i drżymy o karierę zawodową. Jedyne, czego nie robimy, to nie kwestionujemy wyroków Partii, bo to może prowadzić do bardzo poważnych konsekwencji. Koreańczycy, którzy nigdy nie opuszczali Północy, nie myślą krytycznie o reżimie, bo nie mają porównania – czy to z poprzednimi rządami, z różną polityką czy z tym, co dzieje się w świecie zewnętrznym. Dlatego moja matka oraz cała reszta Korei Północnej czekała na nadejście roku 2012.

– Omma, mówisz, że życie staje się coraz gorsze. I to się nie zmieni – powiedziałam. – Posłuchaj, tu jest naprawdę dużo rodzin z Korei Północnej. Zazwyczaj zaczyna się od jednej osoby i ona ściąga resztę rodziny.

– Widziałam zbyt wiele egzekucji tych, którzy próbowali wyjechać – odburknęła. – Nie chcę, żeby Min-ho trafił przez nas do więzienia. Nie chcę być rozstrzelana na lotnisku Hyesan, gdy twoje ciotki i wujowie będą

siedzieć w pierwszym rzędzie.

– Ale, omma, tu żyje się znacznie lepiej. Możesz mieć wszystko, co chcesz. Państwo daje ludziom pieniądze, żeby mogli się jakoś urządzić.

– Mówiłaś, że nie jesteś szczęśliwa.

– Zwyczajnie narzekałam. – Czułam, że jej opór zaczyna słabnąć. – Nie widziałyśmy się od dwunastu lat. Przekroczyłam dwudziestkę, a ciebie przy tym nie było. Chcę wziąć ślub i mieć dzieci, ale po co mam zakładać rodzinę, skoro ty nigdy nas nie zobaczysz? Jeśli teraz czegoś nie zrobimy, już nigdy się nie spotkamy.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Wiedziałam, że matka płacze. Jak później wyznała, ona też nie mogła znieść myśli, że już na zawsze pozostaniemy rozdzielone.

Przez trzy czy cztery tygodnie ponawiałam swoje namowy.

– Przyjedź chociaż na półtora roku – mówiłam. – Jeśli ci się nie spodoba, zawsze będziesz mogła wrócić. To będzie łatwe.

Oczywiście kłamałam, ale musiałam ją jakoś przekonać i uważałam, że to kłamstwo jest usprawiedliwione. Znów byłybyśmy razem, a ona nie musiałaby martwić się o swoje życie. Naciskałam, ponieważ sama wspomniała, że zaczęła sprawdzać, czy ma możliwość załatwienia wszystkiego tak, żeby nie pozostał ślad po jej zniknięciu. A mimo to wciąż się wahała.

Dopiero gdy w Hyesan doszło do niebywałego zdarzenia, nagle musiała zmienić zdanie.

W całym mieście pojawiły się plakaty z podobizną znanego działacza partyjnego i sekretarza oddziału Ligi Młodzieży Socjalistycznej na naszą prowincję, Seol Jung-sika. Szybko pojawiły się pogłoski, że Seol Jung-sik uciekł z kraju. Mieszkańcy Hyesan byli zdumieni. Matka zaś pomyślała: Skoro taka gruba ryba jak Seol mogła wyjechać, to dlaczego ja miałabym tego nie zrobić? Trudno było o lepszy czas.

W niedzielę po jego zniknięciu matka przyznała mi się do swoich przemyśleń.

– Zastanowiłam się. Pojadę. – Mówiła ogólnikami na wypadek, gdyby rozmowa była podsłuchiwana przez *Bowibu*. – Tylko czy to będzie bezpieczne?

Byłam taka szczęśliwa, że niemal zaczęłam krzyczeć.

– Dopilnuję, żeby nie było żadnego ryzyka – powiedziałam, choć miałam

świadomość, że z takiej obietnicy mógłby wywiązać się jedynie prezydent Chin.

– Twój brat nie będzie chciał wyjechać — zastrzegła.

To sprowadziło mnie na ziemię.

– Ale będzie musiał. Musicie przyjechać razem. To zbyt ryzykowne, żeby zostawał.

– Da sobie radę. Prowadzi teraz własny interes i ma zamiar wziąć ślub z Yoon-ji.

– Ślub?

O tym wcześniej nie słyszałam. Wiedziałam, że Min-ho prowadzi własne interesy. Szmuglował motocykle – głównie chińskie modele marki Haojue i Shuangshi, ale czasami również japońskie ścigacze. Latem rozkładał je na części i spławiał na tratwie, zimą przejeżdżał nimi po zamarzniętej rzece. Strażnikom płacił dziesięć procent tego, co zarobił i dawał im w prezencie chińskie piwo lub owoce tropikalne. Min-ho był przedsiębiorczym młodym człowiekiem, który potrafił o siebie zadbać. Jego pierwsze wspomnienia z Hyesan kojarzyły się z klęską głodu – to go zahartowało. Jednocześnie, tak jak ja, był uparty. Gdy już się na coś zdecydował, trudno było przekonać go do zmiany zdania.

Cieszyłam się jego szczęściem. Yoon-ji, jak mówiła matka, była niebywale piękna. Gdy skończyła osiemnaście lat, w jej szkole pojawiła się grupa wysłanników wybierających muzyków i śliczne dziewczyny, które miały potem usługiwać Kim Jong-ilowi. Yoon-ji została wybrana do Oddziału Radości Umiłowanego Przywódcy, ale jej matka zdołała uchronić ją przed wyjazdem – sprokurowała dowody świadczące o tym, że córka ma problemy ze zdrowiem.

Min-ho obiecał pomóc przeprawić ommę do Chin, ale uparł się, że sam nigdzie nie wyjedzie. Matka Yoon-ji pracowała dla *Bowibu* i uważał, że to wystarczy, by zapewnić mu ochronę. Utrzymywał też, że rodzina Yoon-ji zdoła zachować naszą tajemnicę.

Nie mogłam zrobić nic więcej. Nie ulegało wątpliwości, że mój brat miał wobec tej dziewczyny poważne zamiary.

***

Zaczęłam planować. Przede wszystkim skontaktowałam się z wielebnym Kimem, pastorem protestanckim w średnim wieku, który co sobotę organizował demonstracje w Insadong, popularnej dzielnicy handlowej Seulu, by zwrócić uwagę na problem łamania praw człowieka w Korei Północnej. Hałaśliwe demonstracje były częścią życia w Seulu. Zawsze, gdy wybierałam się do centrum, natykałam się tam albo na kogoś, kto samotnie protestował przed budynkami rządowymi, wznosząc transparent ze swoimi żalami, albo na grupę pracowników, którzy wypisywali hasła na wiązanych na czole opaskach, śpiewali pieśni i bili pięściami powietrze. Kiedy zobaczyłam ich po raz pierwszy, byłam niepomiernie zdumiona – wolno tu było protestować i publicznie wyrażać swoje niezadowolenie i nikt nikogo za to nie rozstrzeliwał.

Wielebny Kim, korzystając ze swoich kontaktów w Chinach, pomógł już setkom ludzi. Specjalizował się w przeprowadzaniu uciekinierów przez południowo-zachodnie Chiny do miasta Kunming, a stamtąd przez granicę do Wietnamu, gdzie bez trudu mogli dostać się do ambasady południowokoreańskiej.

Taka podróż przez Chiny wymaga pokonania przeszło trzech tysięcy kilometrów i zabiera około tygodnia. Jest też niebezpieczna, więc niektórzy uciekinierzy zabierają ze sobą truciznę, żeby w razie pochwycenia odebrać sobie życie i nie musieć ponosić konsekwencji deportowania do Korei Północnej. Ponieważ Korea Południowa nie chce zaogniać swoich stosunków z Chinami, wspólnie z władzami chińskimi prowadzi politykę niewpuszczania uciekinierów na teren ambasady w Pekinie i konsulatów w Chinach. Zresztą nawet jeśli uciekinierom uda się dostać na teren koreańskich placówek dyplomatycznych w Chinach, nie zawsze udaje się im opuścić kraj od razu. Zdarzało się, że musieli czekać siedem lat, zanim władze w Pekinie pozwoliły im wyjechać z Chin.

Wielebnego Kima zastałam jak zawsze na miejscu sobotnich demonstracji – przechadzał się spokojnie po chodniku. Przekrzykując śpiewy siedzących na ulicy demonstrantów, wyjaśnił mi, że moja matka musiałaby sama przekroczyć Yalu. Później zapewniłby jej opiekę na dalszą drogę. Takie rozwiązanie kosztowało cztery tysiące dolarów. Mogła też spróbować dostać się do Kunming samodzielnie i z miasta dać się przeprowadzić do południowokoreańskiej ambasady w Wietnamie. W takim przypadku płaciłabym tylko dwa tysiące dolarów. Matka pozostawałaby pod opieką

chińskiego pośrednika, którego miał załatwić wielebny Kim. Podziękowałam mu za informacje i wzięłam od niego telefon, ale nie byłam dobrej myśli.

Wieczorem w mieszkaniu zastanawiałam się nad tą ofertą. Kim zadzwonił zapytać, jak spędziłam dzień. Już miałam mu opowiedzieć, lecz w ostatniej chwili się rozmyśliłam. Nie zrozumiałby. Powiedziałby, że to szalenie niebezpieczne i że powinnam być zadowolona z tego, jak się sprawy mają. Nie rozumiał wielu kwestii związanych z Koreą Północną. W tym względzie nie różnił się od swoich przyjaciół – żadne z nich nie chciało nawet myśleć o Północy, a co dopiero o niej mówić. Widziałam w ich oczach, jak odcinają się od tego tematu, ledwie wspomniałam nazwę mojego kraju. Północ była w ich mniemaniu szalonym wujem trzymanym na strychu. Wujem, którego należało unikać.

Miałam nadzieję, że dzięki pomocy wielebnego Kima zdołam jakoś uniknąć pośredników, ale wiedziałam też, że organizacje zajmujące się ochroną praw człowieka często odwołują się do pomocy różnych nieciekawych osób. Pośredniczenie w takich działaniach było nielegalne, więc tym procederem zajmowali się najczęściej niesympatyczni, zainteresowani wyłącznie zarobkiem ludzie, którym nie można ufać. Gdy sprawy przybierały zły obrót, znikali niczym poranna mgła, zostawiając swoich klientów w rękach policji bądź w jeszcze gorszych opałach. Nigdy nie wybaczyłabym sobie, gdyby cokolwiek stało się mojej matce, gdyby musiała wrócić na Północ. Po omówieniu sprawy z Ok-hee doszłam do wniosku, że z pomocy pośrednika skorzystam dopiero na ostatnim etapie, przy wydostawaniu się z Chin.

Miałam zamiar pojechać do Changbai i spotkać się z matką na brzegu rzeki, a potem przewieźć ją osobiście do Kunming.

ROZDZIAŁ 42

MIASTO DUCHÓW I DZIKICH PSÓW

Nacisnęłam dzwonek, czując znajomy przypływ paniki. Nagle znów miałam siedemnaście lat i stałam przed tymi drzwiami, znów byłam na początku mojej podróży. Zadrżałam. W północnych Chinach było znacznie zimniej niż w Seulu. Miałam na sobie grubą bluzę z kapturem, jeansy, sportowe buty, a wszystkie rzeczy schowałam do plecaka. Usłyszałam, jak ktoś podchodzi do drzwi i odsuwa zasuwkę.

– O, Boże! – zakrzyknęła ciotka, oglądając mnie od stóp do głów. – Aleś się zmieniła! Ostatnim razem, gdy się widziałyśmy, byłaś jeszcze dziewczynką.

Mnie też zaskoczyło, jak bardzo ona się zmieniła. Stała przede mną chuda, przygarbiona staruszka o stawach spuchniętych od reumatyzmu. Natychmiast zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo musiała postarzeć się moja matka.

Ciotka zaprosiła mnie do mieszkania. Zmieniła wystrój i oprowadziła mnie z dumą. W moim starym pokoju nadal leżała gitara. Wuj, wyjaśniła ciotka, był w podróży służbowej.

Już dawno zwróciłam mu cały dług i wciąż utrzymywałam z nimi kontakt. Miałam nadzieję, że czas zaleczył rany i że nie żywią do mnie pretensji za ból, jaki spowodowałam lata temu, gdy uciekłam z ich domu, by uniknąć ślubu z Geun-soo. Usłyszałam, że ożenił się jednak i bardzo mnie to ucieszyło. Tym samym poczułam się zwolniona ze ślubów niewychodzenia za mąż. Zastanawiałam się tylko, czy jego przerażająca matka doczekała się wnuków, których tak bardzo pragnęła.

Ciotka przyjęła mnie ciepło. Nie miałam wątpliwości, że wszystko mi wybaczyła, może nawet puściła w zapomnienie. Poczułam ulgę, bo znów potrzebowałam jej pomocy. Chciałam ją prosić o ogromną przysługę.

– Mój dowód? – Pytanie wyraźnie ją zaskoczyło.

Spuściłam wzrok.

– Odeślę ci go pocztą za dwa tygodnie.

Do zrealizowania swojego planu potrzebowałam autentycznego chińskiego dowodu, którym mogłaby posłużyć się moja matka. Gdy wyjaśniłam ciotce, po co mi jej dokumenty, tylko się zaśmiała. Byłam jej bardzo wdzięczna za taką reakcję.

– No… chyba mogę.

Miałam niezwykle napięty plan działania, musiałam więc szybko pożegnać się z ciotką. Wzięłam jej dowód i przeprosiłam za mój pośpiech. Pokręciła tylko głową, dała mi pięćset juanów (jakieś siedemdziesiąt pięć dolarów) i życzyła szczęścia. Po godzinie siedziałam już w nocnym autobusie do Changbai.

Wsunęłam ostrożnie dowód ciotki do portmonetki. Miałam przy sobie wystarczającą kwotę, by opłacić pośrednika, zapewnić nam wyżywienie i nocleg przez całą podróż. Były to resztki oszczędności z Szanghaju. Do tej pory utrzymywałam się właśnie z nich i ze stypendium wysokości trzystu pięćdziesięciu tysięcy wonów (trzystu dwudziestu dolarów) wypłacanego mi co miesiąc przez rząd południowokoreański.

Był koniec września 2009 roku. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, za dwa tygodnie powinnam być z powrotem w Seulu, a moja matka – zadrżałam z przejęcia i obawy na samą tę myśl – moja ukochana omma byłaby bezpieczna w ambasadzie Korei Południowej w Hoszimin, gdzie dostałaby azyl uchodźcy politycznego. To oznaczało, że miałabym wystarczająco dużo czasu, by przystąpić do egzaminów i pojawić się na rozmowach kwalifikacyjnych na uczelniach, które przyjęły moje papiery. Zdążyłabym nawet na początek roku akademickiego, który zaczynał się wiosną 2010 roku.

Pan Park, znajomy policjant, ostrzegł mnie, bym zachowała najdalej idącą ostrożność. „Nie mów nikomu, że jesteś zbiegiem”, uczulał.

Zdarzały się przypadki, gdy chińska policja zatrzymywała zbiegów i przekazywała ich *Bowibu*, choć ludzie ci podróżowali z ważnymi paszportami południowokoreańskimi. Dlatego gdy tylko przeszłam przez odprawę imigracyjną w Shenyang, schowałam paszport i wyjęłam swój stary chiński dowód. Z nim czułam się bezpieczniej.

Do Changbai przyjechaliśmy o trzeciej nad ranem. Zameldowałam się

w dwugwiazdkowym hotelu, żeby przygotować się na nadchodzące spotkanie. Miałam zamiar spędzić z Min-ho i matką kilka dni, zanim brat wróciłby do Hyesan. Kupiłam dla niego spodnie, a dla matki ładne, kolorowe ubrania, żeby mogli uchodzić za Chińczyków bez wzbudzania wątpliwości. Matka zresztą i tak musiałaby pozbyć się wszystkiego, co pozwalało połączyć ją z Koreą Północną.

Sprawdziłam kilka hoteli w mieście, żeby wybrać najbezpieczniejszy i zdecydowałam się na Changbai Binguan, hotel z największym lobby, gdzie nie trzeba było przechodzić obok recepcji przy każdym wejściu i wyjściu. Był to też najdroższy hotel w mieście i ostatnie miejsce, w którym chińska policja i *Bowibu* spodziewaliby się szukać zbiegłych Koreańczyków z Północy. Zameldowałam się w nim następnego dnia i wzięłam pokój z dwoma podwójnymi łóżkami.

Min-ho potwierdził nasze ustalenia – miał przeprowadzić matkę następnego wieczoru, między siódmą a ósmą. Powiedział mi, w którym miejscu będą przekraczać rzekę. Wiedziałam, gdzie to jest. Po chińskiej stronie stał tam opuszczony dom.

Matka przygotowała się do ucieczki wręcz genialnie. Gdyby zrobiła to, co większość uchodźców, czyli zostawiła wszystko za sobą i zniknęła, władze natychmiast zaczęłyby ścigać Min-ho. Wiedziała też, że nawet gdyby sprzedała dom, urzędnicy i tak chcieliby wiedzieć, dokąd pojechała. Tak czy inaczej, Min-ho byłby przesłuchiwany. Żeby temu zapobiec, sprzedała dom i poinformowała władze, że przeprowadza się do Hamhung. Zamiast jednak zameldować się w Hamhung, przekupiła lekarza, by wystawił jej świadectwo zgonu i wszystkie dokumenty pogrzebowe. Gdyby *Bowibu* wszczęło śledztwo, wszystko wyglądałoby tak, jakby matka zmarła w czasie wyprawy do Hamhung.

O szóstej piętnaście następnego wieczoru zaczęłam się szykować do drogi. Byłam wystraszona, ale też dziwnie radosna. Zmysły miałam wyostrzone, a ciało spięte i pełne energii. Ściszyłam dzwonek telefonu, ubrałam się cała na czarno, wzięłam torbę, w której miałam ubrania dla Min-ho i matki, a potem spokojnie wyszłam przez hotelowe lobby. Na zewnątrz wezwałam taksówkę i kazałam się zawieźć na koniec miasta, mniej więcej dwieście metrów od rzeki Yalu. Tam właśnie, na końcu rzędu budynków, między

drzewami stał opuszczony dom. Przykucnęłam za starym murem ogrodowym i czekałam. Miejsce było zimne, zawilgocone i śmierdziało zgniłymi liśćmi oraz zwierzęcymi odchodami. Wyjrzałam zza muru i dostrzegłam patrol północnokoreański patrolujący drugi brzeg rzeki. W cieniu między drzewami czułam się bezpiecznie.

Pod wpływem zachodzącego słońca świat wyglądał złowrogo – wszystko skąpane było w mrocznych odcieniach czerwieni i ponurej żółci. Leżące po drugiej stronie rzeki Hyesan wydawało się pozbawione życia, jak miasto wycięte w skale albo cmentarz o wyjątkowo skomplikowanym układzie alejek. Miasto duchów i dzikich psów. Nie czułam żadnej nostalgii wobec tego miejsca, jedynie sprzeciw. Żądam, żebyście oddali mi matkę.

Chłodny wiatr poderwał nieco liści i zmarszczył taflę rzeki. Gdybym nie czuła się tak pobudzona, poszukałabym pewnie jakiegoś cieplejszego miejsca, żeby w nim przeczekać. Tam było za zimno, żeby stać bez ruchu.

Na szczęście nie musiałam czekać długo. Lada moment spotkam się z moją omma. Nie mogłam w to uwierzyć.

Min-ho powiedział mi, że przeprowadzi matkę przez rzekę, która w tym miejscu sięgała dorosłemu do pasa, i pomoże jej wejść po drabince po chińskiej stronie. Woda musi być teraz lodowata, pomyślałam.

Od godziny co minutę zerkałam na zegarek.

Dochodziła ósma, a ich nadal nie było widać. Żałosny zaśpiew jakiegoś nocnego ptaka sprawił, że podskoczyłam.

Kwadrans później zapadła nieprzenikniona ciemność. Przestałam widzieć cokolwiek po drugiej stronie rzeki. W Hyesan wyłączyli prąd.

Nie czułam już rąk i stóp. Temperatura spadała z każdą chwilą Nie wiedziałam, czy szczękam zębami z zimna czy ze strachu. Gdzie oni są?

Minęła kolejna godzina.

Nagle w ciemności ktoś zawołał:

– Ya!

Moje serce biło jak szalone. Po koreańskiej stronie rzeki widać było snopy światła latarek padające na ścieżkę. Strażnicy patrolujący brzeg parami musieli właśnie się minąć i pozdrawiali drugi patrol. Przechodzili tamtędy co dwie minuty. Nie pamiętałam, żeby dawniej było ich aż tylu. Dzieliło nas może pięćdziesiąt metrów. Słyszałam, o czym mówią.

Jeden z patroli miał ze sobą psa, który obrócił się w moją stronę i zaczął szczekać. Za chwilę w ślad za nim poszło dziesięć innych psów. Z odmętów

pamięci wypłynął dawno odepchnięty obraz krwi na lodzie. Śladów nieudanej ucieczki. Zakryłam uszy dłońmi. Niech tylko te psy przestaną szczekać…

Poczułam wibrowanie telefonu.

Min-ho mówił szybko i był wyraźnie przejęty.

– Mieliśmy problem.

ROZDZIAŁ 43

SYTUACJA BEZ WYJŚCIA

Min-ho wyjaśnił mi w kilku słowach, że właśnie szykowali się z matką do przejścia przez rzekę, kiedy weszli prosto na patrol. Na szczęście był wśród nich ktoś, z kim Min-ho robił interesy. Strażnik powiedział, że tej nocy ogłoszono alarm generalny, ponieważ jakaś wysoko postawiona rodzina z Pyongyang miała próbować przekroczyć granicę. Wzdłuż całej rzeki rozstawiono dodatkowe patrole, wszędzie byli też agenci *Bowibu*. Cały obszar starannie odcięto. Strażnik poprosił Min-ho, żeby z nim został i dotrzymał mu towarzystwa na warcie. Wtedy matka pożegnała się z nimi i odeszła.

Min-ho powiedział, że przed świtem spróbują jeszcze raz.

Wróciłam do Changbai. Była już północ. Miasto opustoszało, a ja – sama na ulicach – czułam się wystawiona na widok publiczny. Za bardzo się denerwowałam, żeby usnąć, poszłam więc do czynnej całą noc knajpki. Zamówiłam miskę gulaszu z pasty fasolowej i przemyślałam to, co mówił Min-ho. Nie mogłam w to uwierzyć. Wybrałam sobie najgorszą możliwą noc na przeprawienie matki przez granicę. Zmusiłam się do zachowania spokoju. Za kilka godzin się uda, wszystko będzie dobrze. Nie dałam rady dokończyć gulaszu. Wróciłam do hotelu i spróbowałam zdrzemnąć się choć chwilę, nie zdjąwszy nawet ubrania.

Zbudził mnie telefon brzęczący tuż przy mojej twarzy.

– Będziemy o szóstej – powiedział Min-ho.

Wyskoczyłam z łóżka jak oparzona. Kilka minut później, gdy siedziałam już w taksówce, zadzwonił znowu.

– Przeszliśmy. Siedzimy w opuszczonym domu.

Ogarnęła mnie euforia. Nie widziałam mojej ukochanej matki od jedenastu

lat, dziewięciu miesięcy i dziewięciu dni. Teraz dzieliły mnie od niej zaledwie minuty. Poprosiłam kierowcę, by poczekał, i ruszyłam przez trawy i chaszcze w stronę brzegu rzeki.

Niebo na wschodzie zaczynało powoli szarzeć. Nagle, jakieś pięćdziesiąt metrów przed sobą, tuż obok opuszczonego domu ujrzałam dwie sylwetki. Skulone, poruszały się w moim kierunku.

Moja omma.

W blasku przedświtu ujrzałam pokrytą plamami starą twarz i ciało poruszające się z trudnością. Min-ho szedł tuż za nią, osłaniał ją ramieniem i prowadził we właściwą stronę.

Pobiegłam im na spotkanie, ale to nie był czas na długie powitania.

– Musimy jechać – oznajmiłam. Byliśmy jak na świeczniku – między rzeką i miastem. O świcie miały się pojawić pierwsze chińskie patrole. Taksówkarz, który miał czekać kawałek dalej, mógł wysiąść z samochodu, zobaczyć nas i donieść władzom. Wyciągnęłam z torby ubrania, które dla nich kupiłam. – Włóżcie to. Na rzeczy, które macie na sobie. Szybko.

Gdy skończyli się przebierać, poprowadziłam ich do taksówki.

– Zachowujcie się normalnie, ale nic nie mówcie. Pomyśli, że jesteście stąd.

Wsiedliśmy do samochodu. Na wypadek gdyby kierowca jednak na nas doniósł, kazałam mu jechać do innego hotelu. Przez całe dziesięć minut jazdy nie odzywaliśmy się do siebie. Zapłaciłam za kurs. Wprawdzie dawanie napiwków nie było tu w zwyczaju, ale nie poprosiłam o resztę. Wysiedliśmy, a gdy taksówka zniknęła nam z oczu, poszliśmy do Changbai Binguan.

O tak wczesnej porze w hotelu było cicho i pusto. Recepcjonistka była zajęta swoim telefonem komórkowym. Wprowadziłam matkę i brata do windy i kazałam im jechać do pokoju, a sama podeszłam do lady.

– Dzień dobry – odezwałam się zupełnie normalnie. – Ta pani jest ze mną. Przyniosę jej dowód, gdy zejdziemy na śniadanie. Ten pan nie zostaje w hotelu, niedługo sobie pójdzie.

– W porządku – powiedziała, tłumiąc ziewnięcie.

***

Zamknęłam za sobą drzwi do pokoju. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

Pół życia minęło od momentu, gdy byliśmy razem. Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. A potem matka się załamała, jakby zeszło z niej całe napięcie. Trzymałam ją w ramionach, czując, że sama zaraz się rozpłaczę. Nigdy wcześniej nie czułam tak wielkiej radości i tak ogromnego smutku jednocześnie. Matka szlochała bez przerwy. Nad jej ramieniem widziałam niezwykle smutnego Min-ho. Przez wszystkie te lata dzielił z nią wszystkie problemy i rozpacz, a teraz, niedługo, będzie musiał się z nią pożegnać i pewnie nigdy więcej jej nie zobaczy. W końcu odsunęłyśmy się od siebie, żeby zobaczyć, jak zmieniły się nasze twarze, jakich spustoszeń dokonał czas. Matka wyglądała na bezbronną i kruchą. W pamięci ciągle miałam jej obraz z tamtego wieczoru, gdy widziałam ją po raz ostatni. Miała wtedy czterdzieści dwa lata i tyle energii, że ledwie mogła usiedzieć na miejscu. Teraz skończyła pięćdziesiąt cztery lata, ale wyglądała na znacznie starszą. Była szczuplejsza, niż pamiętałam, usta miała zaciśnięte w wąską linię.

Oboje się zmienili. Min-ho stał się mężczyzną. Widziałam siłę w jego barkach i ramionach. Od naszego krótkiego, przerwanego przez gang spotkania w domu pana Ahna minęło osiem lat. Nigdy nie obnosił się z uczuciami, zupełnie jak nasz ojciec, ale teraz w jego oczach błyszczały łzy.

Matka dotknęła mojej twarzy, potem swojej, potem znów mojej. Trzęsły się jej dłonie.

– Omma – powiedziałam. Dostrzegła w moich oczach niepokój.

– Postarzałam się dwanaście lat w ciągu ostatnich dwunastu godzin – powiedziała.

Zaśmiałam się i znów ją uściskałam. Zawsze żartowała ze swojego wyglądu. Gdy ją tuliłam, przypomniałam sobie, że przecież ciągle ma na sobie zimne, przemoczone ubrania.

Po gorącym prysznicu oboje wyglądali na znacznie bardziej odprężonych, ale ja znów zaczęłam się martwić. Musiałam nad wszystkim czuwać i bacznie obserwować sytuację. Najbardziej niebezpieczna część planu była ciągle przed nami.

– Skąd u ciebie tyle pryszczy? – zapytała matka, jakbyśmy widziały się zaledwie wczoraj. Dokładnie to samo mówiła, gdy miałam siedemnaście lat. Faktycznie, stres związany z przygotowaniami odbił się mocno na mojej cerze. – Gdybym wiedziała, wzięłabym ze sobą trochę *bingdu*.

– To nie byłby najlepszy pomysł, omma. – Nie chciałam sobie nawet

wyobrażać, że matka przemyca kryształki metamfetaminy.

– Ale to świetnie robi na cerę. Rozpuszcza się je w wodzie i myje twarz w tym roztworze. Chwila moment i pryszczy nie ma.

– Używam ich też, gdy prowadzę w nocy – dodał Min-ho.

Dalsze przekonywanie ich nie miało sensu. W tym pokoju zeszły się dwa światy. Min-ho włożył na siebie nowe jeansy i koszulę. Wyglądał bardzo przystojnie. Mój braciszek... Nie miałam ochoty myśleć o czekającym nas pożegnaniu.

***

Żadne z nas nie spało, ale nie czuliśmy się senni. Chciałam wiedzieć, co zaszło minionej nocy. Okazało się, że po spotkaniu ze strażnikiem na brzegu rzeki matka poszła przeczekać do znajomych mieszkających w pobliżu. Min-ho posiedział ze strażnikiem przez kilka godzin, a potem poszedł do domu Yoon-ji i jej rodziców, dokąd się przeprowadził. Powoli szykowali się do ślubu, ale nie wyznaczyli jeszcze daty.

– Nie mogłem powiedzieć Yoon-ji, że pomagam uciec ommie – przyznał Min-ho. Gdyby stosunki między nimi kiedykolwiek się popsuły, jej wiedza na ten temat mogłaby być dla niego zabójcza. – Gdyby udało się nam przejść wczoraj, zadzwoniłbym do niej i powiedział, że jestem tu w interesach i muszę zostać dzień czy dwa. Kiedy dziś wychodziłem, jeszcze spała, więc zostawiłem jej kartkę.

Gdy Min-ho wrócił z matką nad rzekę, natknęli się na patrol. Strażnicy zapytali go, kim jest towarzysząca mu kobieta. Oznajmił, że klientką, która ma spotkać się z kimś w Chinach, a potem wrócić.

– Powiedziałem im, że dobrze mi za to zapłaci, więc podzielę się z nimi. – Min-ho zawahał się, a ja dostrzegłam w jego oczach zmartwienie. – Co ciekawe, w czasie naszej rozmowy pojawili się kolejni strażnicy. Zmieniali się właśnie z parą patrolującą dalszy odcinek. Nagle stało nas tam dziesięciu. Niektórzy próbowali mnie przekonać, żebym nie przechodził z tą kobietą. Długo ich przekonywałem. Stąd to opóźnienie.

– Powinniście byli czekać, aż straże sobie pójdą – powiedziałam.

– Zaczynało się robić jasno, a ja nie chciałem natknąć się na chiński patrol po drugiej stronie. Tak czy inaczej, oni mnie znają. To żaden problem. Po

prostu pożegnałem się i przeszedłem.

Dziewięciu strażników patrzyło, jak wziął matkę za rękę i przeprowadził ją po pas w wodzie.

Absurdalność tej sytuacji sprawiła, że zaczęłam chichotać. Nie mogłam przestać. Przekraczanie granicy to najbardziej niebezpieczny moment w każdej próbie ucieczki, ale mojego brata i moją matkę odprowadzało przyjazne machanie wszystkich uzbrojonych strażników na tym fragmencie brzegu.

Chwilę później wszyscy troje płakaliśmy ze śmiechu.

***

Gdy następnego ranka zjeżdżaliśmy windą, powiedziałam matce i Min-ho, żeby nie rozmawiali zbyt głośno przy śniadaniu. Od czasu do czasu odzywałam się do nich po mandaryńsku, a poza tym siedzieliśmy cicho, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Bałam się, że Min-ho za bardzo rzuca się w oczy. Był najmłodszą osobą w całym hotelu. Pozostali goście byli starsi lub w średnim wieku.

Po posiłku wyszliśmy do miasta, w dalszym ciągu pilnując się, żeby za wiele nie mówić. Wprawdzie koreański jest pierwszym językiem wielu osób z Changbai, ale wyraźny akcent północnokoreański mógł przyciągnąć niepotrzebną uwagę. Poszliśmy na zakupy, bo chciałam pokazać im bogactwo dostępnych towarów. Potem zabrałam ich na obiad do drogiej koreańskiej restauracji. Znów kierowałam się myślą, że w takim miejscu nikt nie szukałby uciekinierów z Korei Północnej, lecz jednocześnie chciałam należycie ich potraktować. Wkrótce Min-ho miał się z nami pożegnać i chciałam, żeby jego wspomnienia ze spędzonych z nami ostatnich chwil były jak najprzyjemniejsze.

Po powrocie do hotelu mój brat włączył telefon, a ten zadzwonił niemal od razu. Telefonowała Yoon-ji.

Zaczęła krzyczeć, gdy tylko odebrał. Matka i ja słyszałyśmy każde jej słowo.

– Gdzie jesteś?! Kim jest ta suka, która z tobą poszła?!

– O co chodzi?

– Nie wiesz, co się tu dzieje?

– Uspokój się. O co chodzi?

– Wszyscy poszaleli. Dowódca patrolu, który cię wczoraj przepuszczał, jest u nas w domu. Wpadł w panikę.

– Dlaczego?

– Ktoś doniósł jego dowódcy, że przeszedłeś na drugą stronę z jakąś kobietą. Dowódca mówi, że jeśli natychmiast z nią wrócisz, nic się nie stanie. Ale jeśli wrócisz sam, będziesz miał kłopoty. I ten strażnik, który cię przepuścił, też. Oskarżą cię o handel ludźmi. – Min-ho wytrzeszczył oczy z niedowierzania. – Ten strażnik tu jest i błaga mnie, żebyś wrócił. Natychmiast – powiedziała. – Kim jest ta cholerna baba, która z tobą przeszła?

– Odwiedza krewnych – powiedział wymijająco zmieszany Min-ho.

– No to dlaczego nie weźmiesz jej ze sobą i nie wrócisz?

– Dobrze mi płaci.

– Mamy pieniądze. Po co tak ryzykować dla jakiejś suki?

– Nie mów tak.

– Przyprowadź ją z powrotem! – wrzeszczała w słuchawkę.

– Zadzwonię później.

Rozłączył się i opadł na łóżko, chowając twarz w dłoniach.

Znalazł się w sytuacji bez wyjścia – stanął przed najgorszym możliwym wyborem. Musiał wrócić, lecz nie mógł zabrać matki, bo zaczęliby dochodzić, co robiła w Chinach. Jedyną odpowiedzią było to, że spotkała się ze mną. Gdyby wrócił sam, zostałby oskarżony o handel ludźmi i poddany przesłuchaniu. *Bowibu* szybko by go złamało i powiedziałby im całą prawdę: że pomagał matce uciec. Trafiłby do więzienia politycznego, do strefy bez powrotu. Jego życie byłoby skończone.

Podeszłam do okna i oparłam czoło o szybę. Zadźwięczała głucho. Nawet w najczarniejszych scenariuszach nie rozważałam takich komplikacji. Przez kilka minut milczeliśmy, każdy pogrążony w swoich myślach.

Wreszcie przerwałam milczenie.

– Jeśli wrócisz, będziesz miał wielkie kłopoty – powiedziałam spokojnie. Min-ho spojrzał na mnie. Jego twarz była jak odlana w wosku. Matka nadal się nie odzywała. – Jeśli wrócicie oboje, będzie jeszcze gorzej. Omma nie może z tobą przejść. Zostają nam dwa wyjścia. Możemy liczyć na to, że twoje układy ze strażnikami pozwolą ci się z tego wyplątać… – Wyglądał, jakby nie docierało do niego to, co mówię. – Możesz też… nie wracać. –

Ostatnie słowa wypełniły całą przestrzeń w pokoju. – Twój przyjaciel ze straży będzie skończony i bardzo mi z tego powodu przykro. Ale jesteśmy rodziną, Min-ho. Nie możesz teraz wrócić. Po prostu nie możesz. To zbyt niebezpieczne. Musisz iść z nami. Nie planowałam tego, ale jakoś damy sobie radę.

Wiedziałam, że tak naprawdę nie miał wyboru, lecz musiałam pozwolić mu podjąć tę decyzję samodzielnie. Oba wyjścia były niezwykle ryzykowne. Min-ho musiałby podróżować po Chinach bez dokumentów. Poza tym, choć miałam pieniądze na podróż dla siebie i matki oraz na opłatę dla pośrednika, nie uwzględniałam brata w swoich obliczeniach. Nie było powiedziane, że nam się uda. Jeśli jednak naprawdę uważał, że da radę wrócić i jakoś to wszystko ułożyć, a potem wykupić się z kłopotów, musiała to być jego decyzja.

Min-ho był w szoku.

– Nie mogę wrócić – wyszeptał. – Wszyscy dobrze to wiemy.

Chwyciłam za dłonie jego i matkę i trzymałam przez chwilę.

– Wyjedziemy razem. Zrobimy wszystko, co się da.

Jego telefon ponownie zadzwonił.

– Wracacie? – zapytała Yoon-ji.

– To zajmie więcej niż jeden dzień – odparł cicho.

Chciał zyskać na czasie, zanim wymyśli, jak ma jej to powiedzieć. Jej rodzice go lubili i mieli koneksje, które mogłyby mu pomóc. Ale jeśli uznaliby, że uciekł od ich córki, równie dobrze mogli ich użyć przeciwko niemu. *Bowibu* miało prawo działać w Chinach, by tropić zbiegów.

– Musisz wrócić...

Wszyscy słyszeliśmy jej szloch.

Czuła, że Min-ho nie wróci.

***

Postanowiliśmy opuścić Changbai następnego dnia rano, tak szybko, jak to możliwe. Min-ho bał się włączyć telefon. Gdy tylko to zrobił, znów rozbrzmiał dzwonek. Yoon-ji była już spokojniejsza. Powiedziała, że przeczuwała, że Min-ho nie będzie chciał wrócić. Rodzice byli z nią w pokoju.

– Powiedz mi… ta kobieta. Naprawdę jej nie znasz? A może to twoja matka? Powiedz prawdę.

– To moja matka – przyznał. – Siostra po nią przyjechała. Dlatego przeszedłem.

Jej rodzice już się tego domyślili. Yoon-ji zaczęła płakać.

– Min-ho, proszę, wróć – znów go błagała. – Zostawiłeś mi list, ale od początku wiedziałeś, że już nie wrócisz, prawda? Jak mogłeś zostawić mnie, gdy spałam, i nawet się nie pożegnać?

Matka zakryła usta dłonią. Ta rozmowa łamała jej serce.

Usta Min-ho zadrżały.

– Wierz mi, proszę. Chciałem wrócić. Nadal chcę. Ale nie mogę zabrać ommy ze sobą. A sam wrócić przecież nie mogę. Sprawdź w szufladzie, wszystkie pieniądze tam zostały. Wszystkie. Gdybym nie miał zamiaru wracać, nie zostawiłbym przecież tego wszystkiego.

– Wierzę ci – powiedziała. – Wróć, proszę.

Nagle w słuchawce zabrzmiał surowy, męski głos:

– Min-ho, proszę, wróć natychmiast. Błagam cię ze względu na moją córkę.

Min-ho nie odpowiedział. Oddychał ciężko. Miał ten sam wyraz twarzy, który pamiętałam z dzieciństwa. Zawsze wyglądał tak, gdy chciał, żeby coś, co go spotkało, nigdy nie miało miejsca. Wzięłam od niego telefon.

– Tu siostra Min-ho – powiedziałam chłodno. – Bardzo chcemy, żeby wrócił, i on też tego chce. Na co by się teraz nie zdecydował, będzie to dla niego niebezpieczne. Ale proszę zrozumieć, że powrót jest teraz najbardziej ryzykowną rzeczą, jaką może uczynić.

– Wiem, że to poważny problem – odparł ojciec Yoon-ji. – Ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy, niezależnie od ceny, żeby jakoś to załatwić.

– Dobrze. Dziękuję. My też zastanowimy się, jak rozwiązać ten problem – obiecałam. – Porozmawiamy o tym jutro.

Słyszałam histeryczny szloch Yoon-ji. Rozłączyłam się. Wydarzyła się ogromna tragedia. Ta dwójka naprawdę się kochała.

Wyłączyłam telefon i nieoczekiwanie dla samej siebie wybuchnęłam płaczem. Byłam wyczerpana. Spojrzałam na matkę, która przez cały ten czas nie odezwała się ani słowem. Mogłam tylko próbować wyobrazić sobie, jak bardzo winna temu wszystkiemu się teraz czuła. Dotąd była nam oparciem, zawsze rozwiązywała wszystkie problemy, potrafiła znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Teraz mogła tylko patrzeć, jak jej dzieci borykają się

z nieszczęściem, jakie spadło na nas zaledwie dzień po naszym upragnionym spotkaniu.

– Idę pod prysznic – powiedział Min-ho.

Matka spojrzała na mnie strapiona. Usłyszałyśmy, jak odkręca wodę i spłukuje muszlę. Potem zaszumiała woda z prysznica. Słyszałyśmy, jak płacze. Jego szloch rozdzierał nam serca. Nie zostało mu w życiu nic poza tym, co miał na sobie. Żadne słowa nie przynosiły ukojenia po takiej stracie.

Kilka minut później Min-ho wyszedł z łazienki ubrany, wycierając włosy ręcznikiem. Udawałyśmy, że nic nie było słychać. On tymczasem zdołał wrócić do siebie.

– Zatem, Nuna, jaki mamy plan? – Zwracał się już tak do mnie w rozmowach telefonicznych, ale cudownie było usłyszeć to osobiście.

– Wyjeżdżamy w ciągu godziny.

ROZDZIAŁ 44

PODRÓŻ PRZEZ NOC

Zostawiłam Min-ho i matkę w pokoju hotelowym i poszłam na dworzec kupić bilety na autobus. W miejskim gwarze rozglądałam się nerwowo, jakbym podejrzewała, że każdy, kogo mijam, wyciągnie zaraz telefon i zadzwoni po *Bowibu*. Na dworcu zrozumiałam wreszcie, co mnie tak niepokoiło. Wszędzie roiło się od policji – Sił Bezpieczeństwa w granatowych mundurach i Zbrojnej Policji Ludowej w oliwkowozielonych uniformach. Co tu się działo?

Gdy poprosiłam o bilety, kasjerka wyciągnęła dłoń w moją stronę.

– Pani dowód i dowody osób towarzyszących.

Tego się nie spodziewałam.

– Dowód?

– Dziś Święto Narodowe – stwierdziła beznamiętnie. – Chyba widać.

To wyjaśniało obecność policji. Był pierwszy października. I nie było to zwyczajne Święto Narodowe. Mieliśmy rok 2009, więc dziś przypadała sześćdziesiąta rocznica utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej. Rok w rok tego dnia zaostrzano środki bezpieczeństwa, żeby nic nie zakłóciło obchodów święta, ale sześćdziesiąta rocznica była wyjątkowa.

Patrzyłam na kasjerkę z niedowierzaniem. Nie dość, że wybrałam najgorszą możliwą noc na przeprawienie matki przez rzekę, to jeszcze wybrałam najgorszy dzień w ciągu całego dziesięciolecia, żeby przewozić ją przez Chiny.

***

– Min-ho, możesz pożyczyć dowód od kogoś w Changbai?

Od kogokolwiek?

Min-ho pomyślał chwilę i stwierdził, że może spytać kilku swoich partnerów handlowych.

Pierwszy z nich prowadził sklep z używanymi motocyklami. Wyszedł na zewnątrz, gdy tylko zobaczył, że się zbliżamy. Wycierał poplamione olejem dłonie o brudny podkoszulek.

– Co tu robisz? Kto to jest? – zapytał na powitanie. Nie był gruby, ale garbił się tak mocno, że brzuch zwisał mu nad paskiem spodni.

Min-ho powiedział, że chce kupić rodzinie prezenty z okazji *Chuseok*, koreańskiego święta plonów, które przypadało za dwa dni. Przedstawił mnie jako swoją kuzynkę z Shenyang i powiedział, że chce jechać tam ze mną, ale potrzebuje dowodu.

– A jak cię złapią z moim dowodem, to co im powiem?

Min-ho mówił, że to uczciwy człowiek, ale straszny tchórz, gdy przychodziło do naginania przepisów.

– Niech pan zgłosi kradzież – podpowiedziałam.

Mężczyzna wydął policzki i pokręcił powoli głową.

Drugim kontaktem Min-ho był handlarz częściami motocyklowymi, przyjazny człowiek z nierówną brodą. Zaprosiliśmy go na obiad i podaliśmy tę samą wymówkę. Zaproponowałam też, że zapłacę mu tysiąc juanów (sto pięćdziesiąt dolarów) i że dowód wróci do niego w ciągu tygodnia.

– A jak was złapią? – zapytał, zapalając papierosa.

– Powie pan, że zgubił dowód, i wydadzą panu nowy.

Zaśmiał się, zaklął i wypuścił z ust kłąb dymu.

– Wszędzie pełno policji. Wszystkich sprawdzają. – Widziałam, że odmówi, ale powiedział tylko: – Dajcie mi dzień. Przemyślę to.

Nie mieliśmy innego wyjścia. Poszłam do pani Ahn, żeby przekonać się, czy ona nie może nam jakoś pomóc, ale zastałam dom zabity deskami. Sąsiadka powiedziała mi, że pani Ahn się wyprowadziła.

To wyczerpało nasze możliwości. Jeśli drugi handlarz nie zdecyduje się nam pomóc, nie mamy nikogo w zapasie. W tym czasie zapłaciłam za kolejną drogą dobę hotelową.

Jak zawsze, gdy czułam się przyparta do muru, zamknęłam oczy i zaczęłam mruczeć modlitwy, zaklinać przodków i żarliwie prosić ich o pomoc. Nie oczekiwałam jednak cudów. Wydawało mi się, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

Następnego dnia, gdy jedliśmy śniadanie, zadzwonił znajomy handlarz Min-ho.

– Boję się, jak diabli, ale Min-ho pomógł mi dobrze zarobić. Jestem mu to winien.

***

Dopiero gdy dostaliśmy dowód do rąk, zorientowałam się, że ten mężczyzna ma trzydzieści osiem lat. Min-ho miał dwadzieścia dwa i w niczym nie przypominał swojego znajomego. Ale liczyła się przede wszystkim płeć. Założyłam, że dla policji również. Ten dowód wyglądał inaczej niż mój – miał napisy po chińsku i koreańsku. Nigdy wcześniej takiego nie widziałam.

Handlarz powiedział nam, że policja przeprowadza zakrojone na szeroką skalę czystki przed obchodami sześćdziesięciolecia. Podróżni są sprawdzani dosłownie wszędzie, a drogi gęsto zablokowane. Najrozsądniej byłoby przeczekać te dwa tygodnie, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Nie mieliśmy jednak wystarczająco dużo pieniędzy, musieliśmy ruszać dalej. Nie chciałam niepokoić matki i Min-ho, więc zapewniłam ich, że się nam powiedzie, że wierzę w nasze szczęście. Jeśli los nam sprzyjał, to wszystko musiało skończyć się dobrze. Jeśli nie – nic nie mogło nas uratować.

Na dworcu kupiłam trzy stuseśćdziesięciojuanowe bilety (mniej więcej po dwadzieścia pięć dolarów każdy) na autobus odjeżdżający o drugiej po południu następnego dnia. Autobus miał trzy rzędy piętrowych łóżek oddzielonych od siebie dwoma wąskimi alejkami. Poprosiłam o trzy łóżka z tyłu na drugim poziomie. Miałam nadzieję, że w razie kontroli policja przejdzie wzdłuż autobusu i zbierze wszystkie dowody. Na końcu nie będą mieli okazji przyjrzeć się uważnie ani nam, ani naszym dokumentom.

***

Autobus odjechał o czasie. Zaczęła się nasza wielka podróż. Żołądek miałam z nerwów zawiązany na supeł, lecz nie traciłam nadziei. Udało się nam zdobyć dowód dla Min-ho, co uznałam za dobry znak. Pozwoliłam sobie myśleć, że może los się odwrócił. Pojechaliśmy na południowy zachód,

wzdłuż rzeki Yalu. Pierwszy etap naszej podróży – do Shenyang – liczył jakieś czterysta kilometrów. Trasa prowadziła przez górzystą okolicę, a podróż miała trwać dwanaście godzin.

Przystawiłam aparat fotograficzny do szyby. Poprzedniego dnia zrobiłam kilka zdjęć Hyesan. Umykający obraz miał być zapewne moim ostatnim spojrzeniem na tę okolicę. Na myśl o tym popadłam w zadumę. Ujrzałam jeszcze w oddali zarys białego muru wokół naszego domu nad brzegiem rzeki. Wróciłam myślami do odległych wiosennych dni, jeszcze sprzed głodu, gdy razem z ojcem puszczaliśmy kaczki na wodzie, a świat za rzeką wydawał się tajemniczy i niezmierzony.

Autobus minął posterunki graniczne na końcu Mostu Przyjaźni. Zrobiłam kilka ostatnich zdjęć. Potem, zaledwie pięć minut po rozpoczęciu podróży, zwolniliśmy i zjechaliśmy na pobocze.

Wychyliliśmy się z łóżek, żeby zobaczyć, co się dzieje. Drzwi otworzyły się z głośnym sykiem i do autokaru wsiadł żołnierz w zielonym mundurze. Przez ramię miał przewieszony karabin automatyczny.

Poczułam, jak wszystko wewnątrz mnie cierpnie.

Zerknęłam przez okno po stronie Min-ho. Grupa Zbrojnej Policji Ludowej rozstawiała właśnie przenośny punkt kontrolny. Po obu stronach drogi stały zaparkowane samochody terenowe.

Żołnierz nie sprawdzał dokumentów. Patrzył ludziom w oczy, obserwował ich twarze. Dlaczego? Szukał śladów zdenerwowania? A może kogoś, kto wydawał się tu nie na miejscu? Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że Min-ho jest jedynym mężczyzną w tym autobusie. Pozostałymi pasażerami były kobiety. Do tego mój brat w niczym nie przypominał Chińczyka. Był mocno ogorzały, przez co miał ciemniejszą skórę niż większość jego rówolatków z Chin. W Korei Północnej nikt nie słyszał o kremach z filtrem. Wcześniej na ulicy dałam mu swoją czapkę z daszkiem, żeby ukryć choć trochę jego twarz. Teraz naciągnął ją na oczy i udawał, że śpi.

Żołnierz przesuwał się powoli, lustrując każdą twarz. Słyszałam, jak krew pulsuje mi w żyłach. Tymczasem połowa pasażerów miała kontrolę już za sobą.

Spojrzałam na obwieszony flagami most. Widziałam stąd stojących po drugiej stronie strażników północnokoreańskich.

Żołnierz był zaledwie kilka kroków od nas. Spojrzał mi w oczy. I przeniósł wzrok na Min-ho.

Wszystko, co działo się potem, wydawało mi się filmem puszczonym na zwolnionych obrotach. Przerzuciłam nogi przez poręcz kuszetki i stanęłam żołnierzowi na drodze. Poczułam w dłoni coś ciężkiego i metalowego. Mój aparat. Bez namysłu skierowałam go na twarz żołnierza i zrobiłam mu zdjęcie. Z jakichś przyczyn lampa była włączona.

– Hej, hej, hej! – zawołał. Ja tymczasem obróciłam się do okna i zaczęłam robić zdjęcia uzbrojonych strażników rozstawiających punkt kontrolny. Żołnierz chwycił mnie za ramię. – Żadnych zdjęć.

– Oj! – Uśmiechnęłam się głupiutko. – Przepraszam. Wyglądacie tak wspaniale w tych mundurach.

Zauważyłam, że wszystkie pasażerki autobusu wychyliły się ze swoich miejsc, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– To niezgodne z prawem. Proszę natychmiast usunąć te zdjęcia.

– Ojej... – westchnęłam, starając się brzmieć smutno. – A nie mogę tego jednego zachować?

– Nie. Proszę je usunąć. Natychmiast.

Pasażerki wyglądały na mieszkanki Changbai. Ja wyglądałam jak dziewczyna z innego, modnego świata. Jeśli miałam trochę szczęścia, wszyscy uznali mnie za nieświadomą turystkę. Żołnierz był zakłopotany i wyraźnie poirytowany. Wiedział, że wszystkie kobiety w autobusie przyglądają się mu.

– O, to pan – powiedziałam, patrząc na wyświetlacz aparatu. Na nieco prześwietlonym zdjęciu miał osłupiałą minę. – Proszę spojrzeć, już usuwam.

Odwrócił się i pobiegł przejściem, jakby chciał uciec przed zaciekawionymi spojrzeniami. Automatyczne drzwi zamknęły się za nim z sykiem.

Wróciłam na swoje łóżko. Co to było? Poczułam się, jakbym wracała do rzeczywistości po wystąpieniu na scenie, które zupełnie mnie wycieńczyło. Mieliśmy do przejechania przeszło trzy tysiące kilometrów. Ile jeszcze razy przytrafi się nam coś takiego?

Przez resztę podróży do Shenyang leżeliśmy każde na swojej kuszetce i nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem. Gdy słońce zaszło, pozostałe pasażerki przykryły się szorstkimi kocami i zapadły w sen.

Leżałam, wsłuchana w szum silnika, gdy autobus sunął przez mrok. Zbyt się denerwowałam, by usnąć. Wybiegałam myślami naprzód, starając się ocenić, jakie jeszcze czyhają na nas niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ 45

POD BEZKRESNYM AZJATYCKIM NIEBEM

Ciotka proponowała, żebym przywiozła matkę do nich na dzień czy dwa, żeby dać jej szansę na zaaklimatyzowanie się, ale nie chcieliśmy tracić czasu w Shenyang. Analizowałam starannie następny etap naszej podróży. Najszybciej byłoby polecieć do Kunming – trwałoby to zaledwie sześć godzin – ale takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Na lotnisku na pewno obejrzeliby starannie nasze dowody. Podróż pociągiem zajmowała dwa pełne dni, lecz tam kontrole dokumentów były jeszcze gorsze, bo przeprowadzano je twarzą w twarz. Najmniej niebezpieczna była jazda autobusami, choć podróżowanie w ten sposób to prawdziwa mordęga. Obliczyłam, że ze wszystkimi przesiadkami i czasem oczekiwania na połączenia zabierze nam to tydzień. I choć na drogach kontrole zdarzały się częściej, to kierowca autobusu zbierał zazwyczaj dokumenty wszystkich na pokładzie i oddawał policjantowi, który kontrolował je w przenośnym czytniku, ale nie porównywał z twarzami podróżnych.

Zebraliśmy w sobie siły. Czekała nas podróż autobusem przez osiem wielkich chińskich prowincji. Gdybyśmy napotkali więcej takich problemów, jak przy wyjeździe z Changbai, postanowiliśmy udawać, że matka i Min-ho są głuchoniemi, a ja jestem ich przewodnikiem. Było to desperackie, szalone i żałosne posunięcie, ale żaden inny pomysł nie przyszedł mi do głowy.

Następny etap podróży prowadził do Zhengzhou, leżącej nad Żółtą Rzeką stolicy prowincji Henan, oddalonej od Shenyang o prawie tysiąc pięćset kilometrów w kierunku południowo-zachodnim. Mieliśmy przed sobą osiemnaście godzin jazdy. Pierwszy posterunek był oddalony o godzinę od

dworca. Tak jak miałam nadzieję, kierowca zebrał nasze dowody i przekazał je policjantowi, który zabrał dokumenty na inspekcję. W czasie nieszczęsnej przygody w Changbai zauważyłam, że żołnierz od razu po wejściu do autobusu spojrzał na tył, gdzie wyłowił zapewne twarz Min-ho. Dlatego tym razem zdecydowałam się na miejsca z przodu, teoretycznie najbardziej narażone w czasie kontroli. W ten sposób wyglądaliśmy tak, jakbyśmy nie mieli nic do ukrycia. Znów zajęliśmy kuszetki na drugim poziomie – Min-ho przy oknie, ja pośrodku, a że miejsce obok mnie było już zajęte, matka położyła się za mną, również pośrodku. Dziesięć minut później policjant wrócił do autobusu i oddał kierowcy dowody.

Gdy drzwi się zamknęły, odetchnęliśmy z ulgą. Byliśmy wolni.

Zaczęliśmy swobodnie rozmawiać. Rozluźniliśmy się. W hotelu w Shenyang wyspaliśmy się porządnie, więc teraz gadaliśmy i zajadaliśmy się przekąskami. Autobus był pełen ludzi. Jeśli do tej pory nie domyślili się, że jesteśmy z pochodzenia Koreańczykami, to z pewnością byli przekonani, że należymy do jednej z chińskich mniejszości etnicznych lub jesteśmy obcokrajowcami. Autobus dwukrotnie zatrzymał się w restauracjach przy autostradzie. W czasie tych postojów pasażerowie mogli wyjść, rozprostować nieco nogi, skorzystać z łazienki i coś zjeść.

Siedem czy osiem godzin później autobus zatrzymał się znowu. Był wczesny ranek. Zbliżaliśmy się do Pekinu. Przed nami zamigotały niebieskie światła policyjnego samochodu. Kierowca znów zebrał nasze dowody i oddał je policjantowi. Ten wrócił dziesięć minut później. Trzymał dokumenty w dłoni. Powiedział kierowcy, że ma zjechać na pobocze i włączyć wewnętrzne światła.

Poczułam powiew powietrza z klimatyzacji i zimny pot perlący mi się na czole.

Policjant spojrzał na trzymany w dłoni dowód, odczytał imię i poczekał, aż pasażer podejdzie do niego.

– Nazwisko? – zapytał. – Adres? Cel podroży? Powód?

Gdy pasażer odpowiedział na wszystkie pytania, policjant oddał mu dowód.

W tym momencie dotarł do mnie koszmar całej sytuacji.

On szuka nielegalnych imigrantów, którzy nie potrafią mówić po mandaryńsku.

Poczułam się zupełnie bezradna. Nasze głośne rozmowy po koreańsku zniszczyły przygotowaną wcześniej legendę. Poczułam, jak drga mi powieka.

Musiałam się skrzywić, żeby przestała.

To koniec. Już po nas.

Zerknęłam na matkę i Min-ho. Oni też wiedzieli już, co się dzieje. Min-ho popijał ukradkiem z butelki tani chiński likier o nazwie Maotai. Ohydny, lepki smród tego alkoholu doleciał już do mojej kuszetki. Min-ho stwierdził, że w razie kontroli będzie udawał pijanego. Teraz zakręcił butelkę i zamknął oczy. Zaciskał usta w wąską linię. Było mi go bardzo żal. Jego i matki. Wszystko to było moją winą. Gdyby nie ja, siedzieliby teraz bezpiecznie w domu. Zapłacą za mój egoizm.

Strategia Min-ho nie mogła zadziałać.

– Chan-soo. – Policjant odczytał imię na dowodzie mojego brata. Imię było koreańskie, ale on wymawiał je po mandaryńsku. Min-ho nadal miał zamknięte oczy. Nie wiedziałam, co robić.

Policjant znów odczytał imię. Żadnej reakcji. Odczytał je po raz trzeci, teraz już zirytowany. Dźgnęłam Min-ho, udając, że go budzę. Pozostali pasażerowie przyglądali się, jak schodzi ze swojej kuszetki. Widziałam, że trzęsą mu się nogi. Poruszał się powoli, jakby szedł na ścięcie. Serce krwawiło mi na jego widok.

Dam się za niego zabić.

– Imię? – zapytał policjant po mandaryńsku.

Min-ho stał przed nim bezradny ze spuszczoną głową. Nie odezwał się ani słowem. Policjant spojrzał na dowód, potem na Min-ho.

– Jest głuchoniemy – powiedziałam po mandaryńsku, schodząc ze swojej kuszetki.

– Kim pani jest?

– Jedziemy razem – odpowiedziałam. Policjant odszukał mój dowód.

– Naprawdę? Jest głuchoniemy? – Policjant trzymał przed sobą mój dowód i dowód Min-ho. – Pani jest Chinką, a on to cudzoziemiec.

– To koreańskie pismo – powiedziałam. – Chińczykom koreańskiego pochodzenia wydaje się na północy dowody w dwóch językach.

– Nigdy takiego nie widziałem.

– Ona ma rację – wtrącił swoje trzy grosze kierowca. Obróciłam się i zobaczyłam, że mężczyzna puka zirytowany w tarczę zegarka. – W autonomicznych prowincjach koreańskich wydają tylko takie dowody.

Nieznane pismo odwróciło uwagę policjanta od zdjęcia i daty urodzenia w dokumencie. Nadal jednak przyglądał się podejrzanie Min-ho. W końcu

oddał mu dowód.

Nagle za nami rozległo się głośne chrząkanie, jakby w autobusie znalazła się jakaś małpa. Matka zeszła ze swojego posłania. Bełkotała jak człowiek nieświadomy tego, że wydaje jakieś dźwięki, i machała rękami, żeby okazać irytację lub tak, jakby ominęła porę przyjęcia leków. Było to tak zaskakujące, że policjant aż się cofnął i zaklął.

– Jeszcze jedna?

– Ona też jedzie ze mną – powiedziałam tonem pełnym skruchy. – Pilnuję ich oboje.

Niechętnie oddał nam dowody, nie zadając już żadnych pytań. Wszyscy w autobusie przyglądali się temu dziwacznemu przedstawieniu. Słyszeli przecież, jak rozmawiamy całymi godzinami. Być może byli zbyt zaskoczeni, żeby się odezwać, ale nikt nas nie wydał. Właśnie popełniłam przestępstwo na oczach pięćdziesięciu dwóch zupełnie obcych mi osób.

Minutę później autobus wrócił na autostradę. Matka i Min-ho wyglądali, jakby właśnie uciekli sprzed plutonu egzekucyjnego. Czułam na sobie spojrzenia pozostałych pasażerów. Chciałam się odwrócić, powiedzieć coś, jakoś im to wyjaśnić i podziękować, lecz za bardzo się bałam i wstydziłam. Do końca podróży zostało nam osiem godzin. Matka i Min-ho nie odezwali się już ani słowem.

***

Do Zhengzhou dotarliśmy późnym popołudniem. Stamtąd przedostaliśmy się do Guilin, stolicy prowincji Guangxi, niezauważeni w tłumie turystów, przybyłych żeby zobaczyć słynne wzgórza krasowe nad rzeką Li. Tamte dwadzieścia cztery godziny przespaliśmy prawie w całości. Czasem tylko odsłaniałam okno, aby zerknąć na gwiazdy błyszczące na bezkresnym azjatyckim niebie ponad ciągnącymi się aż po horyzont wzgórzami. Chłód północno-zachodnich prowincji został za nami. Wjeżdżaliśmy w obszar podzwrotnikowy. Po kolejnej nocy jazdy na zachód rankiem siódmego dnia podróży dotarliśmy do Kunming w prowincji Yunnan.

Czułam narastające podniecenie − wreszcie widziałam wyraźnie cel naszej podróży. Znaleźliśmy się tak blisko granicy Chin, granicy wolności. Musiało się udać. Mieliśmy wyjść z tego cało.

***

Pośrednik załatwiony przez wielebnego Kima czekał na nas w hali biletowej dworca autobusowego w Kunming. Był to opalony Chińczyk w średnim wieku. Miał na sobie czarne jeansy, tanią skórzaną kurtkę i przyciemniane okulary. Przedstawił się jako pan Fang. Od razu mi się nie spodobał.

Byłam jego klientką, płaciłam mu za wykonanie określonej usługi, lecz od chwili, gdy nas przywitał, zachowywał się, jakbyśmy zostali mu zesłani na utrapienie, a on wyświadczał nam wielką przysługę. Widziałam, że zerknął na moją matkę i pokręcił głową. Niegdyś stała wysoko w społeczeństwie, była żoną wyższego rangą oficera armii, lecz dziś ten człowiek widział w niej jedynie ubogą staruszkę uciekającą ze swojego kraju. Jego ciało wyrażało pogardę − słowa wcale nie były lepsze.

Przyznaję, że jak każdy Koreańczyk zwracam ogromną uwagę na to, jak się mnie traktuje. W naszej ściśle zhierarchizowanej kulturze każdy człowiek stoi albo nad, albo pod tobą. Wobec wszystkich stojących wyżej używa się form grzecznościowych. Przy spotkaniu z obcymi bezpieczniej jest odezwać się w sposób grzeczny i zachowywać formalny ton wypowiedzi, dopóki nie określi się miejsca rozmówcy w strukturze społecznej lub nie pozna jego wieku. Ten mężczyzna jednak zaczął mówić do nas językiem, jakim przemawia się wyłącznie do dzieci. W ten sposób okazywał ogromne lekceważenie nam wszystkim, a szczególnie Min-ho.

– Ten idiota myśli, że ile mamy czasu? – zapytał, gdy mój brat poszedł skorzystać z dworcowej toalety.

Gdybyśmy byli w Seulu, powiedziałabym mu wprost, żeby uważał na swój język, ale powściągnęłam gniew. Nie mogłam pozwolić sobie na to, by moje uczucia przeszkodziły nam w osiągnięciu celu. Zmusiłam się do potraktowania tej sytuacji jak jeszcze jednego punktu kontrolnego, przez który można przejść, jeśli tylko zachowa się zimną krew. Teraz liczyło się przede wszystkim bezpieczeństwo mojej rodziny.

Koreański pana Fanga nosił tak silne naleciałości dialektu mandaryńskiego, że ciągle musiałam prosić go o powtarzanie tego, co powiedział. Nigdy jeszcze nie słyszałam koreańskiego w tak zniekształconej formie. W końcu poprosiłam, by przeszedł zupełnie na mandaryński, co tylko dodatkowo go

zirytowało.

Tymczasem matka i Min-ho bardzo źle znosili wilgotny klimat, który zaatakował nas, gdy tylko wysiedliśmy z autokaru. Równie uciążliwy był dla nich wszechobecny smród spalin. Co gorsza, dały o sobie znać konsekwencje wszystkich tłustych posiłków, które zjedliśmy w drodze z Shenyang. Nie byli przyzwyczajeni do takich warunków. Dostali skurczów żołądka. Min-ho, tak silny i żylasty, w ostatnim etapie podróży, kiedy powinien zachować największą czujność, nagle zupełnie opadł z sił.

Pan Fang zaprowadził nas na noc do pensjonatu. Była to najtańsza z możliwych kwater. Budynek znajdował się w nieprzyjemnej dzielnicy pełnej starych, parterowych domków, oddzielonych od siebie szutrowymi drogami, po których płynęły ścieki. Gdy weszłam do łazienki i zapaliłam światło, zobaczyłam, że po ścianach biegają małe jaszczurki. Słuchawkę prysznica zrobiono ze skarpetki naciągniętej na zwykły kran.

Pan Fang rozsiadł się na łóżku. Nie pytając nas o zdanie, wyciągnął papierosa i zapalił. Zaczął domagać się zapłaty.

Wyciągnęłam pieniądze. Doświadczenia z gangsterami i pośrednikami nauczyły mnie, że najgorsze, co można było zrobić w kontaktach z takimi ludźmi, to okazać desperację lub zacząć odwoływać się do ich sumienia. Zaczęłam mówić w sposób sugerujący, że to ja kontroluję sytuację.

– Gdy umawiałam sprawy z wielebnym Kimem, planowałam przerzucenie przez granicę wyłącznie matki. Pojawiły się jednak problemy i brat musiał jechać z nami. Na razie mam pieniądze na opłacenie tylko jednej osoby.

– Umawialiśmy się.

– Zgadza się – przytaknęłam. – I ta umowa nadal obowiązuje. Gdy tylko wrócę do Seulu, zapłacę brakującą kwotę wielebnemu, a on przekaże ją panu.

Mężczyzna zaklął pod nosem.

– To nie tak działa, panienko.

– Owszem, zadziała tak, bo dam panu mój wydany w Korei dowód. – Wyjęłam dokumenty z portmonetki i podałam mu dowód. – Proszę go zatrzymać. Teraz pan i wielebny Kim wiecie dokładnie, kim jestem i gdzie mieszkam. Gdybym nie zapłaciła, zawsze możecie pojawić się u mnie i ściągnąć dług. Ale zapłacę.

Dowód był jedyną rzeczą, jaką mogłam mu zaoferować, żeby zdobyć jego zaufanie.

Przez chwilę ważył dowód w dłoni, jakby oceniał jego wartość. W końcu

wetknął go do kieszeni kurtki.

– Wyjeżdżają jutro – oznajmił, wskazując głową matkę i Min-ho. – Rano zostaną przeprowadzeni przez granicę. Do Laosu.

Dokąd?

– Nie, mieliśmy jechać do Wietnamu − sprostowałam.

– Taki był plan, ale dwa dni temu grupę Koreańczyków z Północy złapanych w Wietnamie przekazano z powrotem do Chin. − Zerknęłam na matkę. Nie rozumiała mandaryńskiego, ale widziała, że jestem zaniepokojona. – Wcześniej Wietnamczycy pozwalali wam wyjeżdżać do Korei Południowej – powiedział. – Nie wiemy, co się zmieniło, ale ta trasa nie jest już bezpieczna. Nie możemy ryzykować. Dlatego jedziemy do Laosu.

Czułam, że kręci mi się w głowie.

– Gdzie leży Laos?

– Obok Wietnamu. Stąd to żadna różnica. Siedem godzin drogi.

– I to będzie bezpieczne?

– Bezpieczne? – żachnął się. – Nic nie gwarantuję. Ale robimy to już od lat. Przeprowadzimy ich przez granicę i dostarczymy do południowokoreańskiej ambasady w Wientian. – Zobaczył, że ta nazwa nic mi nie mówi, i wyjaśnił: – To stolica Laosu. Dostarczę tam twoją matkę i brata.

Zaciągnął się papierosem po raz ostatni i wyrzucił niedopałek przez okno, rozsiewając w powietrzu pomarańczowe iskry.

– Ja też jadę − powiedziałam.

– O, nie. – Obrzucił mnie pełnym podejrzliwości spojrzeniem, jakbym chciała wykraść mu jego tajemnice. – Ty wracasz do Seulu.

– Nie zostawię ich. Potrzebują mnie.

– Będą w dobrych rękach.

– Nie mówią po mandaryńsku i nigdy nie widzieli nic poza Koreą Północną. Zostaję z nimi.

– To zbyt niebezpieczne. Będziesz nam przeszkadzać, panienko. − Poczułam, że dłonie zaciskają mi się w pięści. Jeśli jeszcze raz nazwie mnie panienką… – Wszystko, co robimy, jest nielegalne – powiedział. – Mając południowokoreański paszport, możesz wjechać do Laosu na piętnaście dni bez wizy. Oni nie mają nawet paszportów. – Wskazał niedbałym gestem na matkę i Min-ho. – Jak cię z nimi złapią, zostaniesz aresztowana za pomoc nielegalnym imigrantom. Pomyślą, że jesteś pośrednikiem i wsadzą cię do więzienia. Nikomu nie pomożesz. Musisz zająć się załatwieniem wszystkiego

w Korei Południowej.

– Mogłabym pojechać na swój chiński dowód.

Gdy tylko to powiedziałam, zrozumiałam, że to głupi pomysł.

Pośrednik zdawał się czytać mi w myślach.

– A jak coś pójdzie źle, to gdzie cię odeślą? Do Korei Południowej czy do Chin? A jeśli Chińczycy zorientują się, że też uciekłaś…

Nie musiał kończyć. Ostatnie słowa zawisły ciężko w powietrzu.

Miał mnie. Nie znalazłam więcej argumentów.

W minionym tygodniu moja rodzina mogła polegać tylko na mnie i to ode mnie zależało jej bezpieczeństwo. Teraz odbierano mi kontrolę nad sytuacją. Musiałam zostawić ich w rękach człowieka, któremu za grosz nie ufałam.

***

Powietrze od rana było lepkie i wilgotne, a dzień przywitał nas trelami nieznanych nam ptaków. Uliczka cuchnęła gnijącymi śmieciami. Przygotowaliśmy się do drogi w kilka minut. Matka miała wziąć ze sobą tylko małą torbę, oddała mi więc wszystkie zimowe rzeczy. Poszłam kupić przybory toaletowe dla niej i Min-ho. Sprawdziłam, ile mam pieniędzy. Wiele tego nie zostało, a ciągle jeszcze musiałam kupić bilet do Seulu.

Poszłam z nimi na dworzec. Dałam Min-ho tysiąc juanów (sto pięćdziesiąt dolarów). Zapisałam mu też na kartce mój koreański numer telefonu i kazałam obojgu nauczyć się go na pamięć.

Zaczęliśmy się żegnać. Nie chciałam puścić ich rąk, ale Min-ho uśmiechnął się do mnie i powiedział:

– Nuna, damy sobie radę.

Patrzyłam w dal za odjeżdżającym autobusem, dopóki nie zniknął za rogiem. Niech będą bezpieczni, proszę, zaklinałam w myślach. Kości znów zostały rzucone. Teraz wszystko pozostawało w rękach losu.

Zostałam w Kunming, dopóki Min-ho nie zadzwonił wieczorem. Do granicy dotarli bez przeszkód. Mieli ją przekroczyć o świcie, gdy wartę obejmą strażnicy przekupieni przez pana Fanga. Min-ho zadzwonił znów o piątej.

– Jesteśmy w Laosie.

Ulga zalała mnie jak ciepły, wiosenny deszcz. Wreszcie widać było cel

naszej podróży. Przez ostatnie dni nerwy miałam napięte do granic możliwości. Teraz, gdy ciężar spadł z moich ramion, poczułam się tak zmęczona, że nie miałam siły się ruszyć.

Znalazłam pocztę i wysłałam w kopertach oba pożyczone dowody. Potem z lekkim wahaniem zadzwoniłam do mojego chłopaka w Seulu. Nie rozmawialiśmy od przeszło tygodnia, nie mówiłam mu nic na temat moich planów. Nie odpisywałam też na pełne niepokoju SMS-y. Ale gdy powiedziałam mu, gdzie jestem, po raz kolejny zdumienie okazało się większe niż uraza.

– Gdzie? − Usłyszałam, że członkowie spotkania, w którym mu przeszkodziłam, ucichli. W kilku zdaniach wyjaśniłam mu, co zrobiłam. Powiedziałam też, że moja rodzina dotarła już do Laosu, a teraz zmierza do ambasady południowokoreańskiej. Po drugiej stronie zapadła cisza. Potem Kim powiedział: – Nie wiem, co rzec. – I zaczął się cicho śmiać. – Jesteś szalona. Wracaj szybko. – Słyszałam w jego głosie nutkę uznania. – Musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

***

Siedziałam na tylnym siedzeniu taksówki, zadowolona, że udało mi się doprowadzić do końca tak skomplikowaną misję. Nie mogłam się też doczekać wyjazdu z brudnego i wilgotnego Kunming. Zbliżaliśmy się właśnie do terminalu odlotów, kiedy odezwał się mój telefon.

Dzwonił pan Fang. Początkowo nie usłyszałam, co mówi, bo tuż nad moją głową przeleciał samolot – tak nisko, że widziałam rdzawe zacieki na kadłubie. Wszystko, co wyłowiłam z jego słów, to „problem”. Żołądek znów ścisnął mi się ze strachu.

– Jaki problem?

Wpatrywałam się w kark kierowcy, przyciskając telefon do ucha.

– Ma ich policja.

ROZDZIAŁ 44

ZAGINIENI W LAOSIE

Zacisnęłam powieki.

To nie może się dziać.

– Jaka policja? Chińska?

– Laotańska.

– Gdzie? Kiedy?

– Nie wiem.

– Jak to nie wie pan?! – Zaczęłam krzyczeć. – Gdzie oni są i co ma pan zamiar na to poradzić?

– Nic nie mogę na to poradzić, panienko – wysyczał w słuchawkę. – Policja zatrzymała ich przy przekraczaniu punktu kontrolnego. Mogliśmy ich uratować, ale nie dałaś mi odpowiednio dużo pieniędzy.

– Dałam panu pięćdziesiąt procent. Tak jak się umawialiśmy.

– Dogadywaliśmy się z policją i jednym ze strażników w punkcie kontrolnym. Gdybyś zapłaciła mi całość, dałbym radę ich opłacić. Ale nie dałaś.

Z trudem utrzymałam nerwy na wodzy. Złość mogła jedynie zaćmić mi umysł, a teraz musiałam się zastanowić.

– W porządku. Dobrze. Jak pan sądzi, gdzie oni są?

– Pewnie w Luang Namtha.

– Luang Namtha?

Gdzie to, u diabła, jest?

– To pierwsze większe miasto, mniej więcej czterdzieści kilometrów od granicy.

Zakończyłam połączenie i schowałam twarz w dłoniach.

Dwa dni temu nie wiedziałam nawet, że istnieje Laos. Nigdy wcześniej nie

słyszałam tej nazwy. A może tylko zapomniałam? Laos był jednym z ostatnich sojuszników Korei Północnej na świecie i pozostawał krajem komunistycznym. Laotańska Republika Ludowo-Demokratyczna, jak oficjalnie nazywał się ten kraj, rok w rok przysyłała życzenia z okazji urodzin Umiłowanego Przywódcy, co zawsze ogłaszano w prasie. Pyongyang ogłasza wszystkie uprzejmości dyplomatyczne napływające do Korei Północnej na pierwszych stronach gazet, bo w ten sposób reżim sugeruje, że Kim jest kochany i uwielbiany na całym świecie.

Laos. Nie potrafiłam sobie tego nawet wyobrazić. Ciemna plama na skraju Chin, która właśnie pochłonęła moją matkę i brata.

Taksówka podjechała do krawężnika. Wszędzie wokół chodzili ludzie z walizkami.

Czułam, jak opuszczają mnie siły. Mój głos brzmiał słabo.

– Proszę zawieźć mnie na dworzec autobusowy.

– Mówiła pani, że na lotnisko! – wykrzyknął taksówkarz.

– Wiem. Ale muszę jechać do Laosu.

Zawrócił i spojrzał na mnie, jakbym potrzebowała wizyty na oddziale psychiatrycznym, a nie w Laosie.

– W porządku – powiedział i ponownie uruchomił silnik.

Zadzwoniłam do Min-ho, ale jego telefon nie odpowiadał – albo bateria się wyczerpała, albo zabrano mu komórkę. Jak mam się teraz z nimi skontaktować? Musiałam własnymi siłami odnaleźć matkę i brata.

Na dworcu autobusowym ledwie dałam radę podnieść plecak. Pozbyłam się wszystkich zimowych ubrań i oddałam je taksówkarzowi. Był wdzięczny, choć znów spojrzał na mnie dziwnie.

***

Moja podróż skończyła się następnego dnia w południe, gdy wjechaliśmy na ostatni przystanek w Chinach. Matka i brat byli tu dwadzieścia cztery godziny przede mną. Po solidnym posiłku poczułam, że wracają mi siły. Zapytałam o drogę, zarzuciłam plecak na ramiona i ruszyłam w kierunku granicy z Laosem.

Punkt chińskiej odprawy paszportowej znajdował się w nowoczesnym budynku otoczonym niskimi wzgórzami, na których rosły tropikalne drzewa.

Niebo nad nami miało kolor czystego spranego błękitu, jakiego nigdy nie widywałam ani w Szanghaju, ani w Seulu. Sunęły po nim wielkie białe chmury.

W kolejce do odprawy stało około dwudziestu osób, wśród nich kilkoro białych z plecakami, w wyjątkowo radosnych nastrojach. Spojrzałam na nich z zazdrością. Oto mieszkańcy innego świata, w którym rządzi sprawiedliwość − przestrzega się praw człowieka i chętnie wita turystów. Ich świat tak bardzo różnił się od mojego – pełnego tajnej policji, fałszywych dowodów i szemranych pośredników.

Między nimi stał jeden człowiek, którego nie dało się nie zauważyć. Musiał dopiero co skończyć pięćdziesiątkę, był silnie zbudowany i bardzo wysoki – jego głowa i ramiona górowały nad sylwetkami pozostałych. Miał zaróżowioną skórę i włosy koloru piasku. Dzieci w Korei Północnej, przy nielicznych okazjach, gdy zdarzało się im zobaczyć kogoś z Zachodu, zawsze gapiły się zaciekawione na takich przybyszów. On i ja wydawaliśmy się być jedynymi samotnymi osobami w kolejce do odprawy.

Przeszliśmy przez granicę. Kontrast z tkwiącymi we współczesności Chinami był uderzający. Laotański urząd graniczny mieścił się w parterowym budynku koloru błota. Na pierwszy rzut oka widać było, że to biedny kraj. Wsiedliśmy do rozklekotanego autobusu, zdolnego pomieścić dwadzieścia osób. Wysoki, biały mężczyzna również był w tej grupie. Usiadł, zabawnie podkurczając nogi między drewnianymi siedzeniami.

Autobus podskakiwał i rzucał mocno na wyboistej drodze, a ja znów zapatrzyłam się w czyste, turkusowe niebo. Na jego tle roślinność wydawała się ekstrawagancko wybujała – potężne drzewa, kauczukowce, jeśli dobrze zgadywałam, i pola trzciny cukrowej. Wszędzie też było pełno dzikich kwiatów – wielkich fioletowych hibiskusów i złotych jaśminów zwieszających się z koron drzew. Gdybym była w lepszym nastroju, pewnie nie zwracałabym tak dużej uwagi na tego rodzaju rzeczy, lecz strach sprawiał, że czułam, jakby odmawiano mi prawa do tego piękna. Nie miałam okazji, by móc się nim nacieszyć.

Laos jest jednym z tych małych wielkich krajów, jak Korea. Powierzchniowo jest nieco większy od obu Korei razem wziętych, znacznie dłuższy niż szerszy – z północy na południe mierzy sobie jakieś tysiąc pięćset kilometrów. Nie ma dostępu do morza i graniczy ze znacznie bardziej znanymi krajami – Chinami, Wietnamem, Tajlandią, Birmą i Kambodżą.

Przekroczyłam granicę w jego najbardziej wysuniętym na północ punkcie i zmierzałam na południe.

Podróż do Luang Namtha zajęła nam godzinę. Razem ze mną wysiadł tamten wysoki biały i trzy czy cztery inne osoby.

Luang Namtha jest stolicą prowincji o takiej samej nazwie. W mieście kręciło się sporo przybyszów z Zachodu – chodzili po targach albo odpoczywali na werandach pensjonatów. Wszystkie budynki, poza posterunkiem policji i dwoma pensjonatami, były parterowe. Ulice przecinały kable telegraficzne. Musiałam znaleźć kogoś miejscowego, kto pomógłby mi w poszukiwaniach, więc zapytałam o najbliższą chińską restaurację. Właścicielem był przysadzisty, przyjazny mężczyzna, który przypominał mi pana Ahna.

– Szukam pary Koreańczyków z Północy, którą aresztowano wczoraj rano – powiedziałam po mandaryńsku, uśmiechając się przy tym szeroko. – Jeśli mi pan pomoże, będę tu jadać codziennie.

Zaśmiał się i odparł:

– Powinna pani zacząć w urzędzie imigracyjnym. Mają tam areszt tymczasowy. – Zaproponował też, że zawiezie mnie tam swoim skuterem. Przedstawił się jako Yin.

Urząd imigracyjny okazał się zamknięty i wyglądał na opuszczony. Stanęłam przed budynkiem, odchyliłam głowę i zawołałam:

– *Omma-ya! Min-ho-ya! Na-ya!* (Matko! Min-ho! To ja!)

Odpowiedziała mi cisza.

– Spróbujmy na posterunku policji – zaproponował pan Yin.

Policjanci pokręcili tylko głowami, gdy zapytałam ich o więźniów. „Żadnych uchodźców z Korei Północnej”, powiedzieli.

Naszym ostatnim przystankiem było więzienie, położone mniej więcej w tej samej odległości. Policjanci powiedzieli, że trafiają do niego tylko prawdziwi przestępcy. Nie spodziewałam się znaleźć tam mojej rodziny. Więzienie okazało się kompleksem jednopiętrowych budynków otoczonych wysokim murem z gliny. Znów krzyknęłam najgłośniej, jak potrafiłam:

– *Omma-ya! Min-ho-ya! Na-ya!*

Przed główną bramą siedziało kilku strażników po służbie, w towarzystwie miejscowych dziewcząt. Zdjęli kurtki mundurów, pili piwo prosto z butelek i śmiali się głośno.

– Żadnych Koreańczyków z Północy – powiedzieli. – Sami mordercy

i handlarze narkotykami.

Powiedzieli też, że to nie miejsce dla takich osób, jak ja.

***

W tropikach zmrok zapada szybko. Pan Yin stwierdził, że samotny spacer po ulicach mógłby być dla mnie niebezpieczny i zaproponował podwiezienie do pensjonatu. Podziękowałam mu jednak i powiedziałam, że dam sobie radę. Łapałam się teraz każdej myśli, która dawała nadzieję. Pomyślałam, że może matka i Min-ho zdołali jakość zbiec i krążą po okolicy.

Zbliżałam się do oświetlonej części miasta. Ruch uliczny był tu większy. Trójkołowe taksówki zwalniały przy mnie, a kierowcy pokrzykiwali coś po laotańsku i gwizdali przeciągle. Każdy taki samochód zostawiał za sobą chmurę dymu i spalin. Krążyłam tak przez kilka godzin, przyglądając się uważnie twarzom wszystkich spotykanych osób.

Była piątkowa noc. Dalsze poszukiwania mogłam podjąć dopiero w poniedziałek rano. Nie miałam innego wyjścia, niż zostać w tym mieście.

***

W poniedziałek ruszyłam prosto do urzędu imigracyjnego. Na stojących przed budynkiem ławkach siedziało kilku mężczyzn w ciemnozielonych mundurach. Wszystko tu wydawało się tkwić w bezruchu. Od razu zrozumiałam, że w tym kraju nic nie dzieje się szybko. Mężczyźni przyjrzeli mi się podejrzliwie. Przedstawiłam się jako wolontariuszka z Korei Południowej, która przybyła do Laosu, by pomóc dwójce uciekinierów z Korei Północnej. Pokazałam im swój paszport i wizę.

Żaden nawet się nie poruszył. Pomyślałam, że mnie nie zrozumieli.

Nagle jeden odezwał się po mandaryńsku:

– Tak. – Odpędził muchę z twarzy. – Złapali taką dwójkę przy granicy i przywieźli ich tutaj.

ROZDZIAŁ 47

CO TYLKO BĘDZIE TRZEBA

– Czy mogę się z nimi zobaczyć?

– Będzie pani musiała złożyć oficjalne podanie. Na policji – powiedział. – Ale nie ma sensu tego robić, zanim nie wypełnimy dokumentów.

Nic w ich zachowaniu nie sugerowało, że wypełnianie dokumentów ma dla nich jakiekolwiek znaczenie.

Ale wreszcie poruszałam się po znanym mi gruncie.

***

Przez siedem kolejnych dni krążyłam między posterunkiem policji a urzędem imigracyjnym, nawiązując kontakty z urzędnikami i namawiając do przygotowania raportu. Wiedziałam, że będę musiała dawać łapówki. Próbowałam sobie wyobrazić, jak w takiej sytuacji poradziłaby sobie moja matka – użyłaby połączenia wdzięku, perswazji i pieniędzy. Byłam przyjacielska. Schlebiałam im. Wiedziałam, jak się nazywają, i poznałam ich dziwactwa. Każdego ranka pojawiałam się w urzędzie imigracyjnym najwcześniej i czekałam na ławce przed wejściem. Dzięki temu to mnie widzieli jako pierwszą, gdy przychodzili do pracy. Każdemu urzędnikowi przynosiłam paczkę papierosów. Gdybym tego nie robiła, gdybym tylko siedziała i czekała na swoją kolej, mogłoby się to ciągnąć tygodniami, a może nawet miesiącami. Popołudnia były tak wilgotne, że nikt z nas nie miał siły do życia. Ale każdego dnia czułam, że jestem o krok bliżej do celu.

Pracownicy urzędu imigracyjnego chcieli, żeby kupować im marlboro reds, najdroższe papierosy dostępne w mieście. Gdy przekonali się, że jestem skłonna do współpracy i otwarta na propozycje, przestali ukrywać, jak bardzo

są skorumpowani. Przy każdej wizycie pytali, ile wyciągnęłam z bankomatu.

– Równowartość stu dolarów − mówiłam.

A czasami:

– Tylko pięćdziesiąt.

Gestem pokazywali, że chcą zobaczyć. Wtedy podawałam im zwitek kipów, miejscowej waluty, żeby mogli sprawdzić. Zabierali połowę, czasami więcej, resztę oddawali.

Po kilku dniach takich wymuszeń, opłatach za posiłki i hotel prawie skończyły mi się pieniądze. Nie miałam innego wyjścia, jak wykonać telefon do Kima, przed którym od dawna się broniłam. Natychmiast przelał mi z Seulu pieniądze. Byłam niezmiernie wdzięczna i zaznaczyłam, że to tylko pożyczka. Miałam zamiar oddać mu dług, tak jak oddałam wujowi w Shenyang.

Po porannej wizycie w urzędzie nie miałam wiele do roboty, siadałam więc z książką w kawiarni Coffee House, w której podawano tajskie i zachodnie posiłki. Pamiętałam kilka słówek po angielsku, ale nie potrafiłam odczytać menu, więc zapytałam kelnera, co je siedzący obok mnie człowiek.

– Makaron – odpowiedział, posługując się angielskim słowem.

Od tej pory codziennie jadłam makaron. Po tygodniu miałam już dość, zadzwoniłam więc do Kima i zapytałam, jak w angielskim mówi się na *bab*.

– *Rice*[4] – odpowiedział.

– *Lice*[5] – powtórzyłam.

– Nie, nie *lice*. *Rice*. To dwa różne słowa. Musisz poprosić o ryż, *rice*.

– Rozumiem. *Lice*.

***

Obiady jadałam w Coffee House, a kolacje w chińskiej restauracji pana Yina. Żeby ograniczyć wydatki, zrezygnowałam ze śniadań. Nie zależało mi na nich. Dzięki temu czułam, że solidaryzuję się z bratem i matką. Nie śmiałam sobie nawet wyobrażać, co teraz jedzą i w jakich ilościach. Pewnego popołudnia w Coffee House zauważyłam jasnowłosego turystę, którego spotkałam w podróży. Teraz, gdy się opalił, był jeszcze bardziej różowy. Spojrzał na mnie, dając do zrozumienia, że on też mnie poznaje. Uśmiechnęłam się.

Po siedmiu dniach szef urzędu imigracyjnego, wielki, leniwy mężczyzna, o brzuchu wypychającym kurtkę zielonego munduru, oznajmił, że zabierze mnie tam, gdzie są przetrzymywani Koreańczycy z Północy. Poczułam ogromną ulgę.

Wsiedliśmy do jego samochodu.

– Jaką łapówkę będziesz wręczać? – zapytał po prostu.

Pokazałam mu pieniądze, które ze sobą wzięłam. Nie liczył nawet, tylko od razu skonfiskował połowę. Nie wspomniał nawet o zwyczajowych opłatach czy kosztach. Myśl o tak bezczelnej i jawnej kradzieży dokonanej przez jednego z wyższych urzędników państwowych teraz złości mnie niepomiernie, lecz wtedy nie miałam czasu przejmować się takimi drobiazgami. Byłam zdeterminowana, by wreszcie skontaktować się z rodziną. Niezależnie od kosztów, myślałam. Zrobię, co tylko będzie trzeba. Ludzie są samolubni, dbają jedynie o siebie i swoich najbliższych. Czy ja jestem od nich aż tak inna?

Ku mojemu zaskoczeniu pojechaliśmy do głównego więzienia, które odwiedziłam pierwszego dnia. To przed tym budynkiem widziałam pijących strażników i to oni oznajmili mi obojętnie, że żadnych Koreańczyków tu nie ma. Gdybym wiedziała, że trzymają w tym miejscu moją matkę i brata, przychodziłabym codziennie, choćby po to, żeby przesłać im dobre myśli. Mogłabym wołać pod murami „*Omma-ya! Min-ho-ya!* Nie martwcie się, jestem tutaj”. Przychodziłabym prosto z urzędu imigracyjnego i siedziała aż do zmroku, gdy cykanie świerszczy wypełnia cały świat.

Strażnicy powiedzieli mi, że mogę wejść do żeńskiej części więzienia, żeby zobaczyć się z matką, lecz do części męskiej mnie nie wpuszczą. Poprowadzili mnie korytarzem między glinianymi ścianami do wielkiej, czarnej bramy. Szczęknęły zamki, skrzypnęły zawiasy i skrzydła rozchyliły się z przeciągłym jękiem.

Za nimi stała samotnie moja matka.

Przez chwilę przyglądała mi się dziwnym, niewidzącym wzrokiem. Załamałam się na jej widok. Była jeszcze chudsza. Miała przetłuszczone, przyklejone do czaszki włosy. Z jakiegoś powodu trzymała się za biodro i przechylała dziwnie na jedną stronę.

Nagle podbiegła do mnie, zarzuciła mi ręce na ramiona i zaczęła szlochać. Miała na sobie to samo ubranie i gumowe klapki, jak wtedy, gdy żegnałyśmy się w Kunming.

– Myślałam, że wyjechałaś – łkała. – Bałam się, że już nigdy cię nie zobaczę. Sekundę temu myślałam, że śpię, więc uszczypnęłam się z całych sił.

Nic dziwnego, że patrzyła na mnie tak dziwacznie.

Dotknęła dłońmi mojej twarzy tak samo, jak po przejściu przez Yalu, jakby chciała się upewnić, że widzi mnie naprawdę.

Trzymałam ją w ramionach i też zaczęłam płakać, lecz zmusiłam się do opanowania. Otarłam oczy dłonią i odzyskałam spokój. Nie chciałam komplikować spraw, zdradzając przed strażnikami, że to moja omma.

Usiadłyśmy na dziedzińcu więzienia. Matkę trzymano w celi dla obcokrajowców. Powiedziała, że jedna Chinka była tam już dziesięć lat. Na ścianach wisiały zdjęcia jej rodziny. Więźniarki nie miały czystej wody. Codziennie myły się i piły z tej samej porcji brudnych pomyj. Kilka dni wcześniej słyszały, jak strażnicy zatłukli na śmierć tajskiego więźnia. Jego żona siedziała w celi z moją matką i przez cały czas szlochała bez końca.

– To piekło – powiedziała matka. – Nie powinnam była wyjeżdżać.

Obrazy, które do tej pory trzymałam z dala od siebie – wizje cuchnących latryn, przemocy, publicznego seksu i zabójczego braku higieny – nagle wypłynęły na wierzch.

Nie mogłam nic na to odpowiedzieć, lecz teraz nie było już odwrotu. Policja zabrała wszystkie pieniądze, jakie dałam matce w Kunming. Wetknęłam jej w dłoń trochę miejscowej waluty, gdy strażnicy nie patrzyli, żeby mogła kupić sobie coś do jedzenia.

Po tym spotkaniu wróciłam do miasta i natychmiast zadzwoniłam do ambasady południowokoreańskiej w Wientian.

– Nie może pani tam sama zostać – powiedział konsul. – To niebezpieczne. Proszę natychmiast wyjechać z Laosu i zostawić wszystko ambasadzie.

Zabrzmiało to zachęcająco.

– Ile czasu zajmie wydostanie ich stamtąd?

– Niestety musimy działać zgodnie z przepisami. Nie ma drogi na skróty. Wyślemy prośbę o podanie informacji, poprosimy o pozwolenie na wizytę. Ale oczywiście potrzeba czasu…

– Jak długo?

– Pięć do sześciu miesięcy.

Wsparłam głowę na ręce. W sumie nie byłam zaskoczona. Wiedziałam, w jak ślimaczym tempie funkcjonuje apatyczny aparat biurokratyczny w tym

kraju.

Nie mogłam pozwolić, żeby matka i Min-ho zostali w takim miejscu.

***

Tłumacz pracujący w więzieniu zwrócił się w moją stronę.

– Pięć tysięcy dolarów – powiedział po prostu.

Otworzyłam usta ze zdumienia. Spojrzałam najpierw na niego, potem znów na naczelnika. Łokcie trzymał na biurku, dłonie splecione razem. Nawet nie mrugnął. Wolno obracający się wentylator co chwilę mierzwił jego włosy, które on z uporem przygładzał.

– To niemożliwe – odparłam.

Naczelnik wzruszył ramionami.

– W walucie amerykańskiej – dodał i wykonał gest mówiący: twój wybór.

Przez kilka dni chodziłam co rano do więzienia, wręczając prezenty i łapówki dla naczelnika. Znów pracowałam nad przygotowaniem raportu. Tłumacz powiedział mi, że mam szczęście, bo jeszcze dwa lata temu Laos odsyłał wszystkich uciekinierów z powrotem do Chin. Zmienił politykę pod wpływem nacisków międzynarodowych.

– Teraz tylko naliczamy grzywnę.

Powoli udało mi się obniżyć tę kwotę. Ostatecznie stanęło na siedmiuset dolarach za osobę. Za każdym razem, gdy wpuszczano mnie na dziedziniec na widzenie z matką, naczelnik zabierał połowę pieniędzy, które przyniosłam, niezależnie od tego, jak mało ich było. Siadałam z nią w cieniu i zdawałam relację z czynionych postępów. Gdy powiedziałam, że próbuję zebrać pieniądze, podała mi mały, brudny plastikowy pojemnik. W środku były prawie wszystkie pieniądze, które dałam jej wcześniej. Zużyła tylko tyle, by móc kupić wodę do picia.

Domyślałam się, że siedemset dolarów było kwotą zbliżoną do faktycznej grzywny, ale nadal pozostawała ona poza moim zasięgiem. Na tym etapie wykorzystałam niemal wszystkie pieniądze, które dostałam od Kima. Co gorsza, w czasie następnej wizyty matka przyprowadziła ze sobą jeszcze trzy osoby w brudnych ubraniach – złapane miesiąc wcześniej Koreanki z Północy: staruszkę i niespokrewnione z nią kobietę w średnim wieku i jej córkę. Matka bardzo im współczuła. Chciała, żebym im także pomogła się

stąd wydostać. Dały mi pieniądze, które ukryły w swoich miejscach intymnych. Łącznie było to tysiąc pięćset dolarów, czyli znacznie mniej, niż potrzebowaliśmy.

Moja piętnastodniowa wiza właśnie traciła ważność. Kobiety pracujące w placówce wydającej wizy powiedziały, że mogą załatwić mi przedłużenie w stolicy, jeśli dam im paszport, ale ponieważ wiza traciła ważność za jeden dzień, musiały polecieć do Wientian samolotem. Musiałam oczywiście pokryć koszty ich podróży, co łącznie dało kolejnych kilkaset dolarów.

***

Do Coffee House wróciłam jak w transie. Miałam wrażenie, że tutejsi ludzie próbują oskubać mnie ze wszystkiego, a moją rodzinę trzymają wyłącznie dla okupu. Opadłam na krzesło przy oknie i starałam się myśleć, ale wszystkie koncepcje prowadziły w ślepą uliczkę. Nie było wyjścia z tej sytuacji. Nie wiedziałam, co dalej robić.

Zamknęłam oczy. Chciałam zacząć błagać duchy przodków o pomoc na głos, nie przejmując się tym, kto mnie usłyszy, gdy nagle jakaś wysoka postać przesłoniła padające na mnie światło i odezwała się po angielsku. Spojrzałam w górę. Przez piaskowe włosy przeświturywały promienie słońca.

– Jesteś podróżną?

4 Ang. ryż (przyp. tłum.).

5 Ang. wszy (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 48

DOBROĆ ZE STRONY NIEZNAJOMEGO

Wysoki, biały mężczyzna wypowiedział słowo „podróżny”. Zrozumiałam je, ale i tak nie wiedziałam, o co mnie pyta. Do tej pory poznałam już wszystkich kelnerów w Coffee House, przywołałam więc takiego, który mówił po angielsku i nieco po mandaryńsku, żeby tłumaczył naszą rozmowę.

– Większość ludzi zostaje tu tylko dzień czy dwa – powiedział ten mężczyzna. – Pani siedzi tu kilka tygodni, tak jak ja. Przyjechała pani w interesach? Pytam przez ciekawość.

To był pierwszy raz, gdy jakikolwiek biały człowiek odezwał się do mnie. Miał jasnoniebieskie oczy i krótką, starannie przyciętą brodę, która zaczynała już siwieć. Wydawał się jeszcze bardziej onieśmielony niż ja. Angielski zupełnie mnie zdradził – nie mogłam znaleźć słów. Pokazałam mu na migi, żeby się przysiadł, i otworzyłam w telefonie translator.

Powoli, co chwilę śmiejąc się ze wstydu, z wieloma pauzami, zdołaliśmy się porozumieć. Powiedziałam mu, że jestem wolontariuszką z Korei Południowej, która stara się pomóc pięciorgu uciekinierom z Korei Północnej przebywającym teraz w więzieniu za nielegalne przekroczenie granicy Laosu. Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego, dostrzegłam ból kryjący się w jego oczach. Poszukałam kolejnych słówek i wyjaśniłam, że rząd Laosu domaga się wpłacenia wysokiej grzywny.

– Jak wysokiej? – zapytał.

– Siedemset dolarów za osobę, w walucie.

Podrapał się po brodzie i zapatrzył przed siebie na ulicę. W końcu wykonał gest mówiący *zaczekaj tu*, a potem kolejny, żeby pokazać, że będzie musiał

zadzwonić. Poszedł na drugi koniec baru i zatelefonował. Po kilku minutach był przy mnie z powrotem. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy to, co stało się później. Mężczyzna wpisał kilka słów w moim telefonie.

Na ekranie wyświetlił się koreański tekst: *Właśnie zadzwoniłem do znajomego w Australii. Obgadaliśmy to i postanowiłem ci pomóc.*

Nagle stałam się podejrzliwa. Dlaczego? Dlaczego jakiś pięćdziesięcioletni mężczyzna przejmuje się nagle problemami obcych sobie Koreańczyków?

Przyjrzałam się mu uważnie, szukając wyjaśnienia. Odrzuciłam myśl, że przyświecały mu motywy seksualne – byłoby to widać w jego oczach. Uznałam, że to tylko gest, który ma mi poprawić samopoczucie i do którego on przypuszczalnie nie przywiązuje większej wagi. Postanowiłam nie chwytać się tej nadziei.

– Bardzo dziękuję – powiedziałam po angielsku.

Wydawał się wyczuwać moje wątpliwości, bo znów wpisał kilka zdań w moim telefonie. Przeczytałam: *Spotkałem w Tajlandii dwie kobiety z Korei Północnej. Ich historia bardzo mnie poruszyła.*

Znów nakazał mi gestem czekać.

Obserwowałam, jak przechodzi przez ulicę do bankomatu. Wrócił, trzymając w dłoni gruby plik zielonych banknotów.

Ku mojemu zdumieniu wetknął mi w ręce kilkaset dolarów.

– To pieniądze na część grzywny. Resztę wypłacę jutro.

Czy ja śnię? Starałam się zrozumieć, co się właśnie stało, i jednocześnie wyrazić swoją głęboką wdzięczność.

Z pomocą telefonu komórkowego i życzliwego kelnera mężczyzna wyjaśnił mi, że odbywa dwuletnią podróż po Południowo-Wschodniej Azji i że miał zamiar wyjechać jutro do Tajlandii, lecz chętnie zostanie i pomoże mi załatwić moją sprawę do końca, jeśli będę chciała, by towarzyszył mi w drodze do więzienia.

– Oczywiście – powiedziałam, gdy wreszcie zrozumiałam, o co mu chodzi.

Taka dobroć i chęć zaangażowania się w cudze sprawy zupełnie mnie rozbroiły. Chwilę później dotarło do mnie, że jeśli ten imponujący człowiek pójdzie ze mną do więzienia, nie będę musiała sama mierzyć się z naczelnikiem.

– Doskonale – odparł. – Może przeprowadzi się pani do mojego pensjonatu? Będzie nam łatwiej rozmawiać. Rano pojedziemy do więzienia. – Powiedział to, starannie dobierając słowa, żebym nie zrozumiała opacznie

jego intencji. − Nadal oszołomiona, pokiwałam tylko głową. – Jeśli pani chce, zjemy później kolację – dodał. – Proszę przynieść swoją torbę.

– Dobrze – zgodziłam się, osłupiała.

Wyciągnął do mnie dłoń.

– Nazywam się Dick Stolp. Z Perth w Australii.

Uścisnęłam tę dłoń. Już miał odejść, lecz zatrzymałam go i łamaną angielszczyzną zapytałam:

– Dlaczego pan mi pomaga?

– Nie pani. – Uśmiechnął się, zakłopotany. – Pomagam uchodźcom z Korei Północnej.

Obserwowałam, jak odchodzi.

Gdy wyszłam na dwór, stało się coś niesamowitego. Całe niedostępne dla mnie wcześniej piękno tego kraju, które przecież widziałam, lecz którego nie mogłam smakować, nagle otworzyło się na mnie. Poczułam zapach jaśminu, a słońce i białe chmury zdawały się podzielać mój dobry nastrój. Świat był odmieniony.

***

Pensjonat Dicka był znacznie przyjemniejszy niż mój. Nie oczekiwałam, że poza wszystkim, co dla mnie zrobił, zapłaci jeszcze za pokój, ale tak właśnie się stało. Dla kogoś, kto całe życie przeżył jak ja, kalkulując każdy najmniejszy nawet wydatek, taka hojność nie była łatwa do zaakceptowania. Wymagała zrzeczenia się kontroli. W takiej sytuacji nie pozostawało mi nic innego, jak tylko dziękować. A Dick Stolp ani razu nie poprosił o nic w zamian. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam tak wspaniałomyślnego zachowania ze strony obcego człowieka, z którym nie łączyły mnie żadne koneksje i który nie liczył na spłatę zaciągniętego długu. Łatwiej byłoby mi zrozumieć ten gest, gdybyśmy byli parą Koreańczyków z Hyesan, którzy spotkali się w Laosie, czy dwójką młodych ludzi w grupie starszych osób. Ale dobroć Dicka nie znała granic – wieku, rasy czy języka. Pomyślałam najpierw, że może jest tak bogaty, że pieniądze niewiele dla niego znaczą, lecz później dowiedziałam się, że nie jest zamożnym człowiekiem.

Kolację zjedliśmy w towarzystwie pięciu innych osób: pary pięćdziesięcioletnich Niemców, Chinki w średnim wieku, która kręciła filmy

dokumentalne, i młodej Tajki z jej niemieckim narzeczonym. Wszyscy mówili po angielsku. Miałam spore trudności, żeby ich zrozumieć, ale nie przeszkadzało mi to. Cieszyłam się, że nie jestem sama. Wtedy też zrozumiałam, że muszę nauczyć się angielskiego, bo to wspólny język wszystkich ludzi na świecie. Odprężyłam się i cieszyłam wspaniałym wieczorem. Po raz pierwszy od wyjazdu z Seulu szczerze się śmiałam.

***

Dick wynajął skuter i pojechaliśmy do więzienia. Wzięliśmy ze sobą owoce, jedzenie i koce.

Mój towarzysz nie wiedział, że kobieta przebywająca w więzieniu to moja matka, a jej syn to mój brat. Nie miał też pojęcia, że sama pochodzę z Korei Północnej. Ale gdyby miał tego świadomość, zachowałby się dokładnie tak samo. Chciałam powiedzieć mu prawdę o tym, kim jestem, zasługiwał na to, lecz w Korei Północnej nosimy maski niemal przez całe życie i ciężko jest nam je odrzucić.

Trzymałam się go, gdy jechaliśmy przez miasto na skuterze. Zatrzymał się po drodze przy bankomacie, by wyciągnąć brakującą kwotę.

W jednej chwili wszystkie moje przeświadczenia dotyczące ludzkiej natury zostały wywrócone do góry nogami. W Korei Północnej nauczyłam się od matki, że ufanie komukolwiek spoza najbliższej rodziny może być śmiertelnie niebezpieczne. W Chinach żyłam w ukryciu i uciekałam się do różnych podstępów od chwili przybycia tam, gdy miałam zaledwie kilkanaście lat. Kłamałam i ukrywałam prawdę o swoim pochodzeniu, żeby przeżyć. Raz tylko zaufałam ludziom i to ściągnęło na mnie kłopoty z policją w Shenyang. Byłam pewna, że ludzie są nie tylko samolubni i przyziemni, w moim przekonaniu wielu z nich było zwyczajnie złych – czerpali satysfakcję i zyski z niszczenia życia innym. Widziałam Chińczyków koreańskiego pochodzenia donoszących na uciekinierów z Północy dla zarobku. Znałam ludzi sprzedawanych niczym bydło. To był mój świat. W życiu doświadczyłam tak nielicznych aktów dobroci, że wszystkie one utkwiły mi w pamięci i zawsze wywoływały jedną myśl: dziwne.

Dick swoim czynem odmienił moje życie. Pokazał mi, że istnieje inny świat, w którym obcy pomagają sobie nawzajem tylko dlatego, że pomoc

drugiemu człowiekowi jest słusznym działaniem. W tym świecie bezduszne zachowania były rzadkością, nie normą. Traktował mnie jak członka swojej rodziny lub dawną przyjaciółkę. Nawet teraz nie do końca rozumiem motywy, które nim powodowały. Ale od dnia, gdy go poznałam, zaczęłam patrzeć na świat mniej cynicznie. Znalazłam w sobie ciepłe uczucia wobec innych ludzi. Wydawało się to tak naturalne, lecz nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś podobnego.

***

Wielebny Kim ostrzegał mnie, że na drodze do Wientian znajdują się liczne posterunki. Podróż samochodem miała zająć nam osiemnaście godzin i wymagała przejechania przez trzy prowincje, z których każda była rządzona na tyle niezależnie, że istniało poważne ryzyko aresztowania i ukarania grzywną całej grupy jeszcze trzy razy. Wielebny radził, żeby wynająć na tę podróż samochód policyjny. Brzmiało to jak dobry pomysł. Gdybyśmy mogli jechać pod obstawą umundurowanej policji imigracyjnej, mielibyśmy zapewnioną ochronę.

Naczelnik policji powiedział, że takie rozwiązanie jest możliwe, lecz zażądał za tę usługę horrendalnej kwoty. Przyznałam, że jestem bez grosza, i ostatecznie udało mi się wynegocjować cenę stu pięćdziesięciu dolarów za każdą osobę z naszej szóstki: mojej rodziny i trzech pozostałych Koreanek. Cena była przystępna, ale nadal nie było mnie na to stać.

I wtedy znów z pomocą przyszedł mi Dick – uiścił całą kwotę.

***

Policjanci poinformowali Dicka, że nie będzie mógł jechać z nami do Wientian. Nalegał, bo był przekonany, że swoją obecnością zdoła nas ochronić, ale byli nieugięci. Rankiem wynajął skuter i pojechał za samochodem do więzienia. Podróżowaliśmy nową, dużą toyotą, która przynajmniej była całkiem wygodna.

Wreszcie z budynku wyprowadzono piątkę więźniów i po raz pierwszy od kilku tygodni zobaczyłam Min-ho. Był bardzo blady, a jego twarz pokrywały paskudne wrzody, ale uśmiechał się do mnie, jakby nic się nie stało. Mój

dzielny braciszek, pomyślałam. Czułam dumę, że jestem siostrą takiego człowieka.

Wtedy wszyscy już wiedzieli, kim jest Dick i co dla mnie zrobił. Każdy kolejno uścisnął mu dłoń i skłonił się, by wyrazić wdzięczność i niedowierzanie. Starsza pani zdołała powiedzieć po angielsku „Dziękuję bardzo".

Silnik samochodu pracował – byliśmy gotowi do drogi.

Dick powiedział, że wyjeżdża do Tajlandii. Zostawił mi numer telefonu i adres mejlowy, a potem jeszcze jeden niewiarygodny prezent – pieniądze na bilet do domu.

– Przydadzą ci się bardziej niż mnie. − Pożegnał się, zanim zdążyłam mu podziękować. Przerzucił nogę nad ramą skutera i odjechał, wołając: – Daj znać, gdybyś mnie potrzebowała!

Mój anioł stróż zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił.

Wyruszyliśmy do Wientian: nasza szóstka, wyższy rangą oficer policji, więzienny tłumacz i kierowca. W ramach umowy miałam opłacać posiłki naszej obstawy przez całą drogę, a ci nie żałowali sobie ani jedzenia, ani picia, gdy zatrzymywaliśmy się na obiady i kolacje.

Zgodnie z tym, co mówił wielebny Kim, wzdłuż całej drogi rozstawione były posterunki, ale samochód policyjny przejeżdżał przez nie bez problemu. Wprawiło nas to w doskonały nastrój. Jechaliśmy górzystą okolicą pełną mahoniowych drzew i małych, malowniczych wiosek. Otworzyliśmy okna, by oddychać świeżym powietrzem; każde z nas zaciągało się nim głęboko, jakbyśmy smakowali wolność.

Min-ho opowiedział mi, co działo się po naszym rozstaniu w Kunming. Przy granicy pan Fang poprowadził ich do podnóża pagórka. „Dalej was nie zaprowadzę", oznajmił. „Za tym pagórkiem jest granica". Min-ho słuchał uważnie jego wskazówek. „Musicie iść prosto, aż dotrzecie do małego, opuszczonego domu. Wejdźcie do środka. Przyjdzie tam pewien człowiek. Pójdziecie z nim".

Min-ho i moja matka byli zaskoczeni, gdy nagle znaleźli się całkiem sami w zupełnych ciemnościach. Zaczęli się wspinać. Roślinność porastająca ten teren bardzo szybko zmieniła się w gęstą dżunglę, zaczęło też padać. Zrobiło się ślisko i nie było widać ścieżki. Musieli piąć się w górę, łapiąc się gałęzi i pnączy, aż pocięli sobie skórę na twarzy i dłoniach. W panujących ciemnościach nie potrafili powiedzieć, w którą stronę zmierzają. Starali się

iść po prostej w górę wzniesienia, które nagle zaczęło przypominać bardziej górski szczyt niż niewielki pagórek. Dla mojej matki było to zbyt wielkim wysiłkiem. Przyznała, że gdyby nie Min-ho zgubiłaby się i umarła tam.

Po kilku godzinach, gdy niemal zeszli z drugiej strony góry, w ciemności tuż przed nimi zamajaczyła jakaś postać. Mężczyzna, który kulił się dotychczas w poszyciu, teraz zastąpił im drogę. Min-ho dostrzegł błysk oznaki przypiętej do munduru. Mężczyzna złożył palce jednej dłoni i potarł je kciukiem w międzynarodowym geście oznaczającym pieniądze. Potem wykonał jeszcze jeden gest, przedstawiając dłonie skute kajdankami. Płaćcie albo was aresztuję.

Min-ho wcześniej podzielił pieniądze, które mu dałam, i trzymał je w różnych kieszeniach. Wyjął teraz trzysta juanów (czterdzieści pięć dolarów).

„Nie”, powiedział tamten po angielsku, więc Min-ho dał mu kolejnych pięćset juanów (siedemdziesiąt pięć dolarów). Wtedy mężczyzna uśmiechnął się i pozwolił im iść dalej.

Niedługo później, zupełnym przypadkiem, trafili do pustego domu, który opisał im pośrednik. Dom stał w środku leśnej głuszy. Wewnątrz rzeczywiście czekał jakiś człowiek. Pokazał im na migi, żeby położyli się spać, rozłożył na ziemi trochę kartonów i sam się położył. Przyglądali się mu. Zdaniem mojej matki wyglądał na biednego.

Gdy zaczęło świtać, mężczyzna wsadził ich do trójkołowej taksówki i zawiózł na dworzec autobusowy. Wskazał konkretny autobus i kazał wsiadać. Min-ho założył, że ten człowiek wsiądzie razem z nimi, ale on gdzieś przepadł. Znów zostali sami bez pojęcia, dokąd zmierzają.

„Pośrednik ma na pewno swojego człowieka w autobusie”, oznajmił Min-ho, starając się uspokoić matkę. „Ujawni się w odpowiednim momencie”.

Człowiek pośrednika, policjant, miał na nich czekać na następnym posterunku drogowym, ale w wyniku jakiegoś zamieszania nie trafił na miejsce, gdy przyjechał tam autobus. Matkę i Min-ho zakuto w kajdanki i wsadzono do radiowozu. Ucieszyłam się, że wcześniej o tym nie wiedziałam. Zadręczyłabym się na myśl o mojej omma w kajdankach. W więzieniu współwięźniowie pomagający strażnikom utrzymać kontrolę nad pozostałymi odebrali Min-ho resztę pieniędzy.

***

Do Wientian dojechaliśmy wczesnym rankiem. Miasto w żadnym stopniu nie przypominało stolicy. Nie było w nim wieżowców, przeważała niska zabudowa, a domy oddzielone było od siebie bujną zielenią roślin tropikalnych. Wydawało się, że jest tu więcej ogrodów niż domów.

Skręciliśmy w zadrzewioną ulicę pełną urzędowo wyglądających budynków. Na każdym z nich powiewały flagi. Myślałam, że wjechaliśmy do dzielnicy dyplomatycznej. Wśród wywieszonych flag szukałam południowokoreańskiej.

Zatrzymaliśmy się przed jednym z tych domów, na którym znajdowała się tabliczka z napisem po laotańsku. Nadal nie widziałam jednak flagi.

– Co to za miejsce? – zapytałam tłumacza.

– Urząd imigracyjny w Wientian – wyjaśnił. – Wysiadamy.

Cała się spięłam.

– Dlaczego?

– Taka procedura. Ktoś z ambasady południowokoreańskiej pojawi się dziś po południu. – W czasie urabiania naczelnika więzienia nawiązałam z tłumaczem dobre stosunki i stopniowo zaczął mi współczuć. Wydawał się porządnym człowiekiem, bardziej uczciwym niż pozostali. Widziałam, jak wdał się w długą rozmowę z oficerem policji. Wcześniej tłumacz mówił, że pojedziemy prosto do ambasady południowokoreańskiej. Nie wyglądał na zadowolonego z tego, co słyszał od policjanta.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Proszę się nie martwić. Musicie wysiąść.

Zabraliśmy swoje rzeczy z samochodu i daliśmy się poprowadzić na drugie piętro urzędu imigracyjnego. Postawiliśmy bagaże w kącie i czekaliśmy w milczeniu. Miałam złe przeczucia. Potem pojawił się urzędnik imigracyjny i wywołał mnie po imieniu.

– Proszę za mną.

Powiedziałam matce i Min-ho, że wrócę za parę minut. Jedna z Koreanek z Północy poprosiła, żebym kupiła jej przybory toaletowe.

– Mamy tylko kilka pytań – powiedział urzędnik, gdy szliśmy korytarzem.

– Nie chcę zostawiać pozostałych.

– W porządku. Zaraz przyprowadzę panią z powrotem.

Wprowadził mnie do klimatyzowanej sali konferencyjnej, gdzie czekało czterech urzędników w zielonych mundurach. Była wśród nich czterdziestokilkuletnia kobieta z mocno umalowanymi ustami. Na pagonach jej munduru zobaczyłam złote gwiazdki. Powiedziała coś po laotańsku. Inny urzędnik przetłumaczył jej słowa na mandaryński.

– Wie pani, dlaczego ją przesłuchujemy?

– Nie mam pojęcia.

– Ponieważ popełniła pani przestępstwo.

ROZDZIAŁ 49

DYPLOMACJA WAHADŁOWA

Otworzyłam usta, ale zabrakło mi słów. Najpierw pomyślałam, że zaszło jakieś koszmarne nieporozumienie albo że wprowadzono mnie nie do tej sali, co trzeba.

Spojrzałam na urzędników. Wszyscy mi się przyglądali.

– Jakie przestępstwo?

– Ci Koreańczycy przekroczyli nielegalnie granicę naszego kraju – powiedziała kobieta. – Popełnili przestępstwo. A pani im pomagała.

Od kiedy wysiedliśmy z samochodu przed tym budynkiem, czułam narastający gniew − miałam przeczucie, że to jeszcze jedna próba wyłudzenia od nas pieniędzy, zanim dotrzemy do ambasady. Ale gdy usłyszałam, że moją rodzinę nazywa się przestępcami, wybuchłam.

– Przestępstwo?! – zaczęłam wrzeszczeć. − Mówi pani, że to przestępcy? Bzdura! Czy kogoś zabili? Może okradli? W tym kraju spotkałam mnóstwo złodziei, ale wyłącznie w policji! Ci ludzie to uciekinierzy, pragnący tylko azylu politycznego.

Nie powinnam była tracić nerwów, ponieważ złość nie pozwalała mi jasno myśleć.

Kobieta pozostawała niewzruszona.

– Przebywają tu nielegalnie. Nie możemy tego ignorować. A pani im pomogła.

Starałam się odzyskać panowanie nad sobą, ale nadal szalałam ze złości.

– Pierwszy raz jestem w Laosie. Próbuję tylko pomóc im dotrzeć do ambasady. Nie robię tego dla pieniędzy. NIE JESTEM pośrednikiem.

Poczułam narastający strach. Czy w wybuchu złości użyłam słowa „rodzina”? Nie byłam pewna. Dopiero teraz przypomniałam sobie radę pana

Parka, by nikomu się nie przyznawać, że jestem spokrewniona z matką i Min-ho. Gdyby ta kobieta wiedziała, że też pochodzę z Korei Północnej, południowokoreański paszport przestałby mnie chronić.

– Wiem, że jest tu pani po raz pierwszy – powiedziała. – Ale to, co pani zrobiła, nadal jest przestępstwem.

Gdybym była spokojniejsza, domyśliłabym się tego, co powinnam już wiedzieć na temat laotańskiej biurokracji. Ta kobieta chciała zmusić mnie do przyznania się do przestępstwa, żeby móc nałożyć na mnie grzywnę. A że nie chciałam przyznać się do popełnienia przestępstwa ani do pomocy przestępcom, ona nie mogła przejść do kwestii zapłaty. I z pewnością nie pomagał fakt, że zaczęła się na mnie wściekać.

– Może pani skończyć w więzieniu.

– Jestem zwykłym wolontariuszem – powiedziałam, sięgając po telefon. – Dzwonię do ambasady południowokoreańskiej.

– Do nikogo nie będzie pani dzwonić. − Skinęła palcem na jednego z urzędników. Natychmiast podszedł do mnie i wyrwał mi komórkę. – Jesteśmy w Laosie – podkreśliła. – Pani ambasada nie ma tu żadnej władzy. − Urzędnik, który zabrał mi telefon, teraz domagał się paszportu. Nie miałam innego wyjścia, musiałam oddać mu dokumenty. Kobieta rozmawiała przez chwilę z pozostałymi po laotańsku, a potem oznajmiła: – Na razie jest pani wolna. Proszę przyjść jutro rano. Musimy porozmawiać.

Wróciłam do pokoju, w którym powinni czekać na mnie pozostali, ale nikogo tam nie było. Zginęły też wszystkie bagaże z wyjątkiem mojego plecaka, który leżał na podłodze niczym zdradliwy ślad. Pobiegłam do pokoju przesłuchań.

– Dokąd ich zabraliście? – znów uniosłam głos.

– Do hotelu – odparł mówiący po mandaryńsku urzędnik. Kobieta nawet na mnie nie spojrzała. – Nic więcej tu pani nie zdziała.

Budynek był opuszczony. Nastała pora lunchu. Po obu stronach pustego biurka recepcjonisty biegły dwa korytarze. Nie byłam pewna, dokąd mam iść, zajrzałam więc do każdego z pokoi wzdłuż jednego korytarza, potem wzdłuż drugiego. Na końcu tego drugiego znajdował się rząd żelaznych drzwi prowadzących do cel, ale wszystkie z wyjątkiem jednych były zamknięte. Zajrzałam do tej otwartej celi. Zimne, betonowe ściany cuchnęły wilgocią i były czarne od porastającej je pleśni. Pomieszczenie było tak niskie, że nie można było się w nim wyprostować. Przypominało raczej zagrodę dla bydła.

Przecież nie trzymają ich tutaj, prawda? pomyślałam z trwogą. Z pozostałych cel nie dochodziły żadne dźwięki.

Nie miałam odwagi zacząć krzyczeć *Omma-ya! Min-ho-ya!* z obawy, że usłyszą mnie na górze.

Na zewnątrz było tak gorąco, że ulice opustoszały. Zobaczyłam w oddali postój taksówek. Na poły po angielsku, na poły na migi wyjaśniłam kierowcy, że chcę jechać do ambasady Korei Południowej. Kilka minut później ujrzałam flagę Korei Południowej i samą ambasadę, ale stojący przy bramie strażnik powiedział mi, żebym wróciła po lunchu.

Poszłam dalej ulicą, szukając jakiegoś miejsca do siedzenia. Tu, w cieniu platanów, było chłodniej. I wtedy ją zobaczyłam − na lewo, po drugiej stronie ulicy, powiewała flaga. Zaśmiałam się pustym śmiechem. Ambasady obu Korei dzieliło od siebie zaledwie kilka metrów. Po raz drugi tego dnia odczułam absurd sytuacji. Niemcy już dawno się zjednoczyły, podobnie Wietnam. Dlaczego pozostawaliśmy jedynym narodem na świecie cierpiącym z powodu dziwacznego podziału, który powinien był już dawno zaniknąć? Dlaczego moja rodzina płaciła cenę tego podziału w jakimś odległym i nieprzyjaznym kraju? Stałam nieruchomo na ulicy, rozmyślając o tym, że całe moje życie zamykało się w odległości dzielącej te dwie flagi.

***

– Witam – powiedział konsul. – Nie mamy tu zbyt wielu podróżnych z Korei.

Zaprosił mnie do sali konferencyjnej.

Wyjaśniłam, że przyjechałam z Luand Namtha w towarzystwie pięciu osób, które są przetrzymywane w urzędzie imigracyjnym w Wientian.

– Myśleliśmy, że przyjedziemy bezpośrednio tutaj.

– Tak. – Potarł palcami nos pod okularami. – Otrzymaliśmy z Luang Namtha informację, że pięcioro Koreańczyków z Północy jest w drodze, ale jaki pani ma związek z całą tą sprawą?

– Dzwoniłam do pana miesiąc temu. Pamięta pan? Żeby powiedzieć, że moja rodzina została uwięziona w Luang Namtha. Obiecał pan, że zajmie się wszystkim i kazał mi wyjechać.

– Ach, tak. – Spojrzał na mnie, z lekka zaskoczony. – I nie wyjechała pani?

Nie przypuszczałbym, że zdoła pani osiągnąć aż tyle. Sama to pani zrobiła? W miesiąc? Naprawdę niebywałe.

Brzmiał jak znudzony wuj, który stara się okazać zainteresowanie dziecięcym rysunkiem.

– Powiedziano nam, że po południu pojawi się pan w urzędzie imigracyjnym. Więc co robimy dalej?

Uśmiechnął się przepraszająco.

– Nie mogę wejść tam ot, tak. Muszę czekać, aż mnie wezwą.

– Ale oni przetrzymują pięcioro Koreańczyków z Północy. Zabrali mi paszport i telefon. Wolno im?

– Nie mamy tam władzy. Nie możemy mówić, co mogą robić, a czego nie. Ale zobaczę, czy zdołamy dowiedzieć się, o co chodzi.

Przez całą moją podróż za każdym razem, gdy już nabierałam nadziei, że sprawy jakoś się ułożą, spotykało mnie rozczarowanie. Kiedy wstawałam do wyjścia, powiedziałam mu coś, o czym wspomniała matka – że grupa dwunastu uciekinierów z Północy została złapana kilka dni przed zwolnieniem jej i Min-ho z więzienia i zamknięta w Luang Namtha.

– Ale jestem pewna, że wiedział pan o tym.

– Nie, nie wiedziałem – oznajmił takim tonem, jakbym oznajmiła coś, co brzmiało idiotycznie, choć przecież musiało być prawdą. – Zajmę się tą sprawą.

Zaczęłam się zastanawiać, ilu jeszcze uchodźców siedziało w różnych więzieniach w tym kraju, czekając, aż ambasador podejmie jakieś działania.

***

Następnego dnia młodszy pracownik ambasady udał się ze mną do urzędu imigracyjnego w Wientian. Z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że nie był to najlepszy pomysł. Spotkanie przerodziło się w incydent dyplomatyczny między dwoma krajami. Odbyło się w dużej sali konferencyjnej, w której wisiały laotańskie flagi. Przy długim polerowanym stole siedziało pięciu urzędników, w tym znana mi już kobieta.

Nalegała na prowadzenie rozmów po laotańsku i upierała się dalej, że popełniłam przestępstwo, pomagając nielegalnym imigrantom. Miałam iść do więzienia, jeśli nie wpłacę przewidzianej ustawą grzywny w wysokości

tysiąca trzystu dolarów.

– Jest na panią wściekła – wyszeptał dyplomata, gdy na chwilę wyszliśmy na zewnątrz. – Mówiła, że była pani wyjątkowo bezczelna.

Zrozumiałam, że popełniłam błąd taktyczny. Gdybym wróciła sama i okazała skruchę, przeprosiła tamtą kobietę, być może by mi odpuściła, ale sprawy zaszły już za daleko. Przychodząc w towarzystwie pracownika ambasady, przeniosłam nasz spór na zupełnie nowy poziom.

Pokazałam urzędnikom portmonetkę i wyjaśniłam swoje położenie. Miałam przy sobie osiemset dolarów, które dał mi Dick. Kwota ta wystarczyłaby na zakup biletu w jedną stronę. Kobieta zabrała całą gotówkę i oddała mi paszport oraz telefon.

– Proszę nigdy więcej nie przyjeżdżać do mojego kraju w takich okolicznościach – ostrzegła. – Jeśli to się powtórzy, zostanie pani aresztowana jako pośrednik. Jednak… – tu uśmiechnęła się tak nieszczerze, jak jeszcze nigdy żadna znana mi kobieta – serdecznie zapraszamy, gdyby chciała nas pani odwiedzić w charakterze turystki. − Miałam ochotę dać jej w twarz. – Załatwiliśmy pani dwudziestoczterogodzinne przedłużenie wizy – powiedziała. – Jeśli jutro o tej porze będzie pani tu nadal, każę panią aresztować. Rozumiemy się?

– Bardzo chętnie opuszczę ten kraj choćby teraz – odparłam. – Ale nie mam pieniędzy na bilet.

Zacisnęła tylko usta.

Gdy wychodziliśmy z urzędu, pracownik ambasady zapewnił mnie, że matka, Min-ho i pozostałe trzy kobiety następnego dnia trafią na teren placówki dyplomatycznej. Po tym cała piątka będzie mogła przylecieć do Seulu. Za kilka dni, zapewnił.

Mówią, że ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, a ja naprawdę chciałam uwierzyć w to, co usłyszałam. Była to wspaniała wiadomość. Podziękowałam mu bardzo wylewnie. Powinnam była oczywiście potwierdzić to, co usłyszałam, zadać dalsze pytania, ale miałam na głowie bardziej palący problem.

– Nie stać mnie na bilet. Czy ambasada nie mogłaby pożyczyć mi pieniędzy?

Wsiadając do samochodu, wyraził najgłębszy żal, lecz niestety, jak powiedział, ambasada nie ma w zwyczaju pożyczać pieniędzy.

Głupio znów mu podziękowałam. Byłam tak wdzięczna, że przejścia mojej

rodziny dobiegły końca, iż zajęło mi kilka minut, zanim zrozumiałam, że dyplomata odjechał, zostawiając mnie samą na ulicy, choć wiedział, że jestem bez grosza i nie mam dokąd iść. Dopiero później dowiedziałam się, że ambasady są zobowiązane prawem międzynarodowym do chronienia swoich obywateli i zapewniania im pomocy.

Nie miałam pojęcia, co dalej robić. Obawiałam się, że będę musiała spać na ulicy. W tym momencie zadzwonił telefon. To był Dick. Powoli zaczynałam nabierać przekonania, że mam do czynienia z istotą nadprzyrodzoną. Gdy wyjaśniłam mu swoje położenie – jak zawsze kulawym angielskim – zaproponował, że przyśle mi pieniądze. Odmówiłam. I tak dał mi bardzo wiele. Musiałam sama znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Przez chwilę kręciłam się po ulicy, lecz wiedziałam, że mogę zrobić tylko jedno – poprosić o pomoc Kima. Nie przyszło mi to łatwo. Prawdę mówiąc, było znacznie trudniej, niż prosić o pomoc Dicka. Duma nie pozwalała mi okazywać przed Kimem, że bardzo potrzebuję jego wsparcia. Przelał pieniądze, a ja znów zapewniłam, że zwrócę pożyczkę co do grosza.

Rankiem wyleciałam z Laosu.

***

Do domu wróciłam w pierwszym tygodniu grudnia – ze strefy podzwrotnikowej prosto w jasny, mroźny dzień w Seulu, gdzie niebo było bezchmurne, niebieskie, a powietrze tak mroźne, że szron osadził się na wewnętrznej stronie szyb mojego mieszkania, rysując na nich pierzaste wzory. Musiałam zacząć od kupienia ubrań, bo swoje zimowe oddałam zdumionemu taksówkarzowi w Kunming.

Tamten wieczór spędziłam w mieszkaniu Kima w Gangnam. Zawinęłam się w jego sweter, skuliłam na kanapie z filiżanką kawy w dłoniach i przy grającym w tle jazzie opowiedziałam mu swoją przygodę. Nagły powrót do wygody i komfortów innego świata wydawał się nierzeczywisty, tym bardziej że miałam przed sobą Kima, który nigdy go nie opuszczał. Teraz patrzył na mnie zdumiony, starając się pojąć, przez co przeszłam. Milczał przez długi czas i kręcił głową w zdumieniu nad przedziwnym splotem prześladującego nas pecha i sprzyjającego szczęścia, które pozwoliło radzić sobie z kolejnymi przeszkodami. Był też pod ogromnym wrażeniem postawy

Dicka Stolpa.

– Że też w takiej chwili i w takim miejscu trafiłaś właśnie na tego człowieka! – powiedział zdumiony. – To niesamowite. Masz przeogromne szczęście.

– Mam przeogromne szczęście, bo mam ciebie – odparłam.

Płyta, której słuchaliśmy, skończyła się. W pokoju zapadła cisza.

***

Nie było mnie dużo dłużej, niż planowałam – dwa miesiące – więc oczywiście przegapiłam terminy egzaminów wstępnych i rozmów kwalifikacyjnych na uczelniach. Następną próbę mogłam podjąć dopiero za rok. Nie przeszkadzało mi to jednak. Pomyślałam, że będę miała co robić, pomagając matce i Min-ho zaaklimatyzować się w Seulu.

Dzień po powrocie zadzwoniłam do ambasady Korei Południowej w Wientian. Byłam pozytywnie nastawiona i spodziewałam się usłyszeć dobre wieści. Połączyłam się z automatyczną sekretarką, która w języku angielskim kazała mi naciskać różne przyciski. Wypróbowałam wszystkie, ale nie udało mi się połączyć z żadnym pracownikiem. Nie przejmowałam się jednak zbytnio. Spodziewałam się, że matka i Min-ho lada dzień pojawią się w Seulu i dopóki PSW nie zakończy swoich procedur, nie będzie z nimi kontaktu. Choć oczywiście chciałam dostać potwierdzenie od dyplomatów z Wientian, że wszystko poszło jak należy.

Po trzech tygodniach bez wieści zaczęłam się niepokoić. Kim starał się przekonać mnie, żebym nie wpadała w panikę; mówił, że w Laosie nic nie dzieje się szybko.

Wreszcie w czwartym tygodniu telefon zadzwonił, a na wyświetlaczu pokazał się nieznany mi numer. Zaczynał się liczbami 856 − numerem kierunkowym Laosu. Głos w słuchawce był niewiele intensywniejszy od szeptu.

– Nuna?

– Min-ho?

– Tak, to ja.

– Ciągle jesteście w ambasadzie?

– Pożyczyłem ten telefon. Oddzwonisz?

Dlaczego tak szepcze? Natychmiast zadzwoniłam na numer, który się wyświetlił. Min-ho odebrał, zanim rozbrzmiał drugi dzwonek.

– Jestem w więzieniu Phonthong.

ROZDZIAŁ 50

WOLNOŚĆ PRZYCHODZI POWOLI

Miałam wrażenie, że całe mieszkanie wiruje wokół mnie. Ściskałam telefon tak mocno, że czułam, jak paznokcie wbijają mi się w dłoń.

– Co?

– Tu zamykają obcokrajowców – powiedział Min-ho. – To jest znacznie większe od tamtego w Luang Namtha… − Znów wciągnął mnie koszmar, wpadłam prosto w nieprzenikniony mrok. Usta zaczęły mi drżeć, ale głos mojego brata brzmiał niewzruszenie. Miałam wrażenie, że opisuje szkołę, do której właśnie zaczął uczęszczać. – Są tu biali i czarni, jacy tylko chcesz, z wyjątkiem miejscowych…

– Czyj to telefon?

– Mojego chińskiego kolegi z celi – wyszeptał. – Regulamin zabrania posiadania telefonów.

Oparłam ciężko głowę na dłoni.

– Dlaczego nie jesteście w ambasadzie? Powiedzieli mi przecież, że przyjadą po was następnego dnia.

– W ambasadzie? Nie widziałem nikogo z ambasady…

Min-ho wyjaśnił mi, że gdy tylko wyszłam z urzędu imigracyjnego, urzędnicy zaprowadzili jego, matkę i pozostałe kobiety na dół i zamknęli w celi na parterze. Więc jednak siedzieli w tych zagrzybiałych, betonowych celach na końcu korytarza, pomyślałam z trwogą. Po kilku dniach przeniesiono ich do więzienia w Phonthong. Matka też tam przebywała, w części dla kobiet. Min-ho stwierdził, że nie widział słońca od tygodni i skórę ma teraz całkiem białą. A mimo to brzmiał radośnie. Jego zdolność do stawiania czoła fizycznym niewygodom i trudnościom zdumiała mnie po raz kolejny. Wtedy też uświadomiłam sobie, że to z napięciami panującymi

w świecie bogatych będzie miał problemy.

– Jest tu dwóch Koreańczyków z Południa. Jeden odsiaduje pięć lat za sprzedaż amfetaminy. Drugi wszedł w jakiś konflikt z partnerami w interesach w Laosie. Gdy dowiedzieli się, że jesteśmy z Północy, kupili trochę jedzenia spoza więzienia i dali mi. Posłali też trochę do części dla kobiet, dla ommy i pozostałych więźniarek. Siedzą tu od dawna, ale pocieszają mnie, jak mogą. Mówią, że mam się nie martwić, że przewija się tu wielu Koreańczyków z Północy i że wszyscy oni trafiają do ambasady południowokoreańskiej. Taka jest procedura, Nuna. Nie martw się, nic nam nie będzie.

Min-ho i jego chiński kolega dzielili celę z dwoma innymi mężczyznami – jeden był z Wielkiej Brytanii, drugi z Ghany. Brytyjczyk odsiadywał długi wyrok za posiadanie marihuany. Miał na imię John i był szalenie miłym człowiekiem.

– Nie zgadniesz, Nuna! Uczę się angielskiego!

Wtedy puściły tamy. Płakałam tak bardzo, że łzy płynęły mi strumieniami. Zdołałam tylko wydukać:

– Jak tu dotrzecie, możemy razem rozmawiać po angielsku.

Min-ho, jak to on, cieszył się życiem, choć siedział w więziennej celi. Odbijał się od dna. Tak bardzo go podziwiałam. Nie pozwalał, by wizja miesięcy, a może nawet lat w więzieniu położyła się cieniem na jego nastroju. Spoglądał w przyszłość, szykując się na rozpoczęcie nowego rozdziału w życiu.

***

Teraz przynajmniej rozumiałam, dlaczego pracownik ambasady tak bardzo się śpieszył. Celowo skłamał w sprawie wypuszczenia mojej rodziny na wolność. Wiedział, jak wyglądają procedury, ale nie chciał, żebym kręciła się w okolicy i sprawiała kłopoty. Mimo wszystko nadal miałam nadzieję, że ta próba zakończy się szybko i szczęśliwie. Gdy teraz o tym myślę, widzę, że tamta kobieta z urzędu imigracyjnego w Laosie nigdy, nawet gdy była na mnie wściekła, nie zasugerowała, że matka i Min-ho mogą zostać odesłani do Chin czy do ambasady północnokoreańskiej.

Moi bliscy spędzili w wientiańskim więzieniu Phonthong jeszcze dwa

miesiące. Dopiero po tym czasie przekazano ich pracownikom ambasady południowokoreańskiej. Następne trzy miesiące czekali w domu należącym do ambasady, razem z powiększającą się grupą uciekinierów z Północy, których sprawy były stopniowo rozpatrywane przez rząd Laosu.

Wreszcie po pół roku od mojego powrotu z Laosu, późną wiosną 2010 roku, odebrałam telefon z Państwowej Służby Wywiadowczej. Powiedziano mi, że w grupie uciekinierów z Północy przechodzących procedurę adaptacyjną jest kobieta podająca się za moją matkę i mężczyzna, który utrzymuje, że jest moim bratem.

Ulga, jaką poczułam słysząc te słowa, i śmiertelna powaga w głosie przekazującego mi tę wiadomość urzędnika sprawiły, że zaniosłam się niepohamowanym śmiechem. Próbowałam go przeprosić. Muszę przyznać, że zachował się bardzo miło.

– Proszę się nie śpieszyć. Na pewno czuje pani ogromną ulgę – powiedział tylko.

Przyjechali.

Wreszcie było po wszystkim.

ROZDZIAŁ 51

KILKA POMNIEJSZYCH CUDÓW

Nieco wcześniej w grupie przybyszy z Północy odkryto kilku szpiegów, więc PSW wydłużyła procedurę sprawdzania każdego uciekiniera. Przez to moja rodzina spędziła w kwaterze PSW znacznie więcej czasu niż ja. Przesłuchiwano ich przez trzy miesiące, zanim wreszcie trafili do Hanawon. Tak spędzili kolejny kwartał. Kobiety przetrzymywane w Laosie z moją matką i Min-ho trafiły tam w tym samym czasie. Niestety, najstarsza z nich, choć dotarła tak daleko, zmarła na raka.

Kiedy czekałam na zwolnienie rodziny z ośrodka przejściowego, wydarzyła się niesamowita rzecz. Ni stąd, ni zowąd, skontaktowała się ze mną Shin-suh, dziewczyna z komputerowego czatu, która pokazała mi się nago na ekranie laptopa jeszcze w Szanghaju. Powiedziała, że usiłowała się ze mną skontaktować, ale ponieważ zmieniłam nazwisko, było to wyjątkowo trudne. Ucieszyłam się, że dotarła do Seulu niedługo po mnie. Zaprosiłam ją do siebie, lecz gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam na progu zupełnie obcą osobę. Przez chwilę bałam się, że to pułapka. W społeczności uchodźców krążyły plotki o tajemniczych zabójstwach i agentach *Bowibu*.

Moje zakłopotanie mocno ją rozbawiło.

– To ja, Shin-suh. – Klasnęła w dłonie i zaśmiała się głośno.

Rozpoznałam ją po głosie. Wyjaśniła, że wydała dwadzieścia tysięcy dolarów na operacje plastyczne. Poprawiła wszystko – oczy, czoło, nos, usta, piersi… Jej południowokoreańskiemu chłopakowi ta transformacja nie przypadła do gustu i zerwał znajomość.

Gdy powiedziałam jej, że udało mi się wydostać z Północy moją rodzinę, radość zniknęła z jej oczu. Ucichła i zadumała się. Podobnie jak ja tęskniła za swoimi bliskimi, odczuwała wręcz fizyczny ból z powodu braku kontaktu

z nimi. Ona także pragnęła wydostać ich z Korei Północnej, lecz za bardzo się bała ryzyka. Shin-suh przeszła znacznie więcej niż ja. Jak wiele północnokoreańskich kobiet została oszukana przez mężczyzn, którzy podawali się za pośredników, a w rzeczywistości handlowali ludźmi. Uważała, że i tak się jej poszczęściło − sprzedano ją ludziom, którzy prowadzili erotyczny czat internetowy, a nie jakiemuś zubożałemu Chińczykowi jako żonę. Zawstydziłam się, że gdy miałam osiemnaście lat, uznałam małżeństwo z bogatym i nieszkodliwym Geun-soo w Shenyang za najgorsze, co mogło mi się przydarzyć w życiu.

***

Na tydzień przed dniem, w którym Min-ho i moja matka mieli opuścić Hanawon, postanowiłam porozmawiać z Kimem o tym, o czym powinniśmy pomówić już dawno. Nie chciałam odkładać tego na później. Lada dzień miałam połączyć się z rodziną. Czekał mnie nowy rozdział w życiu i wiedziałam już, że Kim nie będzie jego częścią. Wszystko, przez co przeszłam, sprawiło, że stałam się realistką. Nie wierzyłam, że dla miłości Kim sprzeciwi się swojej rodzinie i mnie poślubi, zresztą nie oczekiwałam tego. Nigdy wcześniej nie zrobił nic, co naraziłoby go na złość rodziców. Rozpaczanie nad utraconą miłością sprawdzało się może w fabułach seriali, ale z pewnością nie było czymś, co sama bym robiła. Teraz musiałam pomóc matce i Min-ho przystosować się do nowych warunków. Musiałam iść dalej.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli przed sobą przyszłość – powiedziałam. Sądzę, że już po tonie mojego głosu domyślił się, po co pojawiłam się tamtego wieczoru w jego mieszkaniu.

Po długiej, pełnej ciężkiego milczenia chwili, powiedział:

– Wiem. Masz rację. Moja rodzina urządziłaby nam piekło.

Przez moment siedzieliśmy na dwóch końcach kanapy, spoglądając na siebie i wsłuchując się w odgłosy miasta. Nie spodziewałam się, że będzie mi aż tak przykro. Było mi żal tego związku. Lubiliśmy się i szanowaliśmy. Kim właśnie wrócił z siłowni i miał na sobie podkoszulek, przez który widać było jego sylwetkę. Był pięknym mężczyzną, a do tego szalenie dobrym. Lecz jego przyszłość wiązała się nierozerwalnie z przeszłością i rodziną, podobnie jak moja. To zaś znaczyło, że pisane nam były inne losy.

– Chyba nie zostało wiele do powiedzenia na ten temat. – Jeśli miałam zachować twarz, musiałam szybko stąd wyjść.

– Pewnie nie – przyznał.

Uśmiechnęłam się ciepło.

– Rozstańmy się jak przyjaciele.

Uścisnęliśmy się. Wyszłam, zanim całkiem się rozkleiłam.

***

Dwa dni później czekałam niecierpliwie na szczycie schodów prowadzących na stację metra na przyjazd matki i Min-ho. Był sierpień 2010 roku. Od dramatu w Changbai minął prawie rok, a od rozstania w Laosie – dziewięć miesięcy. Gdy tylko ich zobaczyłam, pobiegłam schodami w dół i rzuciłam się im w ramiona. Wreszcie byli wolni, mieli obywatelstwo Korei Południowej. Teraz bałam się, jak poradzą sobie z tą wolnością.

– Mówiłaś, że to potrwa dwa tygodnie. – To były pierwsze słowa, jakie usłyszałam od matki. – Gdybym wiedziała, jak długa i okropna będzie ta podróż, nigdy bym się na nią nie zdecydowała.

– Ale już tu jesteście – powiedziałam. – I tylko to się liczy. Min-ho, spójrz tylko na siebie. Gdy widzieliśmy się po raz ostatni, byłeś chudy jak szczapa. Teraz jesteś zwyczajnie tłusty.

W rzeczywistości mój brat wyglądał po prostu na zdrowszego.

– Nie wierzę ci. – Uśmiechnął się, a ja zobaczyłam w nim odbicie ojca. – Jestem głodny. Idziemy jeść.

Nie wiedzieli, gdzie zwrócić wzrok. Ze stacji metra wyszli wprost na tętniące życiem ulice w pobliżu ratusza. Obrazy i dźwięki najnowocześniejszego miasta świata zaatakowały ich z całą mocą. Ulice Seulu pełne są błyszczących neonów i mamiących, kuszących reklam. Na jezdniach i chodnikach – wylanych asfaltem! – panuje większy ruch, niż ktokolwiek w Korei Północnej mógłby sobie wyobrazić. Ludzie tłumnie przemieszczają się we wszystkie strony. To byli współcześni Koreańczycy – których język matka rozumiała, ale których stroje, podejście do świata i obojętność na obecność wśród nich tysięcy ludzi innych ras i kultur, były jej zupełnie obce. Gdzie nie spojrzała, widziała tętniący życiem i bogactwem ludzki ul.

Zaprosiłam Ok-hee, żeby dołączyła do nas na miskę *seolleongtang*, zupy na kości wołowej.

– Jedz, jedz dużo, omma – mówiłam. Martwiłam się, że matka wygląda tak mizernie. Miałam nadzieję, że po pobycie w Hanawon będzie odprężona i w dobrym zdrowiu.

– Przez większość czasu byłam zbyt zdenerwowana, żeby jeść – wyjaśniła.

Rozmawialiśmy bez skrępowania, dopóki nie zamknęli restauracji. Byłam tak szczęśliwa, trzymając ich za ręce. Marzyłam o tym od przeszło dekady.

Pierwsze dni matki na wolności upłynęły pod znakiem kolejnych pomniejszych cudów. Ledwie dawała radę nadążyć za tym, co się działo wokół niej. Na Dongdaemun, popularnym rynku, gdzie nocą można było kupić jedzenie od ulicznych sprzedawców, zadziwił ją bankomat, z którego wyciągałam pieniądze.

– Nie mogę tego rozgryźć – przyznała. Była przekonana, że za ścianą znajduje się mały pokój, w którym siedzi ściśnięta drobniutka kasjerka wydająca banknoty w zatrważającym tempie. – Biedaczka, musi siedzieć tak całymi dniami w pokoju bez okna.

– Omma – zaczęłam się śmiać. – To automat.

Bilet miesięczny również wprawił ją w osłupienie. Gdy wsiadłyśmy do autobusu i przesunęła go nad czytnikiem, jak ją wcześniej poinstruowałam, usłyszała mechaniczną odpowiedź: *hwanseung imnida* (proszę przejść), co oznaczało, że opłata została pobrana.

– Czy mam jej odpowiedzieć? – zapytała na głos.

Później, już na ulicy, zastanawiała się, czy dzieci, które wszędzie widziała, należą do południowokoreańskiego odpowiednika Ligi Młodzieży Socjalistycznej.

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo pozdrawiają się, o, tak. – Uniosła dłoń.

– Omma, to się nazywa „przybić piątkę”.

Pewnego wieczoru, gdy przechadzałyśmy się po kolacji, odezwała się:

– A więc to nie była mistyfikacja.

– Co takiego, omma?

– Wszystkie te samochody. I światła. Widziałam je w nielegalnych filmach z Korei Południowej, ale zawsze wydawało mi się, że to propaganda. Że zwieźli na jedną ulicę samochody z całego miasta, żeby nakręcić film. – Pokręciła głową. – To niesamowite.

ROZDZIAŁ 52

JESTEM GOTOWA NA ŚMIERĆ

We wrześniu 2010 roku przyjęto mnie na Uniwersytet Języków Obcych Hankuk na kurs licencjacki chińskiego i angielskiego, który miał się rozpocząć wiosną następnego roku. Min-ho znalazł sobie własne mieszkanie. Matka szukała pracy, żeby pomóc mi się utrzymać. Jej dawna pozycja społeczna – rządowa posada w Hyesan – w Seulu nie znaczyła nic, więc matka zaczęła sprzątać w małym motelu, w którym wynajmowano pokoje na godziny. Motel oferował jej mieszkanie i wyżywienie, miała też jeden dzień wolny w miesiącu. Była już jednak coraz starsza i zupełnie nieprzywykła do pracy fizycznej, więc gdy pewnego dnia zmieniała pościel, wypadł jej dysk. Upadła na ziemię powalona bólem i musiała poddać się poważnej operacji.

Po odważnym starcie w nowe życie na Południu, duch matki zaczął się łamać. Sytuacji nie poprawiał fakt, że Min-ho również miał kłopoty.

Dwadzieścia siedem tysięcy Koreańczyków z Północy, którzy uciekli na Południe, dzieli się na dwie grupy: tych, którzy zostawili za sobą nic niewarte życie pełne prześladowań i głodu, oraz tych, którzy żyli w miarę znośnych warunkach. Ludzie z pierwszej grupy szybko odnajdowali się w nowym świecie. Życie, które rozpoczynali, choć trudne, zawsze przynosiło poprawę. Ludzie z drugiej grupy byli zdecydowanie bardziej zniechęceni. Często tęsknili za prostszą i bardziej uporządkowaną egzystencją, którą zostawili za sobą, za życiem, w którym ważne decyzje podejmował za nich rząd, a zaciekła rywalizacja była pojęciem nieznanym.

Przed opuszczeniem Hyesan matka upozorowała własną śmierć i zostawiła wszystkie pieniądze Ciotce Wysokiej, zakładając przezornie, że pewnego dnia może zechcieć wrócić. Coraz bardziej tęskniła też za braćmi i siostrami. Nocami, po pracy, płakała żałośnie w poduszkę z tęsknoty. Snuła bez końca

opowieści o wygłupach Wuja Opium czy niedoli Wuja Ubogiego, wspominała z rozrzewnieniem żarty Ciotki Ślicznej. Wreszcie wydusiła to z siebie:

– Chcę wrócić do domu.

– Omma... – Obawiałam się, że prędzej czy później to usłyszę. – Nie możesz. Wiesz przecież, co ci zrobią.

– Jestem gotowa na śmierć – powiedziała, spoglądając przed siebie ze stoickim spokojem. – Chcę umrzeć w domu.

– Nie mów tak.

– Nawet nie widuję słońca – poskarżyła się. Była zima i gdy wstawała do pracy, na dworze było tak samo ciemno, jak wtedy, gdy kończyła. – Czy po to tu przyjechałam? Takie życie nie ma sensu, nie ma przyszłości.

W ciągu kilku następnych miesięcy prowadziłyśmy tę rozmowę wielokrotnie, czasem tylko nieco innymi słowami. Matka nigdy nie zarzuciła mi, że popełniłam błąd, namawiając ją do ucieczki, ale sama zaczęłam czuć, że postąpiłam źle. Naraziłam życie nas wszystkich na niebezpieczeństwo, przeprowadziłam swój plan wielkim nakładem sił i środków, po to, żebyśmy znów mogli być razem, ale choć intencje miałam dobre, okazało się, że matka czuje się tu coraz bardziej nieszczęśliwa. Stała przed ogromnym dylematem – pragnęła wrócić do domu, ale wtedy znów straciłybyśmy kontakt.

Początkowo namawiałam ją, by trochę poczekała. Powiedziałam, że wiem, jak ciężko przystosować się do życia tutaj, ale utwierdzałam ją w przekonaniu, że da radę. Upierałam się, że musi dać sobie trochę czasu. Ale kiedy znów zaczęła mówić, że chce umrzeć na Północy, wiedziałam, że nie mogę ignorować jej woli.

Z ciężkim sercem obiecałam, że jeśli naprawdę tego chce, pomogę jej zorganizować bezpieczny powrót. Przez kilka tygodni starałam się ocenić ryzyko związane z takim przedsięwzięciem. Nie mogłam uwierzyć, że po wszystkim, co przeszliśmy, rozważam teraz, jak znów wprowadzić matkę na teren Korei Północnej. Lecz skoro już tak zadecydowała, to cóż innego mi pozostało?

Podróż powrotna na Północ nie byłaby nawet w połowie tak żmudna, jak przeprawa do Seulu. Mogłyśmy wrócić do Changbai jako turystki z Korei Południowej. Na miejscu znalazłabym kogoś, kto przeprowadziłby ją przez rzekę. Ale jednego musiałyśmy być pewne – absolutnie i bez cienia wątpliwości – że matka zdoła zatrzeć za sobą ślady, gdy już znajdzie się na

miejscu.

W nocy nie mogłam zasnąć. Wpatrywałam się tylko w beżowy koc otulający nocne niebo nad Seulem. Czy naprawdę mam zamiar to zrobić?

– Omma – powiedziałam następnego dnia. – Jeśli dowiedzą się, że byłaś w Chinach, aresztują cię i pobiją. Jeśli dowiedzą się, że byłaś tu… – nie musiałam mówić więcej. Obie wiedziałyśmy, co by ją czekało w takiej sytuacji. Spojrzałam jej prosto w oczy. – Muszę mieć pewność, że twój plan zadziała.

– Zadziała – stwierdziła. – Doskonale wiem, kogo w archiwum należy przekupić. To dobry człowiek. Potem Ciotka Śliczna zorganizuje mi przeprowadzkę do innego miasta. Nikt nie będzie wiedział, że wyjeżdżałam.

To przesądzało sprawę. Min-ho był z tego powodu ogromnie nieszczęśliwy. Tęsknił za domem tak samo jak omma. On też nie potrafił się przystosować do nowych warunków, a teraz dodatkowo bał się, że straci matkę.

W następnym tygodniu zaczęłam planować podróż. Ale gdy przyszło do ustalania dat i konkretów, matka zaczęła zachowywać się powściągliwie, wydawała się rozkojarzona, jakby coś mocno zaprzątało jej myśli.

Ja tymczasem starałam się przekonać Min-ho, że powinien pójść na studia. Mój brat był niespokojny i zniechęcony. Najbardziej obawiałam się, że zejdzie na złą drogę. W Korei Północnej przemyt był zbrodnią, ale policja chętnie przymykała oko na ten proceder, a szmuglowanie było w pełni akceptowalną formą prowadzenia interesów. Południowokoreańskie społeczeństwo nigdy nie zaakceptowałoby takiej postawy. Pomysł pójścia do szkoły przerażał Min-ho. Gdy tylko poruszałam ten temat, tracił humor. Bezwartościowe wykształcenie z północnokoreańskich szkół sprawiało, że miałby wieloletnie zaległości. Poprosiłam, by dał sobie rok na zastanowienie.

Tymczasem Min-ho znalazł pracę na budowie, za którą wziął się z właściwym sobie uporem. Pracował ciężko i w zaledwie kilka tygodni został mianowany brygadzistą. Odszedł z pracy po sześciu miesiącach, bo jak mi oznajmił, jeśli teraz czegoś nie zrobi, do końca życia będzie włóczyć się po budowach. Postanowił iść na uniwersytet. Ulżyło mi niezmiernie i ucieszyłam się, słysząc te słowa. Wkrótce pojawiła się kolejna dobra wiadomość.

– Nie wracam – oznajmiła pewnego ranka matka. Podejrzewałam, że się waha, ale nic nie mówiłam, pozwalając, by jej wątpliwości zapuściły korzenie. – Za bardzo bym za wami tęskniła – stwierdziła. – Widywałabym

się z waszymi ciotkami i wujami, ze wszystkimi kuzynami, ale tęskniłabym za wami tak mocno, że by mnie to zabiło.

Tę noc spędziła w moim mieszkaniu. Gdy rano poszła do pracy, popłakałam się jak bóbr. Moją radość umniejszał jedynie fakt, że skazałam ją na dożywotnie poczucie straty i żal. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że to wyłącznie moja wina.

***

Nadeszła wiosna 2011 roku. Minęło dziewięć miesięcy, od kiedy matka i Min-ho zamieszkali w Seulu. I gdy już myślałam, że wszystko zaczyna się jakoś układać, że powoli przystosowują się do nowego życia, pojawił się kolejny dramat, który niemal nas rozdzielił.

Min-ho nawiązał kontakt z Yoon-ji, swoją narzeczoną. Dzwonił do niej regularnie. Nie miał zamiaru z niej rezygnować i ciągle namawiał ją, by dołączyła do niego na Południu. Zaczął nawet negocjacje z ludźmi, którzy mieli przewieźć ją przez Chiny. Nie powstrzymywałam go. Sam doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka, lecz był zdecydowany.

Wystąpił o paszport, dostał chińską wizę i pojechał po Yoon-ji, ale zanim dotarł do Changbai, ona zmieniła zdanie. Nie chciała przysparzać rodzicom problemów.

Kilka dni później, gdy pierwszy raz poszłam na zajęcia, zadzwonił do mnie. Był piękny wiosenny dzień. Szłam przez kampus, kierując się mapką, by znaleźć budynek swojego wydziału.

– Jestem w Changbai. – Jego głos brzmiał dziwnie, jakby wszystko to mi się śniło. – Właśnie patrzę na Hyesan.

– Nie powinieneś pojawiać się tak blisko. Ktoś może cię rozpoznać.

– Nuna, wybacz, że to mówię, ale wracam.

– To nie jest śmieszne.

– Ściąłem włosy, wyrzuciłem jeansy i kupiłem sobie spodnie, które mogą uchodzić za północnokoreańskie.

Poczułam, jak krew krzepnie mi w żyłach.

– Jak? Kiedy?

– Teraz. Przechodzę teraz.

– Min-ho, nie możesz! – krzyknęłam.

– Matka Yoon-ji wszystkim się zajmie. Będzie tak, jakbym nigdy nie wyjechał.

Usiłowałam się skoncentrować. Musiałam jakoś go powstrzymać. Czułam narastający stres.

– Min-ho, posłuchaj mnie. Gdy przejdziesz, już nigdy nie będziesz mógł wrócić. Zastanów się nad tym.

– W Seulu nie mam przyszłości – powiedział. – Nie wiem, czy dam sobie radę na studiach. W Hyesan mogę poślubić Yoon-ji. Umiem zarabiać pieniądze.

– Brak ci pewności siebie, bo dopiero przyjechałeś i ciągle jeszcze cię to przeraża. Ale za rok czy dwa wszystko będzie dobrze. − Zamilkł i tylko oddychał ciężko, jak zawsze, gdy chciał, by coś, co się zdarzyło, nigdy nie miało miejsca. – Min-ho, jesteś moim bratem. Nie mogę znów cię stracić. Jesteś głową naszej rodziny. Co powie omma? Jak to przyjmie? Przeszliśmy przez piekło, żeby się tu dostać, i jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa. Jest ciężko, ale dasz sobie radę. Ty i ja, jesteśmy młodzi. Możemy robić, co tylko chcemy. Pamiętasz, ile trudu kosztowało nas, żeby się tu dostać? Ale udało się. Chcesz to zaprzepaścić?

– A co z Yoon-ji? – Jego głos był cichy i przepełniony smutkiem.

To dramat, przed którym staliśmy wszyscy. Niezależnie od naszej decyzji los odcinał nas do końca życia od kogoś, kogo kochaliśmy.

– Nic jej nie będzie. – Zachowałam się agresywnie, atakując problem, który, jak podejrzewałam, krył się za tym wszystkim: jego obawę, że w Korei Południowej nigdy nie spotka kobiety, która by się nim zainteresowała. – Tu jest wiele dziewcząt. Choćby moje znajome. Zacznę cię przedstawiać. Wiedzą, że jesteś moim bohaterem.

– Może.

– Albo pojedziemy razem do Ameryki. Nie wiadomo, co czeka nas w Korei, ale Ameryka to kraj wolności.

– Ameryka? A po diabła miałbym tam jechać?

– Możemy zrobić, co tylko zechcemy, Min-ho. Możemy jechać, gdzie się nam podoba. Jesteśmy wolnymi ludźmi. Wystarczy, że zastanowisz się, czego chcesz, i to zrobisz.

Rozmawialiśmy w ten sposób przeszło godzinę. Powoli Min-ho wracał do rzeczywistości. Przez cały ten czas krążyłam po dziedzińcu, a wokół mnie studenci spacerowali, rozmawiali, prowadzili rowery.

– Ciągle myślę o ścieżce wzdłuż rzeki – powiedział. – Brak mi przekonania, że wiem, co robię.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Ale masz rację. Wrócę. Spróbuję znowu.

Rozłączył się. Znalazłam ławkę i usiadłam. Cała się trzęsłam. Czułam się jak pilot, który o włos uniknął katastrofy.

ROZDZIAŁ 53

PIĘKNO UWOLNIONEGO UMYSŁU

Niedługo po przyjeździe mojej rodziny do Seulu Ok-hee zaprowadziła mnie na spotkanie organizacji o nazwie PSCORE (będącej skrótem od *People for Successful Corean Reunification*[6]), której członkowie starali się poprawić życie uciekinierów z Korei Północnej na Południu. Pewnego sobotniego wieczoru razem z grupą działaczy PSCORE wybrałam się do Hongdae, dzielnicy barów i dyskotek, bardzo popularnej wśród młodzieży studiującej w Seulu. Poza mną w grupie byli sami Koreańczycy z Południa i − co ciekawe − trzech młodych mężczyzn z Zachodu. W czasie kolacji siedziałam obok jednego z nich. Od czasu poznania Dicka Stolpa ludzie z Zachodu mocno mnie ciekawili. Nawet jeśli tylko nieliczni mieliby okazać się tak wspaniali jak on, i tak chciałam poznać ich bliżej. Poza tym nie ukrywam, że ten siedzący obok mnie wydał mi się szalenie przystojny. Miał jasne włosy, orzechowe oczy i przyjazny, bezpretensjonalny sposób bycia. Na moje oko miał dwadzieścia parę lat.

Przedstawił się imieniem Brian. Powiedział, że skończył Uniwersytet Yonsei w Seulu. Zapytał, skąd pochodzę.

– Z Hyesan – powiedziałam rzeczowo, jakby wszyscy wiedzieli, gdzie to jest. Z rozbawieniem obserwowałam, jak drapie się po brodzie.

– Hyesan, Hyesan… – mruczał. Usiłował zlokalizować ten napis na mapie. – Dziwne. Znam ten kraj naprawdę nieźle.

– To na Północy – podpowiedziałam. – Przy granicy z Chinami.

Spojrzał na mnie, zdumiony.

– Żartujesz. – Byłam pierwszą Koreanką z Północy, którą spotkał.

Powiedział mi, że pochodzi z Wisconsin. Zagubiony wyraz na mojej twarzy wystarczył mu, żeby domyślić się, że nie mam pojęcia, gdzie to jest.

– To w Stanach.

Przegadaliśmy resztę wieczoru. Uderzyło mnie, jak szczerze i otwarcie mówił o wszystkim. Nie robił uników, nie kombinował. Nie przyjmował postawy defensywnej, nie miał pojęcia o hierarchii społecznej. Czułam się przy nim zupełnie swobodnie, choć przecież był obcym człowiekiem. Ja też byłam z nim szczera, przynajmniej do końca wieczoru. Wtedy głupio podniosłam kwestię wieku.

– A ile ty masz lat? – zapytał ze śmiechem.

– Dwadzieścia pięć – skłamałam, zanim zdołałam pomyśleć, co mówię. Znów zaczęłam zachowywać się cynicznie, kalkulować. Ten nawyk pozostał mi po latach ukrywania swojej tożsamości. Ujęłam sobie lat, żeby wydać się mu bardziej atrakcyjną. Nie czułam się z tego powodu winna. Nie podejrzewałam, żebyśmy mieli się jeszcze kiedyś spotkać.

Nie przewidziałam, że Brian zadzwoni i że zaczniemy się spotykać ani tego, że po kilku miesiącach niezobowiązujących randek wejdziemy w poważny związek. Nagle moje małe kłamstwo nabrało ogromnego znaczenia. Ciągle odkładałam na później moment, w którym wyznam mu prawdę, aż w końcu stało się to dla mnie torturą nie do zniesienia. Chciałam mieć to wreszcie za sobą.

– Brian, muszę cię przeprosić – powiedziałam, gdy któregoś dnia szliśmy razem ulicą. – Okłamałam cię. Nie mam dwudziestu pięciu lat, tylko dwadzieścia dziewięć.

– Och. – Spojrzał na mnie zaskoczony. – To nieważne. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, że zawsze możesz być ze mną szczera. Nie będę cię oceniać.

Brian jako pierwszy pokazał mi, czym jest potęga uwolnionego umysłu, inteligencji, humoru i zdrowego sceptycyzmu, który nie pozwala przyjmować niczego na wiarę. Dzięki niemu zaczęłam myśleć o sprawach, które wcześniej w ogóle nie zaprzątały mojego umysłu. To on uświadomił mi, że ludzi na świecie obchodzi cierpienie Koreańczyków z Północy i że są mocno świadomi problemów mojej ojczyzny. Dzięki podejściu do życia, jakie mi pokazał, znalazłam w sobie siłę, by stawić czoło ogłupiającym uprzedzeniom, jakie Koreańczycy z Południa żywią wobec uciekinierów z Północy. W Stanach Zjednoczonych coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Większość znanych mi uciekinierów ukrywała na Południu swoje pochodzenie, w obawie przed zepchnięciem na margines. Pomyślałam, że prędzej szlag mnie trafi, niż będę tak postępować. Rodzina była już ze mną, nie musiałam

więc niczego ukrywać.

Ale Brian uświadomił mi coś, o czym wcześniej nie pomyślałam. Musiałam stawić czoło nie tylko uprzedzeniom ze strony Koreańczyków z Południa − musiałam też zmienić nastawienie uciekinierów do pewnych spraw. A dwoje z nich miałam tuż pod bokiem.

***

Matka i Min-ho wiedzieli, że kogoś poznałam. Chcieli go poznać i dziwili się, dlaczego ciągle robię uniki, a nawet ukrywam jego imię. Gdy związek z Brianem przekształcił się w coś poważniejszego, zrozumiałam, że będę musiała im powiedzieć. Ostatecznie najlepsza terapia, to terapia szokowa.

I tak oto w restauracji Brian został przedstawiony mojej matce i bratu. Moja rodzina znalazła się nagle oko w oko z jednym z napiętnowanych jankeskich szakali − wcieleniem zła wedle północnokoreańskiej propagandy. Siedzieliśmy w milczeniu. Matka, zazwyczaj uosobienie taktu i dobrych manier, wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. I ona, i mój brat wyglądali na zaskoczonych i urażonych. W Korei Północnej mówi się: „Szakal nie stanie się jagnięciem, a amerykański imperialista nigdy nie wyrzeknie się swojej pazernej natury”. Wzięłam na siebie obowiązki tłumacza. Po krótkim, upływającym w okropnej atmosferze obiedzie Brian grzecznie wymówił się czymś i wyszedł.

Min-ho milczał i wpatrywał się w stół. Matka wymruczała tylko pod nosem:

– Żyłam stanowczo za długo. Za stara jestem na ten cyrk.

Później Min-ho wyznał, że znienawidził Briana od pierwszej chwili. Był przecież *miguk nom*, amerykańskim bydlakiem.

Nie miałam wyrzutów sumienia, że poczuli się urażeni. Było mi przykro ze względu na Briana, który był porządnym, miłym człowiekiem i w żaden sposób nie zasłużył sobie na takie potępienie. Wiedziałam jednak, że awanturą nic nie wskóram. Matka i Min-ho wyjechali z Korei Północnej zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Pewnych uprzedzeń nie da się zmienić w jeden dzień.

***

Powoli zaczęłam przemawiać w obronie uchodźców i poruszać temat łamania praw człowieka w Korei Północnej – początkowo na spotkaniach grupy uchodźców, potem przed niewielką publicznością, aż wreszcie w nowym programie telewizyjnym *Chcę cię poznać*, w którym gośćmi były kobiety z Północy. Ubrane w nowe, kolorowe sukienki, miały zmienić postrzeganie Koreańczyków z Północy jako godnych współczucia obdartusów. Program bardzo przyczynił się do zmiany sposobu postrzegania moich rodaków przez społeczeństwo Południa.

Zaczęłam wiele myśleć na temat praw człowieka. Jednym z głównych powodów zatarcia granicy między oprawcą a ofiarą w Korei Północnej jest brak świadomości istnienia prawa. Aby wiedzieć, że ktoś łamie twoje prawa, albo że ty łamiesz czyjeś prawa, musisz najpierw wiedzieć, że w ogóle je masz, musisz je znać. Ale ponieważ ludzie w Korei Północnej nie mają informacji na temat innych społeczności, nie porównują swojego życia z tym, co dzieje się na świecie, nie mogą mieć świadomości istnienia koncepcji praw człowieka. Dlatego też większość ucieka z głodu bądź dlatego że wpadli w kłopoty, a nie dlatego że pragną wolności. Wielu ukrywających się w Chinach Koreańczyków z Północy w ogóle nie myśli o próbie przedostania się do Korei Południowej – w ich pojęciu byłaby to zdrada ojczyzny i schedy po Wielkim Wodzu. Gdyby ludzie w Korei Północnej zyskali świadomość tego, że mają pewne prawa, gdyby dowiedzieli się o prawach jednostki w polityce demokracji, dni reżimu w Pyongyang byłyby policzone. Ludzie zrozumieliby, że w Korei tylko jedna osoba jest naprawdę wolna i może czerpać z tego korzyści – tą osobą jest będący aktualnie przy władzy Kim. Tylko on w całym kraju ma prawo do wolności myśli, słowa, przemieszczania się, tylko jemu nie grożą tortury, więzienie bez procesu czy egzekucja. Tylko on ma prawo do godziwej opieki zdrowotnej i do odpowiedniego jedzenia.

Przypadkiem myśli te naszły mnie w momencie, gdy wydarzyło się coś, czego żaden z uchodźców nie przewidział.

Oglądałam z matką telewizję, gdy wieczorem siedemnastego grudnia 2011 roku w wiadomościach podano, że Kim Jong-il, Umiłowany Przywódca, nie żyje. Zmarł w prywatnym pociągu, jak ogłosiła zrozpaczona spikerka, w wyniku „nadmiernego fizycznego i psychicznego wysiłku”, z jakim wiązało się wieloletnie oddanie sprawom ludu.

Spojrzałam zaskoczona na matkę. Obie krzyczałyśmy. Matka uniosła dłoń

– przybiła mi piątkę. Natychmiast zadzwoniła Ok-hee. Chciałyśmy świętować. Naiwnie założyłyśmy, że teraz wreszcie na Północy coś się zmieni.

Nie mogłyśmy w to uwierzyć. Kim Jong-il miał siedemdziesiąt lat. Wszyscy byli przekonani, że będzie żył co najmniej przez dziesięć kolejnych. Przedłużaniem jego życia zajmował się osobny instytut naukowy w Pyongyang. Kim Jong-il miał dostęp do najlepszej opieki medycznej na świecie i do najlepszego jedzenia. Każde ziarnko ryżu, jakie trafiało na jego stół, było wcześniej poddawane szczegółowym oględzinom, a te w najmniejszym nawet stopniu niedoskonałe odrzucano.

Nasz radosny nastrój nieco opadł, gdy kilka dni później zobaczyłyśmy materiał filmowy ukazujący wymuszone pokazy rozpaczy i opłakiwania tego bezdusznego tyrana. Kim Jong-il był fatalnym władcą – nie zrobił niemal nic, by zaradzić najgorszej tragedii w dziejach Korei, Wielkiemu Głodowi. Ale ze swojego punktu widzenia osiągnął sukces – zdołał utrzymać władzę absolutną, zmarł spokojnie i przekazał kraj najmłodszemu synowi Kim Jong-unowi.

***

Wraz z Brianem w moim życiu pojawiła się stabilizacja. Czułam, że mam swoje miejsce, mniej rzeczy mnie rozpraszało. Wzięłam się do studiowania, nabrałam pewności siebie, szczególnie w języku angielskim. Nadal przemawiałam w imieniu uciekinierów. I wtedy stało się coś, czego nijak nie mogłam przewidzieć. Spośród wielu ludzi na całym świecie wybrano mnie do wygłoszenia mowy na konferencji TED. (TED to skrót od angielskich słów *technology*, *education* i *design* – technologia, edukacja, projektowanie – na corocznych konferencjach ludzie przedstawiają szerokiej publiczności swoje interesujące koncepcje). W lutym 2013 roku poleciałam do Kalifornii, by tam przed pełną salą opowiedzieć swoją historię.

Wystąpienie to spotkało się z gorącym przyjęciem ludzi na całym świecie, co – nie kryję – mocno mnie zaskoczyło. Szczególnie budujący był odzew z Chin, kraju, który tak bardzo kocham, lecz który przysporzył mi tylu cierpień. Wielu ludzi wyrażało żal, że ich rząd z taką zawziętością ściga uciekinierów z Korei Północnej. Otrzymywałam też wiadomości pełne

nienawiści i wyzwisk – nazywano mnie zdrajczynią, czasem jeszcze gorzej. Brian śmiał się z tych ostatnich i gorąco namawiał mnie, bym robiła to samo.

W tym samym roku zaproszono mnie do Nowego Jorku na przesłuchanie przed Komisją Praw Człowieka ONZ w sprawie łamania tych praw w Korei Północnej. Razem ze mną zeznawało kilka osób, które przetrwały północnokoreańskie obozy pracy. Międzynarodowe oburzenie, jakie towarzyszyło ogłoszeniu wyroku komisji w sprawie zbrodni przeciw prawom człowieka, których dopuścił się rząd Korei Północnej, zwróciło wreszcie na mnie uwagę Pyongyang. Centralna Agencja Informacyjna we właściwym sobie stylu ogłosiła: „Pewnego dnia świat pozna prawdę o tych […] przestępcach. Zachód zawstydzi się, gdy zrozumie, że wysłuchał [zeznań] tych terrorystów".

Czułam, że za tą wściekłością kryje się lęk. Dyktatury często wydają się silne i zjednoczone, lecz to tylko pozory. Są rządzone kaprysami jednego człowieka, który nie potrafi czerpać z dobrodziejstw prowadzenia dyskusji i debat – wyznaczników rządów demokratycznych – bo włada terrorem i dopuszcza tylko własny punkt widzenia. Mimo to nie sądzę, by reżim Kim Jong-una był tak słaby, by zapaść się samoczynnie. Niestety, jak ujął to historyk Andriej Łańkow, reżim skłonny zabijać, by utrzymać władzę, daje radę utrzymać ją bardzo długo.

Kiedy więc nadejdzie koniec tego koszmaru? Niektórzy Koreańczycy mówią, że z chwilą zjednoczenia obu krajów. O tym powinniśmy marzyć po obu stronach granicy, choć po przeszło sześćdziesięciu latach separacji i drastycznej różnicy poziomów życia, wielu ludzi na Południu myśli o takiej możliwości z niepokojem. Ale nie możemy zakładać rąk i czekać na cud pojawienia się nowej, zjednoczonej Korei. Jeśli tak postąpimy, potomkowie rozdzielonych rodzin spotkają się jako obcy sobie ludzie. Zjednoczenie, gdy do niego dojdzie, a musi dojść, będzie mniej bolesne, jeśli ludziom z Północy i Południa pozwoli się utrzymywać ze sobą kontakt, choćby w postaci wakacji spędzanych wspólnie przez członków rodzin czy odwiedzin z okazji ważniejszych osobistych uroczystości. Przynajmniej tyle można zrobić dla uchodźców – dać im pewność, że gdy już zaryzykują wszystkim, by uciec, nie stracą na zawsze kontaktu z tymi, którzy zostali. Można pokazać, że mają na świecie oparcie, że nie przekraczają tej granicy sami.

***

Stałam się osobą publiczną i matka nie mogła dłużej ignorować mojego związku z Brianem. Był dla mnie w tym czasie ogromnym oparciem. Jednocześnie uwaga, z jaką świat zwracał się ku owocom mojej pracy, powoli zmieniała postawę matki i Min-ho. Przeze mnie musieli spojrzeć na swoje dotychczasowe życie z szerszej perspektywy. Powoli zaczęli uważać się za obywateli świata, a nie wysiedleńców z małej prowincji Ryanggang w Korei Północnej.

Ale tak naprawdę, największym wyzwaniem dla mojej matki było zaakceptowanie kolejnego rozdziału w moim życiu. Gdy przekazałam jej tę wiadomość, ucichła, lecz okazała wyrozumiałość.

– Omma, Brian poprosił mnie o rękę. Bardzo chciałabym, żebyś dała nam swoje błogosławieństwo.

6 Ang. „Ludzie na rzecz pomyślnego zjednoczenia Korei” (przyp. tłum.).

EPILOG

Choć może wydawać się to niesamowite, w świecie oferującym tak niezliczone możliwości porozumiewania się ze sobą mój kontakt z Dickiem Stolpem urwał się wkrótce po tym, jak opuściłam Laos. Serwer pocztowy, na którym miałam konto, został zlikwidowany i wraz z kontem przepadły wszystkie adresy mejlowe. Napisałam do kilku redakcji gazet w Australii w nadziei, że mój list zostanie opublikowany, Dick go przeczyta i może się ze mną skontaktuje. Chciałam pokazać mu, czego dokonał swoją dobrocią i odwagą. Żaden z listów nie ukazał się drukiem. Dopiero po uwadze, jaką ściągnęło na mnie wystąpienie na TED, w mojej skrzynce mejlowej pojawił się list zatytułowany „Hyeonseo, czy to ty?". Dick nie wiedział, czy kontaktuje się z właściwą osobą, bo przecież nie miał pojęcia, że pochodzę z Korei Północnej. O sprawie dowiedziała się redakcja australijskiego programu publicystycznego *SBS Insight* i zorganizowała mi przelot do Australii, bym mogła osobiście podziękować Dickowi. Nasze spotkanie pokazywano na wizji. W normalnych okolicznościach tak duża uwaga skupiona na mojej osobie sprawiłaby, że skryłabym się za swą północnokoreańską maską, lecz w momencie, gdy zobaczyłam go górującego nade mną, z tym samym łagodnym uśmiechem, z którym patrzył na mnie tamtego dnia przed Coffee House w Luang Namtha, przytuliłam go mocno i rozpłakałam się.

Wiem, że nigdy nie zdołam pozbyć się swojej maski do końca. Czasami jakiś drobiazg sprawia, że znów chowam się w zbroję instynktu przetrwania lub zachowuję się chłodno wobec ludzi, którzy oczekują ode mnie otwartości. W jednym z odcinków południowokoreańskiego programu o uchodźcach z Północy każda z kobiet opowiadała swoją historię we łzach. Ja nie.

Nadal miewam napady nienawiści wobec siebie. Lata temu, w czasie pobytu w Chinach, przestałam się lubić. Doszłam do wniosku, że

porzuciwszy rodzinę, straciłam prawo do obchodzenia urodzin, nigdy więc tego nie robiłam. Zawsze jestem niezadowolona. Gdy tylko coś w życiu osiągnę, natychmiast dochodzę do wniosku, że mogłam zrobić to lepiej, sięgnąć po jeszcze lepszy wynik.

Staram się doceniać to, co mam, i uśmiechać się szeroko. Niedawno skończyłam studia, co zawdzięczam wsparciu ze strony pana Parka, policjanta. Min-ho studiuje, zna angielski i przyjaźni się w najlepsze z Brianem. Obaj śmieją się teraz z ich pierwszego spotkania na tamtej nieszczęsnej kolacji. Pod wieloma względami stała się ona symbolem niedorzecznych, błędnych przekonań zrodzonych z doktryn politycznych.

Moja wspaniała omma płacze dziś znacznie mniej. Nawet uśmiechnie się z rzadka, szczególnie jeśli Brian pokręci coś, mówiąc po koreańsku. Nadal śni o tych, których zostawiła – moich ciotkach i wujach. Stara się być dzielna ze względu na mnie, ale niekiedy słyszę, jak płacze nocami.

Największy krok zrobiła jednak wtedy, gdy poprosiliśmy, by pojechała z nami na Środkowy Zachód, do rodzinnego miasta Briana na nasz ślub. Zaskoczyła mnie zupełnie, bo ani przez chwilę nie miała nic przeciwko temu, nie narzekała ani słowem.

I tak oto matka pojechała z nami do serca jankeskiej imperialistycznej bestii, Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jej matka, a moja babka – ta sama, która sześćdziesiąt lat wcześniej ukryła przed amerykańskimi żołnierzami swoją legitymację partyjną w kominie, a później do końca życia nosiła ją na sznurku na szyi – gdyby zobaczyła ją podziwiającą widoki z setnego piętra John Hancock Center w Chicago, czy siedzącą w amerykańskiej restauracji nad talerzem imperialistycznego jedzenia, nie uwierzyłaby własnym oczom. A na pewno byłaby zdumiona równie mocno, jak ja i Brian, gdyby usłyszała, jak matka prosi kelnerkę – po angielsku! – o kolejną filiżankę herbaty, czy jak nuci, zupełnie rozluźniona, patrząc na zalane słońcem kaniony wieżowców.

SŁOWNIK WYBRANYCH TERMINÓW CHIŃSKICH I KOREAŃSKICH[7]

Ahn (czyt. an) –nazwisko koreańskie

angibu (czyt. angibu) – popularna nazwa urzędu bezpieczeństwa i wywiadu Korei Południowej; bezpieka

Anju (czyt. andżu) – miasto w Korei Północnej

Anseong (czyt. ansong) – miasto w Korei Południowej

apateu (czyt. apa:thu) – mieszkanie (od ang. *apartment*)

bab (czyt. pap) – (ugotowany) ryż

Baek Kyeong-sul (czyt. pek kjongsul) – koreańskie imię i nazwisko (zapisywane w kolejności: nazwisko, imię)

banchan (czyt. panczan) – przystawki do ryżu (najczęściej sałatki na małych talerzach)

banjang (czyt. bandżang) – funkcja dyżurnego, nadzorcy w Korei Północnej (zwykle osoba pełniąca tę funkcje nosi na ramieniu czerwoną opaskę)

bingdu – popularna nazwa kryształków metamfetaminy, tak zwany lód; także tytuł tajwańskiego filmu z 2014 roku (ang. *Ice Poison*)

Bowibu (czyt. połibu) – popularna nazwa urzędu bezpieczeństwa Korei Północnej; bezpieka

Bund (czyt. band) – nadbrzeżny bulwar z budynkami kolonialnymi w Szanghaju nad rzeką Huangpu

Chae In-hee (czyt. cze inhi) – koreańskie imię i nazwisko (zapisywane w kolejności: nazwisko, imię)

Chae Mi-ran (czyt. cze miran) – koreańskie imię i nazwisko (zapisywane w kolejności: nazwisko, imię)

Chang (czyt. czang) – koreańskie (oraz chińskie) nazwisko

Changbai – autonomiczny powiat chiński na granicy z Koreą Północną

Chang-soo (czyt. czangsu) – koreańskie imię i nazwisko (zapisywane w kolejności: nazwisko, imię)

chima jeogori (czyt. cima czogori) – tradycyjny żeński strój koreański

Choon-hi (czyt. czunhi) – koreańskie imię i nazwisko (zapisywane w kolejności: nazwisko, imię)

Chosun, chosun (czyt. czoson) – Korea (nazwa używana w Korei Północnej), koreański

Chuseok (czyt. czusok) – święto zmarłych przodków (ruchome)

Daehan minguk (czyt. tehan minguk) – Republika Korei, oficjalna nazwa Korei Południowej; w zapisie z wykrzyknikiem, dosłownie: Chwała Korei!

Dae oh-cheon (czyt. te o czon) lub Cheon Daeoh – wokalista z Korei Południowej

doenjang (czyt. tłendżang) – pasta sojowa

Doksan (czyt. toksan) – stacja Dokasan (pierwsza linia metra w Seulu)

Dongbei – skrajnie północno-wschodni rejon Chin, między innymi Mandżuria

elebaytoh (czyt. elibejto) – winda (od ang. *elevator*)

Gangnam (czyt. kangnam) – południowa część Seulu

Geumcheon (czyt. kumczon) – dzielnica Seulu

Geun-soo (czyt. kunsu) – koreańskie imię męskie

Gyeonggi (czyt. kjongi(-do)) – prowincja Korei Południowej

Gyeong-hwoi-ru (czyt. kjong hłero) – pawilon kolumnowy w dawnym królewskim kompleksie pałacowym w Seulu; tu: nazwa restauracji należącej do rządu północnokoreańskiego, prowadzonej w Szanghaju

Hamgyong (czyt. hamgjong) – prowincja Korei Północnej

Hamhung (miasto) (czyt. hamhung) – stolica prowincji Południowego Hamgyong (obecnie Korea Północna)

Hanawon – ośrodek reedukacji uciekinierów z Korei Północnej

Hanguk (czyt. hanguk) – Korea (nazwa używana w Korei Południowej)

Hankuk (czyt. hanguk) – prywatny uniwersytet w Seulu

Haojue (czyt. hałdżłe) – chińska fabryka motocykli tej marki

Harbin – miasto w Chinach

Hungnam (czyt. hungnam) – port w Korei Północnej nad Morzem Japońskim

Hwanseung imnida (czyt. hłansung imnida) – zdanie: „To jest/jestem”.

Hyesan (czyt. hjesan) – miasto w Korei Północnej

Hyun Chul (czyt. hjonczol) – imię koreańskie

Incheon (czyt. inczon) – międzynarodowe lotnisko koło Seulu

In-hee (czyt. inhi) – imię koreańskie

Insadong (czyt. insa dong) – dzielnica Seulu

jakmyeongso (czyt. czakmjongso) – wróżbita nadający imiona lub podający ich znaczenie

Jang Soon-hyang (czyt. czang sun hjang) – koreańskie imię i nazwisko (zapisywane w kolejności: nazwisko, imię); jedno z siedmiu używanych przez autorkę

Ji-woo (czyt. ciłu) – imię koreańskie

Ju Hyun-mi (czyt. czu hjonmi) – koreańskie imię i nazwisko (zapisywane w kolejności: nazwisko, imię)

juche (czyt. czucze, dżucze) – słowo używane w Korei Północnej na określenie wodza; także kult wodza

Jung-gil (czyt. czong gil) – koreańskie imię męskie

Kil-ju (czyt. kildżu) – nazwa miasta

kimchi (czyt. kimczi) – typowa sałatka koreańska z kiszonej kapusty pekińskiej z dodatkiem ostrej papryki i czosnku

Kim Il-sung (czyt. kim ilsong) – w wersji spolszczonej: Kim Ir Sen

Kim Ji-hae (czyt. kim dzihe) – pierwsze nazwisko autorki podane w tradycyjnej kolejności

Kim Jong-il (czyt. kim dżong il) – w wersji spolszczonej: Kim Dzong Il; syn Kim Ir Sena

Kim Jong-suk (czyt. kim dżong suk) – pierwsza żona Kim Ir Sena

Kim Jong-un (czyt. kim dżong un) – w wersji spolszczonej: Kim Dzong Un

Kim Weon-joong (czyt. kim łon dżung) – piosenkarz z Korei Południowej

Koryo (grobowce) – kompleks grobowców królewskich obecnie w Korei Północnej, nekropolia dynastii Koryo (918–1392), która rządziła przed dynastią Yi (Lee) (1392–1910). Od tego słowa pochodzi nazwa Korea

kotchebi (czyt. kotczebi) – bezdomne sieroty północnokoreańskie. Dosłownie „kwietna jaskółka”, ptak, który jak koliber ciągle podlatuje do kwiatu, gdyż nieustannie potrzebuje glukozy, inaczej zdycha. Podobnie te dzieci wszędzie szukają jedzenia. Co ciekawe, słowo to pochodzi podobno od rosyjskiego wyrazu „koczownik”

Joseon, królestwo (czyt. Czoson, Dzoson) – Korea, nazwa stosowana

w latach 1392–1910

Lee Hyeonseo (czyt. li hjonso) – koreańskie imię i nazwisko (zapisywane w kolejności: nazwisko, imię); jedno z siedmiu używanych przez autorkę

Man-sae (czyt. manse) – Wiwat! Niech żyje!

Mangyongdae (czyt. mangjondge) – propagandowa wioska muzeum, w której według „państwowej legendy” urodził się Kim Ir Sen; miejsce obowiązkowych „pielgrzymek” i pokazowy skansen dla zagranicznych turystów

miguk nom (czyt. migungnom) – Amerykaniec, Jankes

Min-ho (czyt. min-ho) – imię brata autorki

Morangak – nazwa własna pawilonu, lokalu (od: kor. moran – piwonia)

naengmyeon (czyt. nengmjon) – makaron gryczany na zimno z dodatkami w jednej, zwykle stalowej, misce

nooroongji (czyt. nurungdzi) – ryż przysmażany na dnie naczynia, tak by z zewnątrz był lekko przyrumieniony i chrupiący lub napar z resztek ugotowanego ryżu

noraebang (czyt. norebang) – koreański lokal z karaoke

nuna (czyt. nuna) – starsza siostra, starsza koleżanka

Ok-hee (czyt. okhi) – imię koreańskie

omma (czyt. omma) – mama, mamusia

Omma-ya! Min-ho-ya! Na-ya! (czyt. -ja) – Mamo! Min-ho! To ja!

Paektu (czyt. pektu[-san]) – najwyższa (i święta dla Koreańczyków) góra, leży na granicy Korei Północnej i Chin, odwiedzana przez liczne pielgrzymki z obu Korei

Park Min-young (czyt. pak minjong) – drugie imię autorki podane w tradycyjnej kolejności

Park Sun-ja (czyt. pak sundża) – szóste imię autorki podane w tradycyjnej kolejności

Pochonbo (czyt. poczonbo) – miejsce bitwy partyzantów koreańskich z policją japońską w 1937 roku

Pyongyang (czyt. pjongjang) – spolszczone: Phenian, stolica Korei Północnej

Pyongyang Okryugwan (czyt. -ong nju głan) – jedna z dwóch północnokoreańskich restauracji działających w Szanghaju

reja – koreańskie słowo określające linoleum (winylon), powstałe przypuszczalnie od nieprawidłowo zniekształconej nazwy jednego z jego

rzekomych składników — żywicy (z ang: resin)

Ri Chang-ho (czyt. ri czangho) – koreańskie nazwisko podane w formie tradycyjnej

Ri Sung Gi – w czasie japońskiej okupacji Korei (1910–1945) jako obywatel japoński studiował chemię na Uniwersytecie Kioto. Pracował w zespole razem z japońskimi naukowcami nad winylonem. Po wyzwoleniu spod okupacji japońskiej wrócił do Korei, ale z powodu ideologicznej niechęci do Amerykanów uciekł do Korei Północnej, gdzie kontynuował swoją pracę i uczestniczył w programie atomowym

Ri Chun-hui (czyt. ri czunhi) – koreańskie nazwisko podane w formie tradycyjnej

Rodong Sinmun (czyt. rodong sinmun) – „Gazeta Robotnicza”, oficjalna gazeta Partii Pracy Korei Północnej

Ryanggang (czyt. rjanggang(-do)) – prowincja Korei Północnej

sabanchigi (czyt. sabancigi) – koreańska odmiana gry w klasy

Sang-hee (czyt. sang hi) – koreańskie imię żeńskie

Seo Taeji (czyt. so tedzi) – koreańskie nazwisko podane w formie tradycyjnej

seolleongtang (czyt. sollong tang) – bulion z kości wołowych

Shin Jin-su (czyt. sin dzinsu) – nazwisko koreańskie podane w formie tradycyjnej

Shin-suh (czyt. sin so) – imię koreańskie

soju (czyt. sodżu) – koreańska wódka ryżowa (25% alk.)

songbun (czyt. songbun) – wyznaczony status społeczny w Korei Północnej; odpowiednik tak zwanych punktów za pochodzenie

Soo-jin (czyt. sudzin) – imię koreańskie

Soon-hyang (czyt. sunhjang) – czwarte imię autorki

Sun-i (czyt. suni) – imię koreańskie

Sun-mi (czyt. sonmi) – imię koreańskie

Tae-chul (czyt. teczol) – imię koreańskie

tekshi (czyt. teksi) – taksówka

Tonghung (czyt. tonhung) – nazwa jednego z koreańskich szczytów

Yonsei (czyt. jonsei) – prywatny uniwersytet w Seulu

Uri nara! (czyt. urinara) – dosłownie: (Niech żyje) nasza ojczyzna (Korea)

Wiyeon (czyt. łijon) – nadgranicza stacja kolejowa na pograniczu północnokoreańsko-chińskim

Yalu – graniczna rzeka północnokoreańsko-chińska

Yee-un (czyt. iun) – imię koreańskie

Yi Sun-shin (czyt. i sun sin) – admirał, bohater narodowy Korei, który wygnał Japończyków w latach inwazji 1592–1598.

yontan – prasowany w okrągłe placki węgiel drzewny

Yoon-ji (czyt. jundzi) – imię koreańskie

7 Opracowany przez konsultanta językowego, Stanisława Matsumoto (przyp. tłum.).

ZDJĘCIA

Wykonane w atelier fotograficznym zdjęcie mojej matki ze mną na plecach. Miałam wtedy trzy lata. To jedyne moje zdjęcie z czasów życia w Korei Północnej.

Hyeonseo i jej matka, „Omma”, w 1984 roku. Zdjęcie wykonane w studio fotograficznym

Moja matka i Ciotka Śliczna pozują razem do zdjęcia. Tę fotografię zrobiono tuż przed ucieczką matki z Korei Północnej. Matka i Ciotka Śliczna były ze sobą bardzo zżyte, lecz jak wiele innych podzielonych rodzin na Półwyspie Koreańskim musiały zaakceptować fakt, że być może już nigdy się nie spotkają.

Matka Hyeonseo z Ciotką Śliczną, swoją młodszą siostrą.

Budowę tych wieżowców w Pyongyang ukończono tuż przed obchodami stulecia urodzin Kim Il-sunga zaplanowanymi na 2012 rok. W tym roku Korea Północna miała się też stać „silnym, dostatnim krajem”. W wieżowcach mieszkają wysoko postawieni członkowie Partii Robotniczej i ich rodziny. Nawet rodziny z „klasy lojalnej” mieszkają jednak czasem w kiepskich warunkach.

Mansudae, zespół drapaczy chmur w Pyongyang. Dzięki uprzejmości breathoflifestar

Zeznania w czasie posiedzenia nadzwyczajnego na sesji Komisji Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, które składałam w kwietniu 2014 roku. Było to historyczne posiedzenie, ponieważ Rada Bezpieczeństwa po raz pierwszy skupiła się wyłącznie na problemie łamania praw człowieka w Korei Północnej. (Na panelu imię autorki wyświetlono z błędem).

Domy mieszkalne przy ulicy Kwangbok w Pyongyang. Dzięki uprzejmości breathoflifestar.

Portrety Kim Il-sunga i jego syna Kim Jong-ila powstają, gdy tysiące dzieci jednocześnie unoszą kolorowe kartonowe plansze podczas igrzysk masowych. Razem z kolegami i koleżankami z klasy musiałam godzinami ćwiczyć do takich pokazów, które odbywały się również na stadionie w Hyesan. W czasie prób nie robiono przerw, nawet na pójście do toalety, więc nie mieliśmy innego wyjścia, jak sikać w ubrania.

Portrety tworzone podczas igrzysk masowych, które zawsze zachwycają widzów z zagranicy. Dzięki uprzejmości breathoflifestar

Mieszkańcy Pyongyang oddają pokłon przed olbrzymimi, odlanymi w brązie pomnikami Kim Il-sunga i Kim Jong-ila, ustawionymi na Wzgórzu Mansu, przed główną świątynią kultu Kima. Odwiedzających Koreę Północną obcokrajowców przywozi się tu i również prosi o oddanie pokłonu. Dzięki temu władze mogą wmawiać mieszkańcom Korei Północnej, że rodzina Kimów jest szanowana i podziwiana przez wszystkich ludzi na ziemi.

Oddawanie hołdu przed pomnikami Kim Il-sunga i Kim Jong-ila na Wzgórzu Mansu. Dzięki uprzejmości breathoflifestar

Obraz propagandowy przedstawiający Kim Jong-ila na platformie w czasie parady. Kim Jong-il został tu namalowany na mokrym od deszczu tarasie, ze wzrokiem wbitym we wschodzące nad horyzontem słońce. Symbolikę należy rozumieć następująco: Kim Jong-il przeprowadził kraj przez burzliwe czasy, a teraz wiedzie go ku świetlanej przyszłości. Slogan widoczny na jadącej dalej platformie głosi „Wysiłek prowadzi ku odrodzeniu!”.

Portret Kim Jong-ila prezentowany podczas parady platform. Dzięki uprzejmości breathoflifestar

Robotnicy w Hyeasn idą do fabryki prowadzeni przez brygadzistę. W podobny sposób ustawiają się dzieci idące do szkoły.

Robotnicy fabryczni w drodze do pracy w Hyesan, na granicy z chińskim okręgiem Changbai.
© REUTERS/Reinhard Krause

Hasło wypisane na budynku urzędu w Hyesan głosi „Zjednoczenie ojczyzny. Wielki Wódz Kim Il-sung jest zawsze z nami”.

Hasła propagandowe na budynku w Hyesan i Kim Il-sung spoglądający z obrazu na pracujące przed budynkiem kobiety. © REUTERS/Reinhard Krause

Zdjęcie przedstawiające Hyesan w Korei Północnej wykonane z leżącego po drugiej stronie granicy Changbai w Chinach. W tym miejscu rzeka dzieląca oba kraje jest bardzo wąska i gdy zamarznie, mieszkańcy Korei Północnej podejmują próby ucieczki.

Hyesan widziane zza chińskiej granicy. Zdjęcie wykonane przez Hyeonseo Lee

Kobieta i dziewczynka, które próbują dostać się na teren konsulatu japońskiego w Chinach, odciągane spod bramy przez policję. Nacisk opinii publicznej sprawił, że Chiny pozwoliły później tej grupie uchodźców wyjechać do Korei Południowej. Jednak od czasu tego zajścia Chiny wzmocniły ochronę wokół zagranicznych ambasad. Władze Chin regularnie odsyłają uciekinierów z Korei Północnej do kraju, gdzie ci są sądzeni i ciężko karani.

Zdjęcie, które obiegło cały świat w maju 2002 roku, wykonane pod konsulatem Japonii w Szanghaju. Dwuletnia Kim Han-mi patrzy, jak chińscy policjanci odciągają jej matkę spod bramy konsulatu, gdzie rodzina dziewczynki chciała uzyskać azyl polityczny. W maju 2002 roku członkowie rodziny Han-mi, w tym jej wujek i babcia, biegli do bramy konsulatu Japonii w Szanghaju. Obu mężczyznom udało się przedostać przez bramę, natomiast kobiety i dziecko zostały zatrzymane przez policję. Wydarzenie to doprowadziło do incydentu dyplomatycznego między Japonią i Chinami. © REUTERS/Kyodo

Moja rodzina na Navy Pier w Chicago. Była to pierwsza podróż mojej matki do Ameryki. Matka była zaskoczona, jak bardzo rozwiniętym krajem jest Ameryka i jak przyjaźni są tutejsi ludzie.

Hyeonseo z rodziną na nabrzeżu Navy Pier w Chicago

Matka z bratem w czasie ich pierwszej walki wodnej. Później mówili, że nie bawili się tak świetnie od lat. W konserwatywnym społeczeństwie Korei Północnej taka zabawa byłaby nie do pomyślenia. Matka i brat przysięgli sobie, że powtórzą to w przyszłości.

Matka i brat Hyeonseo w czasie ich pierwszej walki na wodę. Zdjęcie autorstwa Hyeonseo Lee

Zeznania w czasie posiedzenia nadzwyczajnego na sesji Komisji Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych, które składałam w kwietniu 2014 roku. Było to historyczne posiedzenie, ponieważ Rada Bezpieczeństwa po raz pierwszy skupiła się wyłącznie na problemie łamania praw człowieka w Korei Północnej. (Na panelu imię autorki wyświetlono z błędem).

Hyeonseo zeznająca przed Radą Bezpieczeństwa ONZ w kwietniu 2014 roku. (Na panelu jej imię wyświetlono z błędem)

W czasie spotkania z ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy ONZ, Samanthą Power. Ambasador Power jest zagorzałą orędowniczką doktryny „odpowiedzialności za ochronę” (R2P) i osobą mocno zaangażowaną w działania na rzecz ruchów obrony praw człowieka.

Hyeonseo z ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy ONZ, Samanthą Power.

Spis treści

OD AUTORKI
WPROWADZENIE
PROLOG
CZĘŚĆ PIERWSZA. NAJWSPANIALSZY NARÓD ŚWIATA
- ROZDZIAŁ 1. POCIĄGIEM PRZEZ GÓRY
- ROZDZIAŁ 2. MIASTO NA KRAŃCU ŚWIATA
- ROZDZIAŁ 3. OCZY NA ŚCIANIE
- ROZDZIAŁ 4. KOBIETA W CZERNI
- ROZDZIAŁ 5. MĘŻCZYZNA POD MOSTEM
- ROZDZIAŁ 6. CZERWONE PÓŁBUTY
- ROZDZIAŁ 7. ZŁOTE LATA HYESAN
- ROZDZIAŁ 8. TAJEMNICZA FOTOGRAFIA
- ROZDZIAŁ 9. BYĆ DOBRYM KOMUNISTĄ
- ROZDZIAŁ 10. SKALISTA WYSPA
- ROZDZIAŁ 11. „TEN DOM JEST PRZEKLĘTY”
- ROZDZIAŁ 12. TRAGEDIA NA MOŚCIE
- ROZDZIAŁ 13. PROMIENIE ODBITE W FALACH
- ROZDZIAŁ 14. „WIELKIE SERCE PRZESTAŁO BIĆ”
- ROZDZIAŁ 15. DZIEWCZYNA CHULIGANA
- ROZDZIAŁ 16. „GDY BĘDZIESZ CZYTAĆ TE SŁOWA, NASZEJ PIĄTKI NIE BĘDZIE JUŻ NA ŚWIECIE”
- ROZDZIAŁ 17. ŚWIATŁA CHANGBAI
- ROZDZIAŁ 18. PO LODZIE

CZĘŚĆ DRUGA. DO PASZCZY LWA
- ROZDZIAŁ 19. WIZYTA U PANA AHNA
- ROZDZIAŁ 20. GORZKA PRAWDA
- ROZDZIAŁ 21. ZALOTNIK
- ROZDZIAŁ 22. MAŁŻEŃSKA PUŁAPKA

ROZDZIAŁ 23. DZIEWCZYNA Z SHENYANG
ROZDZIAŁ 24. POCZUCIE WINY
ROZDZIAŁ 25. LUDZIE Z POŁUDNIA
ROZDZIAŁ 26. PRZESŁUCHANIE
ROZDZIAŁ 27. PLAN
ROZDZIAŁ 28. GANG
ROZDZIAŁ 29. KOJĄCY BLASK KSIĘŻYCA
ROZDZIAŁ 30. NAJWIĘKSZE I NAJGŁOŚNIEJSZE MIASTO AZJI
ROZDZIAŁ 31. KOBIETA SUKCESU
ROZDZIAŁ 32. KONTAKT Z HYESAN
ROZDZIAŁ 33. ROZMOWY Z MISIEM
ROZDZIAŁ 34. MIN-HO NA PRZESŁUCHANIU
ROZDZIAŁ 35. W OKOWACH MIŁOŚCI
ROZDZIAŁ 36. KIERUNEK: SEUL
CZĘŚĆ TRZECIA. PODRÓŻ DO JĄDRA CIEMNOŚCI
ROZDZIAŁ 37. WITAJCIE W KOREI
ROZDZIAŁ 38. KOBIETY
ROZDZIAŁ 39. DOM JEDNOŚCI
ROZDZIAŁ 40. WYŚCIG PO WIEDZĘ
ROZDZIAŁ 41. W OCZEKIWANIU NA ROK 2012
ROZDZIAŁ 42. MIASTO DUCHÓW I DZIKICH PSÓW
ROZDZIAŁ 43. SYTUACJA BEZ WYJŚCIA
ROZDZIAŁ 44. PODRÓŻ PRZEZ NOC
ROZDZIAŁ 45. POD BEZKRESNYM AZJATYCKIM NIEBEM
ROZDZIAŁ 46. ZAGINIENI W LAOSIE
ROZDZIAŁ 47. CO TYLKO BĘDZIE TRZEBA
ROZDZIAŁ 48. DOBROĆ ZE STRONY NIEZNAJOMEGO
ROZDZIAŁ 49. DYPLOMACJA WAHADŁOWA
ROZDZIAŁ 50. WOLNOŚĆ PRZYCHODZI POWOLI
ROZDZIAŁ 51. KILKA POMNIEJSZYCH CUDÓW

ROZDZIAŁ 52. JESTEM GOTOWA NA ŚMIERĆ
ROZDZIAŁ 53. PIĘKNO UWOLNIONEGO UMYSŁU
EPILOG
SŁOWNIK WYBRANYCH TERMINÓW CHIŃSKICH I KOREAŃSKICH
ZDJĘCIA